

HARLAN COBEN

0 krok za daleko

Thriller



ALBATROS

Sekrety nie umierają nigdy.

Simon Greene żyje na krawędzi obłądu. Od miesięcy szuka swojej córki, Paige. Kiedy wreszcie trafia na jej ślad – namierza ją w Central Parku, gdzie ćpuni grają dla pieniędzy przy pomniku Lennona – na jego drodze staje Aaron, człowiek, przez którego uciekła. A Paige znowu znika.

Tym razem jednak Simon nie zamierza odpuścić – za wszelką cenę chce sprowadzić córkę do domu. Ale sytuacja się komplikuje... W mieszkaniu, w którym koczowała dziewczyna, zostają znalezione zwłoki Aarona. A kiedy żona Simona, do której ktoś strzelał, walczy o życie, on musi zadać sobie pytanie – w co wplątała się ich córka? I czy to ona zabiła?

Aby znaleźć odpowiedź, Simon posunie się nawet... o krok za daleko.

HARLAN COBEN

0 krok za daleko

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA SŁYSZ

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

HARLAN COBEN

Współczesny amerykański pisarz, który uznanie w kręgu miłośników literatury sensacyjnej zdobył swoją trzecią książką, **Bez skrupułów**, opublikowaną w 1995 roku. Jako pierwszy współczesny autor otrzymał trzy prestiżowe nagrody literackie przyznawane w kategorii powieści kryminalnej, w tym najważniejszą – Edgar Allan Poe Award. Światowa popularność Cobena zaczęła się w 2001 roku od thrillera **Nie mów nikomu**, zekranizowanego w 2006 roku. Kolejne powieści, m.in. **Na gorącym uczynku**, **Wszyscy mamy tajemnice**, **Zostań przy mnie**, **Schronienie**, **Kilka sekund od śmierci**, **Sześć lat później** i **Tęsknię za tobą**, uczyniły go megagwiazdą gatunku i jednym z najchętniej czytanych autorów, także w Polsce. Twórczość pisarza wciąż budzi zainteresowanie filmowców: na podstawie prozy Cobena powstało kilka filmów i seriali.

W 2018 roku platforma Netflix zawarła z Harlanem Cobenem umowę, dzięki której w ciągu kilku najbliższych lat powstanie aż 14 ekranizacji jego powieści! Jedną z nich, sześcioodcinkowy miniserial **W głębi lasu**, zostanie wyprodukowana przez Polaków, a jej akcja będzie rozgrywać się w Polsce!

Tego autora

NIE MÓW NIKOMU
BEZ POŻEGNANIA
JEDYNA SZANSA
TYLKO JEDNO SPOJRZENIE
NIEWINNY
W GŁĘBI LASU
ZACHOWAJ SPOKÓJ
MISTYFIKACJA
NA GORĄCYM UCZYNKU
KLINIKA ŚMIERCI
ZOSTAŃ PRZY MNIE
SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ
TĘSKNIĘ ZA TOBĄ
NIEZNAJOMY
JUŻ MNIE NIE OSZUKASZ
NIE ODPUSZCZAJ
O KROK ZA DALEKO

Myron Bolitar
BEZ SKRUPUŁÓW
KRÓTKA PIŁKA
BEZ ŚLADU
BŁĘKITNA KREW
JEDEN FAŁSZYWY RUCH
OSTATNI SZCZEGÓŁ
NAJCZARNIEJSZY STRACH
OBIECAJ MI
ZAGINIONA

WSZYSCY MAMY TAJEMNICE
W DOMU

Mickey Bolitar
SCHRONIENIE
KILKA SEKUND OD ŚMIERCI
ODNALEZIONY

Jako współautor
AŻ ŚMIERĆ NAS ROZŁĄCZY
NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE 2011

Tytuł oryginału:
RUN AWAY

Copyright © Harlan Coben 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2020

Redakcja: Tomasz Karpowicz

Zdjęcie na okładce: © Magdalena Russocka/Trevillion Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-918-7

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26

Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Epilog
Podziękowania
Przypisy

*Lisie Erbach Vance,
nadzwyczajnej agentce literackiej,
sympatią i wdzięcznością*

Rozdział 1

Simon siedział na ławce w Central Parku, a ściślej mówiąc, na terenie Strawberry Fields, i miał wrażenie, że serce mu pęknie. Nikt oczywiście o tym nie wiedział i nie mógł wiedzieć, dopóki nie padły ciosy i dwoje turystów z Finlandii – pomyślałby kto – nie zaczęło krzyczeć, a dziewięcioro innych spacerowiczów z najrozmaitszych krajów nie nagrało całego zdarzenia smartfonami.

Ale to miało nastąpić dopiero za godzinę.

Na Strawberry Fields nie ma żadnych truskawek i trudno nazwać tę hektarową, specjalnie zaprojektowaną część parku polem (w liczbie pojedynczej), a już na pewno nie polami, jednak jej nazwy nie należy traktować dosłownie, bo pochodzi od tytułu słynnej piosenki Beatlesów. Strawberry Fields to obszar w kształcie trójkąta, przy Siedemdziesiątej Drugiej i Central Park Zachodniej, upamiętniający Johna Lennona, który został postrzelony po drugiej stronie ulicy. Centralny element tego zakątka stanowi okrągła kamienna mozaika z prostym napisem pośrodku:

IMAGINE

Simon, zdruzgotany, patrzył przed siebie, mrugając. Napływali kolejni turyści i fotografowali sławną mozaikę: robili zdjęcia grupowe, pojedyncze selfie, niektórzy klęcząc na kamieniach, inni na nich leżąc. Tego dnia, jak niemal codziennie, ktoś otoczył słowo *Imagine* świeżymi kwiatami, układając z płatków czerwonych róż znak pokoju, którego jakimś cudem nie rozwiął wiatr. Odwiedzający park wykazywali – może dlatego, że to miejsce jest pomnikiem – cierpliwość i spokojnie czekali na swoją kolej, żeby zbliżyć się do mozaiki i cyknąć to specjalne zdjęcie, które potem wstawią na Snapchat,

Instagram albo inny serwis społecznościowy z jakimś cytatem z Lennona, może z fragmentem piosenki Beatlesów, mówiącej przykładowo o tym, że wszyscy ludzie powinni żyć w pokoju.

Simon był w garniturze. Po wyjściu z biura w World Financial Center przy Vesey nie pomyślał o poluzowaniu krawata. Naprzeciwko niego, również w pobliżu sławnej mozaiki, utwory Beatlesów grała za pieniądze... Jak się teraz mówi na takie osoby? Bezdomna? Nieprzystosowana? Uzależniona od narkotyków? Umysłowo chora? Żebraczka? Czy jak? „Piosenkarka uliczna” (to chyba najłagodniejsze określenie) brzdąkała na rozstrojonej gitarze i śpiewała łamiącym się głosem przez zółknące zęby o Penny Lane, którą wciąż widzi przed oczami i która rozbrzmiewa jej w uszach.

Dziwne, a przynajmniej zabawne wspomnienie: Simon stale mijał tę mozaikę, kiedy jego dzieci były małe. Gdy Paige miała z dziewięć lat, Sam sześć, a Anya trzy, wychodzili z mieszkania, zaledwie pięć przecznic stąd, przy Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy, między Columbus i Central Park Zachodnią, i przecinając Strawberry Fields, szli pod pomnik Alicji w Krainie Czarów przy stawie dla modeli łódek we wschodniej części parku. Inaczej niż w przypadku prawie wszystkich posągów na świecie dzieciakom wolno było wspinać się na mierzącą ponad trzy metry brązową figurę, przedstawiającą Alicję, Szalonego Kapelusznika, Białego Królika i gromadę, zdawałoby się, niestosownych wielkich grzybów. Sam i Anya to uwielbiali, wręcz rzucali się na te postacie, choć Sam w pewnym okresie zawsze wtykał Alicji dwa palce w nozdrza i wołał do Simona: „Tato! Tato, patrz! Dłubię jej w nosie!”, na co jego matka, Ingrid, nieodmiennie wzdychała i mruzczała: „Ci chłopcy...”.

Paige, ich pierworodna, była już wtedy cichsza i spokojniejsza. Siadała na ławce z książeczką do kolorowania i nietkniętymi kredkami – nie lubiła, kiedy wkład się łamał albo schodziła opaska – i nigdy, dosłownie i w przenośni, nie wychodziła poza linie. Gdy była starsza – miała piętnaście, szesnaście, siedemnaście lat – siedząc na ławce, tak jak teraz Simon, w notesie, który kupił jej w sklepie papierniczym przy Columbus Avenue, pisała opowiadania i teksty piosenek. Ze cztery tysiące ławek w Central Parku zostało dzięki datkom pieniężnym „adoptowanych”. Umieszczono na nich spersonalizowane plakietki, przeważnie prostej treści, jak na tej, którą zajmował Simon:

Na pamiątkę Carla i Corky.

Inne, które wybierała Paige, opowiadały historie:

Dla C & B – którzy ocaleli z Holokaustu i w tym mieście zaczęli życie od nowa...

Mojej najdroższej Anne – Kocham Cię, uwielbiam, szanuję. Czy wyjdiesz za mnie?

Tu zaczęła się nasza miłość, 12 kwietnia 1942 roku...

Ulubiona ławka Paige, ta, na której przesiadywała godzinami ze swoim ostatnim notesem – może to już o czymś świadczyło? – upamiętniała tajemniczy dramat:

*Piękna Meryl, 19 lat. Zasługiwałaś na znacznie więcej, a zmarłaś tak młodo.
Uczyniłbym wszystko, aby Cię uratować.*

Paige chodziła od ławki do ławki, czytała tabliczki i wybierała jedną z nich jako początek opowieści. Simon solidarnie próbował podobnie, ale nie miał takiej wyobraźni jak córka. Gdy więc Paige obok szybko pisała, siedział z gazetą czy zaglądał do smartfona, żeby sprawdzić notowania giełdowe albo przeczytać wiadomości biznesowe.

Gdzie podziały się te stare notatniki? Co się z nimi stało?

Nie miał pojęcia.

Penny Lane wreszcie dobiegła końca i w następnej kolejności wykonawczynie zaintonowała *All You Need Is Love*. Na ławce obok Simona przysiadła para młodych ludzi. Chłopak zapytał scenicznym szeptem:

– Mam jej coś rzucić, żeby przestała?

Jego towarzyszka zarechotała.

– To tak, jakby mordować Lennona kolejny raz – odparła.

Parę osób wrzuciło dziewczynie do futerału kilka centów, ale ludzie w większości trzymali się od niej z daleka albo cofali się, krzywiąc twarze, jakby zetknęli się z czymś, z czym nie chcieli mieć do czynienia.

Ale Simon jej słuchał, i to uważnie, licząc, że dostrzeże w granej przez nią piosence, melodii, słowach, interpretacji coś ładnego. Ledwie zwrócił uwagę na turystów, ich przewodnika, mężczyznę bez koszuli – niestety – sprzedającego butelkę wody po dolarze, chudego faceta z bródką, który również za dolara opowiadał dowcipy (PROMOCJA: SZEŚĆ DOWCIPÓW ZA PIĘĆ DOLCÓW!), starą Azjatkę zapalającą kadzidełko dla Johna Lennona, ludzi uprawiających jogging, wyprowadzających psy, opalających się.

W muzyce nie było jednak nic ładnego. Zupełnie nic.

Simon wpatrywał się w nędzarkę zarzynającą twórczość Johna Lennona. Włosy miała potargane i matowe. Policzki zapadnięte. Przerażliwie chuda, wynędzniała, brudna i zagubiona, sprawiała wrażenie obłąkanej.

To była jego córka, Paige.

• • •

Simon nie widział jej od sześciu miesięcy, odkąd postąpiła niewybaczalnie.

Dla Ingrid to przesądziło sprawę.

– Tym razem zostaw ją w spokoju – powiedziała mu po ucieczce Paige.

– To znaczy?

I ta wspaniała matka, oddana lekarka pediatra, która poświęciła życie, żeby pomagać dzieciom w potrzebie, oświadczyła:

– Nie chcę jej więcej widzieć w tym domu.

– Nie mówisz poważnie.

– Owszem, Simon. Niech mi Bóg wybaczy.

Bez wiedzy Ingrid szukał córki miesiącami. Czasami jego wysiłki były racjonalne, jak wtedy, kiedy wynajął prywatnego detektywa. Częściej wynikały z desperacji, miały przypadkowy charakter, gdy chodził po niebezpiecznych dzielnicach i pokazywał zdjęcie Paige różnym podejrzanym typom i ćpunom.

Bez rezultatu.

Zastanawiał się, czy Paige, która niedawno miała urodziny (ciekawe, jak je obchodziła... urządzając imprezę, z tortem, a może biorąc narkotyki...? I czy w ogóle wiedziała, co to za dzień?), opuściła Manhattan i wróciła do miasteczka uniwersyteckiego, gdzie zaczęła się staczać. W dwa weekendy, gdy Ingrid miała dyżur w szpitalu i nie mogła zadawać zbyt wielu pytań, pojechał tam i zatrzymał się w Craftboro Inn niedaleko uczelnianego kampusu. Obszedł go,

przypominając sobie, jak entuzjastycznie cała ich piątka – on, Ingrid, sama Paige, Sam i Anya – oglądała wszystko, jak razem pomagała przyszłej studentce się zainstalować, jak oboje z Ingrid oceniali optymistycznie, że to miejsce, z tą otwartą, pełną zieleni przestrzenią i lasami, stanowi doskonały wybór dla ich córki, wychowanej na Manhattanie, i – oczywiście – jak ten optymizm z czasem słabł i wreszcie zniknął.

Jakiś wewnętrzny głos – którego nie zamierzał słuchać i do którego nawet się nie przyznawał – nakazywał mu zrezygnować z tych poszukiwań. Od ucieczki Paige życie, jeśli się nie poprawiło, to z pewnością stało się spokojniejsze. Sam, który wiosną ukończył Horace Mann, prawie już nie wspominał o siostrze. Skupił się na kolegach, egzaminach końcowych, imprezach – i teraz myślał już tylko o przygotowaniach do pierwszego roku w Amherst College. Anya, cóż, Simon nie bardzo wiedział, jak ona do tego podchodzi. Nie mówiła przy nim o Paige – ani specjalnie o niczym innym. Na jego próby nawiązania rozmowy odpowiadała krótko, jednym słowem. Miała się „dobrze”, wszystko było u niej „nie najgorzej” albo „w porządku”.

I wtedy Simon trafił na dziwny trop.

Któregoś ranka przed trzema tygodniami dosiadł się do niego w windzie sąsiad z góry, Charlie Crowley, okulista praktykujący w centrum. Gdy już wymienili uprzejmości, Charlie, jak wszyscy spoglądając na drzwi i obserwując, jak winda pokonuje w dół kolejne piętra, nieśmiało i z autentycznym żalem wspominał, że „chyba” widział Paige.

Simon, który także patrzył na zmieniające się numery pięter, z największą nonszalancją, na jaką tylko było go stać, poprosił o szczegóły.

– Spotkałem ją w parku, jeśli to była ona – wyjaśnił Charlie.

– Jak to? Szła przez park?

– Niezupełnie. – Zjechali już na parter. Drzwi się rozsunęły. Sąsiad wziął głęboki oddech. – Paige... grała piosenki na Strawberry Fields.

Musiał zauważyć zdumienie na twarzy Simona.

– No, wiesz, żeby zarobić.

Simon miał wrażenie, że coś w nim pęka.

– Żeby zarobić? Jak jakaś...

– Chciałem dać jej pieniądze, ale...

Zależało mu na tym, żeby Charlie kontynuował, więc skinął głową na znak, że wszystko w porządku.

– ...ale ona nawet mnie nie poznała. Przestraszyłem się, że tylko poszłyby na...

Nie musiał kończyć.

– Przykro mi, Simon. Naprawdę.

A więc tak się rzeczy miały.

Simon zastanawiał się, czy powiedzieć o tej rozmowie Ingrid, ale wolał nie ryzykować. Zaczął natomiast w wolnym czasie spacerować po Strawberry Fields.

Nigdy jednak nie spotkał Paige.

Pytał kilku bezdomnych, którzy grali tam na gitarze, czy ją znają. Wrzucał im po parę banknotów do futerału, a potem pokazywał jej zdjęcie w telefonie. Niektórzy odpowiedzieli, że tak, znają i zdradzą więcej szczegółów, jeśli Simon da więcej. Robił to skwapliwie, ale niczego konkretnego się nie dowiedział. Większość twierdziła, że jej nie rozpoznaje, i teraz, gdy zobaczył Paige na własne oczy, wreszcie zrozumiał przyczynę. Między jego śliczną kiedyś córką a tym workiem kości nie było prawie żadnego fizycznego podobieństwa.

Gdy jednak tak siedział na Strawberry Fields – zwykle przed niemal śmieszną tabliczką, informującą

STREFA CISZY – ZAKAZ GRY NA INSTRUMENTACH MUZYCZNYCH I HAŁASOWANIA

– zauważył coś dziwnego. Muzycy, wszyscy wyglądający na brudnych i bezdomnych, nigdy nie grali w tym samym czasie, nie przeszkadzali sobie wzajemnie. Przejście między jednym a drugim grajkiem ulicznym dokonywało się niemal niezauważalnie. Zmieniali się niezwykle sprawnie i gładko, prawie co godzinę, w pewnym porządku.

Jakby według jakiegoś harmonogramu.

Wtedy poznał faceta o imieniu Dave, jednego z bardziej zaniedbanych muzyków, z szopą siwych włosów, pozaplatanym i spiętym gumkami zarostem oraz warkoczem sięgającym aż do krzyża. Kosztowało go to pięćdziesiąt dolarów. Dave, który wyglądał albo na steranego życiem pięćdziesięciokilkulatka, albo na dobrze zakonserwowanego siedemdziesięciolatka, wytłumaczył mu, jak to działa.

– Kiedyś gość, który nazywa się Gary dos Santos... Znasz go?

– Coś słyszałem – odparł Simon.

– No właśnie. Gdybyś przyszedł tu w ciągu dnia, facet, tobyś go sobie przypomniał. Gary był samozwańczym burmistrzem Strawberry Fields. Potężny chłop. Przez jakieś dwadzieścia lat pilnował w okolicy porządku. To znaczy... uczył moresu. To był czubek, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Simon kiwnął głową.

– I nagle, chyba w dwa tysiące trzynastym, jest po Garym. Białaczka. Nie miał jeszcze pięćdziesiątki. I wszędzie tu – Dave wskazał dookoła dłońmi w rękawiczkach bez palców – zapanowało szaleństwo. Totalna anarchia, i to bez tych naszych faszystów. Czytałeś Machiavellego? Coś w tym guście. Muzycy zaczęli codziennie wdawać się w bójki. Chodziło o terytorium, kapujesz?

– Kapuję.

– Próbowali sami zaprowadzić porządek, ale daj spokój... połowa tych gości ledwie umie się samodzielnie ubrać. Jeden dupek grał za długo, drugi wchodził mu w paradę, zaczynali się drzeć, wyzywać wzajemnie, nawet przy małych dzieciach. Czasami dawali sobie po mordzie, a wtedy zjawiały się gliny, kapujesz, no nie?

Simon ponownie skinął głową.

– To źle wpływało na nasz wizerunek, nie mówiąc już o kasie. Więc wymyśliliśmy rozwiązanie.

– Jakie?

– Grafik. Zmiana co godzinę, od dziesiątej rano do siódmej wieczorem.

– Naprawdę?

– Aha.

– I to działa?

– Nie zawsze idealnie, ale prawie.

Interes ekonomiczny, pomyślał Simon, analityk finansowy. Jedna ze stałych w życiu.

– Jak się dostać do tego grafiku?

– Esemesowo. Mamy pięcioro stałych wykonawców. Tym przyznaje się najlepsze pory. Pozostali mogą występować wcześniej albo później.

– I to ty prowadzisz grafik?

– Ja. – Dave z dumą wypiął pierś. – Znam się na rzeczy, kapujesz? Na przykład nigdy nie wstawiam Hala ani za Julesem, ani przed nim, bo jeden

drugiego nie znosi bardziej niż moje były mnie. Staram się też wprowadzać tę, no, dywersyfikację.

– Dywersyfikację?

– Czarni, laski, Latynosi, cioty, nawet para żółtków. – Rozłożył ręce. – Nie chcemy, aby wszyscy myśleli, że obiboki to tylko biali faceci. To szkodliwy stereotyp, kapujesz?

Simon kapował. Pokapował się także, że jeśli wręczy Dave’owi po połówce dwóch rozerwanych studolarówek i obieca, że w zamian za informację, na kiedy zapisana jest Paige, da mu brakujące części banknotów, pewnie coś uzyska.

Tego ranka dostał od Dave’a esemesa:

Dziś o jedenastej. Nie wiesz tego ode mnie. Nie jestem kapusiem.

I następnego:

Ale przynieś forszę o dziesiątej. O jedenastej mam jogę.

I oto był na miejscu.

Siedział naprzeciwko Paige i zastanawiał się, czy córka go rozpozna, a jeśli tak, czy wtedy ucieknie. Nie był pewny. Uznał, że najlepiej będzie pozwolić jej dokończyć, spakować gitarę i napiwki i dopiero wówczas do niej podejść.

Spojrzał na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt osiem. Jej godzina dobiegała końca.

Simon przećwiczył w głowie wszystkie teksty. Zadzwoił już do kliniki na północy stanu i zarezerwował pokój dla Paige. Plan był taki: mówić cokolwiek, zgadzać się na wszystko, ustępować, błagać, uciec się do wszelkich możliwych sposobów, żeby tylko zabrać ją ze sobą.

Od wschodniej strony nadszedł następny muzyk uliczny w spranych dżinsach i podartej flanelowej koszuli. Usiadł obok Paige. Gitarę trzymał w czarnej plastikowej torbie na śmieci. Klepnął Paige w kolano i wskazał wyimaginowany zegarek na ręce. Paige kiwnęła głową, dokończyła *I Am the Walrus* przeciągłym *goo goo g’joob*, podniosła ręce i zawołała „Dziękuję!” do tłumu, który nie dość, że nie klaskał, to jeszcze w ogóle jej nie słuchał. Zebrała

kilka żalonych pogniecionych singli i monet, a potem zaskakująco starannie schowała gitarę do futerału. To zwykle spakowanie instrumentu zrobiło na Simonie duże wrażenie. On jej go kupił, Takamine G-Series, na szesnaste urodziny, w Sam Ash przy Zachodniej Czterdziestej Ósmej. Usiłował przywołać tamto wspomnienie – uśmiech Paige, kiedy zdjęła gitarę ze ściany, to, jak przymknęła oczy, gdy ją testowała, jak zarzuciła mu ręce na szyję i zawołała „Dziękuję, dziękuję, dziękuję!”, kiedy jej powiedział, że to prezent.

Towarzyszące temu uczucia, nawet jeśli były realne, nie chciały jednak powrócić.

Straszna prawda była taka: Simon nie widział w tej ćpunce swojej dziewczynki.

Przez minioną godzinę próbował zobaczyć. Spróbował i teraz – spojrzeć na nią i znowu ujrzeć tamtego aniołka, którego zawoził na basen przy Dziewięćdziesiątej Drugiej Y, małą dziewczynkę, która siedziała na hamaku w Hamptons, podczas gdy on czytał jej *Harry’ego Pottera*, jeden i drugi tom w trzydniowy weekend w Święto Pracy, i która koniecznie chciała przebrać się za Statuę Wolności i włożyć dwie zielone maski już na dwa tygodnie przed Halloween, ale – być może był to mechanizm obronny – żaden z tych obrazów się nie pojawiał.

Paige z trudem wstała.

Przyszła pora na jego ruch.

Simon po drugiej stronie mozaiki też wstał. Serce tłukło mu się pod żebrami. Czuł narastający ból głowy, jakby dwie gigantyczne ręce naciskały mu na skronie. Spojrzał w lewo, potem w prawo.

Rozglądając się za jej ewentualnym chłopakiem.

Nie potrafił powiedzieć, jak to wszystko się potoczyło, jednak za nieszczęście, które spotkało córkę, a co za tym idzie, całą rodzinę, winił właśnie jego. Tak, czytał wszędzie, że odpowiedzialność za swoje działania narkoman musi wziąć na siebie, że sam jest sobie winien, wyłącznie. I że większość z nich – a co za tym idzie, także ich rodzin – ma do powiedzenia coś na swoją obronę. Może uzależnienie zaczęło się od środków przeciwbólowych po operacji. Może jest skutkiem presji ze strony rówieśników albo eksperymentów, które jakoś przeszły w coś poważniejszego.

Zawsze jest jakaś wymówka.

Jednak w przypadku Paige – nazwijcie to słabością charakteru, niedostateczną opieką rodzicielską czy czymkolwiek – wszystko wydawało się o wiele prostsze.

Była Paige przed poznaniem Aarona. I jest Paige obecna.

Aaron Corval to mąż – zwykły mąż – a kiedy mąż zetknie się z czymś czystym, wtedy to czyste zostaje skalane na zawsze. Simon nie mógł zrozumieć. Aaron miał trzydzieści dwa lata, był jedenaście lat starszy od Paige. Kiedyś, w bardziej niewinnych czasach, ta różnica wieku go niepokoiła. Ingrid przeszła nad nią do porządku, bo nawykła do takich rzeczy, gdy pracowała jako modelka. Teraz, oczywiście, stanowiło to najmniejszy problem.

Aaron nie pojawił się jednak w polu widzenia.

Simon poczuł pewną nadzieję. Czyżby facet zniknął ze sceny? Czyżby ta zaraza, ten rak, ten pasożyt, który żerował na jego córce, wreszcie się napasał i zmienił żywiciela na zdrowszego?

Byłoby dobrze, bez wątpienia.

Paige, powłócząc nogami jak zombie, skierowała się na wschód, w stronę ścieżki biegnącej przez park. Simon ruszył do akcji.

A co będzie, zastanawiał się, jeśli córka nie zechce z nim pójść? Było to nie tylko możliwe, ale też wręcz prawdopodobne. Simon już nieraz próbował jej pomóc, bezskutecznie. Nie mógł jej do niczego zmusić. Zdawał sobie z tego sprawę. Usiłował nawet namówić Roberta Previdiego, swojego szwagra, żeby wydał dla niej sądowy nakaz przymusowego leczenia. To także nic nie dało.

Tymczasem szedł za córką. Sukienka na ramiączkach luźno zwisała jej z ramion. Na plecach widniały brązowe plamy (od słońca? jakiejś choroby? przemocy?), skazy na nieskazitelnej niegdyś skórze.

– Paige?

Nie odwróciła się, nawet się nie zawahała, i na krótką chwilę Simon doznał złudzenia, że się pomylił, tak samo jak Charlie Crowley, że ten brudny, cuchnący worek kości o zachrypniętym głosie to nie jego pierworodna, nie jego Paige, nie ta nastolatka, która pachnąca brzoskwiniami i młodością, grała Hodel w *Skrzypku na dachu* wystawianym przez Abernathy Academy i zdobyła serca publiczności swoim wykonaniem *Far from the Home I Love*. Simon nie przebrnął przez ani jeden z jej pięciu występów bez łez w oczach; niemal płakał, kiedy jej Hodel zwracała się do Tewjego i mówiła: „Papa, Bóg jeden wie,

kiedy się znowu zobaczymy”, na co jej sceniczny ojciec odpowiadał: „Więc zostawmy to w Jego rękach”.

Odchrząknął i zbliżył się do niej.

– Paige?

Zwolniła, ale nadal się nie odwracała. Simon wyciągnął drżącą rękę. Wciąż miał przed sobą plecy dziewczyny. Położył rękę na jej ramieniu i poczuł tylko kość, pokrytą pergaminową skórą. Spróbował jeszcze raz.

– Paige.

Wreszcie się zatrzymała.

– Paige, to ja, tata.

Tata. Kiedy ostatnio tak go nazwała? Był dla niej tatą, jak dla pozostałych dwojga dzieci, odkąd tylko pamiętała, a jednak to słowo ledwie przeszło mu przez gardło. Słyszał swój łamiący się głos, brzmiałą w nim prośbę.

Dziewczyna i tym razem się nie odwróciła.

– Proszę, Paige.

A potem zaczęła uciekać.

To go zaskoczyło. Była już trzy kroki przed nim, gdy zareagował. Ostatnio doszedł do całkiem niezłej formy. Niedaleko biura miał siłownię i po traumie wywołanej stratą córki – bo tak to traktował, jak stratę – zaczął podczas przerwy na lunch obsesyjnie uczęszczać na zajęcia kardio i boksu.

Rzucił się do biegu i szybko dogonił dziewczynę. Złapał ją za chude ramię, cienkie jak trzcina – zdołał objąć wiotki biceps palcem wskazującym i kciukiem – i pociągnął. Może zrobił to za mocno, ale wszystko – skok, wyciągnięcie ręki – było działaniem instynktownym.

Paige próbowała się wyrwać. Zrobił, co konieczne, żeby ją zatrzymać.

– Au! – krzyknęła. – Puść mnie!

Wokół znajdowało się mnóstwo ludzi i niektórzy, Simon był pewny, odwrócili się, słysząc jej krzyk. Nie przejął się tym, tylko z jeszcze większą determinacją realizował swój zamiar. Musiał działać szybko, zabrać stąd Paige, zanim jakiś dobry samarytanin wkroczy do akcji, żeby ją „ratować”.

– Kochanie, to ja, tatuś. Chodź ze mną, dobrze?

Wciąż miał przed sobą jej plecy. Odwrócił ją, ale ona zasłoniła łokciem oczy, jakby zaświecił jej w twarz latarką.

– Paige? Paige, proszę, spójrz na mnie.

Najpierw zeszywniała, a potem nagle jakby się odprężyła. Opuściła rękę i powoli podniosła na niego wzrok. Znowu przepełniła go nadzieja. Owszem, miała zapadnięte oczy o pożółkłych białkach, ale po raz pierwszy odniósł wrażenie, że dostrzegł w nich iskierkę życia.

I po raz pierwszy zobaczył przed sobą dziewczynkę, którą znał.

Kiedy Paige się odezwała, wreszcie też usłyszał echo swojej córki.

– Tata?

Kiwnął głową. Otworzył usta i je zamknął, bo czuł się zbyt przytłoczony. Spróbował jeszcze raz.

– Jestem tu, żeby ci pomóc, Paige.

Rozpłakała się.

– Tak mi przykro.

– W porządku – odparł. – Wszystko będzie dobrze.

Wyciągnął ręce, żeby objąć córkę i zapewnić jej bezpieczeństwo, kiedy przez zgiełk w parku przebił się jak kosa żniwiarza inny głos.

– Co, do jasnej cholery...?!

Simonowi zamarło serce. Spojrzał w prawo.

Aaron.

Na dźwięk jego głosu Paige wyrwała się z objęć Simona. Próbował ją przytrzymać, ale opuściła rękę. Gitara w futerale uderzyła ją w udo.

– Paige... – zaczął Simon.

Jeżeli przed kilkoma sekundami jej oczy miały jakiś przytomny wyraz, to teraz nie było po nim śladu.

– Zostaw mnie w spokoju! – zawołała.

– Paige, proszę cię...

Zaczęła się cofać. Simon ponownie wyciągnął rękę, jak spadający w przepaść desperat, który próbuje złapać się gałęzi, ale Paige wrzasnęła przeraźliwie.

W ich stronę odwróciły się głowy. Było ich wiele.

Simon nie dawał za wygraną.

– Błagam, posłuchaj mnie tylko...

I wtedy wkroczył pomiędzy nich Aaron.

Dwaj mężczyźni, on i Simon, stanęli naprzeciwko siebie twarzą w twarz. Paige schowała się za Aaronem. Ten wyglądał na wycieńczonego, na brudnym białym T-shircie miał dzinsową kurtkę – ostatni krzyk mody w stylu *heroin chic*, z tym że żadnego szyku w tym nie było. Nosił na szyi za dużo łańcuchów, jego

kilkudniowy zarost, który miał przydawać mu stylu, był nijaki, a ciężkie robocze buciory wyglądały na nim śmiesznie, jak na każdym, kto nie przepracował uczciwie ani jednego dnia w życiu.

– Spokojnie, Paige – rzucił chrapliwie, wciąż patrząc Simonowi w oczy. – Idziemy, kotku.

Simon pokręcił głową.

– Nie, tylko nie...

Ale Paige wyrwała mu się, opierając dla równowagi dłoń na plecach Aarona, i odbiegła ścieżką.

– Paige?! – zawołał za nią. – Zaczekaj! Proszę...

Była coraz dalej. Chciał ruszyć za nią, ale Aaron zagroził mu drogę.

– Ona jest dorosła – warknął. – Nie ma pan prawa...

W tym momencie Simon podniósł pięść i uderzył go prosto w twarz.

Poczuł pod knykциями miękki nos i usłyszał trzask, jakby ciężki but nastąpił na ptasie gniazdo. Pocięła krew.

Aaron upadł.

Wtedy właśnie zaczęło krzyczeć tamtych dwoje turystów z Finlandii.

Simon nie zwracał na to uwagi. Wciąż widział przed sobą Paige, która skręciła w lewo, zbiegła z chodnika i wpadła między drzewa.

– Paige, czekaj!

Przeskoczył powalonego mężczyznę i miał pobiec za córką, gdy leżący na ziemi Aaron złapał go za nogę. Simon usiłował się uwolnić, ale widział już zbliżających się ludzi – dezorientowanych, choć o dobrych intencjach. Było ich zbyt wielu, a niektórzy przekłętymi telefonami nagrywali scenę rozgrywającą się przed nimi.

Wszyscy krzyczeli i nakazywali mu się zatrzymać.

Simon oswobodził nogę. Pośpiesznie ruszył ścieżką, kierując się za Paige.

Było jednak za późno. Został otoczony przez tłum.

Ktoś próbował go obezwładnić. Simon zamachnął się na niego łokciem. Facet jęknął i cofnął się o krok. Inny dwiema rękami chwycił Simona wpół. Ten zdjął je z siebie, jakby rozpinał pas, i wrywając się rzekomym obrońcom, usiłował pobiec za córką.

Ale było zbyt tłoczno.

– Moja córka! – zawołał. – Proszę... zatrzymajcie ją...

W tym zamieszaniu nikt go jednak nie słyszał, a może po prostu nie chciał słuchać szaleńca, którego należy unieszkodliwić.

Rzucił się na niego kolejny turysta. I jeszcze jeden.

Przewracając się w końcu, Simon spojrział jeszcze w dal i zobaczył, że córka wróciła na ścieżkę. Upadł ciężko. A gdy usiłował się podnieść, spadły na niego ciosy. Wiele ciosów. W efekcie miał złamane trzy żebra i dwa palce. Doznał wstrząsu mózgu i wymagał założenia dwudziestu dwóch szwów.

Nie czuł jednak nic poza bólem pękającego serca.

Przygniotło go następne ciało. Słyszał krzyki i wrzaski, potem znalazł się w otoczeniu policjantów, którzy przewrócili go na brzuch i zakuli w kajdanki. Jeden z nich wbił mu kolano w plecy. Simon uniósł głowę ostatni raz i dostrzegł córkę przyglądającą się temu zza drzewa.

– Paige!

Ale nie podeszła. Uciekła i Simon ponownie uświadomił sobie, że ją zawiódł.

Rozdział 2

Gliniarze na jakiś czas zostawili go leżącego twarzą w dół na asfalcie, z dłońmi skutymi na plecach. Potem czarnoskóra policjantka o nazwisku Hayes, jak wyczytał z plakietki, pochyliła się nad nim, spokojnie poinformowała go, że jest zatrzymany, i zaczęła recytować mu jego prawa. Simon miotał się i krzyczał, błagając, żeby ktoś, ktokolwiek, zatrzymał jego córkę. Hayes jednak nie przerywała recytacji.

Wreszcie skończyła, wyprostowała się i odwróciła. Simon znowu gorączkowo zaczął mówić o córce. Nikt go jednak nie słuchał, być może dlatego, że zachowywał się jak obłąkany. Usiłował więc się uspokoić i przybrać łagodniejszy ton.

– Panie władzo? Pani władzo? Proszę państwa?

Nadal wszyscy go ignorowali i tylko spisywali zeznania świadków. Kilku turystów pokazywało nagrania z całego zajścia, które – jak sobie wyobrażał – nie stawiały go w najlepszym świetle.

– To była moja córka – spróbował ponownie. – Chciałem ją ratować. Została przez niego porwana.

To ostatnie stwierdzenie mijало się z prawdą, ale chciał wywołać jakąś reakcję. Daremnie.

Rozglądając się za Aaronem, odwrócił głowę w lewo, a potem w prawo. Ale facet zniknął.

– Gdzie on jest?! – wykrzyknął, znowu jak czubek.

Hayes wreszcie na niego spojrzała.

– Kto?

– Aaron.

Nic.

– No, ten, którego uderzyłem. Gdzie się podział?

Brak odpowiedzi.

Poziom adrenalinę w jego krwi zaczął opadać i ciało powoli ogarnęła fala bólu wywołującego mdłości. W końcu – nie miał pojęcia, po jakim czasie – Hayes i wysoki biały gliniarz o nazwisku White, jak wynikało z plakietki, podnieśli go, zawlekli do radiowozu i wsadzili na tylne siedzenie. Potem White usiadł za kierownicą, a Hayes zajęła miejsce obok niego. Policjantka, z jego portfelem w dłoni, odwróciła się i zapytała:

– To co się stało, panie Greene?

– Rozmawiałem z córką. Wkroczył między nas jej chłopak. Próbowałem go obejść...

Urwał.

– I? – ponagliła go Hayes.

– Zatrzymaliście go? Pomożecie mi odnaleźć córkę?

– I? – powtórzyła pytanie policjantka.

Simon był oszalały, ale nie szalony.

– Doszło do sprzeczki.

– Sprzeczki.

– Tak.

– Może ją nam pan zrelacjonować?

– Co takiego?

– Tę sprzeczkę.

– Najpierw proszę mi powiedzieć, co z moją córką – zdobył się na jeszcze jedną próbę. – Paige Greene. Facet, który według mnie przetrzymuje ją wbrew woli, nazywa się Aaron Corval. Usiłowałem pomóc...

– Hm – mruknęła Hayes. – I dlatego uderzył pan bezdomnego?

– Uderzyłem... – Simon nie dokończył. Wiedział swoje.

– No więc uderzył pan...? – podjęła Hayes.

Nie odpowiedział.

– Tak myślałam – skomentowała. – Wszędzie ma pan krew. Nawet na swoim eleganckim krawacie. Od Hermèsa?

Rzeczywiście, od Hermèsa. Simon jednak nie kontynuował. Koszulę wciąż miał zapiętą pod szyję, a krawat zawiązany po windsorsku.

– Gdzie moja córka?

– A skąd mam wiedzieć? – rzuciła Hayes.

– To nie powiem nic więcej, dopóki nie porozumiem się ze swoim adwokatem.

– Jak pan sobie życzy.

Odwróciła głowę i więcej się nie odzywała. Zawieźli Simona na pogotowie w Mount Sinai West przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy niedaleko Dziesiątej Alei, gdzie natychmiast zabrano go na prześwietlenie. Lekarz w turbanie, z wyglądu zbyt młody, żeby wpuszczano go na filmy od siedemnastego roku życia, unieruchomił mu palce i zaszył rany na głowie. Jak wyjaśnił, na złamane żebra niewiele można było zaradzić poza „ograniczeniem aktywności ruchowej przez jakieś sześć tygodni”.

Reszta przypominała surrealistyczny koszmar: jazda na posterunek przy Setnej Ulicy, zdjęcia policyjne, odciski palców, cela. Dali mu telefon komórkowy, jak na filmach. Simon zamierzał zadzwonić do Ingrid, ale po namyśle postanowił skontaktować się ze szwagrem, jednym z najlepszych prawników na Manhattanie.

– Zaraz kogoś do ciebie przyślę – oznajmił Robert.

– Ty sam się tym nie zajmiesz?

– Prawo kryminalne to nie moja działka.

– Naprawdę sądzisz, że potrzebuję prawnika od spraw kryminalnych...?

– Owszem, sądzę. Poza tym jestem z Yvonne w domku na plaży. Za długo bym jechał. Czekać spokojnie.

Pół godziny później przywitała się z nim zdecydowanym uściskiem dłoni drobna kobieta po siedemdziesiątce z posiwiałymi blond włosami i ogniem w oczach.

– Hester Crimstein – przedstawiła się. – Przysłał mnie Robert.

– Simon Greene.

– Hm, jestem renomowaną prawniczką, więc się domyśliłam. A teraz niech pan powtórzy za mną, panie Greene: „Jestem niewinny”.

– Słucham?

– Proszę powtórzyć.

– Jestem niewinny.

– Doskonale, dobra robota, wycisnął mi pan łzy z oczu. – Hester Crimstein nachyliła się ku niemu. – Tylko to wolno panu mówić... i tylko wtedy wypowie pan te słowa, kiedy sąd udzieli panu głosu. Rozumiemy się?

– Rozumiemy.

– Czy to wymaga przećwiczenia na sucho?

– Nie, chyba nie.

– Pojętny chłopiec.

Kiedy wkroczyli na salę sądową i prawniczka oznajmiła: „Hester Crimstein z ramienia obrony”, rozległ się szmer. Sędzia spojrzał na nią uważnie i uniósł brew.

– Pani mecenas, co za zaszczyt. Co sprowadza panią na moją skromną salę sądową?

– Jestem tu, żeby zapobiec poważnej pomyłce wymiaru sprawiedliwości.

– Na pewno. – Sędzia złożył dłonie i przywołał uśmiech na twarz. – Miło cię znowu widzieć, Hester.

– Nie mówisz poważnie.

– Rzeczywiście – potwierdził sędzia. – Bynajmniej.

To wyraźnie zadowoliło Hester.

– Dobrze wyglądasz, Wysoki Sądzie. Do twarzy ci w czarnej todze.

– Co, w tej starej szmacie?

– Wyszczupła cię.

– No nie? – Sędzia się wyprostował. – Co ma do powiedzenia oskarżony?

Hester spojrzała na Simona znacząco.

– Jestem niewinny.

Prawniczka z aprobatą skinęła głową. Prokurator zażądał pięciu tysięcy dolarów kaucji. Hester nie zakwestionowała tej kwoty. Kiedy przebrnęli przez procedury sądowe, załatwili sprawy papierkowe i mogli wyjść, Simon ruszył do wyjścia od frontu, a wtedy Hester położyła mu dłoń na przedramieniu.

– Nie tędy.

– Dlaczego nie?

– Będą już czekać.

– Kto taki?

Wezwała windę, zerknęła na światelka nad drzwiami i rzuciła:

– Chodź za mną.

Znaleźli się na schodach, którymi zeszli dwa piętra. Hester skierowała się na tył budynku. Wyjęła telefon komórkowy.

– Jesteś w Eggloo na Mulberry, Tim? Dobra. Za pięć minut.

– Co się dzieje? – zapytał Simon.

– Dziwne.

– Co dziwne?

– Odzywasz się, chociaż ci mówiłam, żebyś milczał – wyjaśniła.

Ruszyli w dół ciemnym korytarzem, Hester szła pierwsza. Skręciła w prawo i znowu w prawo. Wreszcie dotarli do wyjścia dla pracowników. Wchodzący i wychodzący pokazywali ochronie przepustki, Hester jednak podeszła prosto do drzwi.

– Nie może pani tak po prostu wyjść – zwrócił się do niej wartownik.

– Niech nas pan aresztuje.

Chwilę później byli na zewnątrz. Przeszli przez Baxter Street, przecięli zielone tereny Columbus Park, minęli trzy boiska do siatkówki i znaleźli się na Mulberry Street.

– Lubisz lody? – zagadnęła Hester.

Simon nie odpowiedział. Wskazał swoje zamknięte usta.

Hester westchnęła.

– Możesz mówić.

– Hm.

– W Eggloo mają kanapki lodowe, za które warto oddać życie. Poleciałam kierowcy kupić dla nas dwie na drogę.

Przed kawiarnią czekał czarny mercedes. Kierowca trzymał kanapki lodowe. Jedną podał Hester.

– Dzięki, Tim. Simon?

Odmówił. Prawniczka wzruszyła ramionami.

– Częstuj się, Tim.

Ugryzła kęs swojej i zręcznie wsiadła na tylne siedzenie samochodu. Simon usadowił się obok niej.

– Moja córka... – zaczął.

– Policja jej nie odnalazła.

– A co z Aaronem Corvalem?

– Z kim?

– Tym facetem, którego uderzyłem.

– Hola, hola, to nie pora na żarty. Chcesz powiedzieć: „Którego rzekomo uderzyłem”.

– Wszystko jedno.

– Żadne „wszystko jedno”. Nawet w rozmowie prywatnej.

– W porządku, zrozumiałem. Czy wiesz, gdzie...

– On także się oddalił.

– Jak to „się oddalił”?

– Co jest niejasnego w tym określeniu? Uciekł, zanim spisała go policja. Dla ciebie to dobrze. Nie ma ofiary, nie ma przestępstwa. – Odgryzła kolejny kęs lodowej kanapki i wytarła kącik ust. – Sprawa zostanie szybko umorzona, ale... Posłuchaj, mam znajomą. Nazywa się Mariquita Blumberg. To prawdziwa suka... nie taka słodka jak ja. Ale to najlepsza prawniczka w tym mieście. Zwerbujemy ją do twojej kampanii piarowej.

Kierowca uruchomił silnik. Mercedes ruszył na północ i skręcił w Bayard Street.

– Kampanii piarowej? A po co mi...?

– Zaraz ci wytłumaczę, ale na razie skupmy się na jednym. Opowiedz mi, co się stało. Wszystko po kolei. Od początku do końca.

Opowiedział. Hester zwróciła ku niemu swoje drobne ciało. Należała do osób, które wynoszą umiejętność słuchania do poziomu sztuki. Poświęciła mu całą swoją uwagę. Jej wzrok był jak laser skierowany wprost na niego. Skupiała się na każdym jego słowie z tak silną empatią, że wręcz namacalną.

– Ojej, tak mi przykro – oświadczyła, kiedy skończył. – To naprawdę okropne.

– Więc rozumiesz.

– O tak.

– Muszę odnaleźć Paige. Albo Aarona.

– Jeszcze zapytam policję, ale jak powiedziałam, zdaje się, że oboje zbiegli.

Kolejna ślepa uliczka. Simon znowu zaczął odczuwać ból w całym ciele. Wszystkie mechanizmy obronne, substancje chemiczne, które jeśli nie blokują bólu, to przynajmniej go tłumią, przestawały działać w szybkim tempie. Nie było lepiej, tylko gorzej.

– Więc po co mi ta kampania piarowa? – zapytał wreszcie.

Hester wyjęła telefon komórkowy i zaczęła stukać w wyświetlacz.

– Nie znoszę tego. Tyle informacji i tyle funkcji, a cholerstwo głównie rujnuje ci życie. Masz dzieci, prawda? No tak. Ile godzin dziennie zajmuje im... – Nie dokończyła. – Ale to nie pora na wykład. Zobacz.

Podawała mu komórkę.

Simon zorientował się, że znalazła film na YouTube, który miał dwieście osiemdziesiąt dziewięć wejść. Kiedy zobaczył zająwkę i przeczytał tytuł, zrobiło mu się słabo.

UPRZYWILEJOWANY BIJE BIEDAKA.
FINANSISTA Z WALL STREET ZNĘCA SIĘ NAD BEZDOMNYM.
DADDY WARBUCKS¹ ZAŁATWIA UBOGIEGO.
BROKER KONTRA WŁÓCZĘGA.
TEN, CO MA, TŁUCZE TEGO, CO NIE MA.

Zerknął na Hester, która współczująco wzruszyła ramionami. Wyciągnęła rękę i palcem wskazującym nacisnęła PLAY. Video zostało nakręcone przez kogoś o ksywie ZorraStiletto i przed dwoma godzinami zamieszczone w sieci. ZorraStiletto filmował trzy kobiety (żonę i dwie córki?), gdy jego uwagę przykuło jakieś zamieszanie. Obiektyw zwrócony w lewą stronę złapał ostrość na Simona (dlaczego, do cholery, nie przebrał się w coś innego albo chociaż nie poluzował krawata?) w chwili, gdy Paige próbowała mu się wyrwać i do akcji wkroczył Aaron. Oczywiście wyglądało to, jakby bogaty, uprzywilejowany facet w garniturze zaczepiał (albo jeszcze coś gorszego) znacznie młodszą kobietę, której na pomoc przyszedł bezdomny będący tego świadkiem.

Kiedy przestraszona dziewczyna schowała się za plecami wybawiciela, mężczyzna w garniturze zaczął się drzeć. Młoda kobieta odbiegła. Garniturowiec próbował odepchnąć bezdomnego i pójść za nią. Simon wiedział, co za chwilę zobaczy. Mimo to oglądał dalej, z szeroko otwartymi oczami, pełen nadziei, jakby istniała szansa, że garniturowiec nie okaże się takim kretynem, aby podnieść rękę i wałnąć bezdomnego prosto w twarz.

Tak się jednak nie stało.

Gdy biedny dobry samarytanin, kuląc się, upadł na ziemię, połała się krew. Nieprzejęty bogacz chciał nad nim przejść, ale ten złapał go za nogę. Kiedy interweniował Azjata w bejsbolówce – niewątpliwie następny dobry samarytanin – gość w garniturze zdzielił go łokciem w nos.

Simon zamknął oczy.

– O rany.

– No cóż...

Ponownie uniósł powieki, po czym zignorował kardynalną zasadę dotyczącą wszystkich artykułów i wideo w sieci: „Nigdy nie czytaj komentarzy”.

Bogatym zawsze się wydaje, że takie rzeczy ujdą im na sucho.

On chciał zgwałcić tę dziewczynę! Co za szczęście, że przeszkodził mu tamten dzielny człowiek.

Daddy Warbucks powinien dostać dożywocie. I kropka.

Założę się, że Richie Rich² się z tego wywinie. Gdyby był czarny, dostałby kulkę.

Facet, który uratował tę dziewczynę, jest prawdziwym bohaterem. A ten bogaty za przyzwoleniem burmistrza kupi sobie wolność.

– Są i dobre wiadomości – zauważyła Hester. – Masz kilku fanów. – Wzięła od niego telefon, przewinęła komentarze i wskazała parę z nich.

Ten bezdomny pewnie żyje z kartek żywnościowych. Gratulacje dla garniturowca, że robi porządki.

Gdyby ten śmierdzący nierób znalazł sobie pracę, zamiast żyć z zasiłku, toby nie oberwał.

Profilowe awatary jego „zwolenników” miały przy sobie albo orły, albo flagi amerykańskie.

– Super – rzucił Simon. – Mam wsparcie psycholi.

– Och, nie skreślaj ich. Kilku może zasiąść na ławie przysięgłych. Choć żadnej ławy nie będzie. Ani nawet procesu. Zrób coś dla mnie.

– Co?

– Kliknij ODŚWIEŻ – poprosiła Hester.

Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi, więc sięgnęła i sama nacisnęła strzałkę u góry ekranu. Wideo załadowało się ponownie. Hester wskazała liczbę wejść, która, jak się okazało, w ciągu ostatnich – ilu? – dwóch minut podskoczyła do czterystu pięćdziesięciu trzech tysięcy.

– Gratulacje – skomentowała prawniczka. – Twój występ stał się hitem w internecie.

Rozdział 3

Simon wyglądał przez okno, choć znajoma zieleń parku zacierała mu się przed oczami. Gdy kierowca skręcił z Central Park Zachodniej w lewo, w Zachodnią Sześćdziesiątą Siódmą, Hester mruknęła:

– Oho.

Simon się odwrócił.

Przed jego mieszkaniem parkowały w dwóch rzędach furgonetki serwisów informacyjnych. Za niebieskimi barierkami z napisem:

PIERŚCIEN POLICYJNY. NIE PRZEKRACZAĆ. POLICJA MIASTA NOWY JORK

stało ponad dwudziestu demonstrantów.

– Gdzie twoja żona? – zapytała Hester.

Ingrid... Zupełnie o niej zapomniał; nie pomyślał, jaka będzie jej reakcja na to wszystko. Jednocześnie uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, która godzina. Spojrzał na zegarek. Wpół do szóstej po południu.

– W pracy.

– Jest pediatrą, prawda?

Kiwnął głową.

– W NewYork-Presbyterian przy Sto Sześćdziesiątej Ósmej.

– Kiedy kończy pracę?

– Dziś o siódmej.

– Wraca do domu samochodem?

– Nie, metrem.

– Zadzwoń do niej. Tim po nią podjedzie. A gdzie są dzieci?

– Nie wiem.

– Do nich też zadzwoń. Firma ma mieszkanie w centrum. Możecie zatrzymać się w nim na noc.

– Przenocujemy w hotelu.

Hester pokręciła głową.

– Tam was znajdą. Nasze mieszkanie to lepszy pomysł i to wcale nie znaczy, że się chowamy.

Nic na to nie odpowiedział.

– Jeśli nie będziemy podsycać ognia, to minie, Simon. Jutro, najdalej pojutrze ci wariaci zaczną żyć nową sensacją. W Ameryce trudno utrzymać czyjąś uwagę dłużej niż przez chwilę.

Zadzwoił do Ingrid, ale ponieważ tego dnia miała dyżur na pogotowiu, włączyła się poczta głosowa. Zostawił szczegółową wiadomość. A potem zatelefonował do Sama, który – jak się okazało – zdążył się o wszystkim dowiedzieć.

– Wideo ma już milion wejść – powiedział. Syn sprawiał wrażenie przestraszonego i jednocześnie pełnego podziwu. – Nie mogę uwierzyć, że przyłożyłeś Aaronowi. – I dodał: – Akurat ty.

– Usiłowałem tylko przemówić do twojej siostry.

– Wszyscy myślą, że jesteś jakimś bogatym brutalem.

– To nie było tak.

– No wiem.

Milczenie.

– Więc przyjedzie po ciebie Tim, ten kierowca...

– Nie trzeba. Zatrzymam się u Bernsteinów.

– Na pewno?

– Tak.

– Jego rodzice nie mają nic przeciwko?

– Larry mówi, że nie ma problemu. Pojadę z nim po ćwiczeniach.

– Skoro tak wolisz...

– Tak będzie prościej.

– Na to wygląda. Ale gdybyś zmienił zdanie...

– Jasne, rozumiem – przerwał ojcu Sam, po czym dorzucił łagodniejszym tonem: – Widziałem... to znaczy zobaczyłem na tym filmie Paige... Wyglądała...

Znowu milczenie.

– Hm... – mruknął Simon. – Wiem.

Trzy razy próbował skontaktować się z Anyą. Nie odbierała jednak telefonu. W końcu zauważył na wyświetlaczu, że córka oddzwania. Kiedy odebrał, usłyszał nie ją.

– Cześć, Simon, tu Suzy Fiske.

Suzy mieszkała dwa piętra niżej. Jej córka Delia chodziła do tych samych szkół co Anya, od samego przedszkola, gdzie poznały się jako trzylatki.

– Czy z Anyą wszystko w porządku? – zapytał.

– Och, nic jej nie jest. To znaczy nie ma powodu do zmartwienia. Tylko trochę się zdenerwowała. No wiesz, przez ten film.

– Widziała go?

– Hm. Znasz Alysę Edwards? Pokazywała go wszystkim rodzicom, gdy przyjechali po dzieci... a one same już... no, wiesz, jak to jest. Mielą jęzorami.

Wiedział, jak to jest.

– Możesz dać mi Anyę?

– To chyba nie jest najlepszy pomysł, Simon.

Gównu mnie obchodzi twoje zdanie, pomyślał, ale przezornie – czyżby jednak uczył się na błędach? – nie wypowiedział tego na głos.

Zresztą Suzy nie była niczemu winna.

Odchrząknął i zmienił ton na łagodniejszy.

– Mogłabyś jednak ją poprosić?

– Jasne, Simon, spróbuję. – Musiała odwrócić głowę, bo dźwięk był słabszy, jakby dobiegał z dalszej odległości. – Anya, tata chciałby z tobą... Anya? – Teraz wszystkie odgłosy były stłumione. Simon czekał cierpliwie. – Kręci głową. Posłuchaj, Simon, ona może tu zostać, jak długo będzie trzeba. Zadzwoń później albo niech zrobi to Ingrid, gdy już wróci z pracy.

Faktycznie nie było powodu, żeby nalegać.

– Dzięki, Suzy.

– Strasznie mi przykro.

– Doceniam, że chcesz pomóc.

Zakończył połączenie. Hester siedziała obok; patrzyła przed siebie i jadła kanapkę lodową.

– Pewnie żałujesz, że nie skorzystałaś, kiedy cię częstowałam, co? – powiedziała, po czym zwróciła się do kierowcy: – Tim?

– Tak, Hester?

– Masz w lodówce jeszcze jedne lody?

– Mam.

Prawniczka wzięła od niego kanapkę lodową i pokazała Simonowi.

– Dopiszesz to do rachunku, prawda? – zapytał.

– Ja osobiście nie.

– Twoja firma.

Skwitowała to wzruszeniem ramion.

– Jak myślisz, dlaczego tak ich cisnę? – Wręczyła mu lody.

Ugryzł kawałek i na chwilę mu to pomogło.

Ale nie na dłużej.

• • •

Apartament firmy prawniczej mieścił się w wysokim biurowcu, piętro niżej niż gabinet Hester, i robił wrażenie. Wszędzie beżowe dywany. Beżowe meble. Beżowe ściany. Dekoracyjne poduszki... także beżowe.

– Oryginalny wystrój, nie sądzisz? – zapytała Hester.

– Ładny, jeśli lubi się beż.

– „Barwy ziemi”, tak brzmi określenie poprawne politycznie.

– Barwy ziemi – powtórzył Simon. – Czyli gleby.

Hester to się spodobało.

– Nazywam to wczesnym stylem amerykańskim. – Jej komórka zasygnalizowała przyjście esemesa. Prawniczka przeczytała wiadomość. – Twoja żona jest już w drodze, zaraz tu będzie. Zjadę po nią.

– Dzięki.

Hester wyszła. Simon zaryzykował i spojrzał na swój telefon. Zbyt wiele esemesów i nieodebranych połączeń. Przewinął wszystkie i zatrzymał się przy wiadomościach od Yvonne – jego współpracownicy w PPG Wealth Management i jednocześnie siostry Ingrid. Był jej winien jakieś wyjaśnienie. Więc napisał do niej:

Nic mi nie jest. To długa historia.

Ujrzał drobne kropki świadczące o tym, że Yvonne odpisuje.

Możemy jakoś pomóc?

Nie. W razie czego jutro mi powiesz, co w firmie.

Nie ma sprawy.

Odezwę się, kiedy znajdę chwilę.

Odpowiedź Yvonne zawierała kilka pocieszających emotikonów, które mówiły, że nie ma pośpiechu i że wszystko będzie dobrze.

Przejrzał resztę wiadomości.

Od Ingrid nic nie przyszło.

Przez kilka minut krążył po beżowych dywanach w apartamencie, sprawdził, jaki jest widok z okien, przysiadł na beżowej kanapie, znowu wstał i znowu zaczął krążyć. Gdy zadzwonił telefon, czekał, żeby włączyła się poczta głosowa, dopóki nie zobaczył, że to ktoś ze szkoły Anyi. Kiedy odebrał i powiedział „Słucham?“, dzwoniący wyraźnie się speszył.

– Ojej... – To był Ali Karim, dyrektor Abernathy Academy. – Nie spodziewałem się, że uda mi się z panem połączyć.

– Wszystko w porządku?

– Z Anyą tak. Chodzi o coś innego.

– Słucham. – Ali Karim należał do tych nauczycieli, którzy noszą tweedowe marynarki z łatanami na łokciach, mają zmierzwione bokobrody i zbyt długie włosy na wysokim, łysiejącym czole. – Co mogę dla pana zrobić, Ali?

– To delikatna sprawa.

– Hm.

– Ten bal dobroczynny dla rodziców w przyszłym miesiącu...

Simon czekał na dalszy ciąg.

– Jak pan wie, jutro mamy spotkanie komitetu organizacyjnego.

– Wiem – potwierdził Simon. – Ingrid i ja jesteśmy współprzewodniczącymi.

– Właśnie. I w tym rzecz.

Mimowolnie ścisnął słuchawkę w dłoni. Dyrektor szkoły czekał, żeby Simon coś powiedział, zappełnił ciszę. Ale on nie ułatwił mu sprawy.

– Niektórzy z rodziców uważają, że będzie lepiej, jeśli pan nie przyjdzie.

– Którzy?

– Wolałbym nie zdradzać.

– Dlaczego?

– Simon, niech pan nie utrudnia sprawy. To wideo nie zrobiło na nich najlepszego wrażenia.

– A... – odparł Simon.

– Słucham?

– Czy to już wszystko, Ali?

– No, nie całkiem.

Znowu zaczekał, żeby Simon coś powiedział. A ten znowu milczał.

– Jak pan się orientuje, tegoroczny bal ma na celu zebranie pieniędzy dla Koalicji na rzecz Bezdomnych. W świetle ostatnich wydarzeń sądzimy, że pan i Ingrid nie powinniście współprzewodniczyć komitetowi.

– Jakich ostatnich wydarzeń?

– Och, proszę pana...

– To nie był bezdomny. Tylko dealer narkotyków.

– Nie wiedziałem...

– Zdaję sobie sprawę – powiedział Simon. – Dlatego panu mówię.

– ...ale wrażenie jest często ważniejsze niż prawda.

– Wrażenie jest często ważniejsze niż prawda – powtórzył za nim Simon. –

Czy tego uczycie dzieci?

– Tu ważny jest skutek.

– Cel uświęca środki, tak?

– Nie to chciałem powiedzieć.

– Niezły z pana wychowawca, Ali.

– Chyba pana uraziłem.

– Raczej pan rozczarował, ale w porządku. Tylko proszę zwrócić nam czek.

– Nie rozumiem?

– Nie mianował nas pan współprzewodniczącymi dla naszych zdolności przywódczych. Ale dlatego, że ofiarowaliśmy dużą sumę na ten bal. – On i Ingrid dali te pieniądze nie ze względu na cel przedsięwzięcia. Tak to jest: rzadko chodzi o sprawę. Sprawa to kwestia uboczna. Chodzi o to, żeby podlizać się szkole i jej kierownictwu, komuś takiemu jak Ali Karim. Jeśli chce się wspierać jakiś szlachetny cel, to się go wspiera. Czy naprawdę potrzeba zachęty

w postaci nudnej kolacji z gumowatym łososiem, żeby postępować jak trzeba? – A skoro nie jesteśmy już współprzewodniczącymi...

W głosie Alego zabrzmiało niedowierzenie.

– Chce pan wycofać swoją donację?

– Owszem. Wolałbym, żeby odesłał pan pieniądze przelewem, bo jeśli zostaną zwrócone na kartę, będę je miał dopiero za dwa dni, ale jeśli nie da się inaczej, to trudno. Miłego dnia, Ali.

Simon rozłączył się i rzucił telefon na beżową poduszkę, leżącą na beżowej kanapie. Zamierzał wpłacić datek na rzecz bezdomnych – przecież nie był hipokrytą – ale nie poprzez szkołę z jej balem dobroczynnym.

Kiedy się odwrócił, w salonie stały Ingrid i Hester, które na niego patrzyły.

– Nie tyle rada prawna, ile prywatna – odezwała się prawniczka. – Przez kilka następnych godzin nie wdawaj się w poważne rozmowy, dobra? Ludzie pod wpływem presji działają głupio i pochopnie. Ty nie, oczywiście. Ale lepiej być przezornym, niż potem żałować.

Simon spojrzał na Ingrid. Jego żona była wysoka, postawna, o wydatnych kościach policzkowych i krótkich siwawych jasnych włosach, które zawsze wyglądały modnie. W college'u pracowała trochę jako modelka, jej urodę określano jako „chłodną, skandynawską” i pewnie na początku takie właśnie robiła wrażenie, przez co jej droga zawodowa wydawała się nieco zaskakująca: pediatra powinien mieć w sobie ciepło. Dzieci jednak postrzegały ją inaczej. Kochały Ingrid i miały do niej zaufanie. To niesamowite, że potrafiły przejrzeć ją na wylot i dostrzec jej serce.

– Zostawię was z tym – powiedziała Hester.

Nie sprecyzowała, z czym konkretnie, ale chyba nie musiała. Kiedy znaleźli się sami, Ingrid wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć „a co tam”, i Simon zaczął opowiadać jej całą historię.

– Wiedziałeś, gdzie znajdziesz Paige? – zapytała w końcu żona.

– Już ci mówiłem. Dowiedziałem się od Charliego Crowleya.

– I poszedłeś tam. A wtedy ten drugi bezdomny, Dave...

– Nie mam pojęcia, czy jest bezdomny. Wiem tylko, że prowadzi harmonogram występów grajków ulicznych.

– Naprawdę chcesz się wdawać ze mną w gierki słowne, Simon?

Nie miał takiego zamiaru.

– Więc ten Dave... Powiedział ci, że Paige tam będzie?

- Tak przypuszczał, owszem.
- I mi tego nie powiedziałaś?
- Nie miałem pewności. Po co miałem cię denerwować?

Pokręciła głową.

- No co?
- Nigdy mnie nie okłamujesz, Simon. To nie w twoim stylu.

Fakt. Nie okłamywał żony i w pewnym sensie teraz też jej nie okłamał, nie powiedział jej jednak całej prawdy i to nie było w porządku.

- Przepraszam – rzucił.
- Nie powiedziałaś mi, bo się obawiałaś, że cię powstrzymam.
- Częściowo – przyznał.
- I dlaczego jeszcze?
- Bo musiałbym ci wyjawić całą resztę. Że wciąż jej szukam.
- Chociaż uzgodniliśmy, że z tego zrezygnujemy.

Technicznie rzecz biorąc, nie uzgodnili. Tak zdecydowała Ingrid, a on się nie sprzeciwił, nie była to jednak pora na takie niuanse.

- Nie mogłem... nie mogłem tak po prostu pozwolić jej odejść.
- A sądziłaś, że ja mogę?

Nie odezwał się.

- Wydaje ci się, że cierpisz bardziej ode mnie?
- Jasne, że nie.
- Chrzanienie. Uważasz, że jestem zimna.

Niemal odparł: „Ależ skąd”, ale czy gdzieś w głębi duszy tak nie myślał?

- Co zamierzałaś, Simon? Znowu odwyk?
- Dlaczego nie?

Ingrid przymknęła oczy.

- Ile razy już próbowaliśmy?
- O jeden raz za mało. I tyle. O jeden raz za mało.

– To nie byłaby żadna pomoc. Paige musi sama do tego dojrzeć. Czy nie rozumiesz? Nie dlatego „pозwoliłam jej odejść” – Ingrid prawie wypluła te słowa – że już jej nie kocham. Pozwoliłam jej na to, bo odeszła wcześniej... i nie możemy siłą sprowadzić jej z powrotem. Słyszysz mnie? Nie możemy. Tylko ona o tym decyduje.

Simon opadł na kanapę. Ingrid usiadła obok. Po jakimś czasie oparła głowę na jego ramieniu.

– Chciałem dobrze – odezwał się.

– Wiem.

– I zawałem sprawę.

Przyciągnęła go do siebie.

– Wszystko się ułoży.

Pokiwał głową, chociaż wiedział, że tak się nie stanie, to niemożliwe.

Rozdział 4

Trzy miesiące później

Simon siedział na wprost Michelle Brady w swoim przestronnym gabinecie na trzydziestym siódmym piętrze. Po drugiej stronie ulicy stały kiedyś wieże World Trade Center. Tamtego strasznego dnia widział, jak się wałą, ale nigdy o tym nie rozmawiał. Nie oglądał filmów dokumentalnych ani nie śledził wiadomości na ten temat, nie brał udziału w uroczystościach rocznicowych. Po prostu nie mógłby na nie pójść. Dalej, na prawo, za rzeką, widać było Statuę Wolności. Z tego miejsca, przy tych wszystkich wieżowcach, wydawała się mała, jakby podskakiwała samotnie na wodzie, ale robiła wrażenie swoją siłą, tą wzniesioną pochodnią, zieloną latarnią, i choć Simona znużyły już widoki z okna – jeśli oglądasz coś codziennie, nawet nie wiadomo jak efektownego, to może spowszednieć – Statua Wolności zawsze działała na niego pokrzepiająco.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziała Michelle ze łzami w oczach. – Taki dobry z ciebie przyjaciel.

Tak naprawdę przyjacielem nie był. Był doradcą finansowym, a ona – jego klientką. Ale to wyznanie go wzruszyło. To właśnie pragnął usłyszeć, bo podchodził do swojej pracy emocjonalnie. Więc może jednak był przyjacielem?

Dwadzieścia pięć lat temu, kiedy Michelle i Rickowi urodziło się pierwsze dziecko, Elizabeth, Simon założył im rachunek powierniczy, żeby oszczędzali na studia dziewczynki.

Dwadzieścia trzy lata temu pomógł im zrestrukturyzować pożyczkę hipoteczną na kupno pierwszego domu.

Dwadzieścia jeden lat temu załatwił dokumenty i uporządkował ich finanse, żeby mogli adoptować Mei, małą Chinkę.

Dwadzieścia lat temu wynegocjował dla Ricka pożyczkę na założenie specjalistycznej drukarni, która obecnie obsługiwała klientów we wszystkich pięćdziesięciu stanach.

Osiemnaście lat temu pomógł Michelle otworzyć pierwszą galerię sztuki.

Przez ten cały czas Rick zasięgał rady Simona w sprawie rozwoju działalności i bezpośrednich przelewów na konto, konsultował z nim, czy jego firma powinna przekształcić się w korporację typu C i jaki plan emerytalny będzie najkorzystniejszy, czy lepiej, żeby wziął samochód w leasing, czy go kupić, czy rodzinę stać na prywatną szkołę dla dziewczynek, czy to za duży wysiłek finansowy. Omawiał z nim inwestycje, dywersyfikację portfela, firmową listę płac, koszty rodzinnych wakacji, kupno chaty rybackiej nad jeziorem, remont kuchni. Założyli razem pięćset dwadzieścia dziewięć rachunków i ustanowili plany spadkowe.

Dwa lata temu Simon doradzał Rickowi i Michelle, skąd wziąć pieniądze na ślub i wesele Elizabeth. Oczywiście był na jednym i drugim. Tamtego dnia, gdy para patrzyła, jak ich córka idzie do ołtarza, nie obyło się bez łez.

Miesiąc temu Simon siedział w tej samej kościelnej ławce na pogrzebie Ricka.

A teraz pomagał Michelle, wciąż dochodzącej do siebie po stracie życiowego partnera, nauczyć się załatwiać te wszystkie drobne sprawy, którymi zajmował się Rick: bilansować dochody i wydatki, wyrabiać karty płatnicze, kontrolować rachunki, wspólne i indywidualne, nie mówiąc już o prowadzeniu firmy i decydowaniu, jakie aktywa sprzedawać i kiedy.

– Cieszę się, że mogliśmy coś dla was zrobić – odparł.

– Rick był na to przygotowany – powiedziała.

– Tak.

– Jakby wiedział. A zawsze wydawał się zdrowy jak ryba. Czy ukrywał przede mną jakieś problemy zdrowotne? Myślisz, że się spodziewał?

Simon pokręcił głową.

– Nie, nie sędzę.

Rick zmarł na rozległy zawał jako pięćdziesięcioośmiolatek. Simon nie był prawnikiem ani agentem ubezpieczeniowym, ale do zarządzającego majątkiem należało przygotowanie jego właściciela na wszelkie ewentualności. Więc rozmawiał o tym z Rickiem. Jak większość mężczyzn w jego wieku, ten niechętnie brał pod uwagę, że jest śmiertelny.

Simon poczuł wibracje w kieszeni. Miał żelazną zasadę: podczas spotkania z klientami żadnego odbierania telefonu. Nie było w tym nic napuszonego, ale jeśli przychodzili do niego ludzie, to znaczy, że chcieli pogadać o czymś, co było dla nich ważne.

O swoich pieniądzach.

Można się z tego śmiać. Pieniądze nie dają szczęścia, ale... To bzdura. Pieniądze, znacznie bardziej niż wszystko inne, czym dysponujesz, mogą przybliżyć i uwzniościć ten ideał, który nazywamy szczęściem. Łagodzą stres. Umożliwiają lepsze wykształcenie, lepsze jedzenie, lepsze leczenie – oferują pewien spokój ducha. Przynoszą komfort i swobodę. Pozwalają zdobywać doświadczenie i ułatwiają życie, a przede wszystkim kupują ci czas, który – jak uświadomił sobie Simon – ma duże znaczenie dla rodziny i zdrowia.

Jeśli się w to wierzy – a nawet jeżeli nie – wybór osoby, której powierzysz swoje finanse, staje się tak samo ważny jak wybór lekarza czy duchownego, choć Simon był zdania, że zarządca majątku jeszcze bardziej uczestniczy w twoim codziennym życiu. Ciężko pracujesz. Oszczędzasz. Planujesz. Jest niewiele poważnych decyzji życiowych, które nie byłyby w jakiś sposób związane z twoim stanem posiadania.

To ogromna odpowiedzialność, jeśli się nad tym zastanowić.

Michelle Brady zasługiwała na całą jego uwagę i skupienie. Dlatego wibracje telefonu świadczyły, że dzieje się coś wielkiej wagi.

Ukradkiem zerknął na ekran komputera. Właśnie dostał e-mail od nowego asystenta, Khalila.

PRZYSZEDŁ DO CIEBIE INSPEKTOR POLICJI.

Simon na tyle długo wpatrywał się w tę wiadomość, że Michelle to zauważyła.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak. Tylko...

– Co?

– Wynikła pewna sprawa.

– Ojej – zmartwiła się. – Mogę przyjść kiedy indziej...

– Możesz dać mi chwilę...? – Wskazał telefon na biurku.

– Jasne.

Simon wziął słuchawkę i połączył się z Khalilem.

– Jedzie do ciebie na górę inspektor Isaac Fagbenle.

– Jest w windzie?

– Tak.

– Zatrzymaj go, dopóki ci nie powiem.

– Dobra.

– Czy masz już przygotowane wnioski o karty kredytowe dla pani Brady?

– Tak.

– To daj jej do podpisania. Upewnij się, że karty dla niej i Mei zostaną wydane jeszcze dziś. Pokaż jej, jak działa automatyczna spłata.

– Dobrze.

– Do tego czasu powinienem skończyć.

Odłożył słuchawkę i napotkał spojrzenie Michelle.

– Bardzo przepraszam za to zakłócenie.

– Nic się nie stało.

Owszem, stało się.

– Pamiętasz, w jakiej znalazłem się... eee... sytuacji kilka miesięcy temu.

Kiwnęła głową. Wszyscy to pamiętali. Simon dołączył do grona internetowych czarnych charakterów, razem z dentystą, który zastrzelił lwa, i prawnikiem rasistą, który splajtował. Nazajutrz po tym incydencie poranne wiadomości na kanałach ABC, NBC i CBS miały używanie. Lokalne stacje też. Zgodnie z przewidywaniami Hester Crimstein szum wokół tej sprawy trwał kilka dni, a potem, po upływie miesiąca, szybko się skończył. Wideo osiągnęło w pierwszym tygodniu osiem milionów wejść. Teraz, blisko trzy miesiące później, było ich osiem i pół miliona.

– I co w związku z tym? – zapytała Michelle.

Może nie powinien był się w to wdawać. A może powinien.

– Właśnie jedzie do mnie na górę glina.

Jeśli oczekujesz od klientów, żeby otwierali się przed tobą, czy może to być jednostronne? Oczywiście, nie była to sprawa Michelle, ale skoro już pozwolił, żeby im przeszkodzono, czuł, że kobieta ma prawo znać powód.

– Rick mówił, że pozew oddalono.

– Owszem.

Hester i co do tego się nie myliła. Ani Paige, ani Aaron nie objawili się w ciągu ostatnich trzech miesięcy, a ponieważ nie było poszkodowanego, nie

było też sprawy. Nie zaszkodziło także to, że Simon należał do elity, a jak się wkrótce dowiedział, jeśli nie ku swojemu zdziwieniu, to rozgoryczeniu, Aaron miał bogatą przeszłość kryminalną. Hester i manhattański prokurator okręgowy zawarli cichą ugodę, poza zasięgiem wścibskich oczu i uszu.

Rzecz jasna, nie było żadnych dokumentów. Żadnego coś za coś. Niczego również wstydliwego. Pozostała jednak kwestia zbliżającego się balu charytatywnego, jeśli Simon i Ingrid mieliby ochotę na niego pójść. Karim, dyrektor szkoły, odezwał się znowu dwa tygodnie po tamtym zdarzeniu. Nie przeprosił wprost, ale zaoferował wsparcie, przypominając Simonowi, że Greene'owie należą do „rodziny” Abernathy Academy. Simon był gotów odpowiedzieć, żeby się wypchał, ale Ingrid zwróciła mu uwagę, że Anya wkrótce pójdzie do pierwszej klasy, więc tylko się uśmiechnął, zwrócił czek i życie toczyło się dalej.

Jedyną małą niedogodność stanowiło to, że prokurator okręgowy chciał jeszcze trochę zaczekać z oficjalnym wycofaniem zarzutów. Incydent powinien popaść w zapomnienie, żeby media niczego nie zauważyły i nie zaczęły zadawać zbyt wielu pytań o przywileje i tak dalej.

– Wiesz, skąd ta wizyta policji? – zapytała Michelle.

– Nie mam pojęcia – odparł Simon.

– Chyba powinieneś zadzwonić do adwokata.

– To samo sobie pomyślałem.

Michelle wstała.

– Więc już nie zabieram ci czasu.

– Naprawdę przepraszam.

– Nie ma za co.

– Khalil załatwi z tobą formalności. Kiedy tylko skończę rozmawiać z tym policjantem...

– Uważaj na siebie – powiedziała Michelle.

Podążyła mu ręką nad biurkiem. Khalil odprowadził ją do drzwi. Simon wziął głęboki oddech. Wyjął komórkę i zadzwonił do biura Hester Crimstein. Szybko uzyskał z nią połączenie.

– Mów – rzuciła Hester.

– Słucham?

– Tak mój kumpel odbiera telefon. Nieważne. Co tam?

– Jedzie tu glina, który chce się ze mną zobaczyć.

- „Tu” to znaczy gdzie?
- Do mojego gabinetu.
- Poważnie?
- Nie, Hester, dzwonię dla żartu.
- Super, przemądrzałe dupki to moi ulubieni klienci.
- Co mam zrobić?
- Dranie wiedzą, że cię reprezentuję. Zanim się do ciebie zbliżą, powinni porozumieć się ze mną.
- Więc co mam zrobić?
- Już jadę. Nie rozmawiaj z nim. Czy z nią. Nie chciałabym wyjść na seksistkę.
- To on – wyjaśnił Simon. – Myślałem, że prokuratura wycofa oskarżenie... że nic na mnie nie ma.

– Wycofa, bo nie ma. Bądź czujny. Nic nie mów.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i do gabinetu wślizgnęła się Yvonne Previdi, siostra Ingrid. Jego szwagierka nie była tak piękna jak jej siostra modelka – czy może Simon tylko sobie pochlebiał – ale o wiele bardziej interesowała się modą i tego dnia miała na sobie różową ołówkową spódnicę, kremową bluzkę bez rękawów i nabijane złotymi ćwiekami dziewięciocentymetrowe szpilki od Valentino.

Poznał Yvonne przed Ingrid, kiedy oboje byli na stażu w Merrill Lynch. Od razu się zaprzyjaźnili. Od tego czasu upłynęło dwadzieścia sześć lat. Niedługo po tym, jak zakończyli staż, ojciec Yvonne, Bart Previdi, przyjął do rozrastającej się firmy dwoje wspólników: córkę i przyszłego zięcia, Simona Greene’a.

PPG Wealth Management. Dwa P w nazwie oznaczały przedstawicieli rodu Previdi, a G – Greene’a.

Motto: Jesteśmy uczciwi, choć niezbyt kreatywni, jeśli chodzi o nazewnictwo.

– Co robi tu ten atrakcyjny gliniarz? – zapytała Yvonne.

Ona i Robert mieli czworo dzieci i mieszkali na eleganckim przedmieściu New Jersey, Short Hills. Przez krótki czas Simon i Ingrid także próbowali osiąść na przedmieściach, tuż po narodzinach Sama przenieśli się z Upper West Side na ogrodzone osiedle z ośrodkiem kultury. Tak się robiło. Para mieszkała w mieście, dopóki nie urodziło jej się jedno dziecko czy drugie, potem przeprowadzała się do ładnego domu z płotem ze sztachet i podwórkiem, dobrymi szkołami w okolicy i licznymi obiektami sportowymi. Jednak ani on,

ani ona nie lubili przedmieść. Brakowało im bodźców, zgiełku, ruchu. Jeśli przejdiesz się nocą po wielkim mieście, zawsze coś zobaczysz. Jeżeli przejdiesz się nocą po przedmieściu... cóż, nie uświadczysz niczego. Cała ta otwarta przestrzeń – ciche podwórka, niekończące się boiska do piłki nożnej, baseny, obiekty sportowe drużyn bejsbolowych trzeciej ligi – to wszystko wywoływało klaustrofobię. Ten spokój ich męczył. Podobnie jak dojazdy. Po dwóch latach przenieśli się z powrotem na Manhattan.

Czy z perspektywy czasu należało uznać to za błąd?

Choć podobnymi pytaniami można się zadreńczyć, Simon tak nie uważał. Jeśli już, znudzone dzieciaki z przedmieść, eksperymentując, ryzykowały jeszcze bardziej niż ich rówieśnicy z miasta. A Paige w szkole średniej funkcjonowała całkiem dobrze. Dopiero kiedy przeniosła się do podmiejskiego college'u... wówczas zaczęły się problemy.

A może to była racjonalizacja. Kto wie?

– Widziałaś go? – zapytał Simon.

Yvonne potwierdziła.

– Właśnie dotarł do recepcji. Po co przyszedł?

– Nie wiem.

– Dzwoniłeś do Hester?

– Tak. Już jedzie.

– Wygląda okropnie.

– Kto?

– Ten gliniarz. Powinien znaleźć się na okładce „GQ”.

Simon pokiwał głową.

– Dobrze wiedzieć, dzięki.

– Mam zająć się Michelle?

– Zleciłem to Khalilowi, ale możesz do nich zajrzeć.

– Dobra.

Odwróciła się do wyjścia, gdy w progu stanął wysoki czarny mężczyzna w lśniącym szarym garniturze.

– Pan Greene?

Faktycznie, prosto ze stronic „GQ”. Garnitur nie tyle sprawiał wrażenie uszytego na miarę, ile stworzonego, wykreowanego specjalnie dla niego i tylko dla niego. Przylegał do ciała jak obcisły kostium superbohatera albo druga

skóra. Mężczyzna był potężnej budowy. Miał ogoloną głowę i perfekcyjnie przystrzyżony zarost. Wszystko w nim wołało: „Jestem bardziej cool niż ty!”.

Yvonne rzuciła Simonowi spojrzenie w stylu: „A nie mówiłam?”.

– Jestem inspektor Isaac Fagbenle z policji nowojorskiej.

– Nie powinien pan tu przychodzić – odparł Simon.

Gliniarz uśmiechnął się tak promiennie, że Yvonne zrobiła krok do tyłu.

– Rzeczywiście, ale to nic oficjalnego. – Wyjął odznakę. – Chciałbym zadać panu kilka pytań.

Yvonne nie ruszyła się z miejsca.

– Dzień dobry – zwrócił się do niej policjant.

Yvonne, której choć raz odebrało mowę, machnęła ręką. Simon ściągnął brwi.

– Czekam na swoją prawniczkę – oznajmił.

– Czy to Hester Crimstein?

– Zgadza się.

Isaac Fagbenle przeszedł przez gabinet i nieproszony usiadł na krześle naprzeciwko Simona.

– Dobra jest.

– Owszem.

– Jedna z najlepszych, z tego, co słyszę.

– To prawda. I nie chciałaby, żebym wdał się z panem w rozmowę.

Fagbenle uniósł brew i założył nogę na nogę.

– Nie?

– Nie.

– Więc odmawia pan odpowiedzi na pytania?

– Nie odmawiam. Czekam tylko na swoją prawniczkę, bo chcę, żeby była przy tej rozmowie.

– Więc teraz pan ze mną nie porozmawia?

– Jak powiedziałem, czekam na prawniczkę.

– I oczekuje pan tego samego ode mnie?

W jego głosie zabrzmiał ostry ton. Simon zerknął na Yvonne. Ona też to zauważyła.

– Tak brzmi pana odpowiedź, Simon? Na pewno?

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Chodzi mi o to: czy nie chce pan ze mną porozmawiać?

– Porozmawiam, kiedy tylko przyjedzie mój adwokat.

Isaac Fagbenle westchnął, wyprostował nogi i wstał.

– A więc do widzenia.

– Może pan poczekać w recepcji.

– Nie mam zamiaru.

– Pani Crimstein zaraz tu będzie.

– Simon? A przy okazji, czy mogę tak się do pana zwracać?

– Proszę.

– Troszczy się pan o swoich klientów, prawda?

Simon spojrział na Yvonne, a potem znowu na policjanta.

– Staram się.

– I nie marnuje pan ich pieniędzy?

– Nie.

– Ja tak samo. A moimi klientami się podatnicy z miasta Nowy Jork. Nie zamierzam więc trwonić ich ciężko zarobionych dolarów, czytając w pańskiej recepcji czasopisma finansowe. Rozumie pan?

Simon nie odpowiedział.

– Kiedy pan i pańska prawniczka będziecie mieli czas, zapraszam na komisariat.

Fagbenle obciągnął marynarkę, wsadził rękę do jej kieszeni i wyjął wizytówkę. Wręczył ją Simonowi.

– Do zobaczenia.

Simon zerknął na kartonik i coś go zdziwiło.

– Bronx?

– Słucham?

– Pracuje pan w komisariacie na Bronxie.

– Zgadza się. Czasami wy z Manhattanu zapominacie, że Nowy Jork składa się z pięciu gmin. Bronxu, Queens...

– Ale tamta napaść... – Simon przerwał i poprawił się: – Tamta rzekoma napaść miała miejsce w Central Parku. A to na Manhattanie.

– Fakt – potwierdził Isaac Fagbenle, znowu przywołując promienny uśmiech.

– Ale zabójstwo? Zabójstwa dokonano na Bronxie.

Rozdział 5

Elena Ramirez, która utykając, wkroczyła do śmiesznie wielkiego gabinetu ze śmiesznie wielkimi panoramicznymi oknami, przygotowała się na nieuniknione. Nie spotkał jej zawód.

– Chwileczkę, pani jest Ramirez?

Elena była przyzwyczajona do sceptycyzmu, a nawet zdumienia.

– We własnej osobie – odparła. – Sporo tego, prawda?

Klient – Sebastian Thorpe III – przyjrzał jej się otwarcie, tak jak nigdy nie przyjrzałby się mężczyźnie. Nie była przewrażliwiona ani nic takiego. Po prostu stwierdziła fakt. Wszystko w tym kliencie świadczyło o dużych pieniądzach – ta trójka po nazwisku, szyty na miarę garnitur w prążki, rumiana cera bogatego chłopaka, zaczesane do tyłu włosy w stylu Wall Street z lat osiemdziesiątych, srebrne spinki do mankietów w kształcie byka i niedźwiedzia.

Thorpe wciąż gapił się na nią.

– Chce pan jeszcze zajrzeć mi w zęby? – zapytała i otworzyła szeroko usta.

– Co? Nie, oczywiście, że nie.

– Na pewno? Mogę też dla pana wykonać obrót. – I wykonała. – Duży tyłek, co?

– Niech pani przestanie.

Gabinet Thorpe’a reprezentował amerykańskie rozumienie luksusu: wszędzie biel, chrom, a na środku podłogi skóra zebry, żeby jego właściciel miał gdzie pozować do zdjęć. Wszystko na pokaz, nic funkcjonalnego. Sam Thorpe siedział za białym biurkiem, tak wielkim, że mógłby pomieścić hondę odysey. Na blacie stało jedno zdjęcie oprawione w ramki – była to upozowana fotografia ślubna, przedstawiająca sztucznie uśmiechniętego Thorpe’a w smokingu i młodą wysportowaną blondynkę, która na Instagramie zapewne mieniła się modelką fitnessu.

– To dlatego, że bardzo panią polecano – rzucił tytułem wyjaśnienia.

Miał na myśli, że za taką forszę spodziewał się kogoś bardziej reprezentacyjnego: nie korpulentnej Meksykanki wzrostu metr pięćdziesiąt, w dżinsach z wysokim stanem i wygodnych sportowych butach. Na dźwięk jej nazwiska tacy faceci oczekiwali drugiej Penélope Cruz albo drobnej tancerki flamenco, a nie kogoś, kto wyglądał jak pomoc domowa w ich letnim domu na plaży.

– Gerald twierdzi, że jest pani najlepsza – dodał.

– I najdroższa, więc przejdźmy do rzeczy, dobrze? Zdaje się, że zaginął pański syn.

Thorpe wziął telefon komórkowy, stuknął w wyświetlacz i obrócił go w jej stronę.

– To Henry. Mój syn. Ma dwadzieścia cztery lata.

Henry na zdjęciu był w granatowej koszulce polo i uśmiechał się ze skrepowaniem, jakby się starał, ale mu nie wychodziło. Elena pochyliła się, żeby lepiej mu się przyjrzeć, ale biurko było zbyt szerokie. Oboje z Thorpe'em zbliżyli się do okna, z którego rozciągał się zabójczy widok na Chicago River i centrum miasta.

– Wygląda na miłego chłopaka – zauważyła.

Thorpe potwierdził skinieniem głowy.

– Kiedy zniknął?

– Trzy dni temu.

– Zgłosił to pan na policję?

– Tak.

– I co?

– Byli bardzo uprzejmi. Wysłuchali mnie, przyjęli zgłoszenie, umieścili Henry'ego w systemie czy czymś takim, dlatego że jestem, kim jestem...

Białym bogatym facetem, pomyślała Elena. To wszystko. Tyle wystarczyło.

– Słyszę jednak jakieś „ale” – zagadnęła.

– Ale przysłał mi esemesa. To znaczy Henry.

– Kiedy?

– W dniu, w którym zaginął.

– Co napisał?

Thorpe znowu postukał w wyświetlacz komórki i podał aparat Elenie. Przeczytała:

Jadę na zachód z paroma kumplami. Wrócę za dwa tygodnie.

– Pokazał to pan policji? – zapytała Elena.

– Tak.

– I mimo to przyjęli zgłoszenie?

– Hm... Tak.

Spróbowała wyobrazić sobie reakcję policji, gdyby czarny albo Latynos zgłosił zaginięcie syna, a następnie pokazał taką wiadomość. Wyśmiany, wyparowałby z posterunku w jednej chwili.

– Jest jeszcze jedno „ale”. – Thorpe spojrział w powietrze. – Według pani określenia.

– Czyli?

– Henry wcześniej miał zatargi z prawem.

– To znaczy?

– Nic poważnego. Narkotyki. Posiadanie.

– Dostał odsiadkę?

– Nie. Tylko małą karę. Prace społeczne. A ponieważ był młodociany, nie jest notowany. Rozumie pani.

O tak, Elena rozumiała.

– Czy Henry zniknął już przedtem?

Thorpe zapatrzył się w okno.

– Panie Thorpe?

– Uciekał, jeśli o to pani pyta.

– Więcej niż jeden raz?

– Tak. Ale to było co innego.

– Jasne – przytaknęła Elena. – Jak dogadywał się pan z synem?

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

– Kiedyś świetnie. Byliśmy kumplami.

– A ostatnio?

Postukał palcem w brodę.

– Ostatnio nasze relacje były napięte.

– To znaczy?

– Henry nie lubi Abby.

– Abby?

– Mojej nowej żony.

Elena wzięła z biurka zdjęcie w ramce.

– To ona?

– Tak. Wiem, co pani myśli.

Pokiwała głową.

– Że jest cholernie atrakcyjna?

Wyrwał jej fotografię.

– Niech mnie pani nie osądza.

– Nie osądzam. Tylko oceniam Abby. I według mojej oceny jest bardzo atrakcyjna.

Thorpe zmarszczył czoło.

– Chyba wezwanie pani było błędem.

– Może, ale podsumujmy, co wiemy o pańskim synu, Henrym. Po pierwsze, przysłał panu esemesa, w którym zawiadamiał, że wybiera się z kolegami na zachód i wróci za dwa tygodnie. Po drugie, zniknął już wcześniej, nawet kilka razy. Po trzecie, w przeszłości był zatrzymywany za rozmaite przestępstwa narkotykowe. Czy coś przeoczyłam? A, tak, i po czwarte, ma panu za złe związek z Abby, która sądząc ze zdjęcia, jest niewiele od niego starsza.

– O prawie pięć lat – warknął Thorpe.

Elena nie skomentowała tego.

Z Thorpe'a na jej oczach uszło powietrze.

– Nie potraktowała mnie pani poważnie. – Machnął ręką. – Może pani iść.

– Hola, nie tak szybko.

– Słucham?

– Wyraźnie się pan o niego niepokoi – wyjaśniła Elena. – Pytanie brzmi: z jakiego powodu?

– Nieważne. Rezygnuję z pani usług.

– Proszę odpowiedzieć.

– Z powodu tego esemesa.

– Dlaczego?

– Wyjdę na głupca.

– Niech pan zaryzykuje.

– Dawniej, kiedy Henry zniknął... to zniknął i już.

Elena pokiwała głową.

– Nie powiadamiał pana esemesem, że zniknął. Po prostu uciekał.

– Właśnie.

– Więc przysyłanie takiej wiadomości... to nie w jego stylu.

Thorpe skinął głową.

– I tylko o to chodzi? – spytała.

– Tak.

– Niezbyt przekonujące – skwitowała.

Thorpe potarł twarz obiema rękami. Elena dopiero teraz dostrzegła, że w nocy nie zmrużył oka; wprawdzie miał rumiane policzki, ale jego oczy były podkrążone.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas, pani Ramirez. Nie skorzystam z pani pomocy.

– Och, chyba jednak tak.

– Nie rozumiem?

– Pozwoliłam sobie przed przyjazdem zebrać pewne informacje.

To wzbudziło jego zainteresowanie.

– Jakie?

– Powiedział pan, że syn wysłał panu wiadomość ze swojego telefonu.

– Zgadza się.

– Namierzyłam ten numer.

Thorpe zmrużył oczy.

– Co to znaczy „namierzyłam”?

– Chce pan znać prawdę? Nie mam bladego pojęcia. Ale żeby nie wdawać się w szczegóły, mam w zespole geniusza, jeśli chodzi o sprawy techniczne: na imię ma Lou. Potrafi wysłać sygnał... cokolwiek to jest... na telefon komórkowy, który odpowiada tym samym, przez co zdradza swoją lokalizację.

– A więc może pani wytropić Henry’ego?

– Teoretycznie tak.

– I zrobiła to pani?

– Lou zrobił, owszem.

– Więc gdzie jest mój syn?

– Cała rzecz w tym, że... nie otrzymaliśmy sygnału zwrotnego.

Thorpe kilkakrotnie zamrugął.

– Nie rozumiem. Twierdzi pani, że jego telefon powinien... odbić sygnał?

– Coś w tym rodzaju – potwierdziła.

– Może Henry po prostu wyłączył komórkę.

– Nie.

– Nie?

– Na tym polega powszechne błędne wyobrażenie. Wyłączenie komórki nie powoduje wyłączenia nawigacji satelitarnej.

– Więc zawsze można człowieka znaleźć?

– Teoretycznie policja musi uzyskać w tym celu pozwolenie i przedstawić sieci komórkowej powód.

– Ale pani się udało bez tego – zauważył. – Jak?

Elena nie odpowiedziała.

Thorpe wolno pokiwał głową.

– Jasne. Więc co to oznacza... że nie otrzymali państwo sygnału zwrotnego?

– Przyczyn może być wiele. Zupełnie niewinnych. Na przykład Henry się domyślał, że wynajmie pan kogoś takiego jak ja, i wymienił się z kimś telefonami.

– Ale pani w to wątpi?

Wzruszyła ramionami.

– Pięćdziesiąt procent... albo i więcej... że całą sprawę da się racjonalnie wytłumaczyć i Henry'emu nic się nie stało.

– Ale jednak pani uważa, że powinienem panią zatrudnić?

– Opłaca pan ubezpieczenie na wypadek włamania, chociaż ryzyko, że pana obrobiją, wynosi jakieś pół procenta.

Thorpe przyznał jej rację.

– Dobre porównanie.

– Jestem warta spokoju ducha, jeśli nawet nie czegoś więcej.

Bawił się komórką i mimowolnie dotknął zdjęcia przedstawiającego go, tyle że młodszego, z niemowlęciem na rękach.

– Ja i Gretchen... moja pierwsza żona... nie mogliśmy mieć dzieci. Próbowaliśmy wszystkiego. Hormonów, zabiegów operacyjnych, trzy razy in vitro. A potem adoptowaliśmy Henry'ego.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, chociaż smutny.

– Co się stało z Gretchen?

– Umarła trzy lata temu, gdy Henry zaczął chodzić do szkoły średniej. To był dla niego cios. Robiłem, co mogłem. Naprawdę. Ale widziałem, że go tracę. Wziąłem urlop, żeby spędzać z nim więcej czasu. Ale im bardziej chciałem się do niego zbliżyć, tym bardziej on...

– ...oddalał się od pana – dokończyła Elena.

Kiedy Thorpe uniósł wzrok, w oczach miał łzy.

– Nie wiem, po co to pani mówię.

– Okoliczności. Muszę je poznać.

– Zdaję sobie sprawę, jak to wszystko brzmi. Dlatego poprosiłem Geralda, żeby przysłał mi najlepszego prywatnego detektywa w Chicago. Bo widzi pani, pani Ramirez, mimo tych narkotyków, mimo esemesa, mimo konfliktu w związku z Abby, znam swojego syna. Mam złe przeczucie. I tyle. Coś tu jest nie tak, i to bardzo. Czy gadam bez sensu?

– Nie – odparła łagodnie. – Wcale nie.

– Pani Ramirez?

– Proszę mi mówić po imieniu.

– Eleno, proszę, niech pani znajdzie mojego syna.

Rozdział 6

Simon zrozumiał, że wpadł w pułapkę.

Miał świadomość, że inspektor Fagbenle próbuje go podejść, sprowokować czy coś takiego, ale wiedział również, że nie zrobił nic złego („słynne ostatnie słowa skazańca”, jak później powiedziała mu Hester), i było oczywiste, z czego policjant na pewno zdawał sobie sprawę, że Simon nie pozwoli mu rzucić takiej bomby i wyjść za drzwi.

– Kto został zamordowany? – zapytał.

– Oj, oj... – Fagbenle szyderczo pogroził mu palcem. – Mówił pan, że nie będzie pan ze mną rozmawiał, dopóki nie zjawi się pańska adwokatka.

Simonowi zaschło w ustach.

– Czy to moja córka?

– Przykro mi. Skoro obstaje pan przy swoim prawie do obecności adwokata...

– Och, na miłość boską – sapnęła Yvonne. – Niech pan będzie człowiekiem.

– Rezygnuję z prawa do obecności adwokata czy jak to tam brzmi – oświadczył Simon. – Porozmawiam z panem bez Hester.

Fagbenle zwrócił się do Yvonne:

– Powinna pani wyjść.

– Paige to moja siostrzenica – sprzeciwiła się. – Nic jej nie jest?

– Tego nie wiem – odparł policjant, patrząc na znajdujące się za przeszkloną ścianą boksy we wspólnej części firmy – ale to nie ona jest ofiarą zabójstwa.

Ulga. Wielka, cudowna ulga. Simon czuł się tak, jakby miał się udusić i podano mu tlen.

– Więc kto? – zapytał.

Fagbenle nie odpowiedział od razu. Odczekał, aż Yvonne opuści gabinet – zapowiedziała, że wyjdzie po Hester do windy – i drzwi zostaną zamknięte.

Przez chwilę wpatrywał się w boksy. Klienci muszą czuć się dziwnie, pomyślał, w gabinecie, który nie daje prywatności.

– Może mi pan powiedzieć, Simon, gdzie był pan wczorajszego wieczoru?

– O której godzinie?

Policjant wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, przez cały wieczór. Od szóstej.

– Do szóstej byłem tutaj. Potem pojechałem metrem do domu.

– Którą linią?

– Jedynką.

– Z Chambers Street?

– Tak. Wysiadłem na stacji Lincoln Center.

Gliniarz pokiwał głową, jakby to była ważna informacja.

– Ile to zajęło panu czasu? Od drzwi do drzwi. Dwadzieścia, trzydzieści minut?

– Trzydzieści.

– Więc wrócił pan do domu około wpół do siódmej?

– Zgadza się.

– Był tam ktoś?

– Żona i młodsza córka.

– Ma pan jeszcze syna, prawda?

– Tak. Sama. Ale jest w college'u.

– Gdzie?

– W Amherst. To w Massachusetts.

– No wiem, gdzie jest Amherst – odparł Fagbenle. – A zatem wrócił pan do domu. Były tam pańska żona i córka...

– Tak.

– Czy potem pan jeszcze wychodził?

Simon się zastanowił, ale tylko chwilę.

– Tak, dwa razy.

– Dokąd?

– Do parku.

– O której?

– O siódmej, a potem znowu o dziesiątej. Wyprowadzałem psa.

– O, jak miło. Jaki to pies?

– Hawańczyk. Suka o imieniu Laszlo.

– Czy Laszlo to nie męskie imię?

Simon potwierdził. Kupili Laszlo Samowi na szóste urodziny. Chłopiec uparł się przy tym imieniu, niezależnie od płci psa. Stara historia, ale kiedy tylko Laszlo znalazła się w domu, to mimo obietnic Sama i jego dwóch sióstr opieka nad nią spadła na jedyne go członka rodziny, który był przeciwny jej adopcji.

Czyli na Simona.

Zresztą nic dziwnego: zakochał się w niej. Uwielbiał te spacerunki, zwłaszcza kiedy pod koniec dnia przechodził przez próg i Laszlo witała go jak powracającego do kraju jeńca wojennego – dzień w dzień – i radośnie ciągnęła do parku, jakby nigdy wcześniej tam nie była.

Teraz suczka miała dwanaście lat. Chodziła wolno. Źle słyszała, więc czasami nawet się nie orientowała, że Simon jest już w domu, co zasmucało go bardziej, niż powinno.

– Nie licząc spacerów z psem, już pan nie wychodził?

– Nie.

– I wszyscy troje przez cały wieczór byliście w domu?

– Tego nie powiedziałem.

Fagbenle wyprostował się i rozłożył ręce.

– Więc zamieniam się w słuch.

– Żona pojechała do pracy.

– Jest zatrudniona jako pediatra w NewYork-Presbyterian, jeśli się nie mylę?

Miała nocną zmianę? Więc został pan sam z córką, Anyą.

To Simona zastopowało. Ten policjant za dużo wiedział.

– Panie inspektorze...

– Proszę mówić mi Isaac.

Ciężko będzie, jak by powiedziały jego dzieci.

– Kto został zabity?

Drzwi jego gabinetu się otworzyły. Hester Crimstein była może drobna, ale energiczna. Wpadła do środka i od razu rzuciła się na Fagbenle'a.

– Żarty pan sobie robi, do cholery?!

Na inspektorze nie zrobiło to wrażenia. Powoli wstał i górując nad Hester, wyciągnął do niej rękę.

– Inspektor Isaac Fagbenle z wydziału zabójstw. Miło mi panią poznać.

Hester popatrzyła mu w oczy.

– Niech pan zabiera łapę, zanim ją straci... tak jak pracę. – Potem zwróciła gniewne spojrzenie na Simona. – Ty też nie jesteś lepszy.

Na tym nie poprzestała. Uparła się, żeby przeszli do sali konferencyjnej bez okien. Zmiana miejsca. To musiała być psychologiczna sztuczka, choć Simon nie bardzo wiedział, na czym polega. Kiedy jednak weszli do nowego pomieszczenia, Hester w pełni przejęła kontrolę. Poleciała Fagbenle'owi zająć miejsce po jednej stronie długiego stołu, a sama, razem z Simonem, usiadła po drugiej.

Kiedy już wszyscy siedzieli, skinęła na policjanta i powiedziała:

– Dobra, do rzeczy.

– Simon...

– Proszę zwracać się do mojego klienta „panie Greene” – warknęła. – To nie jest pański kolega.

Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że Fagbenle zamierza się sprzeciwić, ale zaraz potem się uśmiechnął.

– Panie Greene. – Sięgnął do kieszeni i wyjął zdjęcie. – Zna pan tego mężczyznę?

Hester trzymała dłoń na przedramieniu Simona, który miał nie reagować ani nie odpowiadać, dopóki nie dostanie znaku. Jej ręka mu o tym przypominała.

Fagbenle pchnął fotografię po blacie.

Widniał na niej Aaron Corval. Drań miał na twarzy ten swój wredny uśmieszek, który Simon starł mu pięścią. Stał na jakimś polu, na tle drzew, obok kogoś, kogo obejmował i kto został przez Fagbenle'a odcięty – po lewej stronie widać było ramię tej osoby. Simon mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy tym kimś nie była Paige.

– Tak, znam – odpowiedział.

– Kto to jest?

– Nazywa się Aaron Corval.

– To chłopak pańskiej córki, tak?

Hester ścisnęła jego ramię.

– Nie do mojego klienta należy definiowanie tej relacji – odezwała się. – Proszę dalej.

Policjant wskazał palcem Aarona.

– Skąd pan zna tego mężczyznę?

– No, naprawdę. – Znowu włączyła się Hester.

– Coś nie tak, pani Crimstein?

– Owszem. Marnuje pan nasz czas.

– Pytam tylko...

– Stop. – Podniosła dłoń. – Kompromituje się pan. Wszyscy wiemy, że mój klient zna Aarona Corvala. Udawajmy, że swoimi sprytnymi, choć oczywistymi technikami śledczymi wprowadził pan pana Greene'a i mnie w stan odprężenia. Urobił pan nas, panie inspektorze, więc przejdźmy do sedna, dobra?

– Dobra, może być. – Fagbenle przechylił się nad stołem. – Zamordowany został właśnie Aaron Corval.

Simon spodziewał się tego, a jednak te słowa były dla niego jak cios.

– A co z moją córką...?

Hester znowu ścisnęła jego ramię.

– Nie wiemy, gdzie ona jest, panie Greene. A pan wie?

– Też nie.

– Kiedy widział ją pan ostatni raz?

– Trzy miesiące temu.

– Gdzie?

– W Central Parku.

– Wtedy, gdy napadł pan na Aarona Corvala?

– Chwileczkę – odezwała się Hester. – Wciąż tu jestem.

– Zapytam ponownie: coś nie tak?

– A ja ponownie odpowiem: zgadza się, coś nie tak. Nie podoba mi się pański dobór słów.

– Chodzi pani o użycie słowa „napaść” na określenie tego, co się stało?

– Właśnie.

Policjant odchylił się na oparcie krzesła i położył dłonie na stole.

– Rozumiem, że zarzuty zostały wtedy wycofane.

– Nie obchodzi mnie, co pan rozumie, a czego nie.

– Tak po prostu wycofane. Przy tylu dowodach. Ciekawe.

– Nie obchodzi mnie także, co uważa pan za ciekawe, a czego nie, inspektorze. I nie podoba mi się pański opis tamtego incydentu. Proszę zacząć od nowa.

– I kto komu teraz marnuje czas, pani mecenas?

– Czuwam tylko nad prawidłowym przebiegiem przesłuchania, ważniaku.

– Niech będzie. Rzekoma napaść. Incydent. Wszystko jedno. Czy pani klient może wreszcie odpowiedzieć na pytanie?

– Nie widziałem córki od tamtego zdarzenia w Central Parku, zgadza się.

– A Aarona Corvala? Jego pan widział.

– Też nie.

– Więc w ciągu ostatnich trzech miesięcy nie miał pan żadnego kontaktu z córką ani z panem Corvalem, tak?

– Słyszał pan – burknęła Hester.

– Niech pani klient sam odpowie.

– Tak.

Fagbenle uśmiechnął się.

– Wynika z tego, że pan i córka nie jesteście ze sobą w bliskich relacjach, co? Hester nie zamierzała tego tolerować.

– A pan co, psycholog rodzinny?

– To tylko uwaga. A co z pańską drugą córką, Anyą?

– A co ma być? – sprzeciwiła się prawniczka.

– Wcześniej pan Greene wspomniał, że on i Anya byli w domu sami przez całą noc.

– Co takiego?

– Tak powiedział pani klient.

Hester znowu rzuciła Simonowi gniewne spojrzenie.

– Panie Greene, koło ósmej ponownie wyprowadził pan psa na spacer, czy tak?

– Tak.

– Czy później któreś z was, pan albo córka, wychodziło z domu?

– Moment! – Hester pokazała na zegarek. – Prosimy o przerwę.

Policjant wyraźnie się zdenerwował.

– Chciałbym kontynuować przesłuchanie.

– A ja chciałabym wylizać Hugh Jackmana od stóp do głów – odcięła się prawniczka. – Więc oboje nas spotka rozczarowanie. – Wstała. – Proszę tu zostać, panie inspektorze. Zaraz wrócimy.

Wyciągnęła Simona z sali i powlokła w głąb korytarza, jednocześnie szukając czegoś w telefonie.

– Daruję sobie oczywiste upomnienia – rzuciła.

– A ja wyjaśnienie, że zacząłem się bronić, bo nie wiedziałem, czy ofiarą zabójstwa nie padła moja córka.

– To był wybieg.

– Zdaję sobie sprawę.

– Co się stało, to się nie odstanie – skwitowała prawniczka. – Co mu powiedziałeś? Chcę wiedzieć wszystko.

Simon zrelacjonował jej swoją wcześniejszą rozmowę z gliniarzem.

– Widziałeś, że przysłałam ci esemesa? – spytała Hester.

– Tak.

– Zanim wrócimy i palniemy jakąś głupotę, chcę, żeby mój człowiek dowiedział się wszystkiego o zabójstwie Corvala... kiedy, w jakich okolicznościach, jakim narzędziem i tak dalej. Nie jesteś idiotą, więc wiesz, o co chodzi naszemu eleganckiemu inspektorowi.

– Jestem podejrzany.

Pokiwała głową.

– Masz na koncie poważne „zajście” z ofiarą. – Hester pokazała palcami cudzysłów. – Nienawidziłeś go. Obwiniałeś o narkotykowe problemy córki. Więc owszem, jesteś podejrzany. Podobnie jak twoja żona. I cóż... Paige także. Ona chyba jest główną podejrzaną. Masz alibi na zeszły wieczór i noc?

– Jak powiedziałem, cały czas byłem w domu.

– Z...?

– Anyą.

– Hm, to na nic.

– Dlaczego?

– Gdzie konkretnie przebywała Anya?

– W swoim pokoju.

– Drzwi były otwarte czy zamknięte?

Simon zrozumiał, dokąd Hester zmierza.

– Zamknięte.

– To jeszcze dziecko, prawda? Zamknięte drzwi, pewnie jeszcze głośna muzyka w słuchawkach. Więc w każdej chwili mogłeś się wymknąć. O której Anya położyła się spać? Powiedzmy, że o jedenastej. Wtedy mogłeś wyjść. Czy w budynku są jakieś kamery?

– Tak. Ale to stara kamienica. Zawsze można niespostrzeżenie się wyślizgnąć.

Zadzwoił telefon Hester. Przytknęła go do ucha i powiedziała:

– Mów.

I ktoś zaczął mówić. Wtedy Hester zbladła. Nie odzywała się ani słowem. Przez bardzo długi czas. Kiedy wreszcie to zrobiła, jej głos brzmiał niezwykle łagodnie:

– Prześlij mi raport e-mailem.

Po czym się rozłączyła.

– Co?

– Nie posądzają cię o to zabójstwo. Wróc: nie mogą posądzać.

Rozdział 7

Ash patrzył, jak obiekt zajeżdża pod rozpadający się dom dla trzech rodzin.

– Ma cadillaca? – zapytała go Dee Dee.

– Na to wygląda.

– Czy to eldorado?

Dee Dee nie zamykały się usta.

– Nie.

– Na pewno.

– To ATS. Cadillac przestał produkować eldorado w dwa tysiące drugim.

– Skąd wiesz?

Ash wzruszył ramionami. Wiedział i już.

– Mój tata miał eldorado – dodała Dee Dee.

Ściągnął brwi.

– Twój tata?

– Myślisz, że go nie pamiętam?

Dee Dee od szóstego roku życia przebywała w rodzinach zastępczych. Ash został oddany do pierwszej, gdy miał cztery lata. Przez następnych czternaście lat zaliczył ich przeszło dwadzieścia. Dee Dee chyba podobnie. Trzy razy, łącznie na całe osiem miesięcy, wylądowali w tej samej.

– Oczywiście kupił używanego. Naprawdę używanego. Całe podwozie było przerdzewiałe. Ale uwielbiał ten samochód. Pozwalał mi siadać obok siebie, na przednim siedzeniu. Nie było pasów bezpieczeństwa. A skóra na fotelach? Cała popękana. Drapała mnie po nogach. Tak czy siak, tata głośno nastawiał radio i czasami do niego podśpiewywał. To najlepiej pamiętam. Mój stary miał dobry głos. Uśmiechał się i zaczynał śpiewać, puszczał wtedy kierownicę i kręcił nią samymi nadgarstkami, wiesz, o co chodzi?

Ash wiedział. Wiedział także, że tata kierował jedną ręką, a drugą wsadzał młodszej córce między nogi, ale nie była to odpowiednia pora, aby o tym przypominać.

– Tata kochał ten cholerny wóz – ciągnęła Dee Dee, wydymając usta. – Dopóki...

Nie mógł się powstrzymać.

– Dopóki co? – zapytał.

– Może to wtedy wszystko zaczęło się chrzanić. Kiedy tata dowiedział się prawdy o samochodzie.

Wzdrygał się za każdym razem, gdy mówiła „tata”.

Obiekt tymczasem wysiadł z auta. Był to przysadzisty facet w dżinsach, wysłużonych podrabianych timberlandach i flanelowej koszuli. Miał brodę i nosił czapkę bejsbolówkę w barwach bostońskiej drużyny Red Soxów, za małą na jego łeb, który przypominał dynię.

Ash wskazał go ruchem głowy.

– To on?

– Zdaje się, że tak. Jaki mamy plan?

Obiekt otworzył tylne drzwi cadillaca, z którego wysiadły dwie dziewczynki z jaskrawozielonymi szkolnymi plecakami. Jego córki. Ash to wiedział. Wyższa, Kelsey, miała dziesięć lat. Młodsza, Kiera – osiem.

– Poczekamy.

Siedział na miejscu kierowcy, Dee Dee obok niego. Nie widział jej trzy lata. Już myślał, że umarła, dopóki niedawno znowu się nie spotkali. Sądził, że będą czuli się ze sobą dziwnie: za dużo minęło czasu, za wiele się wydarzyło. Ale szybko się zgrali.

– Więc co się stało? – zapytał.

– Z czym?

– Z tamtym eldorado twojego starego. Co było nie tak? Czego takiego się o nim dowiedział?

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Zaczęła się wiercić na siedzeniu.

– Nie musisz mówić.

– Ale chcę – odparła.

Oboje spoglądali przez przednią szybę na dom obiektu. Ash położył rękę na biodrze, gdzie trzymał pistolet. Dostał instrukcje. Nie miał pojęcia, co ten

przysadzisty gość takiego zrobił (co zrobił każdy z listy), ale czasami lepiej za dużo nie wiedzieć.

– Wybraliśmy się na obiad do eleganckiej restauracji – zaczęła Dee Dee. – To było tuż przed śmiercią babci. Więc ona płaciła. Tata przepadał za stekami. Zawsze. Nie znosił ryb. Naprawdę nie znosił.

Ash nie mógł się zorientować, dokąd ta opowieść zmierza.

– Więc podchodzi kelner i zaczyna wyliczać specjalności dnia. Ma ze sobą czarną tablicę i te wszystkie dania są na niej wypisane kredą. Śmieszne, co?

– No.

– Dochodzi do ryby i z tym swoim dziwnym akcentem mówi: „Szef kuchni bardzo poleca...”. Tu wskazuje tablicę jak samochód z *Dobrej ceny* i ciągnie: „... grillowaną doradę z orzechami i pesto z zielonej pietruszki”.

Ash obrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Można by przypuszczać, że czas, zwłaszcza po tym, co przeżyła, nie obejdzie się z nią łaskawie, a jednak wyglądała piękniej niż zwykle. Złote włosy miała zaplecione w gruby warkocz spływający na plecy. Usta pełne, skórę bez skazy. Zielone oczy w kolorze szmaragdu, który wszyscy przypisywali soczewkom kontaktowym albo jakimś innym babskim sztuczkom.

– Wtedy tata prosi kelnera, żeby to powtórzył, nazwę ryby, a kiedy ten powtarza, tata...

O rany, Ash wolałby, żeby nie nazywała tak swojego starego.

– ...tata zaczyna się pieklić. Wybiega z knajpy. Po drodze przewraca krzesła i tak dalej. Bo widzisz, jego samochód, ten szpanerski wóz... został nazwany od ryby! Tata nie mógł tego znieść, rozumiesz?

Ash popatrzył na nią.

– Mówisz poważnie?

– Pewnie, że tak.

– Ale on nie został nazwany od ryby.

– Jak to, nigdy nie słyszałeś o doradzie?

– Słyszałem, ale El Dorado to legendarne złote miasto w Ameryce Południowej.

– Ale także ryba, no nie?

Nie odpowiedział.

– Ash?

– No. – Westchnął. – Tak, ryba też.

Obiekt wyszedł z domu. Ruszył w stronę garażu.

– Każdego trzeba załatwić inaczej? – zapytał.

– Nie wiem, czy inaczej, ale tak, żeby tych przypadków nie dało się skojarzyć. Czyli nie może być tak jak w Chicago. Mimo to miał duży wybór.

– Obserwuj dom – polecił.

– Nie pójdę z tobą tym razem? – Sprawiała wrażenie urażonej.

– Nie. Usiądź za kierownicą. Nie gaś silnika. Patrz na drzwi frontowe. Jeśli ktoś zza nich wyjdzie, zadzwoń do mnie.

Nie powtórzył instrukcji. Obiekt wszedł do garażu. Ash ruszył za nim.

Oto co wiedział o obiekcie. Nazwisko: Kevin Gano. Od dwunastu lat żonaty ze swoją dziewczyną ze szkoły średniej, Courtney. Mieszkali z dwójką dzieci na ostatnim piętrze dwurodzinnego domu – który w rzeczywistości okazał się trzyrodzinnym – przy Devon Street w Revere, w stanie Massachusetts. Przed sześcioma miesiącami Kevin został zwolniony z pakowni mięsa Alston w Lynn, w której pracował przez siedem lat. Szukał nowej pracy, ale bez skutku, więc w ostatnim miesiącu Courtney musiała wrócić do roboty jako recepcjonistka w biurze podróży przy Constitution Avenue.

Kevin, żeby do czegoś się przydać, codziennie o drugiej po południu odbierał dziewczynki ze szkoły. Dlatego był w domu, gdy w okolicy, zamieszkaney przez klasę robotniczą, panowały cisza i spokój.

Kiedy Ash się zbliżył, Kevin stał przy warsztacie i rozkręcał odtwarzacz DVD albo Blu-ray. Podniósł głowę i rzucił mu przyjacielski uśmiech. Ash zrewanżował się tym samym i wycelował w niego pistolet.

– Jeśli będziesz cicho, wszystko dobrze się skończy.

Wkroczył do garażu i zamknął za sobą drzwi. Wciąż miał Kevina na muszce i nie spuszczał z niego wzroku. Ten trzymał śrubokręt.

W prawej ręce.

– Czego chcesz?

– Odłóż ten śrubokręt, Kevin. Jeśli będziesz współpracować, nikomu nic się nie stanie.

– Gówno prawda – odparł tamten.

– Co?

– Pokazujesz mi swoją twarz.

Bystrzak.

– Jestem w przebraniu. Spokojnie.

– Gównu prawda – powtórzył Kevin. Zerknął ku drzwiom, jakby zamierzał rzucić się w tamtą stronę.

– Kelsey i Kiera – powiedział Ash.

Słyszając imiona córek, mężczyzna znieruchomiał.

– To może się skończyć dwojako. Jeśli zaczniesz uciekać, zastrzelę cię. A potem upozoruję wszystko tak, żeby wyglądało na nieudane włamanie. To znaczy, że wejdę do domu. Co robią Kelsey i Kiera, Kevin? Odrabiają lekcje? Oglądają telewizję? Jedzą coś dobrego? Wszystko jedno. Wejdę do środka i zrobię coś takiego, czego i tak nie chciałbyś dożyć.

Kevin ze łzami w oczach pokręcił głową.

– Proszę, nie.

– Albo – ciągnął Ash – rzucisz zaraz ten śrubokręt.

Kevin wypełnił polecenie. Narzędzie upadło na betonową podłogę.

– Nie rozumiem. Nigdy nic nikomu nie zrobiłem. Dlaczego mnie to spotyka?

Ash wzruszył ramionami.

– Proszę, nie krzywdź moich córek. Będę posłuszny. Tylko nie... – Kevin przełknął ślinę i nieco się wyprostował. – Więc... co dalej?

Ash wszedł dalej i przytknął mu lufę do skroni. Kevin zamknął oczy tuż przed tym, jak Ash pociągnął za spust.

Huk podniósł się echem po garażu i ucichł. Ash wątpił, żeby ktokolwiek na zewnątrz zwrócił uwagę na ten dźwięk.

Kevin nie żył, zanim jeszcze osunął się na podłogę.

Ash działał szybko. Wetknął mu broń do ręki i ponownie pociągnął za spust, strzelając w ziemię. Teraz na dłoni będą ślady prochu. Z tylnej kieszeni mężczyzny wyjął telefon i odblokował go jego palcem. Potem szybko przewinął kontakty, szukając numeru żony.

Imię Courtney oznaczone było dwoma serduszkami.

Serduszka. Kevin umieści je przed imieniem żony i po nim.

Ash wystukał:

Przepraszam. Proszę, wybacz mi.

Wcisnął WYŚLIJ, rzucił telefon na stół i ruszył z powrotem do samochodu.

Bez pośpiechu. Nie idź za szybko.

Według jego kalkulacji szanse, że cała sprawa zostanie uznana za samobójstwo, wynosiły osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć procent. Rana postrzałowa głowy: na prawej skroni ofiary – tu strzeliłaby sobie w łeb osoba praworęczna. Dlatego właśnie Ash zwrócił uwagę, w której dłoni Kevin trzymał śrubokręt. Pożegnalny esemes. Broń w ręce. Drugi strzał będzie wyglądał, jakby Kevin raz spróbował, stchórzył i zmusił się do zakończenia sprawy.

Czyli pewnie wszyscy kupią wersję o samobójstwie. Na osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć procent, może nawet dziewięćdziesiąt, jeśli się weźmie pod uwagę, że Kevin był bez pracy i być może miał z tego powodu depresję. Jeśli jakiś gliniarz okazałby się dociekliwy albo naoglądałby się *Kryminalnych zagadek Las Vegas*, mógłby dostrzec, że pewne rzeczy nie trzymają się kupy. Na przykład że nie było dostatecznie dużo czasu, aby Kevin mógł się podnieść przed oddaniem drugiego strzału, więc gdyby jakiś technik zadał sobie trud i zbadał trajektorię pocisku, stwierdziłby, że strzał padł tuż nad podłogę.

Ktoś mógł też zauważyć Asha albo samochód. Co dałoby do myślenia.

Ale wszystko to było raczej wątpliwe.

Tak czy owak, wtedy on i Dee Dee będą już daleko. Wóz zostanie wypucowany i porzucony. Nie doprowadzi do nich żaden trop.

Ash znał się na tej robocie.

Wsiadł na miejsce dla pasażera. W okolicznych domach nie drgnęła ani jedna zasłona. Nie otworzyły się ani jedne drzwi. Nie przejechał żaden samochód.

– Czy on...? – zapytała Dee Dee.

Ash potwierdził.

Dee Dee uśmiechnęła się i ruszyła drogą przed siebie.

Rozdział 8

Kiedy Simon wrócił do domu, Ingrid przywitała go już przy drzwiach. Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Właśnie walnęłam się do łóżka, gdy przyjechała policja – powiedziała.

– Wiem.

– Nagle dzwonek do drzwi. Nie mogłam się obudzić. Myślałam, że to dostawca, ale zawsze mnie w tym wyręczają.

Miała na myśli odźwiernych w budynku. Ingrid pracowała na jednym nocnym dyżurze tygodniowo. Odźwierni wiedzieli, że następnego dnia odsypia, więc jeśli były jakieś dostawy, zatrzymywali je na dole. Simon zabierał paczki na górę, kiedy o wpół do siódmej wracał z pracy.

– Wciągnęłam na siebie jakiś dres. Gliniarz wszedł na górę. Pytał mnie o alibi. Jakbym była podejrzana.

Simon, oczywiście, już o tym wiedział. Żona skontaktowała się z nim, gdy tylko odźwierny ją powiadomił, kto chce się z nią zobaczyć. Hester wysłała kolegę z firmy, żeby był z Ingrid podczas przesłuchania.

– I właśnie dzwoniła do mnie Mary z oddziału ratunkowego. Policjanci pojechali do szpitala, żeby potwierdzić, czy rzeczywiście tam byłam. Możesz w to uwierzyć?

– Mnie także pytali o alibi – odparł Simon. – Zdaniem Hester to rutynowe postępowanie.

– Nie rozumiem przyczyny. Co się właściwie stało? Aaron został zabity?

– Zamordowany, tak.

– A gdzie jest Paige?

– Nikt tego nie wie.

Laszlo zaczęła drapać Simona po nodze. Oboje z żoną opuścili wzrok i spojrzeli w wierne oczy psa.

– Wyprowadźmy ją na spacer – zaproponował Simon.

Pięć minut później przecięli Central Park Zachodnią przy Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy. Laszlo, ciągnąc, szarpała się na smyczy. Po lewej stronie znajdował się mały kolorowy plac zabaw, niby na widoku, a jednak nieco ukryty. W innym życiu, a przecież nie tak dawno, przyprowadzali tu dzieci: Paige, potem Sama i wreszcie Anyę, żeby się pobawiły. Siadali na ławce (mogli obserwować cały plac prawie bez obracania głowy!) i czuli się bezpiecznie pośrodku wielkiego parku w wielkim mieście, niespełna przecnicę od domu.

Minęli Tavern on the Green, słynną restaurację, i skręcili w prawo, na południe. Obok nich przebiegła grupa uczniów w żółtych koszulkach, łatwo dostrzegalnych podczas wycieczek. Simon odczekał, aż znaleźli się z żoną poza zasięgiem ich słuchu.

– To zabójstwo... – odezwał się. – Było makabryczne.

Ingrid miała na sobie długi cienki płaszcz. Wsadziła ręce do kieszeni.

– Mów.

– Aaron został okaleczony.

– W jaki sposób?

– Naprawdę chcesz znać szczegóły? – zapytał.

Niemal się uśmiechnęła.

– Dziwne – rzuciła.

– Co takiego?

– Ledwie możesz oglądać sceny przemocy w filmach dozwolonych od siedemnastego roku życia – zauważyła.

– A ty jesteś lekarką, która na widok krwi ani mrugnie – dokończył za nią. – Ale może już lepiej rozumiem, jak to działa.

– No?

– To, o czym dowiedziałem się od Hester... nie przyprawiło mnie o mdłości. Może dlatego, że wydarzyło się w prawdziwym życiu. I trzeba się z tym zmierzyć. Jak ty z pacjentem na oddziale ratunkowym. W kinie albo przed telewizorem masz ten luksus, że możesz odwrócić głowę. W realu natomiast...

Urwał.

– ...opancerzasz się – dopowiedziała Ingrid.

– Czyli powoli tępiejesz, wiem. Według informatora Hester zabójca poderżnął Aaronowi gardło, chociaż ona mówi, że to łagodne określenie. Nóż

wszedł głęboko w szyję. Niemal pozbawiając go głowy. Odcięto mu także trzy palce. Oraz...

- Przed śmiercią czy po? – zapytała Ingrid rzeczowym tonem.
- Słucham?
- Te okaleczenia. Dokonano ich, kiedy jeszcze żył?
- Nie wiem – odparł Simon. – Czy to ma jakieś znaczenie?
- Być może.
- Nie nadążam.

Laszlo się zatrzymała i na przywitanie obwąchała przechodzącemu collie tyłek.

– Jeśli Aaron jeszcze żył, niewykluczone, że ktoś chciał przez tortury wydobyć z niego jakieś informacje – wyjaśniła Ingrid.

- Ale jakie?
- Nie mam pojęcia. Nikt jednak nie może znaleźć naszej córki.
- Chyba nie podejrzewasz...?
- Nie podejrzewam niczego – ucięła.

Oboje przystanęli. Spojrzeli na siebie i na krótką chwilę, mimo tych wszystkich przechodniów, mimo koszmaru, przez który przechodzili, Simon utonął w jej oczach, a Ingrid – w jego. Kochali się. Proste, ale na tym to polega. Oboje pracujecie zawodowo, wychowujecie razem dzieci, zaliczacie zwycięstwa i porażki i tak upływa wam życie, długie dni, krótkie lata, aż tu raz na jakiś czas przypominasz sobie, żeby unieść głowę i spojrzeć na swojego partnera, naprawdę spojrzeć na tego, kto podąża przy twoim boku tą samotną drogą, i wtedy sobie uświadamiasz, że nie jesteś sam.

– Dla policji – podjęła Ingrid – Paige to bezwartościowy śmieć. Nie będą jej szukać, a jeśli nawet, to tylko po to, żeby ją zatrzymać i wykorzystać jako narzędzie albo jeszcze gorzej.

Simon pokiwał głową.

- Więc wszystko w naszych rękach.
- Tak. Gdzie Aaron został zamordowany?
- W ich wspólnym mieszkaniu w Mott Haven.
- Znasz adres?

Przytaknął. Hester mu go dała.

- Tam możemy zacząć – oznajmiła Ingrid.

• • •

Kierowca ubera, imieniem Ahmed, podjechał pod dwie betonowe bariery przegradzające ulicę jak w strefie wojennej.

– Dalej nie mogę. – Odwrócił głowę i marszcząc czoło, spytał Simona: – Jest pan pewny, że to tutaj?

– Tak.

Ahmed wyraźnie powątpiewał.

– Jeśli jest pan zainteresowany kupnem, znam bezpieczniejsze miejsce...

– Nie, dzięki – włączyła się Ingrid.

– Nie chciałem państwa obrazić.

– I nie obraził pan – odparł Simon.

– Nie da mi pan z tego powodu jednej gwiazdki, co?

– Zasluguje pan na wszystkie pięć – uspokoił go Simon, otwierając tylne drzwi.

– Dalibyśmy panu sześć, gdyby to było możliwe – dodała Ingrid.

Wysiedli z toyoty. Simon miał na sobie szary dres i trampki, Ingrid – dzinsy i sweter. Oboje nosili bejsbolówki, ona z klasycznym emblematem New York Yankees, nachodzącymi na siebie literami N i Y, on z logo klubu golfowego; była to pamiątka z imprezy dobroczynnej. Wszystko dyskretne, nierzucające się w oczy, żeby mogli wtopić się w tło, co nie bardzo się udawało.

Czterokondygnacyjny budynek bez windy, z sypiących się cegieł, nie tyle się rozpadał, ile rozkruszał, rozchodził w szwach jak stary płaszcz. Schody przeciwpożarowe sprawiały wrażenie, jakby miały się zawalić przy najlżejszym nacisku, więcej w nich było rdzy niż metalu i skłaniały do zastanowienia, czy ewentualne oparzenie nie byłoby gorsze od tęcza. Na chodniku, na czarnych plastikowych workach ze śmieciami, leżał sfatygowany materac, zbijający je w bezkształtną masę. Wejście od frontu wyglądało, jakby się sypało. Drzwi w kolorze metalicznej szarości były pokryte ozdobnym literniczym graffiti. Obok, w wysokich chwastach, poniewierały się części samochodowe i stare opony, a całość, z jakiegoś dziwnego powodu, otaczał całkiem nowy łańcuch zwieńczony ostrym jak brzytwa drutem – jakby ktoś chciał ukraść coś z tych rzeczy. Budynek po prawej stronie, kiedyś być może dumna kamienica o elewacji z piaskowca, miał w oknach płyty ze sklejk, które przydawały mu smutku i rozpacz. Na ten widok Simona znowu rozboleło serce.

Tu mieszkała Paige, jego dziewczynka.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Ingrid. Ona także z cierpieniem na twarzy przyglądała się budynkowi. Jej wzrok powędrował w górę, nad dachami, ku pobliskim wieżowcom komunalnym.

– I co teraz? – zapytał Simon.

Ingrid rozejrzała się.

– Nie przemyśleliśmy tego, co?

Podeszła do wejścia ozdobionego graffiti, bez wahania przekręciła gałkę i mocno pchnęła drzwi. Otworzyły się niechętnie. Kiedy wkroczyli do czegoś, co kiedyś pewnie szczyliło się nazwą foyer, otoczył ich zastały ostry zapach, mieszanina stęchlizny i zgnilizny. Goła żarówka zwisająca z sufitu dostarczała światła o mocy co najwyżej dwudziestu pięciu watów.

I ona tu mieszkała, skonstatował Simon. Paige mieszkała w takim miejscu.

Pomyślał o wyborach życiowych, o złych decyzjach i rozwidleniach dróg, a także o tym, jakie zdarzenia, jakie zasuwane drzwi doprowadziły Paige do tej nory. To była jego wina, czyż nie? Oczywiście, że do pewnego stopnia tak. Efekt motyla. Zmień jedno, a zmienisz wszystko. Te niekończące się „co by było, gdyby...”. Żeby tylko mógł cofnąć czas! Paige pragnęła pisać. Gdyby wysłał jeden z jej tekstów znajomemu z redakcji miejscowego magazynu literackiego, tego funkcjonującego dzięki dotacjom, i doprowadził do jego publikacji... Czy wtedy skupiłaby się na twórczości? Paige nie dostała się na Columbię. Gdyby bardziej nacisnął na swoją Alma Mater, poprosił więcej dawnych kolegów, żeby skontaktowali się z działem rekrutacji? Teść Yvonne zasiadał w zarządzie Williamsa. Mogła pociągnąć za sznurki, gdyby wywarł na nią presję. To były tylko te duże sprawy. A przecież i drobne mogły wpłynąć na bieg wydarzeń. Paige chciała mieć w akademiku kota, ale on się na to nie zgodził. Pokłóciła się z Merilee, swoją najlepszą przyjaciółką w siódmej klasie, a on jako ojciec nie zrobił nic, żeby załagodzić konflikt. Lubiła cheddar do kanapki z indykiem, ale Simon czasami o tym zapominał i wkładał inny ser.

W ten sposób jednak można doprowadzić się do obłędu.

Była taką dobrą dziewczynką. Najlepszą córką na świecie. Nie sprawiała kłopotów, a jeśli tak się zdarzyło, zaraz zaczynała płakać i Simon nie potrafił jej ukarać. A może powinien był. Może to by pomogło. Tylko że tak łatwo było doprowadzić ją do łez i on to przeżywał, bo prawda była taka, prawda, do której nie miał odwagi się przyznać, że on także był skłonny do płaczu – zbyt skłonny!

– i gdy do oczu napływały mu łzy, udawał, że coś jest nie tak z jego szklami kontaktowymi albo że ma jakąś wyimaginowaną alergię, po czym wychodził z pokoju. Może gdyby był szczery, byłoby jej łatwiej, miałyby świadomość, że coś łączy ją z ojcem, który jednak wolał podtrzymywać fikcję, trwać w jakimś głupim przekonaniu, że skoro tata nie płacze, może czuć się bezpieczna, chroniona. Ona jednak przez to czuła się jeszcze bardziej bezbronna.

Ingrid wstąpiła już na odrapane schody. Gdy tylko uświadomiła sobie, że Simon za nią nie idzie, odwróciła się i spytała:

– Dobrze się czujesz?

Otrząsnął się z obsesyjnych myśli, kiwnął głową i podążył za nią.

– Drugie piętro – rzucił. – Pod B.

Na pierwszym półpiętrze znajdowały się resztki czegoś, co kiedyś było zapewne kanapą. Piętrzyły się tam zgniecione puszki po piwie i przepełnione popielniczki. Kiedy ruszyli na następną kondygnację, Simon spojrzał w głąb korytarza. Na końcu stał chudy czarnoskóry mężczyzna w koszulce bokserskiej i wytartych dżinsach. Miał siwą brodę, tak gęstą i kędzierzawą, że wyglądał, jakby jadł owcę.

Na drugim piętrze zobaczyli żółtą taśmę z napisem MIEJSCE PRZESTĘPSTWA. NIE PRZEKRACZAĆ, przyklejoną ukośnie na ciężkich metalowych drzwiach z literą B. Ingrid nie zawahała się, nawet nie zwolniła kroku. Ujęła gałkę i spróbowała ją przekręcić.

Daremnie.

Cofnęła się i ustąpiła miejsca Simonowi. On także usiłował otworzyć drzwi. Obrócił gałkę raz i drugi, pociągnął, pchnął.

Zamknięte.

Otoczające ich ściany były w takim stanie, że pewnie mógłby przebić pięścią jedną z nich, zrobić dziurę i przez nią dostać się do mieszkania, ale drzwi nie zamierzały ustąpić.

– Hej.

To jedno zwykłe słowo wypowiedziane neutralnym tonem przeszło powietrze niczym strzał. Simon i Ingrid podskoczyli i szybko się odwrócili. Za nimi stał chudy czarny facet z owczą brodą. Simon poszukał wzrokiem drogi do wyjścia. Nie było innej niż ta, którą przyszli i którą teraz blokował tamten.

Nieświadomie Simon powoli zrobił krok do przodu, żeby stanąć przed Ingrid i ją zasłonić.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Wszyscy troje stali nieruchomo w brudnym korytarzu. Ktoś piętro wyżej włączył muzykę z głośnymi dudniącymi basami i wściekłym głosem wokalisty.

Wówczas mężczyzna rzucił:

– Szukacie Paige.

To nie było pytanie.

– Ty... – Podniósł rękę i wskazał kościstym palcem na Ingrid. – Jesteś jej matką.

– Skąd pan wie? – chciała wiedzieć.

– Jest pani do niej bardzo podobna. Czy raczej ona jest podobna do pani? – Poglądził się po brodzie. – Zawsze mi się to myli.

– Wie pan, gdzie ona jest? – spytał Simon.

– Po to tu przyszliście? Po nią?

Ingrid nieznacznie zbliżyła się do faceta.

– Tak. Wie pan, gdzie można ją znaleźć?

Pokręcił głową.

– Przykro mi.

– Ale zna ją pan?

– Taaa, znam. Mieszkam tuż pod nimi.

– A ktoś mógłby wiedzieć? – nie dawał za wygraną Simon.

– Ktoś?

– Przyjaciel.

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Ja jestem jej przyjacielem.

– Więc może jeszcze inny.

– Nie sądzę. – Wskazał brodą w stronę drzwi. – Chcecie dostać się do środka?

Simon spojrział na Ingrid.

– Tak – odparła. – Właśnie zamierzaliśmy sprawdzić...

Brodacz zmrużył oczy.

– Co takiego?

– Prawdę mówiąc, sami nie wiemy – przyznała Ingrid.

– Pragniemy ją odnaleźć – dodał Simon.

Facet znowu pogłaskał swoją owczą brodę, pociągając za jej koniec, jakby chciał ją wydłużyć.

– Mogę was wpuścić – powiedział.

Wsadził rękę do kieszeni i wyjął klucz.

– Jak to, więc pan...?

– Już mówiłem, jestem jej przyjacielem. Nie macie kumpla, któremu daliście klucze na wypadek, gdybyście się zatrzasnęli albo coś? – Podszedł do nich. – Jeśli gliny się wściekną z powodu porwanej taśmy, zrzucę winę na was. No, już, wchodzimy do środka.

• • •

Mieszkanie było klaustrofobiczną klitką, miało o połowę mniejszą powierzchnię niż pokój Paige w akademiku. Znajdowały się w nim tylko dwa pojedyncze materace: jeden leżał na podłodze po prawej stronie, drugi stał oparty o ścianę po lewej. Same materace. Żadnych łóżek. Żadnych mebli.

W kącie po prawej tkwiła gitara należąca do Paige. Obok spoczywały ubrania dziewczyny, w trzech stertach. Wszędzie panował bałagan, ale jej rzeczy były porządnie złożone. Simon popatrzył na nie. Ingrid wzięła go za rękę i uściśnęła. Paige zawsze dbała o swoje ciuchy.

Po lewej stronie dostrzegli na deskach plamę wyschniętej krwi.

– Nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy... wasza córka – odezwał się czarny mężczyzna. – Tylko sobie samej.

Ingrid zwróciła na niego spojrzenie.

– Jak ma pan na imię?

– Cornelius.

– A ja Ingrid. To ojciec Paige, Simon. Ale mylisz się, Corneliusie.

– Z czym?

– Skrzywdziła nie tylko siebie.

Cornelius zastanowił się nad tym, a potem skinął głową.

– Racja, Ingrid. Ale to dobra dziewczyna. Mimo wszystko. Graliśmy razem w szachy. – Napotkał wzrok Simona. – Mówiła, że to ty nauczyłeś ją w nie grać.

Simon bezgłośnie potwierdził, bo się bał, że zawiedzie go głos.

– Uwielbiała chodzić na spacer z Chloe. To mój pies. Cocker-spaniel. Mówiła, że w domu też ma psa, sukę. I że za nią tęskni. Rozumiem, że Paige was skrzywdziła, ale nie miała złych intencji. Widziałem to już nieraz i jeszcze nieraz zobaczę. To przez diabła... który w ciebie wstępuje. Maca i dźga, aż znajdzie twoje słabe miejsce, a wtedy przedostaje się przez skórę i wnika do

krwi. Może to być alkohol. Hazard. Albo choroba, jak rak czy coś takiego. Przemoc, muza, dragi, co tam chcecie. To wszystko diabeł w różnych postaciach.

Odwrócił się i spojrzał na plamę krwi.

– Diabeł może też być człowiekiem – dodał.

– Przypuszczam, że znałeś Aarona? – zagadnął Simon.

Cornelius dalej wpatrywał się w krew.

– Cała ta moja gadka o diable przedostającym się do krwiobiegu...

– Tak? – zachęciła go Ingrid.

– On czasami nie musi nawet macać ani dźgać. Bo robi to za niego człowiek.

– Spojrzał na nich. – Nie życzę nikomu śmierci, ale mówię wam... były takie dni, kiedy tu przychodziłem, a on był taki nawalony, Paige też, leżeli w smrodzie... i gdy tak na niego patrzyłem, na to, do czego doprowadził, fantazjowałem, że...

Umilkł.

– Rozmawiałaś z policją? – zapytała Ingrid.

– Oni rozmawiali ze mną, ale nie miałem im nic do powiedzenia.

– Kiedy ostatnim razem widziałaś Paige?

Cornelius się zawahał.

– O to samo chciałem spytać was.

– Co masz na myśli?

Z korytarza dobiegł hałas. Cornelius wytknął głowę za drzwi. Wlokła się ku nim para młodych ludzi. Obejmowali się tak mocno ze sobą spleceni, że trudno było orzec, do kogo należy która ręka czy noga.

– Cornelius – zwrócił się do niego chłopak z lekkim zaśpiewem w głosie. – Co się dzieje, facet?

– Wszystko w porządku, Enrique. Jak się masz, Candy?

– Uwielbiam cię, Cornelius.

– Ja ciebie też.

– Sprzątasz tę norę? – zapytał Enrique.

– Nie. Tylko sprawdzam, czy wszystko gra.

– Gość był dupkiem.

– Enrique! – skarciła go Candy.

– No co?

– On nie żyje.

– To teraz jest martwym dupkiem. Lepiej?

Enrique zajrzał przez drzwi do mieszkania i na widok Ingrid i Simona zapytał:

– Kto tam z tobą jest?

– Tylko para glin – odparł Cornelius.

Ta informacja od razu wpłynęła na ich zachowanie. Wyprostowali się i zmienili postawę.

– Eee... miło poznać – rzuciła Candy.

Rozłączyli się i ruszyli dalej szybszym krokiem, po czym weszli do mieszkania na końcu korytarza. Cornelius miał na twarzy uśmiech, dopóki para nie zniknęła z pola widzenia.

– Cornelius?

– Co?

– Kiedy widziałeś Paige po raz ostatni?

Odwrócił się powoli, obejmując spojrzeniem smutny pokój.

– Tego, co wam mówię – zaczął – z oczywistych powodów nie powiedziałem policji.

Simon i Ingrid czekali.

– Musicie zrozumieć. Trochę podkolorowałem, opowiadając, jaka Paige była miła dla Chloe i dla mnie. Nie jest z nią dobrze. To ćpunka. Kiedy u mnie bywała... jak wtedy, gdy przychodziła zagrać w szachy albo poprosić o coś do jedzenia... prawdę mówiąc, choć głupio mi się do tego przyznać, miałem ją na oku. Wiecie, o co mi chodzi? Zawsze się bałem, że coś ukradnie, bo ćpun to ćpun.

Simon wiedział. Ich także Paige okradała. Z jego portfela zniknęła gotówka. Kiedy zginęło także kilka sztuk biżuterii należącej do Ingrid, Paige w występie godnym Oscara twierdziła, że jest niewinna.

„Ćpun to ćpun”.

Ćpunka.

Jego córka była ćpunką. Simon nigdy nie pozwolił sobie powiedzieć tego na głos, ale teraz, gdy to słowo padło z ust Corneliusa, zabrzmiało strasznie.

– Spotkałem Paige dwa dni przed śmiercią Aarona. Na dole, przy drzwiach frontowych. Zbiegała po schodach. Tak że niemal z nich spadła. Jakby ktoś ją gonił. Pomyślałem, że zaraz się wywali, tak pędziła.

Cornelius podniósł głowę i spojrzał przed siebie, jakby wciąż miał ten obraz przed oczami.

– Wyciągnąłem ręce, żeby w razie czego ją złapać. – Podniósł dłonie i pokazał. – Zawołałem do niej. Ale ona przemknęła obok mnie i wypadła na dwór. Nawet nie zwolniła. To zdarzało jej się nieraz.

– Co się zdarzało? – zapytała Ingrid.

Cornelius skupił na niej wzrok.

– Że po prostu przebiegała obok. Bywała tak zamroczona, że nawet nie wiedziała, kim jestem. Wielokrotnie tak wypadła na ten pusty teren w sąsiedztwie. Widzieliście go po drodze?

Oboje przytaknęli.

– Jest otoczony drutem, ale z boku znajduje się przejście. Szła tamtędy po towar do Rocca.

– Rocca?

– Dealera narkotyków. Aaron dla niego pracował.

– To Aaron rozprawdzał narkotyki? – zapytała Ingrid.

Cornelius uniósł brew.

– Jesteście zdziwieni?

Simon i Ingrid wymienili spojrzenia. Nie, nie byli zdziwieni.

– Kiedy ćpun potrzebuje działki, możecie postawić przed nim mur złożony z zawodników futbolu amerykańskiego, a on i tak się przez niego przedrze. Chcę powiedzieć, że nie to... nie takie jej zachowanie... wydało mi się dziwne.

– A co? – zapytał Simon.

– Wyglądała na pobitą.

Simon poczuł, że krew uderza mu do głowy. Kiedy się odezwał, własny głos wydał mu się odległy.

– Pobitą?

– Miała siniaki i ślady krwi. Jakby dostała w twarz... i nie tylko.

Simon zacisnął dłonie. Wezbrał w nim gniew, zalewający falą gorąca całe ciało. Narkotyki, ćpuny, wyniszczenie, cała reszta; musiał albo stawić temu czoło, albo odciąć się od tego.

Ktoś jednak pobił jego dziewczynkę.

Wyobraził to sobie: brutalną rękę zaciskającą się w pięść – jak jego własna – a potem biorącą zamach pod skrzywioną twarzą i uderzającą jego bezbronną córkę.

Przepęlniła go dzika złość, wściekłość, wręcz furia.

Gdyby zrobił to Aaron i gdyby żył i stał przed nim, Simon zabiłby go bez chwili wahania, bez zastanowienia. Bez żalu. I poczucia winy.

Załatwiłby go na amen.

Poczuł na ramieniu dłoń Ingrid, jej ciepły dotyk, być może stanowiący próbę przywołania go do rzeczywistości.

– Rozumiem cię – skomentował Cornelius, patrząc mu prosto w oczy.

– I co zrobiłeś? – zapytał go Simon.

– A kto mówi, że coś zrobiłem?

– Powiedziałeś, że mnie rozumiesz.

– To nie znaczy, że od razu przystąpiłem do działania. Nie jestem jej ojcem.

– Więc wzruszyłeś ramionami i wróciłeś do swoich spraw?

– Może.

Simon pokręcił głową.

– Nie puściłbyś czegoś takiego płazem.

– Nie zabiłem go – sprzeciwił się Cornelius.

– Gdybyś zabił, nikt by się o tym nie dowiedział – zauważył Simon.

Tamten zerknął na Ingrid, która kiwnęła głową na potwierdzenie.

– Opowiedz wszystko do końca – poprosiła.

Cornelius pogmerał w siwej brodzie. Rozejrzał się po pokoju, krzywiąc usta, jakby właśnie tu wszedł i zobaczył całą tę nędzę i brud.

– Dobra, poszedłem na górę.

– I?

– I zapukałem do drzwi. Były zamknięte. Więc wyjąłem swój klucz. Jak dzisiaj. Stałem w progu...

Muzyka na górze ucichła. W pokoju zapanowała całkowita cisza.

Cornelius spojrział na materac po prawej.

– Tu leżał Aaron. Nawalony do nieprzytomności. Smród był taki, że ledwie mogłem oddychać. Chciałem stąd wybiec, zapomnieć o całej sprawie. – Urwał.

– I co dalej?

– Obejrzałem jego knykcie.

– Słucham?

– Knykcie prawej ręki. Były obtarte. Od niedawna. Czyli wszystko się zgadzało. Żadna niespodzianka. To on ją pobił. Więc stanąłem nad nim.

Znowu przerwał. Tym razem zamknął oczy.

– Jak już mówiłem, nieraz o tym fantazjowałem. Może... może, gdybym miał okazję, posunąłbym się dalej. Sam nie wiem. Gdyby ten ćpun był przytomny. Gdyby był przytomny i próbował się tłumaczyć. Może wtedy bym nie wytrzymał. Rozumiecie, co chcę powiedzieć? Stałem więc tu i patrzyłem w dół, na tego śmiecia. I może tym razem, właśnie po tym, co widziałem, zrobiłbym coś więcej, niż tylko pokręcił głową i poszedł sobie.

Otworzył oczy.

– Ale nie zrobiłem.

– Wyszedłeś – domyśliła się Ingrid.

Kiwnął głową.

– Korytarzem nadeszli Enrique i Candy, tak jak dziś. Zamknąłem drzwi i powlokłem się na dół.

– I to wszystko?

– Tak – odparł Cornelius.

– I od tego czasu nie widziałeś Paige?

– Ani Paige, ani Aarona. Kiedy was zobaczyłem, pomyślałem, że może się myłę.

– Co do czego?

– Że może Paige nie pobiegła po działkę do Rocca. Że wróciła do domu i opowiedziała mamie i tacie, co się stało. A oni przyszli tu i... cóż, to jej rodzice. Ta sama krew. Że może oni wyszli poza fantazje.

Przyjrzał im się uważnie.

– Tak nie było – powiedział Simon.

– Taaa, wiem.

– Musimy ją odszukać.

– Rozumiem.

– Chcemy pójść jej tropem, po tym jak stąd wybiegła.

Cornelius pokiwał głową.

– Więc idźcie do Rocca.

Rozdział 9

Cornelius powiedział im, jak faceta znaleźć.

– Przejdźcie przez dziurę w ogrodzeniu. Będzie w opuszczonym budynku po drugiej stronie tego pustego terenu.

Simon nie wiedział, czego się spodziewać.

W telewizji nieraz widywał dealerów narkotyków, mężczyzn o ponurym wzroku w podejrzanym rejonach miasta, z bronią, w bandanie na głowie i wiszących dzinsach, dzieciaki na rowerach odbierające towar, bo łatwiej je potem wyciągnąć z pudła, i tym podobne, pewnie bzdury wyssane z palca na użytek masowej widowni. Gdy stał z Ingrid przy dziurze w ogrodzeniu, nie widać było żywej duszy. Żadnej czujki. Uzbrojonego strażnika. Z oddali dobiegły słabe głosy, pewnie dochodziły z tamtego opuszczonego budynku, jednak nic nie świadczyło o jakimkolwiek niebezpieczeństwie.

Co wcale nie oznaczało, że nic im nie grozi.

– Pytam ponownie – zwrócił się do Ingrid. – Jaki mamy plan?

– A skąd mam wiedzieć?

Spojrzeni na przejście przez ogrodzony teren.

– Ja pójdę – powiedział Simon. – W razie gdyby coś było nie tak.

– I zostawisz mnie tu samą? Dobra, od razu czuję się spokojniejsza.

Miała rację.

– Mógłbym odesłać cię do domu.

– Mógłbyś – zgodziła się, po czym podniosła łańcuch i przeszła pod nim na pustą działkę.

Simon czym prędzej podążył za nią. Chwasty sięgały mu nad kolana. Oboje, idąc, podnosili nogi, jakby brnęli w głębokim śniegu. Bali się potknąć o zardzewiałe ośki czy panewki, dziurawe węże czy zdarte opony, popękane przednie szyby albo zbite reflektory.

Przygotowali się do tej wyprawy, choć ktoś mógłby powiedzieć, że myśleli stereotypowo. Ingrid zdjęła całą biżuterię, łącznie z obrączką i pierścieniem zaręczynowym. Simon miał tylko obrączkę, która nie była taka kosztowna. Wzięli razem ze trzysta dolarów w gotówce. Gdyby zostali napadnięci i obrabowani – bo prawdę mówiąc, zapuszczali się w niebezpieczne rejony – wiele by nie stracili.

Zewnętrzne stalowe drzwi prowadzące do piwnicy były otwarte. Simon i Ingrid spojrzeli w dół, w ciemność. Dostrzegli betonową podłogę. I nic poza tym. Z dołu dochodziły jakieś dźwięki, stłumione głosy, może szepty, niewykluczone, że śmiechy. Ingrid zeszła jeden stopień, ale Simon nie zamierzał pozwolić jej iść przodem. Skoczył przed nią i zbiegł po schodach; stanął na wilgotnym betonie, zanim ona znalazła się na drugim stopniu.

Najpierw uderzył go smród – obrzydliwy siarkowy zapach zepsutych jajek, połączony z czymś bardziej chemicznym, przypominającym amoniak, którego smak pozostał mu na języku.

Głosy stały się wyraźniejsze. Simon skierował się ku nim. Nie starał się iść chyłkiem ani cicho. Podkradanie się byłoby złym posunięciem. Nie chciał tych ludzi przestraszyć z obawy, żeby nie zrobili czegoś głupiego.

Ingrid go dogoniła. Kiedy doszli do centralnego pomieszczenia, głosy umilkły, jakby ktoś je wyłączył. Simon objął spojrzeniem scenę, chociaż smród stał się nie do zniesienia. Usiłował oddychać przez usta. Po prawej stronie na gołym betonie leżeli rozciągnięci czterej ludzie, którzy wyglądali, jakby nie mieli kości; przypominali stare skarpety, niedbale przez kogoś rzucone. Światło było przyćmione. Simon przede wszystkim zwrócił uwagę na ich szeroko otwarte oczy. Obok spoczywały podarty futon i coś, co chyba kiedyś było workiem do siedzenia. Z kartonów po tanim winie zrobiono prowizoryczne stoliki. Walały się na nich łyżki, zapalniczki, palniki i strzykawki.

Nikt się nie poruszył. Simon i Ingrid stali w miejscu. Tamta czwórka – czwórka? może piątka, trudno było się w tym świetle zorientować – leżała spokojnie, jakby chcieli się wtopić w tło, i gdyby nie drgnęli, mogliby pozostać niewidoczni.

Minęły następne sekundy, zanim ktoś z tej grupy się podniósł. Mężczyzna. Duży. Wstał powoli, wznosząc się jak Godzilla wychodząca z wody, wręcz wypełnił sobą pomieszczenie. Kiedy się wyprostował, czubkiem głowy niemal szorował po suficie. Gigant ruszył ku nim jak planeta na dwóch nogach.

– Co mogę dla was zrobić, moi drodzy?

Jego głos brzmiał miło, przyjaźnie.

– Szukamy Rocca – odezwał się Simon.

– To ja.

Potężny mężczyzna wyciągnął rękę. Można by pomyśleć, że należy do balonu z parady Macy's w Święto Dziękczynienia. Simon ją ujął i jego dłoń zniknęła w fałdach ciała. Rocco przywołał na twarz uśmiech. Nosił czapkę drużyny Jankesów, taką samą jak Ingrid, tyle że na jego głowie wydawała się za małą; kojarzył się z jedną z tych maskotek z wielką piłką bejsbolową na ramionach. Facet był czarny jak smoła. Miał na sobie bluzę z kapturem i kangurzymi kieszeniami, dżinsowe szorty i sandały, podobne do birkenstocków.

– Potrzeba czegoś?

Wciąż mówił lekkim tonem, a może był trochę naćpany. Pozostali zajęli się sobą; poszły w ruch zapalniczki, palniki i plastikowe torebki z nieznanym – przynajmniej Simonowi – proszkiem czy inną substancją.

– Szukamy córki – włączyła się Ingrid. – Na imię ma Paige.

– Zdaje się, że była tu ostatnio – dodał Simon.

– Tak? – Rocco splótł na piersi ramiona jak antyczne kolumny. – Komu się zdaje?

Simon i Ingrid spojrzeli na siebie.

– Tak słyszeliśmy – wyjaśnił Simon.

– Od jakiego?

Ktoś z podłogi wrzasnął:

– Od kogo!

– Słucham?

Podniósł się biały hipster z odrastającą bródką, w obcisłych dżinsach, których nogawki były wetknięte w podrabiane robocze buty.

– Słyszeć od kogo, nie od jakiego. Oj, Rocco. To nie ten zaimek.

– Cholera, fakt, przepraszam.

– Stać cię na więcej, stary.

– To była pomyłka. Nie rób z tego afery. – Rocco znowu skupił uwagę na Simonie i Ingrid. – O czym to mówiliśmy?

– O Paige.

– Racja.

Milczenie.

– Znasz ją, prawda? – podjął Simon.

– Tak, znam.

– Jest twoją... – Ingrid przerwała, szukając odpowiedniego słowa – ... klientką?

– Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa. Czymkolwiek się według was zajmuję, dyskrecja odgrywa w tym zasadniczą rolę.

– Nie obchodzi nas, czym się zajmujesz – oznajmiła Ingrid. – Chcemy tylko znaleźć córkę.

– Sprawia pani wrażenie miłej kobiety, pani...?

– Greene. Doktor Greene.

– Więc sprawia pani wrażenie miłej kobiety, doktor Greene, i mam nadzieję, że się pani nie obrazi, ale niech się pani rozejrzy. – Rozłożył szeroko ręce, jakby zamierzał objąć całe pomieszczenie. – Czy w takim miejscu jak to mówi się krewnym, gdzie mogą się ukrywać ich bliscy?

– A ona? – zapytał Simon.

– Ona co?

– Czy Paige się ukrywa?

– Nie powiem panu.

– A za dziesięć tysięcy dolarów byś powiedział?

Rozległ się szmer.

Rocco potoczył się ku nim, prawie jak kamień z pierwszej części *Indiany Jonesa*.

– Może ciszej.

– Oferta aktualna.

Rocco potarł brodę.

– Ma pan przy sobie dziesięć tysiaków?

Simon zmarszczył czoło.

– E, nie, jasne, że nie.

– A ile pan ma?

– Z osiemdziesiąt, sto dolarów. A co, chcesz nas obrobić? – Simon podniósł głos. – To samo odnosi się do wszystkich w tym pomieszczeniu: dziesięć tysięcy dla tego, kto nam powie, gdzie jest Paige.

Ingrid spojrzała olbrzymowi w oczy, zmuszając go do kontaktu wzrokowego.

– Proszę – powiedziała. – Paige jest chyba w niebezpieczeństwie.

– Z powodu tego, co spotkało Aarona?

To imię – wypowiedziane przez Rocca – sprawiło, że atmosfera w pomieszczeniu natychmiast się zmieniła.

– Tak.

Rocco przechylił głowę.

– A co według pani go spotkało, doktor Greene?

Zachował spokojny, beznamiętny ton, ale Simon odniósł wrażenie, że usłyszał w nim nową nutę. Ostrą. Niebezpieczną. Zaczęło do niego docierać to, co od początku powinno być oczywiste. Rocco może wydawał się przyjacielski. Przypominał wielkiego żywego misia.

Ale przecież był dealerem narkotyków.

Brutalność, z jaką został zamordowany Aaron, sugerowała narkotykowe porachunki. A skoro Aaron pracował dla Rocca...

– Aaron nas nie obchodzi – odpowiedziała Ingrid. – Nie obchodzi nas, czym się zajmujesz, co się tu dzieje ani nic takiego. Cokolwiek spotkało Aarona, Paige nie ma z tym nic wspólnego.

– Skąd ta pewność? – zapytał Rocco.

– Słucham?

– Poważnie. Skąd pani wie, że Paige nie ma nic wspólnego ze śmiercią Aarona?

Simon przejął pałeczkę.

– Widziałeś ją?

– Tak.

– No to wiesz skąd.

Rocco wolno pokiwał głową.

– Mógłby ją przewrócić silniejszy wiatr. Kapuję. Ale to nie znaczy, że nie odurzyła faceta, a potem, kiedy stracił przytomność, nie pokroiła go na kawałki.

– Dziesięć tysięcy dolarów – powtórzył Simon. – Zależy nam tylko na tym, żeby sprowadzić córkę do domu.

W wilgotnej piwnicy zapadła cisza. Rocco stał z miną bez wyrazu. Rozważa propozycję, pomyślał Simon. Nie poganiał go. Podobnie jak Ingrid.

Nagle ktoś powiedział:

– Hej, ja cię znam.

Simon odwrócił się w stronę, z której dobiegł głos. Należał on do hipstera gramatyka. Chłopak wskazał na Simona, a potem pstryknął palcami.

- To ty.
- O czym ty gadasz, Tom? – zapytał olbrzym.
- To ten facet, Rocco.
- Jaki facet?

Hipster gramatyk wetknął kciuki w szlufki na pasku i podciągnął dżinsy.

- Z tamtego wideo. To on przywalił Aaronowi. Wtedy w parku.

Rocco położył ręce na kangurzej kieszeni bluzy.

- O rany. Chyba masz rację.
- Mówię ci, Rocco. To on.
- W realu. – Rocco uśmiechnął się do Simona. – Naprawdę to pan był na tym filmie?

- Tak.

Olbrzym podniósł ręce w drwiącym geście poddania i cofnął się o krok.

- O Boże, tylko mnie pan nie bij.

Hipster Tom zarechotał. Niektórzy z pozostałych także się zaśmiali.

Simon później stwierdził, że zanim wszystko poszło nie tak, przeczuł niebezpieczeństwo.

Może rzeczywiście jest w ludziach coś pierwotnego, jakiś mechanizm obronny z czasów jaskiniowych, kiedy żyli w ciągłym zagrożeniu, szósty zmysł albo instynkt, który może jest uśpiony i nie ujawnia się w naszym społeczeństwie, ale nie zanikł i kryje się gdzieś głęboko.

Gdy do piwnicy wpadł młody mężczyzna, Simon poczuł, że jeżą mu się włosy na karku.

- Luther? – zapytał Rocco.

Scena rozegrała się w ciągu jednej sekundy, może dwóch.

Luther był bez koszuli, pierś miał błyszczącą i zupełnie pozbawioną włosów. Dwudziestokilkuletni, składał się prawie wyłącznie z wyrobionych mięśni i podskakiwał na palcach jak bokser wagi koguciej, niecierpliwie czekający na dzwonek rozpoczynający walkę. Popatrzył szeroko otwartymi oczami na Simona i Ingrid, po czym bez wahania wyciągnął pistolet.

- Luther!

Mężczyzna wycelował. Nie padło żadne ostrzeżenie, wyjaśnienie, nic. Po prostu wymierzył broń i strzelił.

Simon się zarzekał, że poczuł, jak pocisk przelatuje mu tuż przy nosie, i że słyszał jego świst. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy grał w golfa: piłka wybita

przez jego szwagra Roberta tak samo minęła o włos jego twarz i trafiła w stojącego obok chłopaka noszącego kiję, który w efekcie doznał wstrząsu mózgu. To głupie porównanie, ale choć całe to zajście trwało zaledwie chwilę, tam właśnie przeniósł się pamięcią: na pole golfowe w Paramus w New Jersey. Kula śmignęła obok niego i policzek spryskała mu krew.

Krew...

Ingrid przewróciła oczami i osunęła się na podłogę.

Simon oglądał jej upadek jakby w zwolnionym tempie. Zanikł w nim instynkt przetrwania, który nakazałby mu uciekać, szukać schronienia i tak dalej. Natomiast gdy Ingrid, cały jego świat, krwawiąc, upadła na beton, odezwał się w nim inny instynkt.

Chronić ją...

Rzucił się przed siebie i bez jednej świadomej myśli nakrył żonę własnym ciałem, starając się ułożyć tak, żeby jak najbardziej ją osłonić, jednocześnie sprawdzając, czy żyje, gdzie została ranna, czy da się zatamować krwotok.

Gdzieś, w innej części umysłu, odnotował, że Luther wciąż jest w pomieszczeniu, wciąż ma broń i według wszelkiego prawdopodobieństwa strzeli ponownie. Ale to była drugo- albo nawet trzeciorzędna myśl.

Chronić ją. Ratować...

Zaryzykował spojrzenie. Mężczyzna zbliżał się, mierząc w jego głowę. Simon gorączkowo rozważył możliwości: wierzgnąć, przetoczyć się na bok, spróbować ataku, jakiegokolwiek, zanim facet zdąży pociągnąć za spust.

Nie miał jednak szans. Z tego także zdał sobie sprawę.

Nie zdążyłby się uratować w żaden sposób, więc jeszcze mocniej przywarł do żony i objął ją, starając się, aby była zasłonięta ze wszystkich stron. Opuścił głowę i przytulony do Ingrid, przygotował się na najgorsze.

Wtedy usłyszał strzał.

I Luther się przewrócił.

Rozdział 10

Ash odstawił kubek z kawą na stolik. Dee Dee skłoniła głowę do modlitwy. Powstrzymał się od przewrócenia oczami. Dziewczyna skończyła się modlić tak samo jak zwykle, mówiąc: „Niech Jaśniejąca Prawda trwa wiecznie!”.

Usiadł naprzeciwko niej. Obiekt nazywał się Damien Gorse. Był właścicielem salonu tatuażu w pasażu handlowym w New Jersey, po drugiej stronie autostrady, za którą właśnie się znajdowali. Oboje się odwrócili i spojrzeli na markizę nad zakładem.

Dee Dee zaczęła chichotać.

– Co cię tak śmieszy?

– Nazwa salonu.

– Czyli co?

– Tattoos While U Wait. Tatuaże na poczekaniu – wyjaśniła. – No, zastanów się. Jak inaczej się je robi? Gdy czekasz. „Hej, facet, to moje ramię, wróć za dwie godzinki, a ty w tym czasie wytatuuj na nim czaszkę z puszczelami”. – Zasłoniła usta, chichocząc dalej. To było nawet urocze.

– Fakt – odparł.

– No nie? Tatuaże na poczekaniu. Gość musiał długo myśleć, żeby coś takiego wykombinować.

On także się zaśmiał. Albo rzeczywiście wydało mu się to zabawne, albo jej chichot był zaraźliwy. Dee Dee doprowadzała go do szaleństwa. Potrafiła być wkurzająca jak cholera, bez dwóch zdań, ale przerażała go myśl, że kiedy te zlecenia się skończą, dziewczyna znowu zniknie z jego życia.

Dee Dee zauważyła, że Ash dziwnie na nią patrzy.

– No co?

– Nic.

– Ash...

Wtedy powiedział po prostu:

– Nie musisz tam wracać.

Spojrzała na niego tymi swoimi cholernie pięknymi zielonymi oczami, w których można było utonąć.

– Muszę.

– To nie jest żadna Jaśniejąca Prawda. Tylko sekta.

– Nic nie rozumiesz.

– Tak mówią wszyscy sekciarze. Ale masz wybór.

– Jedynym wyborem jest Jaśniejąca Prawda.

– Przestań, Dee Dee.

Wyprostowała się.

– Tam nie jestem żadną Dee Dee. Nie mówiłam ci tego?

– Jak to?

– W Prawdziwym Niebie mówią na mnie Holly.

– Poważnie?

– A tak.

– Kazali ci zmienić imię?

– Niczego mi nie kazali. Holly to moja Prawda.

– Zmiana imienia jest początkiem prania mózgu.

– Nowe imię znaczy, że staję się nową osobą. Już nie jestem Dee Dee. Nie chcę być Dee Dee.

Skrzywił się.

– Więc mam mówić do ciebie Holly?

– Nie musisz, Ash. – Sięgnęła nad stolikiem i położyła dłoń na jego ręce. – Ty zawsze widziałeś we mnie Holly. Ty jeden.

Poczuł jej ciepło. Przez moment siedzieli bez ruchu. Ash marzył, żeby tak już zostało. Idiota. Wiedział, że to niemożliwe. Nic nie trwa wiecznie. Ale przez następną chwilę delectował się tym w milczeniu.

Dee Dee uśmiechnęła się do niego, jakby wiedziała, co on czuje. Może i tak było. Znała go jak nikt inny.

– Wszystko w porządku, Ash.

Nic nie odpowiedział. Dziewczyna kilka razy poklepała go po ręce, żeby nie od razu zabrać dłoń.

– Późno już – oznajmiła. – Chyba powinniśmy zająć pozycję.

Kiwnął głową. Poszli do skradzionego samochodu ze skradzionymi tablicami rejestracyjnymi. Ruszyli autostradą w kierunku północnym i zjechali na Downing Street. Lokalna droga prowadziła na tyły supermarketu ShopRite. Zaparkowali niedaleko wyjazdu, z dala od kamer monitoringu. Przecięli zalesiony teren i znaleźli się za salonem tatuażu.

Ash spojrział na zegarek. Dwadzieścia minut do zamknięcia zakładu.

Zabójstwo jest proste, jeśli dokonuje się go prosto.

Włożył już rękawiczki. Od góry do dołu ubrany był na czarno. Kominiarki na razie nie wciągał, bo w tym cholerstwie było mu gorąco i swędziała go skóra. Trzymał ją jednak pod ręką.

Za salonem tatuażu stał porzewiały zielony kontener na śmieci. W bocznym oknie widniał czerwony neon głoszący: PIERCING – WSZĘDZIE I O KAŻDEJ PORZE. Ash widział czyjąś sylwetkę, ten ktoś zamiatał. Na parkingu zostały jeszcze dwa samochody – pick-up toyota tundra, oby należący do ostatniego klienta, i dalej, obok kontenera, niewidoczny z autostrady ford flex Damiana Gorse'a z drewnianą deską rozdzielczą.

Informator powiadomił ich, że Gorse już wychodzi.

Plan przewidywał, że odczekają, aż zamknie zakład i podejdzie do samochodu, a wtedy go zabiją, pozorując „nieudany napad rabunkowy”.

Ash usłyszał dzwonek przy wyjściu, gdy drzwi salonu się otworzyły. W progu stanął mężczyzna z długim rudym kucykiem, odwrócił się i zawołał:

– Dzięki, Damien!

Tamten odpowiedział coś głośno, ale nie zrozumieli co. Ten z kucykiem kiwnął głową i powlókł się przez parking do toyoty. Miał obandażowane ramię. Idąc, popatrzył na nie z szerokim uśmiechem.

– Może przyszedł je odebrać – szepnęła Dee Dee.

– Co?

– No, ramię. Pamiętasz. Tatuaze na poczekaniu...

Postać w salonie skończyła zamiatać.

Dziewczyna wciąż chichotała, gdy facet z kucykiem wszedł do wozu, uruchomił silnik i wyjechał na autostradę.

Dee Dee przysunęła się do Asha. Pachniała tak, jak pachną tylko piękne kobiety: kapryfolum, bzem i jakąś ambrozją. Jej bliskość go rozpraszała. Nie lubił tego.

Odsunął się od niej trochę i włożył kominiarzkę.

W salonie pogasły światła.

– Czas na show – powiedziała Dee Dee.

– Zostań tutaj.

Ash ruszył skulony na koniec parkingu. Przykucnął za drzewem i czekał. Spojrzał na forda. Podrabiana drewniana deska rozdzielcza nadawała mu wygląd samochodu rodzinnego, chociaż Gorse nie miał żony ani dzieci. Może był to wóz jego matki. Albo ojca. Gdyby mieli więcej czasu, Ash dowiedziałby się tego wszystkiego, sam zdobyłby informacje. Ale zbyt duża wiedza może być, żeby się tak wyrazić, zabójcza.

Wykonaj robotę i uciekaj, nie zostawiając śladów.

Reszta to szlam.

To również pomagało myśleć metodycznie. Dojście do samochodu zajmie mniej niż dziesięć sekund. Żadnego wahania. Nie daj mu szansy na reakcję. Podejź do niego i dwa razy strzel mu w pierś. W normalnych okolicznościach palnąłby facetowi w łeb, ale po pierwsze, złodziej raczej by tak nie zrobił, a po drugie, Kevin Gano dostał kulę w głowę.

Lepiej unikać powtórek.

Oczywiście, poza tym trudno było powiązać Damiena Gorse'a z Kevinem Ganem. Ash posługiwał się zupełnie inną bronią, zdobytą zupełnie inną drogą. Jedna śmierć – Kevina Gana – to samobójstwo pod Bostonem; druga – Damiena Gorse'a – wynik nieudanego napadu w New Jersey.

Nikt z organów ścigania nie powiąże tych spraw.

Co więcej, sam Ash nie mógł znaleźć żadnego innego związku między Kevinem Ganem a Damienem Gorse'em czy którymś z pozostałych. Wszyscy mieli od dwudziestu czterech do trzydziestu dwóch lat. Mieszkali w różnych częściach kraju. Chodzili do różnych szkół, wykonywali różne zawody. Oczywiście, musieli mieć ze sobą coś wspólnego i może gdyby Ash miał więcej informacji albo więcej czasu, doszedłby do tego.

Na razie jednak nie miał ani jednego, ani drugiego, no i dobrze.

Brzęknął dzwonek przy drzwiach salonu.

Ash trzymał broń w dłoni obciążonej rękawiczką. Na twarzy miał kominiarkę. Wiedział z doświadczenia, że kominiarki zawężają pole widzenia, więc powiększył otwory na oczy. Wciąż przykucnięty, czekał. Zobaczył, że Dee Dee, która stała po jego lewej stronie, podchodzi na skraj parkingu. Ściągnął brwi. Nie powinna ruszać się z miejsca. Ale Dee Dee to Dee Dee.

Z prawej nadchodził Gorse. Dee Dee znajdowała się po lewej. Facet nie mógł jej zauważyć, zanim dosięgną go kule.

A ona chciała mieć lepszy widok.

To się Ashowi nie podobało.

Słyszając chrzęst stóp na piasku, zwrócił głowę w stronę budynku.

Tak, to Damien Gorse.

Doskonale.

Teraz Ash musiał tylko wybrać moment na atak, a tu można było popełnić błąd. Gdyby przystąpił do działania za wcześnie, Gorse mógłby pobiec w stronę drogi albo swojego zakładu, choć to mało prawdopodobne. Gdyby ruszył za późno, facet wsiałby do samochodu, choć szyby nie zatrzymują pocisków.

Nieważne. Przecież miał niezawodne wyczucie czasu.

Gorse wyciągnął rękę z pilotem. Ash usłyszał znajome piknięcie, gdy drzwi wozu się odblokowały. Odczekał, aż obiekt znajdzie się przy tylnym zderzaku. Wyprostował się i szybko do niego podszedł. Nigdy nie biegnij. Bo wtedy dobrze nie wycelujesz.

Gorse dostrzegł go w chwili, gdy wyciągał rękę do drzwi samochodu. Odwrócił się ku niemu z pytającym wyrazem twarzy. Ash podniósł broń i oddał dwa strzały w jego pierś. Huk był głośniejszy, niż przypuszczał, ale to nic. Gorse upadł na maskę wozu. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że samochód podtrzymuje ciało, zanim po drzwiach zsunęło się na żwir.

Podbiegając do niego, Ash dzięki powiększonym dziurom na oczy zauważył, że Dee Dee przesunęła się na prawo, aby lepiej widzieć. Nie miał czasu na interwencję. Pochylił się, żeby sprawdzić, czy Gorse na pewno nie żyje, a potem przetrząsnął jego kieszenie. Wyjął portfel. Facet miał na ręce zegarek TAG Heuera. Ash zabrał go również.

Dee Dee się zbliżyła.

– Już cię tu nie ma – warknął do niej.

Właśnie miał się podnieść, kiedy zauważył wyraz jej twarzy.

Patrzyła nad jego ramieniem. Poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Ash? – szepnęła.

Potem wskazała głową.

Ash szybko się obrócił. Obok kontenera stał facet z workiem na śmieci.

Mężczyzna... nie, raczej nastolatek, na miłość boską, jeszcze dzieciak... musiał wyjść ze śmieciami z zaplecza sklepu. Wciąż dźmierzył uniesiony worek,

jakby zatrzymał się w połowie drogi, wstrząśnięty tym, czego był świadkiem.

Patrzył na Asha w kominiarce.

I spojrział na Dee Dee, która nie miała niczego na twarzy.

Niech to szlag, pomyślał Ash.

Nie miał wyboru. Wycelował w chłopaka i strzelił, ale tamten już uciekał. Uskoczył za kontener. Ash ruszył w jego stronę i wypalił ponownie. Smarkacz opadł na czworaka i kula przeleciała mu nad głową. Potem dał nura za drzwi salonu i zatrzasnął je za sobą.

Jasna cholera!

Ash tym razem wziął na robotę rewolwer, sześciopistolet. Zużył już cztery naboje, pozostały mu więc tylko dwa. Nie mógł ich zmarnować. Nie stać go było także na stratę czasu. Dzieciak potrzebował kilku sekund, żeby zadzwonić na policję albo...

Powietrze przeszył ostry dźwięk alarmu.

Był tak głośny, że Ash zatrzymał się na moment, aby zakryć rękami uszy. Odwrócił się ku Dee Dee.

– Uciekaj! – zawołał.

Kiwnęła głową. Znała zasady. Zmywać się. Kusiło go, żeby zrobić to samo – zwać, zanim zjawią się gliny. Ale chłopak widział twarz dziewczyny. Mógł podać jej rysopis.

Więc musiał zginąć.

Ash spróbował przekręcić gałkę tylnych drzwi. Ustąpiła. Od pierwszego strzału, który oddał, minęło z pięć sekund. Jeśli w salonie trzymali broń, było wątpliwe, żeby dzieciak zdążył ją znaleźć. Ash wpadł do środka i rozejrzał się.

Chłopaka ani śladu.

Pewnie się ukrył.

Ile zostało czasu? Za mało. Ale zawsze trochę.

Umysł działał jak komputer, więc w tej chwili, kiedy Ash ruszał przed siebie, podsunął mu wiele możliwych scenariuszy. Pierwszy był oczywisty: dzieciak widział twarz Dee Dee. Mógł ją zidentyfikować. Gdyby zatem pozostał żywy, stanowiłby dla niej zagrożenie.

Wniosek: trzeba go zlikwidować.

Idąc dalej, Ash zaczął sobie uświadamiać, że jego instynktowna reakcja była zbyt gwałtowna. Fakt, chłopak widział Dee Dee i możliwe, że był w stanie ją rozpoznać. Ale jak miałby ją opisać? Piękna dziewczyna z długim jasnym

warkoczem i zielonymi oczami, która nie mieszka w New Jersey, nie ma tu żadnych kontaktów, wkrótce zniknie z tego stanu i pewnie wróci do tej swojej komuny, azylu, niebios czy jak na to mówi, do cholery... Więc w jaki sposób policja mogłaby ją wytropić?

Poza tym nawet gdyby nie uciekła tak daleko. Gdyby gliny ją złapały, zanimby się ulotniła. I chłopak dokonałby identyfikacji. Znowu – jak ten umysł pracuje! – i co z tego?

Żeby sprowadzić to do gołych faktów: Dee Dee stała na parkingu, gdy zginął Damien Gorse. I tyle. Tak jak mężczyzna w kominiarce, z bronią w ręce. Dlaczego ktoś miałby zakładać, że byli razem? Gdyby brała udział w napadzie, także byłaby zamaskowana, no nie? Czy Dee Dee, gdyby nawet została zatrzymana i rozpoznana, nie mogłaby zeznać, że nie miała z tym zabójstwem nic wspólnego, stała się jego świadkiem przypadkowo?

Ash posuwał się w głąb salonu.

Nadal cisza.

Tak naprawdę, jeśli się nad tym zastanowić, to gdyby dzieciak uszedł z życiem, czy stanowiłby dla Dee Dee jakiegokolwiek zagrożenie? Czy po uwzględnieniu wszystkiego, rozważeniu za i przeciw, najlepszym rozwiązaniem, gwarantującym powodzenie, nie byłoby, gdyby Ash zmył się stąd przed przyjazdem policji? Czy warto, żeby tracił czas na ściganie przestraszonego dzieciaka, ryzykując schwytanie?

Niech chłopak sobie żyje.

Ash usłyszał syreny.

Zresztą wcale nie miał ochoty go zabijać. Och, nic by to nie kosztowało. Ale po co robić coś, co nie jest potrzebne? Jeśli można, lepiej przejść na stronę aniołów, no nie? Nie wierzył w karmę, ale po co ją prowokować.

Syreny. Coraz bliżej.

Chłopak miał szczęście.

Ash się odwrócił. Ruszył biegiem do tylnych drzwi, bo jego możliwości ograniczyły się do jednej, czyli do ucieczki.

Wtedy usłyszał pstryknięcie. Doszło od strony szafy tuż przy wyjściu.

Niemal ją minął.

A jednak nie.

Otworzył drzwi. Dzieciak kulił się za nimi, drżącymi rękami zasłaniając głowę, jakby chciał ochronić ją przed ciosami.

– Proszę – powiedział – obiecuję, że nie...

Nie było czasu na dalszy ciąg.

Ash użył jednej kuli, strzelił chłopakowi w głowę, zostawiając sobie ostatnią, tak na wszelki wypadek.

Rozdział 11

Wszyscy szybko uciekli z piwnicy.

Simon kątem oka zauważył, że Rocco, wybiegając, zarzucił sobie Luthera na ramię jak worek z praniem. Przez kilka sekund, może dłużej, Simon pozostawał w niezmienionej pozycji, osłaniając żonę. Kiedy sobie uświadomił, że niebezpieczeństwo minęło, wyjął komórkę, żeby zadzwonić pod 911. W zastałym powietrzu rozległy się syreny.

Może ktoś już wezwał pomoc. A może syreny nie miały z tym nic wspólnego.

Ingrid leżała z zamkniętymi oczami. Z rany gdzieś między prawym ramieniem a górną częścią torsu ciekła krew. Simon robił wszystko, co się dało, żeby ją zatamować, ściągnął koszulę i przyciskał ją do rany. Nie tracił czasu na mierzenie pulsu. Miał świadomość, że wkrótce się dowie, jeśli żona nie żyje.

Chronić ją. Ratować.

Operator pod numerem 911 powiedział mu, że karetka jest już w drodze. Mijały minuty. Simon nie wiedział, ile upłynęło czasu. Zostali sami w tej wilgotnej ohydnej piwnicy, on i Ingrid. Poznali się w restauracji przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, zaledwie dwie przecznice od miejsca, w którym obecnie mieszkali, kiedy Ingrid wreszcie wróciła do kraju i Yvonne postanowiła przedstawić ich sobie. Zjawił się pierwszy i siedział przy stoliku pod oknem, czekając niecierpliwie, a gdy weszła, z wysoko uniesioną głową, idąc dostojnym krokiem modelki, stracił głowę. Może to cliwe (a może wszyscy tak robią?), ale za każdym razem, gdy szedł na pierwszą randkę, wyobrażał sobie przyszłe życie z osobą, z którą miał się spotkać, daleko wybiegał w przyszłość: już widział siebie i tę kobietę jako małżeństwo, wychowujące dzieci, siedzące naprzeciwko siebie przy kuchennym stole, czytające w łóżku, wspólnie się starzejące. Co poczuł, kiedy ujrzał wtedy Ingrid? Uznał, że jest zbyt piękna. Taka była jego pierwsza myśl. Wydała mu się zbyt pozbierana, zbyt opanowana

i pewna siebie. Później dowiedział się, że to wszystko pozory, że Ingrid ma te same obawy i kompleksy co każdy z nas. Wszyscy wartościowi ludzie w jakimś okresie uważają, że są nieciekawi i do niczego się nie nadają, tak to już jest.

Nieważne. Ich związek zaczął się przy stoliku pod jasnym oknem przy Zachodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej i Columbus Avenue i mógł się zakończyć w tej ciemnej norze na Bronxie.

– Ingrid?

Zabrzmiało to jak żalosna prośba.

– Nie opuszczaj mnie, dobrze?

Wreszcie przyjechały policja i pogotowie. Zabrali go od niej i przystąpili do działania. Simon siedział na betonie z przyciągniętymi do piersi kolanami. Jakiś gliniarz zaczął zadawać mu pytania, ale on nic nie słyszał, tylko spoglądał na żonę, którą zajęli się ludzie z pogotowia. Usta, które tyle razy całował, na każdy możliwy sposób, od namiętnego po zdawkowy, zostały zakryte maską tlenową. Nic nie mówił, tylko patrzył. Nie dopytywał się, czy żona żyje, czy uda się ją uratować. Wolał im nie przeszkadzać, nie rozpraszać ich, jakby jej linia życia była zbyt cienka i mogła się przerwać jak za bardzo naciągnięta gumka recepturka.

Simon powiedziałby, że dalsze wydarzenia stanowiły jedną zatartą smugę, ale tak naprawdę docierały do niego jakby w zwolnionym tempie i w całkiem żywych barwach: Ingrid została umieszczona na wózku i przewieziona do karetki, on wskoczył za nią do środka, potem kroplówka, poważne twarze lekarzy pogotowia, bladość żony, przeraźliwy dźwięk syreny, straszliwie frustrujące korki na Major Deegan, wreszcie koniec jazdy, bieg przez kolejne dwuskrzydłowe drzwi na pogotowiu, pielęgniarka zatrzymująca go stanowczo i prowadząca na żółte plastikowe krzesło w poczekalni...

Zadzwoił do Yvonne i w skrócie zrelacjonował jej ostatnie wydarzenia. Kiedy skończył, oznajmiła:

– Jadę do waszego mieszkania i zajmę się Anyą.

– Dobrze. – Głos Simona zabrzmiał dziwnie nawet w jego własnych uszach.

– Co mam jej powiedzieć?

Poczuł, że wzbiera w nim szloch. Stłumił go.

– Nic konkretnego, po prostu posiedź z nią.

– Dzwoniłeś do Sama? – indagowała dalej Yvonne.

– Nie. Ma test z biologii. Nie musi wiedzieć.

– Simon?

– Tak?

– Nie myślisz racjonalnie. Ich matka została postrzelona. Przebywa na sali operacyjnej.

Zacisnął powieki.

– Pojadę po Anyę – ciągnęła szwagierka. – Robert przywiezie Sama. Powinni być w szpitalu.

Nie dodała: „Ja także”, może dlatego, że dzieci były ważniejsze, a może ponieważ ona i Ingrid nie były sobie szczególnie bliskie. Pozostawały w cywilizowanych stosunkach, okazywały sobie uprzejmość i nie żywiły do siebie urazy, ale to on stanowił łącznik między nimi.

– W porządku, Simon? – zapytała jeszcze Yvonne.

Zjawili się dwaj policjanci, którzy rozejrzeli się po poczekalni. Zauważyli Simona i podeszli do niego.

– W porządku – odparł i zakończył połączenie.

Na miejscu zdarzenia opowiedział, co się stało, ale gliniarze chcieli poznać szczegóły. Zaczął więc relacjonować wszystko od początku, ale bez pełnego kontekstu szło mu opornie. Wolał nie wspominać o zabójstwie Aarona. Poza tym nie mógł się skupić, czekał na przyjście lekarza... właściwie boga, który by mu powiedział, czy jego świat jeszcze istnieje, czy już legł w gruzach.

Do poczekalni wparował Fagbenle. Od razu podeszli do niego dwaj gliniarze. We trzech konferowali w kącie. Korzystając z okazji, Simon znowu skierował się do recepcji, żeby spytać o żonę, i znowu recepcjonistka odpowiedziała grzecznie, że nie ma żadnych nowych informacji i że lekarz przyjdzie, kiedy tylko będzie wiadomo coś więcej.

Kiedy się odwrócił, zobaczył za sobą Fagbenle'a.

– Nie rozumiem. Co państwo robiliście na Bronxie? – zapytał policjant.

– Szukaliśmy córki.

– Zachodząc do meliny narkotykowej?

– Nasza córka jest narkomanką.

– Znaleźliście ją?

– Nie, inspektorze. Na wypadek gdyby pan nie wiedział, moja żona została postrzelona.

– Bardzo mi przykro z tego powodu.

Simon skwitował to przymknięciem oczu.

– Dowiedziałem się także, że byliście na miejscu zbrodni.

– Tak.

– Po co?

– Bo od tego miejsca zaczęliśmy.

– Co zaczęliście?

– Poszukiwania córki.

– Jak dostaliście się z mieszkania do tej meliny w sąsiedztwie?

Simon wiedział, że lepiej nie mówić za dużo.

– A jakie to ma znaczenie?

– Dlaczego nie chce mi pan powiedzieć, Simon?

– Bo to nieważne.

– Bądźmy szczerzy – powiedział Fagbenle. – Cała ta historia nie wygląda dobrze.

– Skoro mamy być szczerzy... – odparł Simon. – Mam gdzieś, jak wygląda.

Wrócił na swoje krzesło w poczekalni.

– Brzytwa Ockhama – zaczął od nowa Fagbenle. – Wie pan, co to jest?

– Nie jestem w nastroju, inspektorze.

– To zasada, która mówi...

– Orientuję się...

– ...że najprostsze wyjaśnienie zwykle jest prawdziwe.

– Czyli jakie, inspektorze?

– Że to pan zabił Aarona Corvala – powiedział policjant. Tak po prostu. Bez emocji, złości, zdziwienia. – Albo zrobiła to pańska żona. Rozumiałbym was. Ten człowiek był potworem. Powoli truł Paige, zabijając ją na waszych oczach.

Simon zmarszczył czoło.

– Czy w tym miejscu mam się złamać i przyznać do winy?

– Nie, proszę tylko posłuchać. Mówię o starym jak świat dylemacie moralnym.

– Hm.

– Pytanie brzmi: Czy zabiłby pan kogoś? Odpowiedź: Nie, oczywiście, że nie. Ale: Czy zabiłby pan kogoś, żeby ocalić swoje dziecko? Odpowiedź... – Fagbenle uniósł dłonie wnętrzem ku górze i wzruszył ramionami.

Simon usiadł prosto. Policjant przysunął sobie najbliższe krzesło i usadowił się na nim. Ściszył głos.

– Wymknął się pan ze swojego mieszkania, a potem z budynku, kiedy Anya spała. Albo pana żona podjechała na Bronx podczas przerwy w dyżurze.

– Sam pan w to nie wierzy.

Fagbenle wykonał gest „Może tak, a może nie”.

– Słyszałem, że kiedy pańska żona została postrzelona, osłonił ją pan. Nakrył własnym ciałem.

– No i co z tego?

– Był pan gotów umrzeć, żeby uratować kogoś, kogo pan kocha. – Fagbenle nachylił się ku niemu. – Tak trudno uwierzyć, że potrafiłby pan zabić?

Wokół nich panował ruch: jedni wchodzili, drudzy wychodzili. Jednak ani Simon, ani Fagbenle nie zwracali na to uwagi.

– Mam pewien pomysł, inspektorze.

– Zamieniam się w słuch.

– Moją żonę postrzelił niejaki Luther. – Simon podał mu ten sam rysopis, który podawał już dwukrotnie. – Może byście go zatrzymali?

– Zrobiliśmy to.

– Chwileczkę, został złapany?

– To nie było takie trudne. Poszliśmy śladami krwi. Leżał nieprzytomny dwie przecznice dalej.

– Ten wielki facet, Rocco, zabrał go z piwnicy. Wyniósł na ramieniu.

– Rocco Canard. Tak, jest nam znany. Należy do gangu. Luther Ritz... tak się nazywa... dla niego pracował. Podobnie jak Aaron. Rocco prawdopodobnie chciał faceta ukryć. Kiedy zobaczył ślady krwi, porzucił go w bocznej uliczce. Taką przynajmniej mamy teorię. Będzie pan musiał zidentyfikować typa, abyśmy mieli pewność, że to on do was strzelał.

– Dobra – odparł Simon. – Mocno oberwał?

– Przeżyje.

– Czy powiedział coś w międzyczasie?

– Tak. – Fagbenle błysnął zębami w uśmiechu. – Twierdzi, że to pan i pana żona go postrzeliliście.

– Kłamie.

– Tyle wiemy. Wciąż jednak nie rozumiem, co się stało. Dlaczego w ogóle strzelał?

– Nie mam pojęcia. Rozmawialiśmy z Rokkiem i...

– Pan i żona.

– Zgadza się.

– Jak to? Tak po prostu weszliście we dwoje do meliny narkotykowej i zaczęliście gawędzić z przywódcą bandy?

– Jak pan powiedział, inspektorze. Czego się nie zrobi dla ukochanej osoby? Fagbenle'a najwyraźniej usatysfakcjonowała ta odpowiedź.

– Niech pan mówi dalej.

Simon opowiedział mu, co się stało, ale pominął jeden kluczowy aspekt sprawy.

– I wtedy Luther zaczął do was strzelać?

– Tak.

– Bez ostrzeżenia.

– Bez.

– No, proszę. – Znowu błysk zębów. – Brzytwa Ockhama kolejny raz.

– Jak to? – zapytał Simon.

– Rocco to dealer narkotyków. Pracowali dla niego Luther i Aaron. To świat pełen przemocy. Aaron źle skończył. Luther do was strzela... a skoro o tym mowa, kto strzelał do niego?

Na przeciwległe krzesło opadł jakiś mężczyzna. Miał obandażowaną głowę. Przez opatrunek przesączała się krew.

– Simon?

– Słucham?

– Luther strzela do pańskiej żony. Rzuca się pan, żeby ją zasłonić. On mierzy do pana, chce pana zabić. Kto go powstrzymał?

– Nikogo nie widziałem – odparł Simon.

Fagbenle usłyszał coś w jego tonie.

– Nie pytałem, czy widział pan kogoś. Zapytałem, kto pana ocalił przed tym typem.

Wtedy do poczekalni wbiegła Anya. Simon wstał. Córka zarzuciła mu ręce na szyję, niemal go przewracając. Zamknął oczy i powstrzymując łzy, objął ją mocno. Wtuliła twarz w jego pierś.

– Mamusia...! – zawołała stłumionym głosem.

Prawie powiedział: „Nic jej nie będzie” czy „Wyjdzie z tego”, ale uznał, że nie ma powodu więcej kłamać. Otworzył oczy. Yvonne przecięła poczekalnię i cmoknęła go w policzek, gdy jeszcze przyciskał do siebie Anyę.

– Robert jest w drodze po Sama – poinformowała.

– Dziękuję.

Wówczas do poczekalni wkroczył mężczyzna w lekarskim kitlu.

– Pan Simon Greene?

Anya powoli wypuściła ojca z objęć.

– To ja.

– Proszę za mną. Lekarz chce się z panem zobaczyć.

Rozdział 12

Często się słyszy, że to, jak lekarz zachowuje się wobec pacjenta, nie ma większego znaczenia. Że lepiej, aby był chłodny, opanowany, metodycznie robił swoje, nie ulegał emocjom, zgodnie ze starym porzekadłem, że im chirurg mniej czuje, tym prościej kroi.

Simon wiedział, że Ingrid miała inne podejście.

Bo pacjent pragnie, aby jego lekarz był człowiekiem, wrażliwą, empatyczną osobą. Żeby widział w nim istotę ludzką, przestraszoną, cierpiącą, która potrzebuje troski i opieki. Ingrid zdawała sobie z tego sprawę i traktowała to bardzo poważnie. Kiedy rodzic przyprowadzał do niej dziecko, myślała: „Zatrzymaj się i zastanów: Kiedy czujesz się najbardziej bezbronny? Kiedy jesteś najbardziej zestresowany, przerażony, zagubiony?”. Lekarze, którzy tego nie rozumieją, którzy traktują cię jak strukturę anatomiczną wymagającą naprawy, jak MacBooka w Genius Barze, nie tylko utrudnią ci odnalezienie się w całej sytuacji, ale też nie postawią właściwej diagnozy.

Czasami, jak Simon w tamtej chwili, jesteś przerażony i zbolący, zdenerwowany i zdezorientowany, gdy siadasz naprzeciwko lekarza, który zaraz powie coś, co zmieni twoje życie. Może to być coś najgorszego na świecie, najlepszego albo pośredniego.

Dlatego Ingrid polubiłaby doktor Heather Grewe, wyraźnie zmęczoną, ale pełną współczucia. Lekarka próbowała przekazać wieści, używając terminologii laickiej i medycznego żargonu. Simon skupił się na konkluzji.

Ingrid żyła.

Ale była w ciężkim stanie.

Zapadła w śpiączkę.

Następne dwadzieścia cztery godziny miały być kluczowe.

Simon kiwał głową, ale słuchając doktor Grewe, zaczął powoli odpływać. Starał się trzymać, ale daremnie. Yvonne, która siedziała obok niego, zachowała spokój. Zadawała pytania – pewnie sensowne – które jednak nie zmieniały istoty rzeczy ani nie rozjaśniały mętnej diagnozy. Tego dowiadujesz się o lekarzach w następnej kolejności. Czasami widzimy w nich bogów, ale granice ich wiedzy i możliwości budzą zarówno zdumienie, jak i pokorę.

Lekarze monitorowali stan Ingrid, ale na razie nie pozostawało nic innego jak tylko czekać. Doktor Grewe wstała i wyciągnęła rękę na pożegnanie. Simon podniósł się i uściśnął jej dłoń. Podobnie Yvonne. Na razie nie mogli zajrzeć do Ingrid, więc powlekli się z powrotem przez korytarz do poczekalni.

Tam do Simona podszedł Fagbenle i odciągnął go na bok.

– Jest mi pan potrzebny – zaczął.

Simon, wciąż oszołomiony, zdołał jedynie kiwnąć głową.

– W porządku.

– Chciałbym, żeby pan na coś spojrział.

Podał mu sztywną kartkę z sześcioma zdjęciami w dwóch rzędach. Były to ujęcia twarzy opatrzone numerami.

– Proszę przyjrzeć się uważnie i powiedzieć, czy...

– Numer pięć – rzucił Simon.

– Niech mi pan pozwoli skończyć. Proszę przyjrzeć się uważnie i powiedzieć, czy rozpoznaje pan któregoś z tych mężczyzn.

– Rozpoznaję numer pięć.

– Skąd pan go zna?

– To on strzelał do mojej żony.

Fagbenle kiwnął głową.

– Będzie pan musiał osobiście dokonać identyfikacji.

– To... – Simon wskazał kartkę. – To nie wystarczy?

– Będzie lepiej, jeśli zrobi to pan naocznie.

– Nie chciałbym teraz opuszczać żony.

– Nie ma takiej konieczności. Podejrzany jest tutaj... dochodzi do siebie po postrzale. Chodźmy.

Policjant ruszył korytarzem. Simon spojrział na Yvonne, która dała mu znak, żeby poszedł za nim. To nie było daleko, na końcu korytarza.

– Rocca też złapaliście? – zapytał po drodze Simon.

– Tak, przymknęliśmy go.

– Co powiedział?

– Że pan i żona weszliście na jego teren, ale był odwrócony plecami, padły strzały i uciekł. Nie ma pojęcia, kto strzelał, kto został ranny i tak dalej.

– Bzdury.

– Naprawdę? Rocco, główny dealer narkotyków, też nas okłamuje? O rany, jestem w szoku.

– Pytał go pan o moją córkę?

– Nie zna jej. „Wszystkie białe dziewczyny wyglądają dla mnie tak samo – twierdzi – zwłaszcza ćpunkki”.

Simon nawet się nie skrzywił.

– Możecie zatrzymać go w areszcie?

– Pod jakim zarzutem? Sam pan mówił, że Rocco nic panu nie zrobił.

– Słusznie.

– To Luther pociągnął za spust. A skoro o tym mowa... – Policjant zatrzymał się przed drzwiami pomieszczenia, przy których siedział umundurowany policjant. – Cześć, Tony – rzucił do niego.

Tony strażnik spojrzał na Simona.

– Kto to?

– Mąż ofiary.

– Och. – Tony skinął Simonowi głową. – Przepraszam.

– Nic się nie stało.

– Ma dokonać identyfikacji – wyjaśnił Fagbenle. – Facet jest nadal nieprzytomny?

– Nie, już się obudził.

– Kiedy?

– Pięć, dziesięć minut temu.

Inspektor zwrócił się do Simona:

– Lepiej nie robić tego teraz.

– Dlaczego?

– Regulamin. Świadkowie przeważnie boją się stanąć oko w oko z podejrzanym.

Simon ściągnął brwi.

– Miejmy to już za sobą.

– Nie obawia się pan, że zobaczy pana twarz?

– Widział ją już, gdy strzelał do mojej żony. Myśli pan, że jeszcze robi to na mnie jakieś wrażenie?

Fagbenle wzruszył ramionami w geście „Jak pan chce” i pchnął drzwi. W telewizji leciało coś po hiszpańsku. Luther siedział na łóżku z zabandażowanym ramieniem. Skrzywił się na widok Simona i zapytał:

– Co on tutaj robi?

– A więc znasz tego pana? – zapytał Fagbenle.

Luther zerknął w lewo i zaraz potem w prawo.

– Eee...

Policjant spojrzał na Simona.

– Panie Greene?

– Tak, to ten człowiek strzelił do mojej żony.

– To kłamstwo!

– Jest pan pewien? – ciągnął Fagbenle.

– Tak – potwierdził Simon. – Jestem pewny.

– To oni strzelali do mnie! – wrzasnął Luther.

– Czyżby?

– Tak. To kłamca.

– Gdzie do ciebie strzelali?

– W ramię.

– Nie pytam, gdzie cię postrzelili, Luther, tylko w którym miejscu do ciebie strzelali.

– Jak to?

– Gdzie wtedy byłeś?

– Aha. W tamtej piwnicy. Na terenie Rocca.

– To dlaczego znaleźliśmy cię dwie przecznice dalej?

Widać było, że facet kompletnie zgłupiał.

– Bo... uciekałem. Przed nim.

– I ukrywałeś się w uliczce, kiedy znalazła cię policja?

– Ojej, nie lubię glin i już.

– Super, dzięki za potwierdzenie, że byłeś obecny w miejscu strzelaniny. To nam pomoże ustalić przebieg wydarzeń.

– Do nikogo nie strzelałem. Nie macie dowodów.

– Posiadasz broń, Luther?

– Nie.

- Nigdy z żadnej nie strzelałeś?
- Z broni? – spytał podejrzliwie Luther. – Może kiedyś, dawno temu.
- Człowieku, czy ty nie oglądasz telewizji?
- A co miałbym oglądać?
- Seriale o policjantach.

Luther wyglądał na zdezorientowanego.

– Zawsze jest taki moment, kiedy tępy podejrzany mówi: „Nigdy nie strzelałem z broni”, tak jak ty przed chwilą, a wtedy gliniarz odpowiada, że szukali śladów prochu... czy to ci coś mówi?... i je znaleźli, w postaci cząsteczek, na rękach i ubraniu tego kretyna.

Luther zbladł.

– A potem gliny... czyli ja... odczytują facetowi jego prawa. Mamy świadka, ślady prochu i dowód, że nasz tępy podejrzany kłamie. Więc już po nim. Dlatego gość idzie na współpracę i przyznaje się do winy.

Luther opadł na oparcie i zamrugał.

- Powiesz nam, dlaczego strzelałeś?
- To nie ja.

Fagbenle westchnął.

- Naprawdę stajesz się nudny.
- Dlaczego nie zapytasz jego? – odciął się Luther.
- Słucham?

Luther wskazał brodą Simona.

- On ci powie.

Simon wziął głęboki oddech. Odkąd wszedł do tego pokoju, panował nad sobą, ale teraz wszystko dotarło do niego z całą mocą. Ingrid, kobieta, którą kochał jak nikogo innego, przebywała tuż obok, w tym samym budynku; z powodu tego śmiecia walczyła o życie. Nie myśląc trzeźwo, podszedł do łóżka, podniósł ręce, żeby udusić tego drania, to zero, to bezwartościowe gównu, które próbowało unicestwić taką wspaniałą, pełną pasji istotę.

Fagbenle podniósł rękę, żeby go zatrzymać, nie tyle fizycznie, ile psychicznie. Napotkał spojrzenie Simona i porozumiewawczo, ale stanowczo pokręcił głową.

- O co mam go zapytać, Luther? – podjął.
- Co oni tam, u Rocca, robili. Powiedzmy, że rzeczywiście ja strzelałem. Nie tak naprawdę, ale na niby, jak to się mówi, hipotaktycznie.

Fagbenle starał się powstrzymać od ściągnięcia brwi.

– Mów dalej.
– Może Rocco potrzebuje ochrony?
– Po co mu ochrona?
– Nie wiem. Mówię hipotaktycznie.
– Więc to Rocco kazał ci strzelać do doktor Greene?
– Doktor? – Luther zeszywniał, krzywiąc usta. – O czym ty gadasz? Nie strzelałem do żadnej doktorki. Nie wrobisz mnie w coś takiego. – Wskazał na Simona. – Strzeliłem tylko do tej starszej pani.

Simon nie wiedział, czy ma się na niego rzucić, czy się zaśmiać. Znowu ogarnął go gniew: że nawet taki żalosny dupek może zniszczyć kogoś równie cudownego, pełnego życia, kochanego jak Ingrid. I wtedy zdał sobie sprawę, że nie ma na tym świecie żadnej sprawiedliwości, żadnej centralnej siły, żadnej kontroli, jest jedynie chaos. Miał ochotę zabić tego gnoja, zdeptać go jak karalucha, którym był – z tym że żaden karaluch nie jest taki okrutny i niebezpieczny – wyplenić to zero dla dobra ludzkości. Byłby z tego tylko czysty zysk. Jednak nagle poczuł się okropnie zmęczony tą wizją, bo w głębi duszy miał świadomość, że tak naprawdę coś takiego nie miałoby sensu. Że to wszystko stanowi jeden wielki straszny żart.

– Ja tylko chroniłem swojego szefa – wyjaśnił Luther. – Samoobrona, wiesz, o czym mówię.

Simon poczuł, że jego telefon wibruje. Zerknął na wyświetlacz. Przyszedł eśemes od Yvonne:

Możemy już zobaczyć Ingrid.

•••

Kiedy Simon wszedł do szpitalnej izolatki, zobaczył żonę na łóżku, bardziej nieruchomą niż we śnie, te rurki, szumiące urządzenia medyczne... Gdy objął to wszystko wzrokiem, ugięły się pod nim kolana i upadł. Nie przytrzymał się niczego. Pewnie mógłby, mógłby wyciągnąć rękę i złapać się uchwyty dla inwalidów na wózkach, po prawej stronie. Ale tego nie zrobił. Przewrócił się na podłogę i mocno uderzył, wydając cichy okrzyk, bo miał świadomość, że dobrze mu to zrobi.

Później, po wszystkim, wstał i o płaczu nie było już mowy. Usiadł przy Ingrid, wziął ją za rękę i zaczął mówić do żony. Nie motywował jej do życia, nie przekonywał o swojej miłości ani nic takiego. Gdyby słyszała, nie chciałaby tego. Po pierwsze, nie przepadała za melodramatami, a po drugie, nie życzyłaby sobie, aby dawał wyraz takim myślom, gdy ona nie może ich odwzajemnić, a przynajmniej skomentować. Wyznania miłości czy żalu z powodu straty były bez odpowiedzi nic dla niej niewarte. To jak gra w piłkę z samym sobą. Potrzebna jest druga osoba. Wzajemność.

Mówił więc o różnych sprawach: o swojej pracy, jej pracy, remoncie kuchni, który mogą kiedyś przeprowadzić albo nie, co bardziej prawdopodobne, o polityce, przeszłości i ulubionych wspomnieniach, do których – jak wiedział – chętnie wracała. Taka była. Uwielbiała, kiedy powtarzał pewne historie. Należała do tych, co słuchają uważnie, całą swoją istotą; uśmiechała się w trakcie jego opowieści i wtedy widział, że jest razem z nim, przeżywa tamte chwile tak intensywnie jak mało kto.

Jednak oczywiście tego dnia nie miała na twarzy uśmiechu.

W pewnym momencie (nie potrafił powiedzieć, ile minęło czasu) Yvonne położyła mu dłoń na ramieniu.

– Opowiedz mi, co się stało – poprosiła. – Wszystko.

Więc opowiedział.

Yvonne nie odrywała wzroku od siostry. Ona i Ingrid wybrały inne drogi i być może to było przyczyną dystansu między nimi. Ingrid zaczęła światowe życie: praca modelki, podróże, eksperymenty z narkotykami, co paradoksalnie zmniejszało, a nie zwiększało jej tolerancję dla Paige. Natomiast Yvonne była typem posłusznej córki, pilnie się uczyła, okazywała rodzicom miłość, nie pozwalała sobie na żadne ekscesy.

W końcu Ingrid stwierdziła, według jej własnych słów, że gdy człowiek wyprawia się w szeroki świat, odnajduje dom. Wróciła, podjęła roczne studia policencjackie w Bryn Mawr College i przygotowała się do egzaminów na medycynę. Dzięki determinacji i konsekwencji, które u kogoś innego Yvonne niewątpliwie by podziwiała, Ingrid wyróżniała się podczas nauki, praktyki i stażu.

– Nie możesz tu zostać – powiedziała Yvonne, kiedy wreszcie skończył.

– O czym ty mówisz?

– Posiedzę przy Ingrid. Ty musisz odnaleźć Paige.

– Nie zostawię żony.

– Nie masz wyboru.

– Zawsze sobie obiecywaliśmy, że... – Urwał. Nie było potrzeby mówić Yvonne czegoś, co już wiedziała. On i Ingrid stanowili jedność. Jeśli któreś z nich zachorowało, drugie trwało przy jego boku. Taką mieli zasadę. Stanowiło to część układu.

Yvonne była tego świadoma, ale pokręciła głową.

– Ingrid się obudzi. Albo nie. A jeśli tak, na pewno chciałyby zobaczyć Paige. Milczał.

– Nie znajdziesz córki, jeśli będziesz tutaj tkwił.

– Yvonne...

– Ingrid, gdyby mogła, powiedziałyby ci to samo. I dobrze o tym wiesz.

Dłoń Ingrid była bezwładna, nie czuło się w niej tętnienia krwi. Simon popatrzył na żonę, pragnął, aby coś mu powiedziała albo dała jakiś znak, ale ona jakby się kurczyła, nikła na jego oczach. Gdy tak leżała na tym łóżku, nie była już Ingrid, tylko pustym ciałem, jakby jej dusza opuściła budynek szpitala. Simon się nie łudził, że głos Paige przywróci ją do życia, ale wiedział, że jego obecność tutaj także tego nie sprawi.

Puścił rękę żony.

– Zanim pójdę, muszę jeszcze...

– Zajmę się dziećmi. Pracą. Ingrid. Idź już.

Rozdział 13

Minęła noc i prawie już świtało, kiedy samochód zawiózł Simona przed betonowe bloki na Bronxie. Na ulicy nie było nikogo, w każdym razie nikogo przytomnego. Na chodniku przed pustą, zarośniętą działką, zaledwie metr czy półtora od dziury, przez którą on i Ingrid się na nią dostali, spali dwaj mężczyźni. Ktoś zagroził przejście taśmą policyjną, ale była pośrodku przerwana i powiewała na porannym wietrze.

Simon dotarł do zrujnowanego trzypiętrowego budynku z cegły, który jego córka nazywała domem. Tym razem bez wahania ani lęku wszedł do środka. Ruszył po schodach, ale zamiast pójść na trzecie piętro, zatrzymał się na drugim. Nie było jeszcze szóstej. Simon oczywiście nie zmrużył oka. Miał świadomość, że napędza go coś, co wkrótce przestanie działać.

Zapukał do drzwi i czekał. Przypuszczał, że go obudzi, ale mało się tym przejmował. Drzwi otworzyły się już po kilku sekundach, nie później. Cornelius wyglądał, jakby także niewiele spał. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie przez długą chwilę.

– Co z nią? – zapytał wreszcie Cornelius.

– Jest w stanie krytycznym.

– Lepiej wejść do środka.

Wchodząc do mieszkania Corneliusa, Simon nie wiedział, czego się spodziewać – takiej brudnej nory, w jakiej mieszkała Paige? – jednak po przekroczeniu progu, niczym po przejściu przez magiczną bramę, wkraczało się do innego świata. To mieszkanie mogłoby się znaleźć w jednym z tych programów telewizyjnych, które uwielbiała oglądać Ingrid. Okna na przeciwległej ścianie były otoczone wbudowanymi półkami. Po prawej stronie stała klasyczna wiktoriańska kanapa. Leżące na niej wyszywane ozdobne poduszki miały botaniczne desenie. Po lewej wisiły grafiki przedstawiające

motyle. Na pięknym drewnianym stole były szachy w pudełku i Simon oczami wyobraźni ujrzał Paige, jak siedzi tu z Cornelusem, marszczy brwi i bezwiednie bawi się kosmykami włosów, obmyślając następny ruch.

Zza rogu wybiegła cocker-spanielka, tak zamasyście merdając ogonem, że ledwie utrzymywała równowagę. Cornelius złapał ją, podniósł i przycisnął do siebie.

– To Chloe.

Na półkach, przed szeregiem książek, stały zdjęcia. Rodzinne. Całe mnóstwo. Simon podszedł do nich. Zatrzymał się przy pierwszej typowej fotografii rodzinnej na tle tęczy: młody Cornelius, kobieta – pewnie jego żona – i trzech uśmiechniętych nastolatków, z których dwóch już go przewyższało.

Cornelius postawił suczkę na podłodze i zbliżył się do niego.

– To zdjęcie ma osiem, dziesięć lat. Tanya i ja wychowaliśmy naszych trzech chłopców w tym mieszkaniu. Są już dorośli. A Tanya... zmarła dwa lata temu. Na raka piersi.

– Przykro mi – powiedział Simon.

– Może usiądziesz? Sprawiasz wrażenie wykończonego, stary.

– Boję się, że jeśli usiądę, to już nie wstanę.

– To nie byłoby takie złe. Potrzebujesz wypoczynku, jeżeli chcesz pozostać na chodzie.

– Może później.

Cornelius delikatnie odstawił zdjęcie na miejsce, jakby było bardzo kruche, a potem wskazał portret umundurowanego żołnierza piechoty morskiej.

– To Eldon. Nasz najstarszy syn.

– Służy w marines.

– Tak.

– Bardzo do ciebie podobny.

– To prawda.

– Ty też służyłeś w wojsku, Cornelius?

– Jako kapral, właśnie w marines. Pierwsza wojna w Zatoce Perskiej. Operacja Pustynna Burza. – Odwrócił się i uśmiechnął do Simona. – Nie jesteś zdziwiony.

– Nie.

Potarł brodę.

– Widziałeś mnie?

– Przez ułamek sekundy.

– Ale tyle wystarczyło, żebyś się domyślił?

– I tak bym do tego doszedł – odparł Simon. – Nie wiem, jak ci dziękować.

– Daruj sobie. Zobaczyłem, że Luther tam idzie, więc za nim poszedłem. Powinienem był go unieszkodliwić, zanim strzelił do Ingrid.

– Uratowałeś nam życie.

Cornelius zerknął na zdjęcia rodzinne, jakby utrwalone na nich obrazy mogły być dla niego źródłem jakiejś mądrości.

– Co cię tu znowu sprowadza?

– Przecież wiesz.

– Dalej szukasz Paige.

– Tak.

– Ona też tam poszła. Do piwnicy. Tak samo jak wy. – Cornelius przesunął się do rogu. – Nigdy więcej jej nie widziałem.

– A Aaron źle skończył.

– Hm.

– Myślisz, że zabili Paige?

– Nie wiem. – Cornelius przykucnął. Otworzył szafkę, w której znajdował się sejf. – Ale niezależnie od tego, jak to się skończy, musisz być przygotowany na najgorsze.

– Jestem – odrzekł Simon.

Cornelius przycisnął kciuk do drzwiczek. Rozległo się ciche brzęczenie, gdy czytnik analizował linie papilarne. Sejf się otworzył.

– Tym razem nie powinienes iść bez wsparcia.

Sięgnął do środka i wyjął dwa pistolety. Wstał i zatrzasnął drzwiczki. Jeden z pistoletów podał Simonowi, a drugi zatrzymał.

– Nie oczekuję tego od ciebie – zauważył Simon.

– Nie przyszedłeś tu chyba, żeby mi podziękować?

– Nie.

– Więc chodźmy znaleźć Rocca.

• • •

Osiedle Sędziego Lestera Pattersona było jednym z najstarszych i największych kompleksów mieszkaniowych dla gorzej uposażonych

w mieście. Składało się z piętnastu takich samych wieżowców z kruszącą się cegły. Zajmowało powierzchnię siedmiu hektarów i mieściło przeszło tysiąc osiemset rodzin.

Prowadził Cornelius. Windy w budynku numer osiem nie działały, więc musieli pójść schodami. Mimo wczesnej pory na klatce schodowej panował duży ruch. Roześmiane dzieci udawały się do szkoły. Dorośli, jak co dzień, śpieszyli na pobliskie przystanki autobusowe i stacje metra, żeby pojechać do pracy. Prawie wszyscy opuszczali mieszkania i korzystali ze schodów, więc Simon i Cornelius jakby płynęli pod prąd: dwa łosose zmierzające na ósme piętro.

Matka Rocca i jego rodzeństwo mieszkali pod 8C. Zza drzwi wypadło dwoje dzieci, nie troszcząc się o ich zamknięcie. Simon zastukał we framugę i kobiecy głos powiedział, żeby weszli.

Simon wkroczył do środka. Cornelius został przy wejściu. Rocco wstał z fotela i wyszedł im naprzeciw. Simona znowu zaskoczył rozmiar mężczyzny. Z kuchni wyjrzała kobieta.

– Kto to? – zapytała.

Rocco popatrzył na niego nieprzyjaźnie.

– Nie przejmuj się, mamó.

– Nie mów mi, żebym się nie przejmowała. To mój dom.

– Dobrze, mamó. On zaraz sobie pójdzie. – Prostując się na całą wysokość, Rocco zbliżył się do Simona, tak że ten miał na poziomie wzroku jego tors. – Prawda?

Simon wychylił się zza niego, co nie było wcale łatwym zadaniem.

– Szukam córki – wyjaśnił matce olbrzyma. – Może pani syn wie, gdzie ona jest.

– Rocco?

– Nie zwracaj na niego uwagi, mamó.

Ale kobieta nie zamierzała być posłuszna. Podeszła do syna, a wtedy on, potężny facet, wyraźnie spuścił z tonu.

– Wiesz, gdzie jest córka tego pana?

– Nie wiem, mamó – odparł jak dziesięciolatek. – Nie kłamię.

Odwróciła się do Simona.

– Dlaczego sądzi pan, że on to może wiedzieć?

– Daj mi pogadać z nim przez chwilę, mamó. – Rocco podjął próbę wyprowadzenia Simona za drzwi.

Całym swoim ciałem wypchnął go na korytarz, wyszedł za nim i zamknął za sobą drzwi.

– To nie w porządku, stary... przychodzić do mojej mamy. – Zauważył Corneliusa. – A ty co tu robisz, do cholery?

– Pomagam mu.

Rocco pstryknął palcami i wskazał na niego.

– Już wszystko rozumiem. To ty go do mnie skierowałeś. Jazda stąd, jeden i drugi.

Simon ani drgnął.

Potężny mężczyzna spojrział na niego z góry.

– O co chodzi?

– Moja żona jest w śpiączce, walczy o życie. Została postrzelona na twoim terenie przez twojego człowieka. Moja córka zaginęła. Ostatni raz widziano ją u ciebie. – Simon nie mrugnął okiem, nie zawahał się ani nawet nie poruszył. – Nigdzie nie pójde, póki nie powiesz mi wszystkiego, co wiesz.

– Myślisz, że się ciebie boję?

– Chyba powinienes – włączył się Cornelius.

– A to dlaczego?

– Przyjrzyj mu się, Rocco. To zdesperowany facet. Jesteś na tyle bystry, by wiedzieć, że z desperatem lepiej nie zadzierać.

Rocco rzeczywiście obrzucił Simona wzrokiem. Ten wytrzymał jego spojrzenie.

– Powiem policji, że to ty kazałeś Lutherowi do nas strzelać – zagroził Simon.

– Co? Przecież to nieprawda.

– Krzyknąłeś do niego.

– Żeby go powstrzymać, stary. Nie chciałem, żeby strzelał!

– A skąd to mogę wiedzieć? Moim zdaniem to było polecenie. Według mnie kazałeś mu nas zabić.

– A, rozumiem. – Rocco rozłożył ręce. Popatrzył na Simona, a potem na Corneliusa. – Więc to tak?

Cornelius wzruszył ramionami.

– Ja tylko chcę odnaleźć córkę – rzucił Simon.

Rocco pokiwał głową w stylu: „Niech się zastanowie”.

– Dobra, w porządku, ale potem spadacie stąd.

Simon skinął głową.

– Tak, przyszła do mnie... to znaczy Paige. Zjawiała się w piwnicy. Od razu zobaczyłem, że ktoś ją pobił.

– Powiedziała kto?

– Nie pytałem. Sam się domyśliłem.

– Aaron.

Rocco nie raczył odpowiedzieć.

– To dlaczego Luther do nas strzelał?

– Bo jest stuknięty.

Simon nie przyjął tej odpowiedzi do wiadomości.

– Musi być jakiś inny powód.

– To nie ja mu kazałem.

– A kto?

– Posłuchaj, stary, ten biznes, który prowadzę... to nie jest łatwa robotą. Wciąż ktoś próbuje nas wykołegować. Aaron, tak, zgadza się, to był gnój. Ale należał do bandy. Wykończyła go konkurencja, powiedzmy, że jakiś inny „przedsiębiorca”. Może Fidelsi.

– Fidelsi?

– Gang kubański – wyjaśnił Cornelius i Simon w tym momencie, gdy jego żona była bliska śmierci, a córka przebywała Bóg wie gdzie, głośno się zaśmiał. Ten dźwięk poniósł się echem po korytarzu. Ludzie odwracali się i patrzyli na nich.

– Żarty sobie robisz.

– Wcale nie.

– Kubański gang o nazwie Fidelsi?

Cornelius pozwolił sobie na uśmiech.

– Od imienia ich przywódcy, Castro.

– Wymyśliłeś to.

– Nie, przysięgam na Boga.

Simon z powrotem odwrócił się do Rocca.

– Dlaczego Paige przyszła do ciebie po tym pobiciu?

– A jak sądzisz?

– Po działkę – odpowiedział sam sobie Simon. – Dałeś jej?

– Była spłukana.

- Czy to znaczy, że nie?
- Nie jestem organizacją charytatywną – odparł olbrzym.
- I co dalej?
- Wyszła, stary. A potem się dowiedziałem, że Aaron nie żyje.
- Według ciebie to Paige go zabiła?

– Stawiałbym raczej na Fidelsów – odparł Rocco. – Ale możliwe, że to ona. Albo ty, stary. Niewykluczone, że tak uznał Luther. Był przy tym, jak przyszła Paige. No, pomyśl. Powiedzmy, że jestem ojcem. Gdyby jakiś dupek skrzywdził moją córkę tak, jak Aaron skrzywdził twoją, nie pożyłby długo. Więc może to

- część twojej gry.
- Mojej gry?
- Zabiłeś Aarona. A teraz szukasz córki, żeby wybawić ją z tej całej sytuacji.
- Ja tak nie gram – rzucił Simon.

W jakimś sensie żałował jednak, że tak nie jest. Rocco miał rację. Gdy ktoś krzywdzi dziewczynę, jej ojciec ma prawo go powstrzymać, choćby nie wiadomo co. Simon tego nie zrobił. Pozwolił, żeby Paige się pograżyła; rzucał jej tylko bezużyteczne liny ratownicze, zamiast postąpić jak prawdziwy mężczyzna.

Zamiast za wszelką cenę ratować swoje dziecko.

Chronić je. Ocalić.

Wyszło, jaki z niego ojciec.

– Pewnie gdzieś tu jest – podjął Rocco. – Możesz jej szukać, stary, nie winię cię za to, że próbujesz. Ale to ćpunka. Nawet jeśli uda ci się ją znaleźć, ta historia nie będzie miała szczęśliwego zakończenia.

• • •

Cornelius zaprowadził Simona z powrotem do swojego mieszkania. Kiedy zamknął drzwi, Simon sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął broń.

- Proszę – powiedział, wyciągając pistolet.
- Zatrzymaj go.
- Na pewno?
- Na pewno – potwierdził Cornelius.
- Myślisz, że Rocco zdoła ją odnaleźć?
- Za taką nagrodę?

Simon na koniec złożył olbrzymowi prostą ofertę: znajdź Paige, a dostaniesz pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

– Tak – rzucił Cornelius. – Jeśli dziewczyna jeszcze gdzieś tu jest, odnajdź ją.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Schowaj gnata z powrotem do kieszeni – polecił szeptem. Podniósł głos i zapytał: – Kto tam?

Jakaś drobna starsza pani mówiąca z obcym akcentem, polskim, rosyjskim, w każdym razie wschodnioeuropejskim, odparła:

– Lizzy, panie Cornelius.

Otworzył drzwi. Kobieta, jak zapowiadał głos, rzeczywiście była niska, szczupła i wiekowa. Miała na sobie jakąś dziwną białą szatę, długą i powiewną, podobną do koszuli nocnej. Siwe włosy, rozpuszczone i potargane, spływały jej na plecy, jakby powiewając na wietrze, chociaż go nie było.

– Mogę w czymś pomóc, pani Sobek? – zapytał Cornelius.

Starsza pani spojrzała dużymi oczami za jego plecy i dostrzegła Simona.

– Ktoś u pana jest? – zauważyła.

– Nazywam się Simon Greene, proszę pani.

– To ojciec Paige – dodał Cornelius.

Kobieta rzuciła Simonowi tak ciężkie spojrzenie, że niemal się zachwiał.

– Jeszcze może pan ją uratować.

Te słowa go zmroziły.

– Wie pani, gdzie jest Paige? – zapytał.

Pani Sobek pokręciła głową i długie włosy musnęły jej twarz jak zasłona z koralików.

– Nie, ale wiem, jaka jest.

Cornelius odchrząknął, usiłując interweniować.

– Życzy pani sobie czegoś, pani Sobek?

– Ktoś jest na górze.

– Na górze?

– Na trzecim piętrze. Jakaś kobieta. Wkradła się do mieszkania Paige. Pomyślałam, że powinien pan wiedzieć.

– Zna ją pani?

– Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

– Dziękuję, pani Sobek. Zaraz tam pójde.

Cornelius i Simon wyszli na korytarz. Pani Sobek szybko się oddaliła.

– Dlaczego przyszła z tym do ciebie? – zagadnął Simon, podążając za nim.

– Nie jestem tylko lokatorem tego budynku.

– Dozorcą?

– Właścicielem.

Wspięli się po schodach i ruszyli w głąb korytarza. Żółta taśma na drzwiach mieszkania – zagradzająca wejście na miejsce zbrodni, przypomniał sobie Simon – była zerwana. Cornelius położył rękę na gałce u drzwi. Simon zdał sobie sprawę, że sam – podświadomie, a może świadomie? – włożył dłoń do kieszeni z pistoletem. Czy tak to jest, kiedy nosi się przy sobie broń? Gdy ma się ją przy boku jak coś w rodzaju rozjemcy, co działa uspokajająco i krzepiąco w stresujących sytuacjach?

Cornelius pchnął drzwi. Stała za nimi kobieta. Jeśli ją zaskoczyli, nie dała tego po sobie poznać. Była niska i przysadzista, chyba Latynoska. Miała na sobie granatowy żakiet i džinsy.

Odezwała się pierwsza.

– Pan Simon Greene?

– Kim pani jest?

– Nazywam się Elena Ramirez. Prywatny detektyw. Muszę porozmawiać z pańską córką.

• • •

Elena Ramirez pokazała im ozdobną wizytówkę, licencję prywatnego detektywa i legitymację poświadczającą, że jest emerytowaną agentką FBI. We troje przenieśli się do mieszkania Corneliusa. Mężczyźni usiedli w skórzanych fotelach, podczas gdy ona zajęła miejsce na miękkiej zielonej sofie.

– Więc gdzie jest pańska córka, panie Greene? – wróciła do tematu.

– Nie rozumiem. Na wizytówce widnieje informacja, że pracuje pani w Chicago – powiedział Simon.

– Zgadza się.

– Więc dlaczego interesuje panią moja córka?

– Ma związek ze sprawą, którą prowadzę – wyjaśniła Ramirez.

– Jaką sprawą?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Pani Ramirez?

– Przejdźmy na ty.

– Eleno, nie chcę się bawić z tobą w żadne gierki. Nie obchodzi mnie, jaką sprawą się zajmujesz, i nie mam powodu, żeby ci nie ufać, więc będę szczery i liczę, że zrewanżujesz mi się tym samym. Nie wiem, gdzie jest moja córka. Usiłuję ją znaleźć. Nie mam żadnych informacji poza przypuszczeniem, że znajduje się w promieniu półtora kilometra. Nadążasz za mną?

– A jak myślisz? – odcięła się Elena.

– I oto zjawiasz się ty... prywatny detektyw z Chicago... i chcesz rozmawiać z Paige. Sam bym chętnie z nią pogadał. Niczego innego nie pragnę. Więc proponuję, żebyśmy sobie pomogli i nawiązali współpracę, co ty na to?

W tym momencie dostał esemesa. Przez cały czas trzymał telefon w dłoni, co dziesięć sekund odbierał fantomowe wibracje i sprawdzał, czy nie przyszły żadne wiadomości. Tym razem to jednak nie było złudzenie.

Yvonne pisała:

Stan się stabilizuje, według lekarzy jest lepiej. Przeniesiono ją do separatki. Wciąż jest w śpiączce. Sam i Anya są z nami.

– Tylko się upewnię – odparła Ramirez. – Twoja córka zaginęła. Dobrze zrozumiałam?

Simon wciąż spoglądał na wyświetlacz.

– Tak.

– Kiedy to się stało?

Nie było sensu owijać w bawełnę.

– Po tym, jak zamordowano jej chłopaka.

Elena Ramirez powoli skrzyżowała ręce na piersi.

– Eleno? – zapytał Simon.

– Ja także szukam zaginionej osoby.

– Kogo?

– Dwudziestoczterolatka z Chicago.

Po raz pierwszy, odkąd usiedli, odezwał się Cornelius:

– Jak długo go nie ma?

– Od zeszłego czwartku.

– Kto to jest? – chciał wiedzieć Simon.

– Nie mogę podać nazwiska.

– Na litość boską, jeśli moja córka przypadkiem zna tego twojego zaginionego dwudziestoczterolatka, może będę w stanie ci pomóc.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Nazywa się Henry Thorpe.

Simon zaczął pisać na wyświetlaczu.

– Co robisz? – spytała.

– To nazwisko nic mi nie mówi. Więc zapytam syna i młodszą córkę. Oni lepiej znają kolegów Paige.

– Nie wydaje mi się, żeby Paige i Henry się kolegowali.

– Więc co ich łączy?

Elena Ramirez wzruszyła ramionami.

– Dlatego właśnie tu jestem. Żeby się tego dowiedzieć. Wygląda na to, że niedługo przed swoim zniknięciem Henry Thorpe kontaktował się albo z twoją córką, albo z jej chłopakiem, Aaronem Corvalem.

– W jaki sposób?

Wyjęła bloczek do notowania, polizała palec i zaczęła przerzucać kartki.

– Najpierw telefonicznie. Dzwoniono z komórki Paige na komórkę Henry’ego. Dwa tygodnie temu. Potem były esemesy i wreszcie e-maile.

– Co jest w tych esemesach i e-mailach?

– Nie wiadomo. Wiadomości tekstowe są w telefonach. Nie mamy do nich dostępu. E-maile skasowano. Orientujemy się, że zostały wysłane, i nic poza tym.

– Skąd pewność, że jedno i drugie mają jakieś znaczenie?

– Pewności nie ma żadnej, Simon. Na tym polega moja praca. Tropiąc zaginioną osobę, szukam wszelkich anomalii... czegoś, co wykracza poza jej codzienne zwyczaje.

– I te wiadomości...

– Są takimi anomaliami. Czy przychodzi ci na myśl jakiś powód, dla którego Henry Thorpe, dwudziestoczteroletni mężczyzna z Chicago, mógłby kontaktować się z twoją córką albo Aaronem Corvalem?

Simon nie musiał długo się zastanawiać.

– Czy Henry Thorpe miał w przeszłości styczność z narkotykami?

– Tak.

– Więc to może być powód.

– Fakt – odparła Elena. – Ale w Chicago też są do kupienia.

– Albo chodzi o sprawy zawodowe.

– Niewykluczone. Tylko że nie wydaje mi się, a tobie?

– Też nie – przyznał Simon. – Tak czy owak, i moja córka, i twój klient zaginęli.

– Zgadza się.

– Więc co możemy dla ciebie zrobić? – zapytał Simon.

– Przede wszystkim zadałam sobie pytanie, dlaczego przestali kontaktować się esemesami wysyłanymi z telefonów, a zaczęli e-mailami, poprzez komputery.

– I?

– Jak bardzo byli uzależnieni od narkotyków? Twoja córka i jej chłopak. Simon nie widział powodu, żeby kłamać.

– Bardzo – odparł. Cornelius pstryknął palcami.

– Paige pewnie sprzedała swoją komórkę. Żeby zdobyć forszę. – Zwrócił się do Simona: – Tak robią.

– Telefon nie odpowiada, więc ja też tak przypuszczam – powiedziała Elena. Simon nie był taki pewny.

– Więc Paige, zamiast telefonem, zaczęła posługiwać się komputerem?

– Tak.

– To gdzie on jest?

– Prawdopodobnie też go spieniężyła – odparł Cornelius.

– Albo zabrała ze sobą, gdy się ulotniła – dorzuciła Elena. – Mógł go też ukraść zaborca. Jednak najważniejsze pytanie brzmi: Skąd ten komputer wzięła? Nie stać jej było na jego kupno, prawda?

– Raczej nie – przyznał Simon. – Jeśli sprzedała telefon, żeby kupić narkotyki, to nie wydawałaby pieniędzy na komputer.

– Co znaczy, że go ukradła.

Simon milczał. Jego córka. Ćpunka. Wyprzedająca swoje rzeczy. Złodziejka. I co jeszcze?

– Znasz się na komputerach, Simon?

– Nie.

– Gdybyś się znał... jak mój technik, Lou... mógłbyś sprawdzić adres IP – wyjaśniła Elena. – Czasami da się zlokalizować komputer, jeżeli zawężą się pole

poszukiwań do miasta czy ulicy, a nawet osoby.

– Czy Lou zdołał dojść, do kogo należy ten, z którego korzystała Paige?

– Nie – odparła Elena. – Ale pochodzi z Amherst w Massachusetts.

A dokładniej z kampusu Amherst College. Czy nie studiuje tam twój syn?

Rozdział 14

Kiedy Simon i Elena weszli do szpitalnej poczekalni, Anya spała na jednym z modelowanych żółtych krzesel. Głowę opierała na potężnym barku wuja Roberta. Robert, mąż Yvonne, masywny głośny mężczyzna, już prawie łysy, grał kiedyś w futbol amerykański i był uroczym poczcivcem. Cieszył się opinią świętego prawnika; sędziowie uwielbiali jego szeroki uśmiech, naiwne żarciki maskujące błyskotliwy umysł oraz tempo, z jakim zadawał pytania podczas przesłuchań, i w przeciwieństwie do Yvonne był najlepszym przyjacielem Simona.

Teraz delikatnie odsunął Anyę, żeby wstać, nie budząc jej. Na przywitanie wziął szwagra w swoje wielkie ramiona. Był dobry w niedźwiedzich uściskach, więc Simon przymknął oczy i dał się objąć.

– Dobrze się czujesz?

– Nie.

– Tak myślałem.

Mężczyźni odsunęli się od siebie. Obaj spojrzeli na śpiącą Anyę.

– Nie wpuszczają do Ingrid nikogo poniżej osiemnastego roku życia – wytłumaczył Robert.

– Więc Sam...?

– Tak, jest u niej z Yvonne. Pokój siedem jeden siedem.

Robert z zaciekawieniem zerknął na Elenę Ramirez. Simon uznał, że kobieta wszystko mu wyjaśni, więc klepnął go w ramię, podziękował mu i skierował się do pokoju 717. Cornelius został w domu. Nie miał nic więcej do roboty; już i tak zrobił więcej, niż należało, więc uznał, że będzie lepiej, jeśli zostanie w Mott Haven, żeby „mieć oko na okolicę”.

– Ale gdybyś mnie potrzebował... – dodał, kiedy wymieniali się numerami komórek.

Simon otworzył drzwi do pokoju Ingrid. Najpierw dotarły do niego dźwięki. Te cholerne urządzenia i wydawane przez nie odgłosy, zaprzeczenie ciepła i poczucia bezpieczeństwa.

Sam, jego syn, przystojny osiemnastoletni chłopak, siedział na krześle przy łóżku matki. Kiedy odwrócił się ku ojcu, miał na twarzy ślady łez. Zawsze był bardzo uczuciowym dzieckiem, Ingrid czule nazywała go nawet „mazgajem”. Pod tym względem nie różnił się od ojca. Kiedy przed trzema laty umarła mu babcia, matka Simona, Sam płakał przez wiele godzin bez przerwy, szlochał i szlochał. Simonowi nie mieściło się w głowie, jak można tak długo rozpaczać i nie paść z wyczerpania.

Kiedy chłopak wpadał w taki stan, nie dało się go pocieszyć. Chociaż był bardzo emocjonalny, fizyczny kontakt tylko pogarszał sprawę. Należało zostawić go samego sobie, tak zresztą mówił. Jeśli ktoś próbował go uspokajać, spotykał się z ostrą odprawą. Nawet jako mały chłopiec Sam spoglądał błagalnie i prosił: „Dajcie mi dość do siebie, dobrze?”.

Yvonne stała przy oknie. Posłała Simonowi wymuszony uśmiech.

Simon przeciął izolatkę. Położył dłoń na ramieniu syna i pochylił się, żeby pocałować żonę w policzek. Ingrid w jego ocenie wyglądała gorzej niż poprzednio; była blada i wręcz nikła w oczach, jak na którejś z tych scen filmowych, kiedy Śmierć walczy z Życiem i zdobywa przewagę.

Ścisnęło mu się serce.

Odwrócił głowę, popatrzył na Yvonne i zerkając na drzwi, dał jej znak, aby wyszła. Od razu zrozumiała. Bez słowa wyslizgnęła się z pokoju. Simon wziął krzesło i postawił je obok Sama. Syn miał na sobie czerwony T-shirt z logo producenta ostrego sosu chili. Uwielbiał takie koszulki. Ingrid kupiła mu tę dwa tygodnie wcześniej, po tym jak Sam im powiedział, że jedzenie w college’u jest okej, ale z sosem Sriracha staje się o niebo lepsze. Wtedy Ingrid weszła do internetu, wyszukała odpowiedni T-shirt, kupiła go i wysłała synowi.

– W porządku?

Było to głupie pytanie, ale co miał powiedzieć? Z oczu syna wciąż ciekły łzy i pod wpływem tych dwóch słów jego twarz znowu się ściągnęła, jakby wstrzymywał się od nowego napadu płaczu. Sam tak dobrze czuł się w Amherst. Podczas gdy Paige w college’u trochę tęskniła za domem – dlaczego nie zwrócili na to większej uwagi? dlaczego słuchali nieproszonych rad, żeby dać jej czas i nie być na każde jej skinienie? – on od razu wciągnął się w studenckie życie.

Każda nowa osoba, jaką poznawał, była cool, jego współlokator, Carlos, wyluzowany chłopak z Austin noszący bródkę – nawet supercool. Sam od razu zapisał się do różnych klubów, drużyn sportowych i kółek naukowych.

Ingrid pewnie byłaby niezadowolona, że Simon go od tego wszystkiego oderwał.

Chłopak nie odwracał od matki wzroku.

– Co się stało? – zapytał.

– A co powiedzieli ci ciotka i wuj?

– Tylko że mama została postrzelona. Mówili, że więcej dowiem się od ciebie.

Yvonne i Robert znowu postąpili słusznie.

– Wiesz, kto to jest Aaron, prawda?

– Ten facet, z którym Paige...

– Właśnie. Został zamordowany.

Sam zamrugał.

– A Paige zniknęła.

– Nie rozumiem.

– Mieszkali razem na Bronxie. Poszliśmy tam z twoją mamą, żeby ją odnaleźć. I wtedy mamę postrzelono.

Simon zaczął opowiadać szczegółowo, nie zatrzymując się; niemal nie robił przerw na oddech, ani na chwilę nie milkł, nawet gdy Sam zbladł i coraz szybciej mrugał.

W pewnym momencie syn zapytał:

– Myślisz, że to była Paige? Że to ona zabiła Aarona?

To Simona zmroziło.

– Skąd ci taka myśl przyszła do głowy?

Sam tylko wzruszył ramionami.

– Musisz mi coś powiedzieć, synu.

Wzrok chłopaka znowu spoczął na matce.

– Czy widziałeś się ostatnio z Paige?

Brak odpowiedzi.

– Sam, to ważne.

– Tak – potwierdził chłopak cicho. – Widziałem się z nią.

– Kiedy?

Wciąż wpatrywał się w matkę.

– Sam?

– Ze dwa tygodnie temu.

To by się zgadzało. Przed dwoma tygodniami Sam był w college’u. Mieli w roku akademickim jedną przerwę, ale chłopak tak dobrze czuł się na kampusie, że nie chciał z niego wyjeżdżać. Chyba że kłamał. Chyba że tak naprawdę nie lubi studiów, tego cholernego sosu, Carlosa ani uczelnianych sportów.

– Gdzie? – zapytał ostro Simon.

– W Amherst. Przyjechała do mnie.

– Paige przyjechała na kampus?

Sam kiwnął głową.

– Autobusem. Bilet z Port Authority kosztuje dwadzieścia cztery dolary.

– Była sama?

Znowu kiwnięcie głową.

– Wiedziałaś, że przyjedzie?

– Nie. Nie uprzedziła mnie. Po prostu... się zjawiała.

Simon usiłował to sobie wyobrazić: dziedziniec uczelni jak z katalogu reklamowego, krzeczcy studenci rzucający frisbee albo leżący z książkami na słonecznych trawnikach i oto przybywa ktoś, kto jeszcze przed rokiem przynależał do tego miejsca jak każdy z nich, a teraz stanowił przestrożę, jak zdemolowany samochód, który policja trzyma niedaleko posterunku, aby zniechęcał dzieciaki do prowadzenia po alkoholu.

Chyba że... znowu chyba że...

– Jak wyglądała? – indagował dalej.

– Tak samo jak na tamtym wideo.

Te słowa obudziły w Simonie płomyk nadziei.

– Powiedziała, po co przyjechała?

– Mówiła, że ucieka przed Aaronem.

– A podała powód?

Sam pokręcił głową.

– I co dalej?

– Zapytała, czy może zatrzymać się u mnie na kilka dni.

– I nic nam o tym nie wspomniałaś?

Chłopak wciąż patrzył na matkę.

– Prosiła mnie o to.

Simon miał ochotę powiedzieć coś na ten temat, o zaufaniu do rodziców, ale uznał, że nie jest to odpowiednia pora.

– Współlokatorowi nie przeszkadzała obecność twojej siostry?

– Carlosowi? Uznał, że będzie cool. Jakbyśmy brali udział w jakimś studenckim projekcie mającym na celu pomoc upośledzonym społecznie.

– Jak długo została?

Sam odpowiedział słabym głosem:

– Niedługo.

– Czyli ile czasu?

Chłopakowi znowu z oczu popłynęły łzy.

– Na tyle długo, żeby nas obrobić – wyznał. Płakał, ale mówił wyraźnie. – Paige spała na dmuchanym materacu Carlosa, na podłodze. Zasnęliśmy wszyscy. A kiedy się obudziliśmy, jej już nie było. Podobnie jak naszych rzeczy.

– Co zabrała?

– Portfele. Laptopy. Carlos miał jeszcze kolczyk z brylantem.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? – Simon miał sobie za złe, że w jego głosie brzmi irytacja. – Sam?

Chłopak milczał.

– A Carlos powiedział rodzicom?

– Nie. Zostało mi trochę forsy. Staram się mu to wynagrodzić.

– Mów, ile stracił, to mu oddamy. A ty?

– Zadzwoń do ciebie do pracy – wyznał Sam. – Powiedziałem Emily, że zgubiłem kartę kredytową. Przysłała mi nową.

Simon sobie przypomniał. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Karty kredytowe często giną albo zostają skradzione.

– Korzystam teraz z komputerów w bibliotece. Żadna sprawa.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

To znowu nie było najmądrzejsze z jego strony, ale nie był w stanie się powstrzymać.

Najwyraźniej dobił tym syna.

– To wszystko moja wina – rzucił Sam.

– Co? Ależ skąd!

– Gdybym ci powiedział...

– Przestań, Sam. To niczego by nie zmieniło.

– Czy mama umrze?

- Nie.
- Skąd możesz mieć pewność?

Prawda.

Simon przestał zaprzeczać i kłamać. To nie miało sensu. Kłamstwa tylko pogarszają sytuację, zamiast polepszać. Spojrzał w stronę wejścia. Yvonne obserwowała ich przez okienko w drzwiach. Simon do nich podszedł. Gdy dobrze się kogoś zna, kiedy spędza się z nim dużo czasu, jak on ze szwagierką, czyta mu się w myślach.

Opuścił więc pokój, a jego miejsce zajęła Yvonne.

Zastał Elenę Ramirez bawiącą się telefonem na końcu korytarza.

- Mów – zażądała.

Opowiedział jej.

- To wyjaśnia, skąd Paige miała laptop – skomentowała Elena.

- I co teraz? – zapytał Simon.

Nawet się uśmiechnęła.

- Uważasz, że stanowimy drużynę? – spytała.

- Możemy sobie pomóc.

– Fakt. Moim zdaniem musimy znaleźć powiązania. – Znowu pogmerała w komórce. – Wysłałam ci informacje o rodzinie Aarona. Rano urządzają pogrzeb. Może powinieneś na niego pojechać. Jest szansa, że zjawi się Paige. Rozglądaj się za kimś, kto trzyma się z daleka. Jeśli nikogo nie zobaczysz, pogadaj z rodziną. Zorientuj się, czy Aaron mógł znać Henry'ego Thorpe'a.

- Dobra – odparł Simon. – A ty? Czym się zajmiesz?

- Odwiedzę kogoś, z kim kontaktował się Henry.

- Kogo?

- Nie znam nazwiska – wyjaśniła Elena. – Mam tylko adres.

- Jaki?

- Salonu tatuażu w New Jersey.

Rozdział 15

Corval Inn i Family Tree Farm znajdowały się we wschodniej części stanu Connecticut, niedaleko granicy z Rhode Island. Simon przyjechał tam o wpół do dziewiątej rano. Pogrzeb Aarona miał według Eleny Ramirez rozpocząć się o dziewiątej.

Gospoda okazała się białym wiejskim domem w stylu federalnym, z gustownymi dobudówkami po obu stronach. Na okalającym ją ganku stały zielone bujane fotele z wikliny. Tablica głosiła: POSIADŁOŚĆ RODZINNA OD 1893 ROKU. Typowy pocztówkowy widoczek z Nowej Anglii. Z autobusu po prawej stronie wysypywali się turyści przywiezieni na przejażdżkę wozem z sianem. Stodoła na tyłach Atrakcyjnego Małego Zoo oferowała „głaskanie” kóz, owiec, alpaka i kur. Choć Simon się zastanawiał, jak może wyglądać głaskanie kury.

Ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, goście rąbali też dla siebie choinki. W październiku miejsce to było Nawiedzoną Farmą, z takimi atrakcjami jak Nawiedzony Labirynt, Nawiedzony Silos i Nawiedzona Przejażdżka Wozem (słowo klucz: „nawiedzony”) powożonym przez Nawiedzonego Jeźdźca bez Głowy. Organizowano tu także sezonowe zbieranie dyń i jabłek. W małej chacie po prawej można było wyprodukować własny cydr.

Simon zaparkował samochód i skierował się do drzwi frontowych gospody. Na ozdobnej tabliczce widniał napis: TYLKO DLA GOŚCI. Zignorował go i wkroczył do holu. Wystrój był jak z epoki i bardziej elegancki, niż można by się spodziewać. Mahoniowe sofy z ozdobnymi nóżkami stały wśród windsorskich foteli z wiśniowego drewna o wachlarzowych oparciach. Przy wielkim kominku tkwił niczym wartownik zegar wahadłowy. Na jednej etażerze wyeksponowano piękną porcelanę, a na drugiej – oprawione w skórę książki. Na ścianach wisiały stare olejne portrety przedstawiające krzepkich mężczyzn o surowej powierzchowności: dawnych patriarchów rodu Corvalów.

– W czymś panu pomóc?

Zza biurka uśmiechnęła się do niego kobieta. Miała na sobie koszulę w kratę jak włoscy restauratorzy, którzy za bardzo starali się zachować autentyzm. Simon był ciekaw, czy to matka Aarona, ale gdy przeszedł wzdłuż olejnych portretów, natknął się na oprawioną w ramki fotografię uśmiechniętej pary około sześćdziesiątki. Plakietka pod zdjęciem informowała:

CORVALOWIE
WILEY I ENID

– Przyjechałem na uroczystość żałobną.

Kobieta przyjrzała mu się nieprzyjaźnie, jeśli nawet nie wrogo.

– Mogę spytać o nazwisko?

– Simon Greene.

– Nie znam pana, panie Greene.

Kiwnął głową.

– Ale ja znałem Aarona.

– Znał pan Aarona – powtórzyła z niedowierzaniem w głosie. – I przyjechał pan złożyć mu wyrazy szacunku?

Simon nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Kobieta wzięła folder i otworzyła go z pietyzmem. Na łańcuszku miała okulary do czytania. Włożyła je na czubek nosa.

– Pójdzie pan za stodołę. Tu skręci pan w prawo. Na polu kukurydzy zobaczy pan labirynt. Proszę do niego nie wchodzić. Już dwa razy w tym tygodniu musieliśmy posyłać pracowników, żeby wyprowadzili z niego gości. Potem skieruje się pan tutaj.

Wskazała na mapce.

– Do lasu prowadzi ścieżka. Pójdzie pan nią. Na drzewie zobaczy pan zieloną strzałkę wskazującą na prawo. To znak dla turystów. Pan skręci w lewo.

– Skomplikowane – zauważył.

Podziała mu folder i zmarszczyła czoło.

– Ten hol jest przeznaczony tylko dla gości gospody.

– I subtelne.

Podziękował jej i wyszedł na zewnątrz. Właśnie trwała przejażdżka na sianie; traktor o wiele za wolno ciągnął wóz z grupą ludzi. Wszyscy się

uśmiechali, choć wyglądali, jakby nie było im za wygodnie. Jakaś rodzina – mężczyzna, kobieta, syn i córka – pomachała do niego zgodnie. Odpowiedział tym samym gestem i nagle cofnął się w czasie, do dnia, kiedy zabrali dzieci na zrywanie jabłek w Chester, na północ od granicy New Jersey. Była piękna jesień i owszem, pamiętał, jak wziął Paige na barana, żeby mogła dosięgnąć wyżej rosnącej gałęzi, ale stojąc tam i starając się nie patrzeć na tę szczęśliwą, niewinną rodzinę, pogrążoną w błogiej nieświadomości, przede wszystkim przypominał sobie, jak wyglądała Ingrid w ciemnej flanelowej koszuli, wetkniętej w obcisłe dzinsy, i w wysokich botkach. Właśnie odwrócił się do niej, z chichoczącą Paige na ramionach, gdy ona, zatykając za ucho pasmo włosów, uśmiechnęła się do niego i jeszcze teraz, na samo wspomnienie, jak ich wzrok spotkał się tamtego dnia, poczuł, że robi mu się słabo.

Wyjął telefon i przez chwilę patrzył na wyświetlacz; tak bardzo pragnął, żeby przyniósł dobre wiadomości. Daremnie.

Ruszył drogą za stodołę z małym zoo. Kury chodziły na swobodzie. Jedna podbiegła i na niego spojrzała. Kusiło go, żeby spróbować ją pogłaskać. Mężczyzna w farmerskim kombinezonie dokonywał jakiejś prezentacji, pokazując jajka i inkubator. Kukurydza na polu z labiryntem rosła na wysokość trzech metrów. Do wejścia ustawiała się kolejka, a tabliczka powiadamiała gości, że w tym roku tematem przewodnim labiryntu jest PIĘĆDZIESIĄT STANÓW. ODNAJDŹ JE WSZYSTKIE!

Zauważył ścieżkę, więc poszedł nią, zobaczył zieloną strzałkę wskazującą na prawo i skręcił w przeciwną stronę. Las gęstniał. Obejrzał się, ale nie widział już pola.

Podążał przed siebie; ścieżka prowadziła teraz w dół, coraz bardziej stromo. Usłyszał dobiegający z oddali szum, jakby wartko płynącej wody. Może strumienia. Ścieżka skręciła w prawo. Drzewa przed nim powoli się przerzedzały, aż znalazł się na polanie. Idealnie kwadratowa, była raczej tworem człowieka niż natury. Niskie ogrodzenie ze sztchet, wysokości jakichś trzydziestu centymetrów, nie więcej, otaczało niewielkie nagrobki.

Rodzinny cmentarz.

Simon się zatrzymał.

Za cmentarzem rzeczywiście płynął szumiący potok, nad którym stała wyblakła ławka z drewna tekowego. Simon nie sądził, żeby dla zmarłych miało

to znaczenie, ale żywi z pewnością mogli tu spokojnie opłakiwać i wspominać bliskich, których stracili.

Mężczyzna, w którym rozpoznał Wileya Corvala, ojca Aarona, stał samotnie przy nowym nagrobku. Simon czekał. Tamten w końcu podniósł głowę i spojrzał w jego kierunku.

– Kim pan jest? – zapytał.

– Nazywam się Simon Greene.

Wiley Corval popatrzył na niego pytająco.

– Jestem ojcem Paige.

– Czy to ona zrobiła?

Simon nie odpowiedział.

– Zabiła mojego syna?

– Nie.

– Skąd może pan wiedzieć na pewno?

– Nie wiem. – Facet właśnie grzebał syna. To nie był czas na kłamstwa. – Jeśli panu powiem, że moja córka nie jest typem morderczyni, to niewiele pana pocieszy, prawda?

Wiley Corval tylko na niego spoglądał.

– Ale nie sądzę, żeby zrobiła to Paige. Ta śmierć... była zadana brutalnie. Zna pan szczegóły?

– Znam.

– Ona nie byłaby do tego zdolna.

– Ale nie ma pan pewności.

– No nie.

Mężczyzna się odwrócił.

– Proszę odejść.

– Paige zaginęła.

– Nic mnie to nie obchodzi.

Z oddali dobiegały okrzyki i śmiechy dzieci, pewnie błądzących po labiryncie. Tu wychował się Aaron Corval, w tej scenerii jakby rodem z obrazu Normana Rockwella, i proszę, jak skończył. Ale skoro już, to czy Paige nie miała równie idyllicznego dzieciństwa? I to nie tylko w teorii. Widzimy płoty ze sztachet, ładne fasady domów, dwoje uśmiechniętych rodziców, zdrowe rodzeństwo, ale nie wiemy, co się za tym kryje, nie mamy pojęcia

o rozgrywających się za zamkniętymi drzwiami dramatach, gniewie i przemocy, zniweczonych marzeniach i wygórowanych oczekiwaniach.

Tylko że przecież Paige to nie dotyczyło.

Czy ich życie było idealne?

Jasne, że nie.

A bliskie ideału?

Na tyle bliskie, na ile jest to możliwe, tak przynajmniej wyobrażał sobie Simon.

A jednak ich córka zeszła na złą drogę, najgorszą. Simon zadawał sobie tysiące pytań, zastanawiał się nad każdą decyzją podjętą w przeszłości: Czy okazywał córce wystarczająco dużo uwagi, interesował się jej przyjaciółmi i nauką, wspierał jej hobby? Czy oboje z Ingrid nie byli zbyt surowi albo zbyt pobłażliwi? Kiedyś wybuchł gniewem i podczas kolacji cisnął szklanką o podłogę. Tylko raz. Przed laty. Pamiętał, jak Paige, wówczas zaledwie ośmioletnia, zaczęła się trząść.

Czy to dlatego?

Analizujesz wszystkie takie przekłete chwile, bo choć dzieci nie przychodzą na świat z instrukcją obsługi, jak ostrzegala go matka, mają własny układ sterowania, o czym szybko się przekonujesz, a w starciu natura kontra wychowanie natura zdecydowanie wygrywa – to mimo wszystko, gdy coś pójdzie nie tak, gdy duszę twojej córki albo syna ogarnia ciemność, możesz tylko zachodzić w głowę, jaki popełniłeś błąd.

Usłyszał za sobą kobiecy głos:

– Kto to?

Simon pośpiesznie się odwrócił. Ją też rozpoznał ze zdjęcia w holu: była to matka Aarona, Enid. Za nią wolnym krokiem szła ścieżką grupa ludzi, z dziesięć, dwanaście osób, łącznie z duchownym (sądząc po koloratce), który niósł Biblię.

– Och, to tylko miły pan, który zabłądził – odparł Wiley Corval.

Simon zastanawiał się, czy nie powiedzieć prawdy – nie doprowadzić do konfrontacji, niech szlag trafi uprzejmość! – ale doszedł do wniosku, że to nic by nie dało. Wymamrotał więc przeprosiny i już miał wyminąć rodzinę oraz znajomych Corvalów, żeby wrócić na farmę. Nie było wśród nich nikogo w wieku Aarona i przypomniał sobie, jak Paige mówiła coś o tym, że jest jedynakiem. To oznaczało, że Simon nie spotka jego rodzeństwa – a nie

wyglądało na to, żeby ktoś z obecnych mógł się przyjaźnić z Aaronem, jeśli taki ćpun jak on w ogóle miał jakichś przyjaciół.

To co dalej?

Niech spokojnie pożegnają Aarona, pomyślał. Kimkolwiek chłopak się stał, Wiley i Enid stracili w nim syna, brutalnie, przedwcześnie, na zawsze. Tej chwili nikt nie powinien im zakłócić.

Kiedy wyszedł z lasu, z labiryntu wyłoniła się grupa zdyszanych dzieci, dziesięcio-, jedenastoletnich. Zaczęły przybijać ze sobą piątkę. Simon wyjął telefon. Dostał mnóstwo wiadomości. Zabrał się do czytania tych od „ulubionych”. Pierwsza na ich liście była Ingrid. Druga – Yvonne. Potem – Paige (której numer nie odpowiadał, ale go nie wykasował), Sam i Anya. Dzieci według starszeństwa. Żeby było sprawiedliwie.

Stuknął palcem w numer Yvonne.

– Bez zmian – oznajmiła.

– Muszę przy niej być.

– Nie musisz.

Obejrzał się na dzieci, które opuściły pole kukurydzy. Wszystkie trzymały w dłoniach komórki, niektóre cykały zdjęcia, selfie i grupowe, inne stuknęły palcami w wyświetlacze.

– Wyobraź sobie, że jest odwrotnie – ciągnęła Yvonne. – To ty zostałeś postrzelony. Leżysz na szpitalnym łóżku w śpiączce. Czy chciałbyś, żeby Ingrid tkwiła przy tobie, trzymając cię za rękę? Czy raczej...

– No tak, w porządku. Rozumiem.

– Odnalazłeś rodzinę Aarona?

Zrelacjonował jej najnowsze wydarzenia.

– Więc co zamierzasz dalej?

– Pokręcę się tutaj. Poczekam, aż skończy się pogrzeb. Jeszcze raz spróbuję z nimi pogadać.

– Ojciec nie wydaje się przyjaźnie nastawiony – skomentowała Yvonne. – Ale może matka wykaże większe zrozumienie.

– Seksistka – rzucił pod adresem szwagierki.

– I co z tego?

– Jak w pracy?

– Nad wszystkim panujemy.

Rozłączył się i wrócił do samochodu. Ponownie wyjął telefon i połączył się z pocztą głosową. Informacja o postrzeleniu Ingrid jakimś cudem nie dotarła do mediów, więc na szczęście większość wiadomości dotyczyła spraw zawodowych, a nie prywatnych. Oddzwonił do kilku klientów, nie wspominając o sprawach osobistych, jakby to był zwykły dzień pracy. Zajęcie się rutynowymi czynnościami przyniosło mu pewną ulgę.

Odsuwał od siebie myśli o Ingrid. Zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia.

Pół godziny później, podczas rozmowy z doktorem Danielem Brocklehurstem, neurochirurgiem z Mount Sinai, o korzyściach finansowych przeniesienia się po osiągnięciu wieku emerytalnego na Florydę albo do Arizony, Simon zauważył grupę żałobników schodzącą po niewielkim stoku. Na jej czele podążali Wiley Corval i duchowny. Ojciec Aarona szedł zgarbiony pod wpływem wyraźnej, jeśli nawet nie teatralnej rozpacz, i duchowny obejmował go ramieniem, szepcząc zapewne słowa pociechy. Pozostali wlekli się za nimi; jedni mrużyli oczy przed słońcem, drudzy pozdrawiali mijających ich turystów.

Na końcu – na samym końcu – Simon dostrzegł Enid Corval, matkę Aarona. Przelotnie wyobraził sobie ich wszystkich jako stado gazeli, a siebie jako lwa przygotowującego się do ataku na tę z nich, która się odłączy. Była to tylko wizja, ale cóż...

Tą najbardziej oddaloną była Enid.

Simon obserwował dalej. Kobieta sprawiała wrażenie zamyślanej. Spojrzała na zegarek i zwolniła, przez co jeszcze bardziej oddaliła się od pozostałych. Sama.

Dziwne, pomyślał Simon. Przecież była matką chłopaka. Można by się spodziewać, że będzie przy niej kilku gości pocieszających ją, obejmujących. Ale nie.

Była także inaczej ubrana. Pozostali żałobnicy, łącznie z Wileym Corvalem, prezentowali elegancki styl sportowy, mieli na sobie granatowe marynarki, spodnie i mokasyny, z pewnymi wariacjami. Jakby rodem z jachtklubu dla ubogich. Enid była w dżinsach z wysokim stanem, białych trampkach i żółtym rozciągniętym swetrze z warkoczem.

Wiley z duchownym ruszył po schodach na ganek. Recepcjonistka, z którą rozmawiał Simon, przywitała się z nim, cmokając go w policzek. Wszyscy po kolei weszli do gospody.

Oprócz Enid.

Szła za grupą w takiej odległości, że drzwi zostały zamknięte. Spojrzała w lewo, potem w prawo, i ruszyła za budynek.

Simon nie bardzo wiedział, co w tej sytuacji zrobić. Wsiąść z samochodu i przystąpić do konfrontacji? Czy zostać i patrzeć, dokąd kobieta pójdzie?

Kiedy zniknęła za gospodą, wysiadł, żeby mieć lepszy widok. Zobaczył, że Enid Corval wsiada do pick-upa. Uruchomiła go i wrzuciła wsteczny bieg. Simon pośpiesznie wrócił do wozu i włączył silnik.

Trzydzieści sekund później jechał za pick-upem Enid przez Tom Wheeler Road.

Drogę otaczały kamienne murki, które nie zasłaniały rozległych pól uprawnych ciągnących się po obu stronach. Simon nie znał tej okolicy (czy były to prawdziwe farmy, czy pokazowe?), większość jednak sprawiała wrażenie zaniedbanych i biednych.

Po piętnastu minutach pick-up zajechał na brudny parking z równie brudnymi samochodami. Nigdzie w pobliżu nie było tablicy ani szyldu z nazwą tego miejsca. Enid wysiadła i skierowała się do przebudowanej stodoły z aluminiowym sidingiem. Pomalowano ją na jaskrawy pomarańcz, przypominający włosy klauna.

Simon wtoczył się na parking i świadom, jak bardzo jego audi rzuca się w oczy, zaparkował w najdalszym rogu. Spojrzał w lewo. Za budynkiem, niewidoczne z drogi, stały w dwóch równiutkich rzędach motocykle, w większości harleye. Było ich ze dwadzieścia kilka. Simon nie znał się na motocyklach, nigdy żadnym nie jechał, ale nawet ze swojego miejsca widział ikoniczne logo na kilku z nich.

Enid zmierzała przez błoto do wahadłowych drzwi, typowych dla dawnych saloonów. Kiedy przyjechała, na parking wkroczyli dwaj potężni faceci w skórzanych ochraniaczach na spodnie i czarnych bandanach. Ich grube, trochę zwiotczałe ramiona były pokryte tatuażami. Obaj mieli wydatne brzuchy i obowiązkowe brody. Harleyowcy.

Serdecznie przywitali się z Enid, podając jej ręce i ściskając ją. Ona pocałowała jednego z nich w policzek i weszła za drzwi. Simon zastanawiał się, czy czekać, aż wyjdzie – wyraźnie nie było to miejsce, w którym bywali tacy jak on – ale wydało mu się to stratą czasu. Zamknął samochód i ruszył w stronę wahadłowych drzwi.

Niemal się spodziewał, że kiedy je pchnie, muzyka ucichnie, wszyscy odwrócą głowy i zaczną się gapić na intruza. Tak się jednak nie stało. Nie było też żadnej muzyki. W telewizorze, tak starym, że miał jeszcze antenę, leciał mecz bejsbolowy. Był to bar, ale dziwny. Miejsca nie brakowało, nawet na tańce, ale Simon wątpił, żeby urządzano je tu ostatnio. W prawym rogu stała szafa grająca, niepodłączona jednak do prądu. Pod nogami czuł ziemię, jak na parkingu.

Enid Corval usadowiła się przy barze. Biorąc pod uwagę, że było dopiero po jedenastej, interes funkcjonował całkiem nieźle. Na stołkach, których było ze trzydzieści, siedziało około dziesięciu osób, w równych odległościach od siebie, nie jedna obok drugiej, jak faceci stojący przy pisuarach w męskiej toalecie. Wszyscy pochylali się nad tym, co pili, z opuszczonym wzrokiem, dając do zrozumienia, że nie są w nastroju do rozmowy. Grupa motocyklistów po prawej stronie grała w bilard na stole z porozrywany zielonym sukmem.

Wszędzie stały puszkę piwa Pabst Blue Ribbon.

Simon miał na sobie koszulę, krawat i czarne mokasyny – w końcu przyjechał na uroczystość pogrzebową – podczas gdy połowa facetów była w bawełnianych koszulkach bez rękawów, jakich nie powinien nosić żaden mężczyzna po czterdziestce, nawet jeśli jest dobrze zbudowany. A ci tutaj nie byli dobrze zbudowani.

Ale należy ich podziwiać, pomyślał Simon, za to, że się nie przejmują.

Zajął miejsce dwa stołki od Enid, która nie podniosła głowy znad drinka ani nie spojrzała w kierunku Simona. Po drugiej stronie miał faceta w kapeluszu z szerokim rondem, kiwającego głową w górę i dół jakby do muzyki, ale żadnej nie było, a on nie miał słuchawek. Większość ściany za barem zajmowały pordzewiałe tablice rejestracyjne: prawdopodobnie reprezentowały wszystkie pięćdziesiąt stanów, ale Simonowi nie chciało się tego sprawdzać. Były tam także neony z markami piw Miller High Life i Schlitz. Z sufitu zwieszał się dziwnie ozdobny żyrandol. Ten bar, jak gospodę, urządzono w ciemnym drewnie, ale na tym podobieństwa się kończyły, bo to miejsce było dalekim ubogim kuzynem gospody.

– Co podać?

Barmanka miała włosy koloru i struktury siana i była ostrzyżona na hokeistę z lat osiemdziesiątych, z dłuższymi kosmykami na karku. Mogła mieć od

czterdziestu pięciu do sześćdziesięciu pięciu lat i nie ulegało wątpliwości, że widziała już wszystko.

– Jakie macie piwo? – odpowiedział pytaniem.

– Pabsta. I pabsta.

– W takim razie zdaję się na panią.

Enid, która wciąż spoglądała w dół, na drinka, odezwała się nagle:

– Jest pan ojcem Paige.

– Wilej pani powiedział?

Pokręciła głową, wciąż na niego nie patrząc.

– Nie, nic mi nie mówił. Po co pan przyjechał?

– Żeby złożyć kondolencje.

– To kłamstwo.

– Tak, rzeczywiście. Ale współczuję państwu.

Nie zareagowała na to w żaden sposób, nie podziękowała.

– Więc co jest powodem pana przyjazdu?

– Moja córka zaginęła.

Barmanka otworzyła puszkę i postawiła ją przed nim.

Enid wreszcie odwróciła ku niemu głowę.

– Kiedy?

– Po śmierci Aarona.

– To nie może być zbieg okoliczności.

– Też tak sędzę.

– Pewnie pańska córka zabiła go i uciekła.

Powiedziała to tak po prostu. Bez emocji w głosie.

– Czy to coś zmieni, jeśli odpowiem, że moim zdaniem było inaczej? – zapytał Simon.

Enid wykonała gest mówiący „Może tak, może nie”.

– Uprawia pan hazard?

– Nie.

– Ale zawodowo gra pan na giełdzie, no nie?

– Jestem doradcą finansowym.

– Wszystko jedno. Gra pan na pieniądze, prawda? Stara się pan oszacować szanse i ryzyko?

Simon przytaknął.

– A więc jest pan pewnie świadom, jakie są dwie najbardziej prawdopodobne możliwości.

– Chętnie dowiem się tego od pani.

– Pierwsza: pańska córka zabiła Aarona i uciekła.

– A druga?

– Została porwana albo zamordowana przez jego zabójcę. – Enid Corval pociągnęła łyk drinka. – Jeśli się dobrze zastanowić, wersja druga jest bardziej prawdopodobna.

– Dlaczego pani tak uważa? – zapytał Simon.

– Ćpny nie są dobre w zacieraniu śladów ani zwodzeniu policji.

– Więc nie sądzi pani, że go zabiła?

– Tego nie powiedziałam.

– Załóżmy, że ma pani rację. – Simon starał się zachować obojętność i racjonalne podejście. – Po co ten ktoś miałby uprowadzić Paige?

– Nie mam pojęcia. Przykro mi, ale wszystko wskazuje na to, że dziewczyna nie żyje. – Upiła następny łyk. – Ale wciąż nie wiem, co pan tu robi.

– Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś od pani.

– Nie widziałam Aarona od wielu miesięcy.

– Rozpoznaje pani tego mężczyznę?

Simon podsunął jej swój telefon. Elena Ramirez przesłała mu zdjęcie Henry'ego Thorpe'a.

– Kto to?

– Nazywa się Henry Thorpe. Jest z Chicago.

Pokręciła głową.

– Nie, nie znam go. A dlaczego pan pyta?

– Może mieć związek z tą sprawą.

– Jaki?

– Nie wiem. Dlatego tu jestem. On także zaginął.

– Jak Paige?

– Właśnie.

– Obawiam się, że nie mogę panu pomóc.

Ponury motocyklista z ogoloną głową wyciągnął stojący między nimi stołek, żeby oprzeć się na barze. Simon zauważył wystający spod rękawa jego koszulki wytatuowany czarny żelazny krzyż i fragment swastyki. Tamten dostrzegł jego

spojrzenie i twardo popatrzył mu w oczy. Simon zrewanżował mu się tym samym i poczuł, że czerwienieje.

– Na co się gapisz? – zapytał motocyklista.

Simon nie mrugnął okiem ani się nie poruszył.

– Pytałem cię o coś...

– On jest ze mną – odezwała się Enid.

– Cześć, Enid, nie miałem zamiaru...

– I wcinasz się w prywatną rozmowę.

– Ja... to znaczy... Skąd mogłem wiedzieć? – W głosie motocyklisty zabrzmiał lęk. – Wpadłem tylko na piwo, Enid.

– W porządku. Gladys ci je przyniesie. Poczekaj przy stole bilardowym.

Motocyklista natychmiast się ulotnił.

– Enid? – zagadnął Simon.

– Tak?

– Co to za miejsce?

– Prywatny klub.

– Pani?

– Przyjechał pan pytać o córkę czy o mnie?

– Usiłuję się w tym połapać.

– Czyli w czym?

– Opowie mi pani o Aaronie?

– Co?

– Sam nie wiem. Cokolwiek. Wszystko.

– Nie widzę specjalnie sensu.

– Są pewne tropy – zaczął tłumaczyć, jednak słowa wydobywające się z jego ust brzmiały dziwnie nawet dla niego. – Powiązania. Nie wiem dokładnie jakie, ale czuję, że coś mi umyka. Więc zadaję pytania i rozglądam się z nadzieją, że to coś da.

Ściągnęła brwi.

– Musi pan bardziej się wysilić.

– Wczoraj postrzelono moją żonę – wyznał.

Enid spojrzała na niego pytająco.

– Żyje, ale... Szukaliśmy Paige. Poszliśmy tam, gdzie razem mieszkali, ona i Aaron. Gdzie Aaron zginął.

Popijając piwo, opowiedział jej całą historię. Nie pamiętał, kiedy ostatnio pił zimne piwo o tak wczesnej porze, ale tego dnia, tutaj, miał poczucie, że nie ma w tym nic złego. Mówiąc, rozejrzał się po sali. Tamten motocyklista nie był jedynym facetem z rasistowskimi tatuażami. Wielu tu miało wytatuowane swastyki i choć przewyższali go liczebnie, a poza tym przyjechał w innym celu, to przecież była Ameryka, jego ojczyzna. Poczul, jak mimo wszystko wobec takiej demonstracji wrze w nim krew.

– Widział pan, gdzie wychował się Aaron – powiedziała Enid, kiedy skończył.

– Na farmie.

– To nie jest prawdziwa farma. To atrakcja turystyczna, ale owszem. Miło tam, prawda?

– Wszystko na to wskazuje.

– Wszystko na to wskazuje – powtórzyła, kiwając głową. – Gdy Aaron był mały, mieszkał w autentycznej gospodzie. Wtedy wynajmowali tylko sześć pokoi. Z pozostałych korzystała rodzina. Z czasem zaczęli wynajmować wszystkie dziesięć. Pięć, sześć lat temu wznieśliśmy te dobudówki i teraz mamy dwadzieścia cztery pokoje. A do tego całkiem dobrą restaurację. Wiley mówi na nią „bistro”. Sądzi, że tak brzmi bardziej sztywnie. A sklep z upominkami przynosi niezłe dochody. Sprzedajemy w nim pamiątki, świece, takie tam gówno. Ale zeszłam z tematu, no nie?

– Nie całkiem.

– Interesuje pana Aaron.

Simon nie odpowiedział.

– Cóż, Aaron zawsze, nawet w dzieciństwie, był trochę zamknięty w sobie, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Jeden z wytatuowanych facetów przy tylnym wyjściu spojrzął na nią pytająco. Enid skinęła głową i mężczyzna wyszedł.

– Nie wiem, do czego może się panu to przydać – zauważyła.

– Oni?

– Słucham?

– Powiedziała pani: „Wynajmowali sześć pokoi”. Oni.

– I co z tego?

– Dlaczego tak się pani wyraziła? Mówiąc „oni” zamiast „my”?

– Wtedy jeszcze nie było żadnych „nas” – odparła. – Wiley i ja nie byliśmy małżeństwem.

– Wtedy?

– Kiedy Wiley mieszkał w pierwotnej gospodarce.

– I Aaron też, prawda?

– Tak. Z Wilem. Ja jestem jego macochą. Pojawiłam się na scenie, dopiero gdy miał dziewięć lat. Szczerze mówiąc, nie mam instynktu macierzyńskiego. Zaskoczony, co? Aaron i ja nigdy nie byliśmy sobie bliscy.

– A jego prawdziwa matka? Gdzie ona jest?

Enid zerknęła na tylne drzwi. Wytatuowany facet wrócił i postarał się, żeby Enid to zauważyła. Jej szklanka była pusta. Gladys bez pytania napełniła ją ponownie.

– Pani Corval? – zapytał Simon.

– Proszę mi mówić po imieniu.

– Enid, co się stało z biologiczną matką Aarona?

– To nie ma żadnego związku z tą sprawą.

– Może mieć.

– Jaki? – Odwróciła się w jego stronę, oparła rękę na barze i spojrzała mu prosto w oczy. – Zapowiedziałam Aaronowi już pierwszego dnia: nie waź się nawet spróbować. Nigdy. Ani odrobiny. Widział codziennie, co to świństwo robi z ludźmi. A mimo to skończył w jakiejś norze, zamordowany. Więc niech mi pan powie, panie Greene. Jak jego biologiczna matka może mieć z tym coś wspólnego? A skoro już o tym mowa: jak jego biologiczna matka może mieć coś wspólnego z zaginięciem pańskiej córki?

– Nie wiem – przyznał.

– To raczej mnie należałoby winić, nie uważa pan?

Simon milczał.

– Ja i jego ojciec wzięliśmy ślub. Aaron zaczął tu bywać jako nastolatek. Tak to jest, gdy się dorasta w spokojnym, sielskim miejscu. Niektórym wydaje się magiczne i tak dalej. Jednak piękno jest nudne. I więzi. A tacy jak Aaron mają w sobie rysę. Mają i już. Ja też ją mam, chociaż nie jesteśmy spokrewnieni.

Korciło go, żeby zapytać, jak było tu kiedyś, ale wiedział, że to do niczego nie prowadzi. Zmienił więc temat.

– Czy biologiczna matka Aarona była dziś na pogrzebie?

Enid siedziała z opuszczoną głową.

– Nie może mi pani chociaż powiedzieć...

– Nie – przerwała mu. – Nie było jej.

– Czy jeszcze żyje? Utrzymywała jakieś stosunki z synem?

– Nie wiem, panie Greene.

– Ależ wie pani. To znaczy... wie pani dostatecznie dużo. Nie mam pojęcia, czym się pani tu zajmuje ani co się dzieje w gospodarstwie, to mnie nie interesuje. Nie chcę sprawiać żadnych kłopotów. Ale powtórzę: zaginęła moja córka!

– Wciąż jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego z...

– Pewnie nie ma – wszedł jej w słowo. – Tylko że intuicja mówi co innego. Policja podejrzewa, że Paige zabiła Aarona w samoobronie. Albo że zrobiłem to ja. Czy moja żona. Aby chronić nasze dziecko. Albo że jakaś transakcja narkotykowa poszła nie tak. To wszystko równie prawdopodobne teorie, ale ja proszę panią o pomoc.

Enid zakręciła szklanką, patrząc na wirujący trunek.

– Więc matka Aarona żyje czy nie?

– Chce pan znać prawdę? – Enid podniosła głowę i przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. – Nie wiem.

– Nie wie pani tego?

– Zgadza się. – Zwróciła się do Gladys: – Podaj mojemu znajomemu jeszcze jedno piwo. Zanieś je do boksu w kącie. On i ja musimy pogadać.

Rozdział 16

Wejście do Tattoos While U Wait zagradzały barierki, takie starego typu, w kształcie litery A, z ukośnymi odblaskowymi pomarańczowo-białymi pasami na poziomej belce.

Elena Ramirez zauważyła dwa oznakowane wozy policyjne i dwa inne nieoznakowane pojazdy, które prawdopodobnie także należały do sił porządkowych. Wynajętym fordem fusion z duszącym zapachem wiśni w kabinie podjechała pod salon tatuażu; zatrzymała się między autostradą a barierkami.

Jeden z gliniarzy zmarszczył brwi i ruszył w jej kierunku.

– Musi pani odjechać.

– Co się tu dzieje?

– Proszę zabrać stąd samochód.

Mogła się wylegitymować, ale to według wszelkiego prawdopodobieństwa nic by nie dało. Poza tym nie знаła sytuacji, nie wiedziała, co się tutaj stało ani dlaczego zjawiała się policja, a nie miała zwyczaju działać na ślepo.

Najpierw musiała dowiedzieć się wszystkiego.

Podziękowała policjantowi, zawróciła i ponownie wjechała na autostradę. Zatrzymała się ze sto metrów dalej, w Sonic Drive-In. Wzięła telefon i zadzwoniła w kilka miejsc. Po półgodzinie znała już szczegóły dwóch zabójstw, do których poprzedniego dnia doszło w tej okolicy.

Ofiarami byli Damien Gorse, lat dwadzieścia dziewięć, współwłaściciel salonu tatuażu, i Ryan Bailey, lat osiemnaście, uczeń szkoły średniej, który pracował tam na część etatu. Według wstępnego raportu policji obaj zostali zastrzeleni podczas napadu rabunkowego, który nie przebiegł zgodnie z planem.

„Nie przebiegł zgodnie z planem”, tu kryje się sedno sprawy, pomyślała Elena.

Podzwoniła jeszcze tu i tam, odczekała chwilę, otrzymała potwierdzenie. Potem ruszyła z powrotem na autostradę i znowu podjechała do barierek. Ten sam policjant co poprzednio usunął jedną z nich, tak że mogła dostać się na parking. Gliniarz wskazał jej miejsce po lewej stronie. Podziękowała mu skinieniem głowy i zatrzymała się tam, gdzie polecił.

Elena spojrzała w lusterko wsteczne i wypróbowała współczujący uśmiech w stylu „Ale mamy pasztet”. Ech... Będzie trudno. Gliniarze i to ich rozdęte ego. Ciężka sprawa. Jeśli dodać do tego kompleks prowincji, zwyczajowe prężenie klaty i rzadką na zadupiu szansę rozwiązania sprawy zabójstwa, do tego podwójnego, należało się spodziewać istic epickiego przedstawienia.

Z salonu, od frontu, wyszedł mężczyzna, na oko trzydziestokilkuletni, może pod czterdziestkę, i skierował się w jej stronę. Szedł pewnym krokiem, ale nie butnym. Był przystojny jak diabli. Bardziej „drwał” niż „ładny chłopak”, z tych, o których mówi się „męski”. Jeśli jeszcze miała swój typ (choć od śmierci Joela te rzeczy zupełnie przestały ją interesować), reprezentowałby go właśnie ten facet.

Gliniarz skinął jej głową i uśmiechnął się powściągliwie; było to powitanie stosowne do okoliczności.

– Pani musi być Ramirez, agentka specjalna – powiedział.

– Emerytowana.

Podali sobie ręce. Miał dużą dłoń. Jak Joel. Znowu ścisnęło jej się serce.

– Inspektor Dumas. Wszyscy mówią na mnie Nap.

– Nap – powtórzyła. – Jak...?

– Hm... jak zatrzask przy ubraniu.

– Jestem Elena. Pracuję teraz prywatnie.

– Tak, słyszałem od szefowej.

– Od Loren Muse, prokurator hrabstwa?

– Zgadza się.

– Podobno jest niezła.

– O tak – potwierdził Nap.

Najwyraźniej nie przeszkadzało mu, że w hierarchii służbowej ma nad sobą kobietę. Nie wskazywały na to ani ton jego głosu, ani mowa ciała. Dobry znak.

Funkcjonowało to tak: firma Eleny, VMB Investigations, zaliczała się do najbardziej prestiżowych w kraju, miała biura w Chicago, Nowym Jorku, Los Angeles i Houston. Zatrudniani w niej detektywi musieli mieć dostęp do informacji, dlatego hojnie wspierała kampanie polityczne i wszelkie ochotnicze grupy policyjne. Jeden ze starszych wspólników, Manny Andrews, był wielkim rzecznikiem obecnego gubernatora. Ten mianował prokuratorem hrabstwa właśnie Loren Muse. Czyli Manny Andrews dzwoni do niego, on dzwoni do Muse, a ta – do inspektora, który prowadzi śledztwo. Napa Dumasa.

Hasło przewodnie: współpraca.

Nic wbrew prawu. Jeśli ktoś ma zastrzeżenia do takich wzajemnych przysług, jest beznadziejnie naiwny. Na świecie zawsze obowiązywała zasada: „Rączka rączkę myje”. Jeśli to przestanie działać, na dobre albo złe, system społeczny się załamie.

Policjanci często byli jednak niechętnie nastawieni do takiego „mycia rączek”, co prowadziło do prężenia klaty, którego obawiała się Elena. Ale wyglądało, że Nap Dumas nie ma nic przeciwko. Jak na razie.

– Chodź za mną – rzucił.

Skierował się na lewo od budynku. Elena, która wciąż utykała po dawnych postrzale, szybko ruszyła za nim.

– Przejąłem tę sprawę dopiero godzinę temu – wyjaśnił Nap. – Więc jeszcze nie wiem wszystkiego.

– Jestem wdzięczna, że wpuszczasz mnie na miejsce przestępstwa.

Na ustach Dumasa pojawił się porozumiewawczy uśmiešek.

– Nie ma problemu.

Elena nie siła się na konwersację.

– Możesz mi powiedzieć, dlaczego interesuje cię ta strzelanina?

– Prowadzę sprawę – odparła. – Niewykluczone, że są pewne wspólne wątki.

– Rozmowna jesteś – zażartował Dumas.

Uśmiechnęła się. Przed sobą zobaczyła forda flex z drewnopodobnym wykończeniem. Wokół niego krzątali się dwaj technicy, ubrani od góry do dołu na biało.

– Zdradzisz, co to za sprawa? – zagadnął Nap.

Zastanawiała się, czy nie zagrać ostro i nie przypomnieć facetowi, że szefostwo kazało mu iść na współpracę, a jej nie wolno ujawniać szczegółów, bo obowiązuje ją tajemnica śledztwa, ale uznała, że to zła droga. Gość wydawał się

w porządku. Nawet więcej. Miał dobrą aurę, jak powiedziałaaby jej matka. Elena zawsze sceptycznie podchodziła do takich rzeczy – jak pierwsze wrażenie, intuicja i tak dalej – bo spójrzmy prawdzie w oczy: ludzie to często psychole i mogą cię zwieść. Jednak w gruncie rzeczy rzadko dawała się nabrać. I z biegiem lat uświadamiała sobie, że jej intuicja jest lepsza, niż przypuszczała. Ci goście, którzy budzili w niej strach? Na koniec sami byli przestraszeni. A ci nieliczni, którzy przypadli jej do gustu? Okazywali się godni zaufania.

A Nap Dumas przypominał jej Joela. Boże, dopomóż.

Znowu poczuła ból w sercu.

– Nap?

Gliniarz czekał na dalszy ciąg.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli się z tym wstrzymamy – powiedziała.

– Tak?

– Nie zamierzam niczego przed tobą ukrywać – wytłumaczyła. – Ale na razie chciałabym poznać twoje zdanie, bez żadnych sugestii.

– Sugestii – powtórzył Dumas.

– Właśnie.

– Masz na myśli fakty i okoliczności?

– Bezpośredni jesteś.

– Tak jak ty.

– A możemy zrobić po mojemu?

Dumas się wahał, ale tylko przez krótką chwilę. Kiwnięciem głowy wyraził zgodę, a gdy doszli do forda flex, zaczął bez wstępów:

– Pierwszy strzał padł tutaj, kiedy Damien Gorse miał wsiąść do samochodu.

– Więc Gorse zginął pierwszy?

– Prawie na pewno. – Przechylił głowę. – Czy to ważne?

Nie odpowiedziała.

Westchnął.

– W porządku. Bez sugestii.

– Ilu było napastników? – zapytała Elena.

– Nie wiemy. Ale według wstępnego badania balistycznego ofiary zostały zastrzelone z tej samej broni.

– Więc może była tylko jedna.

– Trudno powiedzieć, ale na to wygląda.

Elena ogarnęła spojrzeniem miejsce przestępstwa. Zerknęła na zaplecze budynku, a potem w górę.

– Na parkingu nie ma kamer?

– Nie, ani jednej.

– A w środku są?

– Też nie ma. Jest tylko zwykły system alarmowy ADT, z przyciskiem w razie napadu i czujnikiem ruchu.

– Rozumiem, że w zakładzie przyjmują gotówkę.

– Tak.

– Co z nią robią?

– Jeden z dwójki właścicieli... na przykład Gorse... co wieczór zabiera pieniądze do domu i chowa we wspólnym sejfie.

– Wspólnym?

– Słucham?

– We wspólnym sejfie? Czy każdy z nich ma swój?

– Mieszkają razem, więc mają jeden sejf. A odpowiadając na twoje następne pytanie: Gorse został obrabowany. Gotówka, portfel, część biżuterii, wszystko to zniknęło.

– Więc uważasz, że to był napad rabunkowy?

Dumas uśmiechnął się, unosząc kącik ust. Znowu jak Joel. Cholera.

– Tak uważałem.

Wymowa była jasna: „Uważałem... dopóki nie zjawiałaś się ty”.

– A gdzie jest drugi współwłaściciel? – zapytała.

– Właśnie jedzie z lotniska. Za chwilę powinien tu być.

– Z lotniska?

– Nazywa się Neil Raff. Był na urlopie w Miami.

– Jest podejrzany?

– Wspólnik jadący na urlop w czasie napadu?

– Słusznie – odparła. – Jasne, że nie.

– Jak powiedziałem, jest jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Wiadomo, ile gotówki miał przy sobie Gorse?

– Nie, jeszcze nie. W niektóre dni, jak nam mówią, mogło być nawet kilka tysięcy dolarów... a w niektóre prawie nic. Zależnie od tego, jakie były obroty i ilu klientów płaciło kartą.

Na parkingu nie było wykonanego kredą zarysu ciała ofiary, ale Dumas dysponował zdjęciami z miejsca zbrodni. Elena przez chwilę oglądała je uważnie.

– Myślisz, że napastnik najpierw obrabował Gorse'a, a potem go zastrzelił – zaczęła Elena – czy najpierw zastrzelił, a później obrabował?

– Najpierw zastrzelił.

– Sprawiasz wrażenie pewnego.

– Zwróć uwagę na kieszonkę Gorse'a.

Spojrzała na zdjęcie i pokiwała głową.

– Wywrócona na drugą stronę.

– A do tego wyciągnięta ze spodni koszula, jeden z pierścionków zostawiony, jakby za trudno go było zdjąć... albo jakby ktoś napastnikowi przeszkodził.

Elena teraz wszystko to dostrzegła.

– Gdzie stał napastnik?

Dumas jej pokazał.

– Policjanci, którzy zjawili się tu pierwsi, sądzili, że przyjechał chwilę wcześniej i strzelił albo że zaparkował samochód i czekał.

– Ale ty tego nie kupujesz?

– Owszem, to możliwe – przyznał. – Ale założę się, że przestępca wyszedł z lasu. Spójrz pod tym kątem.

Pokiwała głową, a on kontynuował:

– Niewykluczone, że facet przyjechał wcześniej, zaparkował wóz i ukrył się w lesie. Ale ja jestem innego zdania.

– Dlaczego?

– Dlatego, że w czasie napadu poza Gorse'em była tu tylko jedna osoba... druga ofiara, Ryan Bailey. On nie miał samochodu. Przyjeżdżał autobusem spod centrum handlowego i ostatni odcinek drogi pokonywał na piechotę.

Elena rozejrzała się wokół, wyobrażając sobie to miejsce bez wozów policyjnych, oznakowanych czy nieoznakowanych.

– Więc kiedy przyjechała policja, nie było tu żadnych samochodów oprócz forda?

– Tak – potwierdził Dumas. – Parking był pusty.

Elena się wyprostowała.

– Więc gdyby ktoś... powiedzmy, że zabójca... wjechał na parking i na nim zaparkował, Gorse, wychodząc z salonu, by to zauważył.

– Zgadza się. Damien Gorse jest właścicielem firmy. Zamyka zakład. Gdyby na parkingu stał nieznany samochód, podszedłby do niego i sprawdził, kto nim przyjechał. Chyba że był drugi kierowca, ucieczkowy.

Elena zmarszczyła czoło.

– „Ucieczkowy”?

– Mówię policyjnym slangiem. Przejrzemy wszystkie dostępne nagrania telewizji przemysłowej.

– Rozumiem, że jedna z ofiar zadzwoniła pod dziewięć jeden jeden.

– Ryan Bailey. Druga ofiara.

– Co powiedział przez telefon?

– Nic.

– Nic?

Nap Dumas wyłożył jej swoją teorię. Napastnik zabija Damiena Gorse’a przy fordzie. Przeszukuje mu kieszenie, zabiera pieniądze, zegarek, portfel i właśnie zdejmuje biżuterię, gdy drzwi salonu się otwierają i wychodzi Ryan Bailey. Ten widzi, co się dzieje, biegiem wraca do środka, uruchamia alarm i chowa się w szafie.

Elena ściągnęła brwi.

– Co? – zapytał Dumas.

– Bailey włącza alarm w salonie tatuażu?

Nap skinął głową.

– Przycisk znajduje się przy tylnych drzwiach.

– Czy to bezgłośny alarm?

– Nie.

– Głośny?

– O tak. Bardzo głośny.

Elena wciąż marszczyła czoło.

– O co chodzi?

– Pokaż mi – poprosiła.

– Co mam ci pokazać?

– Jak jest w środku. Chcę zobaczyć tę szafę, w której ukrył się Ryan Bailey.

Dumas przez moment przyglądał się Elenie. Potem podał jej parę silikonowych rękawiczek. Wciągnęła je. On zrobił to samo. Ruszyli w stronę tylnego wejścia.

– Worek pełen śmieci. – Wskazał na ziemię. – Sądźmy, że Bailey wyszedł, żeby wyrzucić go do kubła.

– I wtedy był świadkiem napadu?

– Taką mamy teorię.

Tylko że to nie miało sensu.

Inny glina wręczył każdemu z nich biały kombinezon. Elena wciągnęła swój na ubranie. Cali na biało, wyglądali jak wielkie prezerwatywy ze spermą. W środku przebywali technicy, też w kombinezonach. Szafa znajdowała się obok drzwi.

Elena nie przestawała marszczyć czoła.

– O co chodzi?

– To nie trzyma się kupy.

– Dlaczego nie?

– Sądźcie, że Ryan Bailey wyszedł, aby wynieść śmieci.

– Tak.

– Zobaczył, jak nasz zabójca przeszukuje kieszenie Gorse'a.

– Hm...

– Więc tamten nie wiedział, że chłopak jest w środku. Najprawdopodobniej.

– Nie wiem, pewnie tak. I co z tego?

– Ryan Bailey wychodzi na dwór. Widzi zabójcę. Biegnie z powrotem do środka i wciska alarm. A potem chowa się do szafy.

– Tak.

– I nasz zabójca rusza za nim.

– Tak.

– Wkracza do salonu. I szuka chłopaka. Przy wyjąłym całym czasie alarmie.

– No.

– Ale po co?

– Jak to po co? Ryan Bailey go widział. Mógłby go zidentyfikować.

– Więc musi zostać zlikwidowany?

– Tak.

– To by świadczyło, że facet nie jest zawodowcem – zauważyła Elena.

– Bo?

– Znasz takiego zawodowca, który nie włożyłby kominiarki albo nie zamaskował się w inny sposób? Profesjonalista by uciekł, gdy tylko włączyłby się alarm. Bo co takiego mógł nam powiedzieć ten dzieciak? Że jego szefa zabił

mężczyzna w kominiarce? No właśnie. Zabójca ruszył za nim i zabił go tylko dlatego, że mógł zostać przez niego rozpoznany.

Dumas pokiwał głową.

– Albo dlatego, że był tu ktoś, kogo obaj znali.

– Tak czy owak, nie wydaje mi się, żeby to miało związek z prowadzoną przeze mnie sprawą – podsumowała Elena. – Facet, którego tropię, to zawodowiec. Użyłby maski.

– A jaka to sprawa?

Wtedy Elena zauważyła stojący na kontuarze komputer. Nie wiedziała, z kim kontaktował się Henry Thorpe, powiedziano jej tylko, że otrzymywane i wysyłane przez niego wiadomości miały adres IP i wi-fi przypisane do tego miejsca.

Zwróciła się do Napa:

– Mogę zajrzeć do tego komputera?

Rozdział 17

Enid Corval i Simon usadowili się wygodnie w narożnym boksie z porwanym obiciem w „prywatnym klubie”.

Simon poskładał już większość z tego w jedną całość. Brakowało mu tylko informacji o matce Aarona. Nie miał nawet punktu wyjścia, żeby snuć jakiegolwiek domysły. Natomiast jeśli chodzi o ten przybytek, podejrzewał, że sprzedawali tu coś na lewo. Pewnie narkotyki. To nie był pub ani bar. Tylko prywatny klub. Inne przepisy. Gospoda stanowiła jedynie fasadę, pomagała zachować pozory i pewnie umożliwiała pranie pieniędzy.

Oczywiście mógł się mylić. Jego teoria, jeśli tak ją nazwać, nie była nawet przypuszczeniem, zresztą nie zamierzał z nią wyjeżdżać, dopóki nie zostałyby do tego zmuszony.

Jednak ta teoria w jego odczuciu wiele wyjaśniała.

– Nasze małżeństwo, Wileya i moje, jest w pewnym sensie tradycyjne. – Enid przerwała i pokręciła głową. – Nie wiem, dlaczego to panu mówię. Chyba dlatego, że się starzeję. I może ma pan rację, panie Greene.

– Simon.

– Wolę „panie Greene”.

– Może mam rację co do czego?

Enid rozłożyła ręce.

– Może to wszystko ma ze sobą związek. Wydarzenia z przeszłości. I teraźniejszość. Skąd mam wiedzieć?

Simon czekał, ale niedługo. Enid podjęła wątek:

– Nie jestem stąd. Wychowałam się w Billings, w Montanie. Nieważne, jak znalazłam się w Connecticut. Powiew wiatru. Jak to w życiu. Kiedy poznałam Wileya, miał dziewięcioletniego syna. Wiele kobiet to pociągało. Samotny ojciec i tak dalej. Samodzielnie wychowujący dziecko. Piękna gospoda i farma. Gdy

pytano go o chłopca i jego matkę, co się z nią stało, grzecznie zmieniał temat. Nie chciał o tym rozmawiać. Do oczu napływały mu łzy. Nawet przy mnie.

– Ale w końcu...?

– Och, usłyszałam tę historię, jeszcze zanim mi ją opowiedział. Każdy w okolicy znał jakąś jej część. Wiley i matka chłopaka poznali się w czasie, gdy on nie chciał mieć z gospodą nic wspólnego. Jak wszyscy inni, którzy tu dorastali, pragnął wyjechać. Zaczął więc wędrować z plecakiem po Europie i we Włoszech poznał dziewczynę. Miała na imię Bruna. Pochodziła z Toskanii. Tak mi powiedział. Oboje przez jakiś czas pracowali w tej samej winnicy. Mówił, że było tam trochę jak w gospodzie. W każdym razie tak się czuł. I zaczął tęsknić za domem, tak przynajmniej twierdził. – Wskazała brodą pabsta. – Nie pijesz swojego piwa.

– Prowadzę samochód.

– Dwa piwa? Daj spokój, przecież nie masz aż tak słabej głowy.

Miał. Ingrid mogła pić przez wiele godzin i nie było tego po niej widać. A jemu wystarczyły dwa piwa, żeby próbować pocałować z języczkiem gniazdko elektryczne.

– I co było dalej?

– Zakochali się w sobie. Wiley i Bruna. Romantyczne, co? Urodził im się chłopiec. Aaron. Żyli szczęśliwie... hm... do śmierci Bruny.

– Więc ona nie żyje?

Enid siedziała spokojnie. Zbyt spokojnie.

– Jak zginęła? – zapytał.

– W wypadku samochodowym. Zderzenie czołowe na autostradzie A jedenaście... tak, Wiley zawsze dodawał ten szczegół. Autostrada A jedenaście. Kiedyś to sprawdziłam. Nie wiem po co. Łączy Pizę z Florencją. Bruna zamierzała odwiedzić rodzinę, tak mówił. A on nie chciał, żeby jechała. Pokłócili się o to. Powinien był jej towarzyszyć. Więc od tamtej pory się obwinia. Trudno mu o tym rozmawiać. Dlatego dusi wszystko w sobie.

Spojrzała na niego nad szklanką.

– Ale ty jakbyś temu nie dowierzała – zauważył Simon.

– Tak ci się wydaje?

– Owszem.

– Wiley opowiada o tym z przejęciem. Ma skłonność do przesady, ten mój mąż. Uwierzylby pan w każde jego słowo.

– Ale pani nie uwierzyła?

– Och, uwierzyłam. Ale zawsze się zastanawiałam, dlaczego Bruna, jadąc do rodziny, nie zabrała ze sobą synka. Należałoby się tego spodziewać, prawda? Młoda matka, jadąca autostradą... – pokazała palcami cudzysłów – żeby odwiedzić bliskich. Powinna zabrać dziecko.

– Pytała pani o to Wileya?

– Nie, nigdy. Po co miałabym to robić? Kto by podważał taką historię?

W przesyconym piwem stęchłym powietrzu czuło się chłód. Simon miał ochotę ponaglić Enid, ale przede wszystkim zależało mu, żeby dowiedzieć się od niej jak najwięcej. Przezornie więc milczał.

– Po tamtym wypadku Wiley wrócił. Do domu. To znaczy... do gospody. Obawiał się, że rodzina Bruny zechce wystąpić do sądu o opiekę nad dzieckiem... nie byli formalnie małżeństwem... więc przyleciał z nim do Stanów. Zamieszkali w gospodzie...

Wzruszając ramionami, zawiesiła głos.

Koniec opowieści.

– Więc – podjął Simon – matka Aarona zginęła.

– Tak twierdzi Wiley.

– Ale kiedy spytałem, czy ona żyje, odpowiedziała pani, że nie wie.

– Bystrzak z pana, panie Greene. – Z uśmiechem podniosła szklanę. – Po co, do cholery, mówię panu to wszystko? – Patrzyła na niego, czekając na odpowiedź.

– Bo wyglądam na porządnego faceta? – podsunął Simon.

– Przypomina mi pan mojego pierwszego męża.

– Był uczciwy?

– O nie – rzuciła, po czym dodała: – Ale za to świetny w łóżku.

– Więc mam z nim coś wspólnego.

Enid parsknęła śmiechem.

– Lubię pana, panie Greene. I... do diabła. Nie wiem, co to może panu dać, a jednak... Widziałam różne rzeczy. Zło zostaje. Nie odchodzi. Może je pan zakopać, a ono i tak wydobędzie się spod ziemi. Może je pan wrzucić do oceanu, a ono wypłynie i wróci do pana z falą pływową.

Simon słuchał.

– Czy zachowuje pan swoje stare paszporty? – zapytała. – Gdy tracą ważność.

– Tak.

Simon doradzał klientom to samo, w razie gdyby kiedykolwiek musieli dowieść, że gdzieś byli. Uważał, że należy przechowywać wszystkie oficjalne dokumenty, na wszelki wypadek.

– Wiley też. Choć nie trzyma ich w łatwo dostępnym miejscu. Leżą w piwnicy. Ale ja je znalazłam. I wie pan co?

– Co takiego?

Enid przyłożyła dłoń do ust i powiedziała scenicznym szeptem:

– Wiley nigdy nie był we Włoszech.

•••

Biuro w Tattoos While U Wait miało przeszklone ściany, więc przebywając w nim, widziało się leżanki, tatuażystów i poczekalnię. Ekran komputera był jednak zwrócony w stronę ściany, dlatego choć nie istniało tu coś takiego jak prywatność, siedzący przy biurku mógł swobodnie surfować po sieci, czy jak się na to obecnie mówi.

Biurko był podwójne, przeznaczone dla dwóch osób siedzących naprzeciwko siebie. Na blacie leżały papiery, trzy pary okularów do czytania z drogerii, kilkanaście długopisów i markerów. A także torebka wiśniowych dropsów na kaszel, kilka książek w wydaniu kieszonkowym i rachunki rzucone byle jak, bez jakiegokolwiek porządku.

Pośrodku, na wprost szyby, widniała lekko wyblakła fotografia przedstawiająca sześciu uśmiechniętych mężczyzn. Dwaj z nich, objęci, stali z przodu, pozostali, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, ustawili się za nimi. Zdjęcie zrobiono przed salonem, w dniu jego otwarcia, sądząc po wstędze i wielkich tekturowych nożycach. Stroje, zarosty, pozy – wszystko to przywodziło na myśl okładkę płyty Doobie Brothers.

Elena wzięła fotografię i pokazała Napowi. Ten kiwnął głową i wskazał faceta z przodu, po prawej stronie.

– To ofiara. Damien Gorse.

Potem przesunął palec w stronę mężczyzny obok: potężnego gościa w skórzanym kombinezonie motocyklowym, z siwiejącymi wąsami podkreślonymi do góry.

– A to jego wspólnik, Neil Raff.

Usiadła w obrotowym fotelu przed monitorem. Zwróciła uwagę na mysz, czerwoną, w kształcie serca. Przyglądała jej się przez chwilę. Serce. Damien Gorse używał takiej myszy do komputera. Detektyw powinien mieć oczy szeroko otwarte i myśleć analitycznie. Skupiać się na celu dochodzenia – w tym przypadku na odnalezieniu Henry’ego Thorpe’a – ale, jak zawsze mówił jej Joel, nie zapominać o reszcie: złamanym, zaprzepaszczone, zrujnowanym życiu. Damien Gorse siedział w tym fotelu i posługiwał się tą myszą. Była prezentem – musiała być, czegoś takiego nie kupuje się dla siebie – i jej ofiarodawca chciał, aby Damien pamiętał, że ktoś go kocha.

„Niech te emocje nie zaciemniają ci obrazu – powtarzał Joel – tylko go rozjaśniają”.

Kiedy Elena dotknęła myszy, ekran się rozświecił. Pojawiło się na nim zdjęcie Damiena Gorse’a i Neila Raffa ze starszą kobietą, która stała między nimi. Uśmiechnięci, byli gdzieś na plaży.

Na środku ekranu pojawiło się żądanie hasła. Elena zerknęła na Napa, jakby mógł je znać. On jednak tylko wzruszył ramionami. Komputer był cały pokryty samoprzylepnymi kartkami. Zlustrowała je w poszukiwaniu czegoś, co przypominałoby hasło, ale nic takiego nie rzuciło jej się w oczy. Otworzyła górną szufladę biurka. Nic.

– Czy ktoś potrafi sobie z tym poradzić? – zapytała.

– Tak, ale jeszcze nie przyjechał.

Drzwi wejściowe gwałtownie się otworzyły i do salonu wpadł mężczyzna, którego widziała na zdjęciu. Neil Raff. Zamiast skózanego kombinezonu miał na sobie dżinsową kurtkę i spodnie (niemal równie niemodne), a podkreślony wąs stał się całkiem siwy. Jednak trudno było faceta nie rozpoznać. Oszołomiony, z zaczerwienionymi i podkrążonymi oczami, obrócił głowę i ogarnął spojrzeniem swoją firmę, jakby widział ją po raz pierwszy.

Nap podszedł do niego pośpiesznie. Elena przyglądała się tej scenie. Położył mężczyźnie dłoń na ramieniu i pochylając się, zaczął cicho do niego mówić. Dobry był. I znowu coś w jego postawie przywiodło jej na myśl Joela. To ją poruszyło. Boże, tak za nim tęskniła. Za nim całym. Brakowało jej rozmów z nim, jego towarzystwa, wsparcia, ale w tej chwili mimowolnie pomyślała, jak bardzo brakuje jej także seksu. To mogło zabrzmieć dziwnie dla wielu ludzi, ale seks z nim był najwspanialszą rzeczą, jaką kiedykolwiek robiła. Pragnęła znaleźć się pod nim. Zobaczyć jego wzrok, jakby była jedyną kobietą na tej

stworzonej przez Boga ziemi. Poczuć się przy nim mała (choć feministki by jej za to nie pochwały), bezpieczna.

To wszystko powróciło do niej, gdy spoglądała na zdjęcia Gorse'a i Raffa, gdy przypominała sobie, jak Nap mówił, że właściciele salonu zabierali gotówkę do domu i chowali do wspólnego sejf, i gdy patrzyła na rozpacz Raffa. Znała to cierpienie, ten wszechogarniający ból, przenikający do trzewi, spowodowany stratą życiowego partnera, nie przyjaciela czy współnika.

Możliwe, że z jej strony była to projekcja, ale nie, raczej nie.

Nap posadził Raffa na skórzanej kanapie w poczekalni. Przyciągnął sobie krzesło i usadowił się przed wstrząśniętym mężczyzną. Trzymał w dłoni notes, ale nie chciał wyjść na bezdusznego i cynicznego, więc niczego nie zapisywał. Elena czekała. Nie miała nic innego do roboty.

Pół godziny później, gdy już złożyła Raffowi kondolencje, ponownie ujęła czerwoną mysz w kształcie serca. Ekran komputera się rozświetlił: pojawiło się na nim zdjęcie.

– O Boże – jęknął Raff. – Czy ktoś zawiadomił Carrie? – zwrócił się do Napa.

– Carrie?

– Matkę Damiena. Będzie zrozpaczona.

– Jak można się z nią skontaktować?

– Ja do niej zadzwonię.

Nap nic na to nie powiedział.

– Mieszka w Scottsdale – dodał Raff. – Sama. Ma tylko Damiena.

„Ma”, pomyślała Elena. Wciąż używał czasu teraźniejszego. Typowe.

– Czy Damien miał rodzeństwo? – zapytał Nap.

– Nie. Carrie nie mogła mieć dzieci. Damien został przez nią adoptowany.

– A co z jego ojcem?

– Jakby nie istniał. Carrie i on się rozwiedli, i to w straszny sposób, kiedy Damien miał trzy lata. Od tego czasu adopcyjny ojciec zniknął z jego życia.

Elena wskazała na ekranie komputera białe pole.

– Zna pan hasło Damiena?

Raff zamrugnął i odwrócił wzrok od komputera.

– Oczywiście, że znam.

– Może mi je pan podać?

Znowu zamrugnął, bo do oczu napłynęły mu łzy.

– Guanacaste.

Przeliterował.

– To prowincja w Kostaryce – wyjaśnił.

– Aha – mruknęła Elena, bo nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– My... pojechaliśmy tam w podróż poślubną. To nasze ulubione miejsce.

Elena wcisnęła ENTER i czekała, aż na ekranie pojawią się ikony.

– Czego pani szuka? – zapytał Raff.

– To komputer Damiena?

– Tak, jest nasz.

Znowu to samo, czas teraźniejszy.

– Czy do waszej sieci należą jakieś inne komputery? – indagowała dalej.

– Nie.

– A co z klientami? Mają do niej dostęp?

– Nie. Jest chroniona hasłem.

– Więc tylko ten komputer jest do niej podłączony?

– Tak. Był przeznaczony do użytku nas obu, Damiena i mnie, choć ja nie jestem zbyt dobry w sprawach technicznych. Gdy z niego korzystałem, Damien prznosił się na drugą stronę biurka. Ale przeważnie to on się nim posługiwał.

Elena także nie była specem od spraw technicznych – od tego mieli w firmie Lou – ale знаła podstawy. Weszła do przeglądarki i sprawdziła historię. Neil Raff przez ostatnich pięć dni przebywał w Miami, więc wszystkie otwierane ostatnio strony musiał odwiedzać Damien Gorse.

– Wciąż nie bardzo rozumiem, czego pani szuka – powiedział Raff.

W historii przeglądarki figurowało dużo obrazów. Elena kliknęła na kilka z nich. Jak można się było spodziewać, przedstawiały tatuaże, wszelkiego rodzaju. Różne oplecione drutem kolczastym, trupie czaszki ze skrzyżowanymi pieszczelami, serca w różnych kolorach i rozmiarach. Były wśród nich jeden Pennywise, klaun z *To* Stephena Kinga, kilka aktów seksualnych, w tym na czworaka (kto by sobie coś takiego tatuował?), napisy typu MAMA i inskrypcje upamiętniające zmarłych przyjaciół, grafiki na całe ramiona i ręce i mnóstwo skrzydeł na okolice krzyża, nazywanych kiedyś (a może i obecnie?) damską dziarą.

– Czerpiemy stamtąd inspirację – wytłumaczył Raff. – Pokazujemy klientom, co już było, żeby wejść na wyższy poziom.

Reszta wyszukiwań prezentowała się równie typowo. Damien Gorse wchodził na Rotten Tomatoes i kupował tam bilety do kina. Na Amazonie

zamawiał skarpetki i kapsułki z kawą do ekspresów. Na jednej ze stron poświęconych DNA ustalał swój genotyp. Elena często się zastanawiała, czy nie wykonać takiego testu. Jej matka była Meksykanką i ojciec podobno też, ale zmarł przed narodzinami Eleny, a mama zawsze dziwnie się zachowywała, kiedy była o niego pytana, więc kto wie?

– Mogę jakoś pomóc? – zagadnął tymczasem Raff. Zabrzmiało to raczej jak prośba niż pytanie.

Elena nie odrywała wzroku od ekranu komputera.

– Czy zna pan... a właściwie czy Damien znał... niejakiego Henry'ego Thorpe'a?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Nie przypominam sobie.

– Ma dwadzieścia cztery lata. Pochodzi z Chicago.

– Z Chicago? – Raff znowu pomyślał. – Chyba nie znam nikogo o tym nazwisku. I nigdy nie słyszałem, żeby Damien o nim wspominał. A dlaczego pani pyta?

Elena nie odpowiedziała.

– Czy pan i Damien byliście ostatnio w Chicago?

– Pojechałem tam kiedyś, w ostatniej klasie szkoły średniej. A Damien chyba nie miał okazji.

– A Aaron Corval? Czy to nazwisko coś panu mówi?

Raff prawą dłonią pogładził się po wąsach.

– Nie, raczej nie. Czy on także jest z Chicago?

– Z Connecticut. Ale obecnie mieszka na Bronxie.

– Przykro mi, ale nie. Może mi pani powiedzieć, o co tu chodzi?

– Byłoby lepiej, gdyby na razie odpowiedział pan na pytania.

– Hm, nie znam tych osób. Mógłbym przejrzeć bazę naszych klientów, gdyby pani chciała.

– Byłoby super.

Raff sięgnął jej przez ramię i zaczął klikać.

– A nie wydrukowałyby pan nam pełnej ich listy? – włączył się Nap.

– Pełnej...?

– Na wszelki wypadek – rzucił policjant.

– Jak się pisze Thorpe? – zwrócił się Raff do Eleny.

Zasugerowała, żeby napisał na dwa sposoby: z „e” na końcu i bez. Nic. Tak samo w przypadku Aarona Corvala.

– Kim oni są? – zapytał Raff. Zaczął się już niecierpliwić. – Co mają wspólnego z Damienem?

– Tylko pan i pan Gorse korzystaliście z tego IP i wi-fi?

– Tak, i co z tego?

– Proszę nie oczekiwać ode mnie technicznych wyjaśnień – odparła. – Ale czy Henry Thorpe nie mógł kontaktować się z kimś, używając adresu IP tego komputera?

Nap tylko się przysłuchiwał.

– Do czego pani zmierza? – Raff stawał się nieprzyjemny.

– Właśnie do tego. Użytkownik tego komputera komunikował się z Henrym Thorpe’em.

– I co? Ten Thorpe mógł być sprzedawcą atramentu.

– Ale nim nie jest.

Elena patrzyła na niego twardym wzrokiem.

– Damien nie miał przede mną tajemnic – oświadczył Raff.

„Nie miał”. Wreszcie czas przeszły.

– Może do naszego komputera włamał się jakiś haker albo ktoś taki.

– Tak nie było, Neil.

– Co pani insynuuje?

– Niczego nie insynuuję. Tylko pytam.

– Damien by mnie nie zdradził.

Nie o tym myślała, a może powinna. Niewykluczone, że chodziło o romans. Czy Henry Thorpe był gejem? Tego nie wiedziała. Ale czy w tych czasach miało to jeszcze jakieś znaczenie?

A jeśli nawet – jeżeli Damien i Henry byli kochankami – to co z Aaronem Corvałem? Czy nie chodził z Paige Greene? Jaką odgrywał w tym rolę? Czy ich wszystkich mógł łączyć miłosny układ, którego Elena do tej pory nie brała pod uwagę?

Ale nadal nie wiedziała, na czym miałyby to polegać.

Nap poklepał ją po ramieniu.

– Czy mogę pogadać z tobą przez chwilę?

Wstała z fotela. Położyła dłoń na barku Raffa.

– Panie Raff?

Spojrzał na nią.

– Niczego nie sugeruję. Naprawdę. Staram się tylko pomóc w ustaleniu, czyja to robota.

Kiwnął głową, patrząc pod nogi.

Nap skierował się do tylnego wyjścia. Elena ruszyła za nim.

– O co chodzi? – zapytała.

– O Aarona Corvala.

– Czyli?

– Łatwo wygooglować – odparł. – Został zamordowany dwa dni temu.

– Zgadza się.

– Więc może mi powiesz, co jest grane?

Rozdział 18

Droga powrotna na Manhattan prowadziła obok Corval Inn i Family Tree Farm.

Simon niemal je minął (zatrzymanie się tam nie miało sensu, poza tym chciał już znaleźć się w szpitalu), ale co mu zależało? Wjechał na parking i zostawił samochód w tym samym miejscu co poprzednio.

W gospodzie panowała cisza. Jeśli uczestnicy uroczystości żałobnej udali się na stypę, gdy Enid się od nich odłączyła i pojechała do swojego klubu, przyjęcie musiało się już skończyć. Rozglądał się za jakąś znajomą twarzą, za kimkolwiek, kto był na pogrzebie nad strumieniem, ale jedyną osobą, którą już widział, była kobieta w kraciastej koszuli, stojąca za kontuarem. Rozłożyła inną mapkę farmy i właśnie pokazywała parze młodych ludzi o takim samym kolorze skóry, których Simon anachronicznie nazwałby yuppisami, „najtrudniejszy szlak turystyczny na terenie posiadłości”.

Kobieta najwyraźniej kątem oka zauważyła czekającego Simona i najwyraźniej nie ucieszyła się na jego widok. On stał, przenosząc ciężar ciała z pięt na palce, i rozglądał się wokół. Po prawej miał schody. Zastanawiał się, czy nie pójść na górę, ale co by mu to dało? Za nim znajdowały się przeszklone drzwi zasłonięte koronką. Prowadziły do następnego pomieszczenia.

Może to tam odbywała się stypa.

Kiedy ruszył w tamtą stronę, usłyszał, jak kobieta za kontuarem woła:

– Przepraszam pana, to pokój prywatny!

Simon się nie zatrzymał. Doszedł do drzwi, przekręcił gałkę i wkroczył do środka.

Rzeczywiście, odbyło się tam jakieś przyjęcie. Na ustawionym centralnie stole nakrytym białym poplamionym obrusem widniały okruchy po małych bankietowych kanapkach i przekąskach. Po prawej stronie stał antyczny

sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem, z szufladkami i przegródkami na pocztę. Siedzący przy nim Wiley Corval odwrócił się i wstał.

– Co pan tu robi?

Za Simonem weszła kobieta z recepcji.

– Przepraszam cię, Wiley.

– Nic się nie stało, Bernadette. Poradzę sobie.

– Na pewno? Mogę zadzwonić...

– Naprawdę. Zamknij drzwi, proszę, i zajmij się gośćmi.

Kobieta, zanim wróciła do holu, rzuciła Simonowi mordercze spojrzenie. Zamknęła drzwi trochę głośniejsze, niż było to konieczne, tak że znajdująca się w nich szyba zadrżała.

– Czego pan chce? – warknął Wiley.

Miał teraz na sobie brązową tweedową kamizelkę w jodełkę, z grafitowymi guzikami. Przy środkowym guziku wisiał złoty łańcuszek, niewątpliwie od zegarka tkwiącego w kieszeni. Biała koszula miała bufiaste rękawy, zwężające się ku mankietom.

Ubrany stosownie do roli gospodarza zajazdu, pomyślał Simon.

– Zaginęła moja córka.

– Już mi pan to powiedział. Nie mam pojęcia, gdzie jest. Proszę wyjść.

– Mam do pana kilka pytań.

– Nie muszę na nie odpowiadać. – Wiley wyprostował się i dla efektu ściągnął do tyłu ramiona. – Opłakuję dziś syna.

Nie było powodu, żeby zachowywać się delikatnie.

– A miał go pan? – zapytał Simon.

Na twarzy Wileya pojawiło się zaskoczenie – Simon się tego spodziewał – ale i coś jeszcze.

Strach.

– Kogo?

– Syna.

– O czym pan mówi?

– Aaron był do pana zupełnie niepodobny.

Wileyowi opadła szczęka.

– Mówi pan poważnie?

– Proszę mi opowiedzieć o matce Aarona.

Wiley Corval wyglądał, jakby miał ostro zareagować, ale się opanował, a potem przywołał na twarz uśmiezek. Niepokojący uśmiezek. Bardzo niepokojący. Simon niemal cofnął się o krok.

– Rozmawiał pan z moją żoną.

W tym momencie Simon uświadomił sobie coś, co być może sugerowała Enid albo o czym świadczyły postawa Wileya i jego strój, jakby kostium sceniczny, a także mina, kiedy Simon natknął się na niego w lesie.

Wiley Corval nie cierpiał.

Oczywiście w takich okolicznościach nasuwają się wszelkie możliwe banały: że każdy cierpi na swój sposób, to, że nie widać po kimś bólu, nie znaczy, że go nie odczuwa, bo może tylko robi dobrą minę do złej gry. Jednak żaden z nich jakoś nie wydawał się wiarygodny. Enid powiedziała, że jej mąż ma skłonność do dramatyzowania. Simon teraz to dostrzegł, jakby wszystko, co ten człowiek robił, było grą aktorską, łącznie z wyrażaniem uczuć.

Biedny chłopiec. Zdany na tego mężczyznę, który twierdził, że jest jego ojcem.

Simon usiłował zapanować nad wyobraźnią, ale ta, rozbuchana, podsuwała mu najgorsze przypuszczenia, najokropniejsze scenariusze.

To nie może być prawda, powiedział sobie.

A jednak...

– Zdobędę dokumenty.

– Jakie? – zapytał Wiley, rozkładając ręce: wcielenie skrzywdzonej niewinności.

– Na poświadczenie rodzicielstwa.

– Naprawdę? – Ten przekłety uśmiezek. – Aaron został skremowany.

– Jakoś zdobędę jego DNA.

– Wątpię. A nawet gdyby jakimś cudem udało się panu zdobyć i jego, i moje, badanie wykaże, że jesteśmy spokrewnieni.

– Kłamie pan.

– Czyżby?

Wyraźnie go to bawi, zauważył Simon.

– Przypuśćmy, czysto teoretycznie, że rzeczywiście zleciłby pan takie badanie i wykazałoby ono, że nie jestem biologicznym ojcem Aarona. Czego według pana miałyby to dowodzić?

Simon nie odpowiedział.

– Może jego matka mnie zdradziła. Co by to zmieniało po tych wszystkich latach? Test, oczywiście, by tego nie wykazał... to wszystko tylko hipotetyczne, bo jestem ojcem Aarona... ale o czym miałyby to świadczyć? – Zrobił dwa kroki w stronę Simona. – Mój syn był dealerem narkotyków i mieszkał z pańską córką, ćpunką, na Bronxie. Tam został zamordowany. Jakakolwiek plotkę powtórzyła panu Enid, musi pan zdawać sobie sprawę, że to, jak zginął, nie ma nic wspólnego z jego dzieciństwem.

Oczywiście, miał rację. Nie można było temu zaprzeczyć. Nie istniał żaden dowód, nawet najbardziej nikły, że jest jakiś związek między ewentualnymi doświadczeniami młodego chłopaka w tej gospodzie a jego brutalnym zamordowaniem w mieszkaniu na Bronxie.

A jednak...

Simon zmienił front.

– Kiedy Aaron zaczął brać narkotyki?

Podstępny uśmiezek wrócił.

– Może powinien pan zapytać o to Enid?

– Kiedy się wyprowadził?

– Kto taki?

– A o kim rozmawiamy? Aaron.

Znowu ten uśmiezek. O rany, facet naprawdę dobrze się bawił.

– Enid tego panu nie powiedziała?

– Czego?

– Aaron się nie wyprowadził.

– Jak to?

– Enid prowadzi pewien przybytek. Coś w rodzaju klubu.

– I co?

– Na jego tyłach znajduje się mieszkanie – wyjaśnił Wiley. – Aaron je zajął.

– I do kiedy tam mieszkał?

– Nie wiem. On i ja... byliśmy sobie obcy.

Simon usiłował to zrozumieć.

– To kiedy się przeniósł w pobliże Lanford College?

– O czym pan mówi?

– Zamieszkał tam. Chyba pracował w jakimś klubie, kiedy poznał Paige.

Wiley głośno się zaśmiał.

– Kto panu to powiedział?

Simon znowu poczuł lęk.

– Sądzi pan, że poznali się w Lanford? – rzucił tamten.

– A nie?

– Nie.

– To gdzie?

– Tutaj. – Wiley pokiwał głową, widząc zaskoczenie na twarzy Simona. –

Paige tu przyjechała.

– Do gospody?

– Tak.

– Widział pan ją?

– Widziałem. – Przestał się śmiać, nawet się nie uśmiechał. Jego głos przybrał poważny ton. – Nie tylko wtedy, ale też... potem.

– Potem?

– Po kilku miesiącach, które spędziła z Aaronem. To, jak się zmieniła pod jego wpływem... – Wiley Corval urwał, kręcąc głową. – Jeśli skrzywdził pan mojego syna, nie mogę pana winić. Mogę tylko powiedzieć, że jest mi przykro.

Gówno prawda. Wcale nie było mu przykro. Tylko grał.

– O co chodziło Paige? – zapytał Simon. – Po co tu przyjechała?

– A jak pan myśli?

– Nie mam pojęcia.

– Chciała spotkać się z Aaronem.

• • •

To nie miało sensu.

Po co Paige, najwyraźniej szczęśliwa studentka pierwszego roku, miałyby przyjechać tutaj dla takiego degenerata jak Aaron Corval? Skąd jego córka w ogóle mogła wiedzieć, kim on jest? Czy poznali się wcześniej? Według Wileya Corvala nie. Paige przyjechała do gospody specjalnie, żeby odnaleźć Aarona. Czy chciała kupić od niego narkotyki? To wydawało się mocno wątpliwe. Wlec się tak daleko – przez tyle godzin – z Lanford College, żeby zdobyć prochy... to wydawało się wręcz niedorzeczne.

A może Aaron i Paige poznali się przez internet?

To było bardziej prawdopodobne. Zawarli znajomość w sieci i Paige zjawiła się tutaj, żeby się z nim zobaczyć.

Ale dlaczego? Po co? Jak ich drogi się przecięły? Paige nie przepadała za randkami internetowymi, Tinderem ani niczym takim. A nawet gdyby było inaczej, gdyby Simon nie znał własnej córki, czy nie mogła spotkać się z nim bliżej swojej uczelni?

To wszystko do siebie nie pasowało.

Czy może Wiley kłamał i Paige wcale nie przyjechała do gospody? Niewykluczone, że chciał zamącić obraz i odwrócić uwagę Simona od tego, czego dowiedział się od Enid o Aaronie i jego pochodzeniu.

Simon nie przypuszczał, aby tak było.

Wiley Corval był podły, niewart zaufania albo i gorzej. Jednak w tym, co mówił o przyjeździe Paige do gospody – choć wydawało się to dziwne – brzmiała prawda.

Simon wrócił do klubu Enid, ale nie zastał jej tam. Wybrał numer Yvonne.

Odebrała po pierwszym sygnale.

– Jeśli coś się zmieni, natychmiast cię zawiadomię.

– Więc nic się nie zmieniło?

– Nie.

– A co mówią lekarze?

– Nic nowego.

Simon przymknął oczy.

– Dzwonię przez cały dzień – wyznała szwagierka.

– Do kogo?

– Do ustosunkowanych znajomych. Chcę mieć pewność, że zajmują się nią najlepsi lekarze.

– No i? – ponaglił ją.

– Tak jest. Opowiedz mi, jak było w gospodzie.

Zrelacjonował jej wydarzenia. Kiedy skończył, rzuciła tylko:

– Jasna cholera.

– No właśnie.

– Więc co zamierzasz dalej?

– Jeszcze nie wiem.

– Wiesz. – Znała go dobrze.

– Paige zmieniła się w college'u. Coś na nią wpłynęło – wyznał.

– Na to wygląda. Simon?

– Tak?

– Zadzwoń do mnie za jakieś trzy godziny. Chcę wiedzieć, czy bezpiecznie dojechałeś do Lanford.

Rozdział 19

– W tamten weekend – powiedziała Simonowi Eileen Vaughan – Paige pożyczyła ode mnie samochód.

Siedzieli w saloniku czteroosobowego apartamentu ze sklepieniem łukowym. Wielkie okno wykuszowe wychodziło na dziedziniec Lanford College, tak zielony jak mokra jeszcze farba olejnego pejzażu. Na pierwszym roku studiów Eileen Vaughan dzieliła pokój z Paige. Tamtego dnia w college’u, kiedy Simon, Ingrid, Sam i Anya, pełni nadziei, przyjechali z nią na kampus, przywitała ich właśnie ta dziewczyna. Inteligentna i sympatyczna, sprawiała wrażenie idealnej współlokatorki. Simon wziął od niej numer telefonu, „na wszelki wypadek”, w razie jakiejś pilnej sprawy, i wciąż go miał.

Gdy oboje z Ingrid opuszczali wtedy Lanford College, byli tacy podekscytowani. Wracając do samochodu w jesiennym słońcu, trzymali się za ręce, chociaż Sam mamrotał coś o publicznym okazywaniu uczuć przez rodziców, a Anya prychała: „Moglibyście nie robić obciachu?”. Już w wozie Simon przypomniał sobie swoje studenckie lata, gdy mieszkał w czteroosobowym apartamencie, takim, w jakim przebywał teraz – ale zupełnie innym. U nich wały się pudełka po pizzy oraz puszki po piwie i w ogóle mieszkanie wyglądało jak pub, podczas gdy apartament Eileen Vaughan wydawał się jak wyjęty z katalogu Ikei: cały w jasnym drewnie, ze świeżo odkurzonymi dywanikami. Na ścianach nie było żadnych ironiczných haseł ani dekoracji typowych dla college’u: fajek do palenia marihuany, plakatów z Che, jakichkolwiek plakatów, na miłość boską. Wisiały tylko ręcznie plecione gobeliny w pogodne buddyjskie desenie czy wzory geometryczne. Całość przywodziła na myśl nie tyle pokój w akademiku, ile raczej showroom, mający przyciągać przyszłych studentów (czy raczej ich rodziców) podczas dni otwartych na kampusie.

– Czy zdarzało się to już wcześniej? – zapytał Eileen.

– Żeby pożyczała ode mnie wóz? Nie, nigdy. Mówiła, że nie lubi prowadzić.

To nie była do końca prawda, pomyślał Simon. Paige nie umiała prowadzić. Tak naprawdę. Zrobiła prawo jazdy dzięki dodatkowym lekcjom w ośrodku szkolenia kierowców w Fort Lee, ale ponieważ mieszkali na Manhattanie, rzadko siadała za kierownicą.

– Znał pan Paige – ciągnęła Eileen, nie uświadamiając sobie, jak zabolalo go użycie przez nią czasu przeszłego. Było to, oczywiście, całkiem uzasadnione w kontekście studiów i pewnie życia tej dziewczyny, ale kiedy tak na nią patrzył, śliczną i zdrową (owszem, powinien nazwać ją kobietą, jednak w tej chwili widział w niej dziewczynę, taką jak jego córka), ścisnęło mu się serce, przypominając, że powinna tu być jego córka, zajmować jedną z sypialni tego apartamentu, z dużym łóżkiem i lampą o wyginanym ramieniu.

– Nawet gdy musiała wyskoczyć po coś do supermarketu, chciała, żebym ją podwiozła – dodała.

– Więc musiałaś się zdziwić, kiedy poprosiła cię o pożyczenie samochodu.

Eileen miała na sobie džinsy i ciemnoszary sweter z golfem. Długie rudawe włosy nosiła rozpuszczone, z przedziałką pośrodku, tak że opadały jej na ramiona. Ze swoimi dużymi niebieskimi oczami była ucieleśnieniem młodości, studiów, perspektyw, i to go dobijało.

– Rzeczywiście. – W jej głosie zabrzmiało wahanie.

– Nie?

– A mogę zapytać pana o coś, panie Greene?

Zamierzał jej zaproponować, żeby mówiła do niego po imieniu, ale taka oficjalna forma wydawała się tu całkiem na miejscu. Eileen była koleżanką jego córki. Rozmawiał z nią o swojej córce.

– Jasne, że tak.

– Dlaczego teraz?

– Słucham?

– Minęło już tyle czasu. To, co stało się z Paige... Zgodziłam się z panem spotkać, ale mnie też nie było wtedy łatwo.

– Niełatwo?

– Mieszkałyśmy w jednym pokoju, we dwie, i sama nie wiem... dogadywałyśmy się ze sobą. Od razu się zaprzyjaźniłyśmy. Jestem jedynaczką. Nie chcę popadać w przesadę, ale Paige była dla mnie jak siostra. A potem...

Eileen została zraniona, doszła do siebie, a teraz Simon rozrywał zabliznione rany. Miał z tego powodu wyrzuty sumienia, ale dziewczyna była młoda i wiedział, że pół godziny po jego wyjściu pójdzie na zajęcia, jedna ze współlokatorek wyciągnie ją na kolację w Cushman Cafeteria albo będą się razem uczyć w Elders Library i pewnie trafią na jakąś imprezę w akademiku – i te „rany” znowu się zabliznią.

– Co się takiego wydarzyło? – zapytał Simon.

– Paige się zmieniła.

Tym razem żadnego wahania.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

Nie wiedział, jak ją podejść.

– Kiedy to się stało?

– Pod koniec pierwszego semestru.

– Po tym wyjeździe twoim samochodem?

– Tak... Nie, chyba nie. Coś się zaczęło już przedtem.

Simon pochylił się do przodu, starając się nie naruszać jej przestrzeni osobistej.

– Jak długo wcześniej?

– Nie jestem pewna. Trudno mi sobie przypomnieć. Chodzi o to, że...

Kiwnął głową, dając jej znak, żeby kontynuowała.

– Kiedy Paige zapytała, czy pożyczę jej samochód, odniosłam dziwne wrażenie. Nie dlatego, że było w tym coś niezwykłego. Ale dlatego, że Paige od pewnego czasu sprawiała wrażenie jakby nieobecnej.

– Domyślasz się, co mogło być tego powodem?

– Nie. Byłam urażona. I może trochę na nią zła. – Eileen podniosła głowę. – Powinnam była wtedy z nią porozmawiać, rozumie pan? Zamiast się gniewać. Skupiać się na sobie. Może gdybym była naprawdę dobrą przyjaciółką...

– To nie twoja wina, Eileen.

Wydawała się nieprzekonana.

– Czy to możliwe, żeby Paige już wtedy zażywała narkotyki? – zapytał.

– Przed poznaniem Aarona?

– Jedną z teorii jest taka, że Paige była już uzależniona... i Aaron dostarczał jej towar.

Eileen zastanowiła się nad tym.

– Nie sądzę. Zdaję sobie sprawę, że to kampus uczelniany i narkotyki są na porządku dziennym. Ale nie w tym rzecz. Nawet bym nie wiedziała, gdzie kupić coś mocniejszego od trawki.

– Może o to właśnie chodzi – zauważył Simon.

– Jak to?

– Niewykluczone, że Paige chciała zdobyć to coś mocniejszego.

– Dlatego pojechała do Aarona?

– To jedna z teorii.

Do Eileen wyraźnie jednak nie przemawiała.

– Paige nawet nie popalała trawki. Nie chcę przez to powiedzieć, że była święta. Piła i tak dalej, ale nigdy nie widziałam jej nawalonej, na haju, czy jak to określić. Pierwszy raz zobaczyłam ją w takim stanie dopiero po tym, jak poznała Aarona.

– Więc pozostaje pytanie, po co Paige pożyczyła od ciebie samochód? – stwierdził Simon. – Po co pojechała w ten cichy zakątek Connecticut?

– Nie wiem. Przykro mi.

– Powiedziałaś, że się zmieniła.

– Tak.

– A inni koledzy i koleżanki też to zauważyli?

– Chyba... – Podniosła wzrok, a potem skierowała go na lewo. – Tak, gdy teraz się nad tym zastanawiam, rzeczywiście Paige jakby zamknęła się w sobie. Oddaliła się od nas wszystkich. Jedną z naszych koleżanek, Judy Zyskind... Zna ją pan?

– Nie.

– Judy to obecnie jedna z moich współlokatorek. Jest na meczu lacrosse w Bowdoin, inaczej od razu bym ją zapytała... W każdym razie, choć ja tak nie uważam, Judy sądzi, że coś się Paige przydarzyło na imprezie organizowanej przez stowarzyszenie studenckie.

Simon poczuł, że robi mu się zimno.

– Jak to „coś się jej przydarzyło”?

– Dużo rozmawiamy o napaściach seksualnych tu, na terenie kampusu. Dużo. Nie twierdzę, że za dużo. Czujemy taką potrzebę i już. Ale Judy wręcz o niczym innym nie mówi. Kiedy więc ktoś zamyka się w sobie, zaraz dostrzegamy to wszyscy. Pamiętam, że któregoś wieczoru Judy wprost zapytała o to Paige. O faceta, który mógł zrobić jej krzywdę.

- Jakiego faceta?
- Nie wiem. Nie wymieniły imienia.
- Ale to było przed Aaronem?
- Tak.
- I jak Paige na to zareagowała?
- Odpowiedziała, że nie o to chodzi.
- A zdradziła o co?

Eileen się zawahała i odwróciła głowę.

- Eileen? Czy coś mówiła?
- Tak.
- Co?
- Myślę, że próbowała odwrócić naszą uwagę. Abyśmy dali jej spokój.
- Co powiedziała?
- Że... – Eileen spojrzała mu w oczy – że ma problemy w domu.

Simon zamrugał i opadł na oparcie fotela, przyjmując cios. Tego się nie spodziewał.

- Jakiego rodzaju problemy?
- Nie wdawała się w szczegóły.
- Nie dała nic do zrozumienia?
- Pomyślałam... już po tym, co stało się później, z Aaronem, narkotykami i tak dalej... więc pomyślałam sobie, że pan i pani doktor Greene nie możecie się porozumieć.

- Ależ skąd!
- Och...

Simon zastanawiał się gorączkowo.

Problemy w domu?

Próbował to wszystko ogarnąć. Nie chodziło o stan małżeństwa rodziców: między nim a Ingrid było bardzo dobrze, lepiej niż kiedykolwiek. Ani o finanse: oboje robili karierę i dobrze zarabiali. A co z rodzeństwem? Nic, co mogłoby wydawać się dziwne, niczego takiego sobie nie przypominał. Sam miał jakiś zatarg z nauczycielem nauk ścisłych, ale nie, to było rok wcześniej, i trudno było to nazwać „problemami w domu”.

Chyba że działo się coś, o czym Simon nie wiedział.

Ale nawet jeśli tak, nawet jeżeli Paige wyobraziła sobie czy widziała jakiś problem w rodzinie, po co miałyby pojechać do Connecticut, do Aarona?

Zapytał o to Eileen.

– Niestety, nie wiem, panie Greene.

Zerknęła na swój telefon komórkowy tak, jak ktoś starszy mógłby spojrzeć na zegarek. Zmieniła pozycję na kanapie, nagle cała jej postawa stała się zupełnie inna i Simon zrozumiał, że traci z dziewczyną kontakt.

– Niedługo mam zajęcia – powiedziała.

– Eileen?

– Tak?

– Aaron został zamordowany.

Oczy jej się rozszerzyły.

– A Paige zniknęła.

– Zniknęła?

– Zaginęła. I sądzę, że ten, kto zabił Aarona, chce ją odnaleźć.

– Nie rozumiem. Po co?

– Nie wiadomo. Wydaje mi się jednak, że ma to związek z czymś, co ich połączyło... co sprawiło, że Paige chciała poznać Aarona. Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Muszę się dowiedzieć, co takiego się stało tu, na kampusie, że pożyczyla od ciebie samochód i pojechała do Connecticut.

– Nie mam pojęcia.

– Rozumiem. I domyślam się, że chciałabyś, abym już sobie poszedł. Ale proszę cię, pomóż mi.

– W jaki sposób?

– Zacznij od początku. Opowiedz mi wszystko, co się wydarzyło, choćby wydawało ci się zupełnie nieważne.

• • •

Paige stała się pracusiem, powiedziała mu Eileen.

– Kim?

– Pracusiem – powtórzyła. – No, wie pan, w pierwszym tygodniu studiów mówią nam, że możemy być, kim zechcemy, że mamy szansę zacząć od nowa i zgarnąć całą pulę.

Simon pokiwał głową.

– Paige wzięła to sobie do serca.

– To niedobrze? – spytał.

– Moim zdaniem za bardzo się przejęła. Chciała we wszystkim uczestniczyć. Próbowwała się dostać do dwóch kapel. Tu, na kampusie, działa klub dla maniaków, którzy konstruują roboty. Wstąpiła do niego. Brała udział w wyborach do sądu koleżeńskiego i wygrała. Dostała obsesji na punkcie klubu Family Tree, organizującego zajęcia z genetyki, które pozwalają się dowiedzieć, skąd się pochodzi i tak dalej. Chciała napisać sztukę teatralną. Jak się na to spojrzy z perspektywy czasu, było tego za dużo. Zbyt wiele od siebie wymagała.

– Czy chodziła z jakimiś chłopakami?

– Z żadnym na serio.

– A ten facet, o którym wspomniała twoja współlokatorka od lacrosse...

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Wyślę do Judy esemesa, jeśli pan chce.

– Poproszę.

Eileen wzięła telefon i zaczęła przebierać palcami po wyświetlaczu. Gdy skończyła pisać, kiwnęła głową.

– A nauka? – pytał dalej Simon. – Jakie zajęcia wybrała?

Ojciec, rzecz jasna, powinien to wiedzieć, ale przedtem, zanim wszystko się zaczęło, Simon szczyił się tym, że nie należy do nadopiekuńczych rodziców. Nie orientował się, na jakie Paige chodzi zajęcia, nawet gdy była w szkole średniej. Inni codziennie zaglądali na Skyward, żeby sprawdzić, czy ich dzieci odrobiły pracę domową, albo śledzić otrzymywane przez nie stopnie. Simon nie miał nawet pojęcia, jak się zalogować. Wtedy myślał, że dzięki temu jest lepszym ojcem.

Trzymaj się z boku. Zaufaj swojemu dziecku.

I z Paige nie sprawiało to trudności. Była zdyscyplinowana. Dobrze się uczyła. Och, jaką miał wówczas satysfakcję; czuł głupią wyższość nad tymi troskliwymi rodzicami, chwalił się, że nie zna nawet hasła umożliwiającego mu wejście na Skyward, jak te dupki na przyjęciach, które się chełpią, że nie mają telewizora.

Co za arogancja. I dostał nauczkę.

Eileen zrobiła dla niego spis zajęć, na które chodziła Paige, wraz z nazwiskami wykładowców. Podała mu kartkę i powiedziała:

– Naprawdę muszę już iść.

– Mogę cię odprowadzić?

Odparła, że tak, ale zabrzmiało to niechętnie.

Kiedy szli do drzwi, Simon przejrzał listę.

– Czy coś z tego wydaje ci się dziwne?

– Nie, raczej nie. Większość z tych zajęć cieszyła się dużym zainteresowaniem. Nie sądzę, żeby wykładowcy ją zapamiętali. Wyjątkiem może być profesor van de Beek.

Ruszyli przez jasny zielony dziedziniec.

– Co wykladał van de Beek?

– Genetykę, o której wspominałam.

– Gdzie mogę go znaleźć?

Nie zatrzymując się, Eileen zajrzała do swojego telefonu.

– Proszę, to on.

Podawała mu komórkę.

Profesor Louis van de Beek był młody, pewnie nie miał jeszcze trzydziestki i wyglądał na jednego z tych wykładowców, w których podkochują się studentki: czarne włosy, wręcz granatowe, trochę za długie, cera trochę za gładka. Ładne zęby, miły uśmiech. Na zdjęciu był w czarnym T-shircie, umięśnione ramiona trzymał skrzyżowane na piersi.

Gdzie się, do cholery, podzieli wykładowcy w sportowych, tweedowych marynarkach?

Pod zdjęciem widniała informacja: wykładowca nauk biologicznych. Były tam też numer jego gabinetu w Clark House, adres e-mailowy, adres strony internetowej, lista zajęć, które prowadził, w tym wstęp do genetyki i genealogii.

– Powiedziałaś, że on stanowił wyjątek.

– Tak.

– Pod jakim względem? – zapytał Simon.

– Przede wszystkim genetyka i genealogia to przedmiot, na który chodzi niewielu studentów – wyjaśniła Eileen. – Więc mogliśmy dobrze się poznać z wykładowcą. Ale dla Paige było to coś więcej.

– Czyli co?

– Profesor van de Beek prowadził zajęcia fakultatywne, Family Tree, na punkcie których, jak mówiłam, dostała obsesji. Wiem, że chodziła do niego na dyżur. Często.

Simon znowu ściągnął brwi. Eileen musiała zwrócić na to uwagę.

– Och, nie, nie o to chodziło.

– W porządku.

– Po przyjeździe tutaj Paige nie bardzo wiedziała, jaką wybrać specjalizację. Zresztą jak my wszyscy. Orientował się pan, prawda?

Skinął głową. On i Ingrid zachęcali ją, żeby nie zawężała swoich zainteresowań. Szukaj. Poznawaj. I w końcu znajdziesz swoją pasję.

– Paige dużo mówiła o matce i jej pracy – powiedziała, po czym szybko dodała: – Nie twierdzę, że o panu nie wspominała, panie Greene. Pańską pracę też uważała za ciekawą.

– Spokojnie, Eileen.

– W każdym razie idealizowała matkę. Profesor van de Beek był jednocześnie doradcą studentów pierwszego roku, którzy chcieli pójść na medycynę.

Simon przełknął ślinę.

– Paige zamierzała zostać lekarzem?

– Tak, chyba tak.

Ta informacja była dla niego zaskoczeniem. Paige pragnęła leczyć ludzi. Jak jej matka.

– Nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z Aaronem – podjęła Eileen – ale profesor van de Beek był dla niej ważny podczas pobytu tutaj.

Przeszli przed akademik Ratnera, w którym Paige i Eileen mieszkały na pierwszym roku, i minęli miejsce, w którym Simon wieki temu uściskał córkę, gdy się rozstawali.

Bolesnych przeżyć ciąg dalszy.

Przed budynkiem Isherwooda Eileen zauważyła kilka koleżanek, więc powiedziała Simonowi, że musi już iść, i szybko się z nim pożegnała. Pomachał do niej, kiedy odchodziła, i skierował się do Clark House. Gdy wkroczył do holu, za kontuarem usiadła starsza kobieta z miną świadczącą, że widziała już wszystko przed prezydenturą Eisenhowera, i spojrzała na niego niechętnie.

Z małej plakietki, którą miała na piersi, wynikało, że nazywa się Dinsmore... pani Dinsmore. Imienia nie podano.

– Mogę w czymś panu pomóc? – zapytała pani Dinsmore mało zachęcającym tonem.

– Szukam profesora van de Beeka.

– Nie znajdzie go pan.

– Słucham?

– Profesor van de Beek jest na urlopie naukowym.

– Od kiedy?

– Nie jestem upoważniona, aby odpowiadać na żadne dodatkowe pytania w tej sprawie.

– Został tutaj, czy wyjechał?

Kobieta miała okulary na łańcuszku. Włożyła je i popatrzyła na niego z jeszcze większą dezaprobatą.

– Czy sformułowanie „Nie jestem upoważniona, aby odpowiadać na pytanie” brzmi niezrozumiale?

Simon miał adres e-mailowy Louisa van de Beeka ze strony internetowej uczelni. Co było jakimś wyjściem.

– Bardzo pani miła, dziękuję.

– Nie mogę być niemila – odparła pani Dinsmore z pochyloną głową, coś pisząc.

Simon ruszył z powrotem do samochodu. Zadzwoił do Yvonne i ponownie usłyszał, że stan Ingrid jest bez zmian. Miał mnóstwo pytań, ale powróciło do niego dziwne wspomnienie. Na początku ich związku bardzo przejmował się rynkami zagranicznymi, wstrząsami politycznymi i nadchodzącymi raportami o stanie aktywów: wszystkim, co mogło wpłynąć na portfele klientów. Było to całkiem naturalne, element pracy, ale utrudniało mu koncentrację i sprawiało, że stawał się mniej skuteczny jako analityk finansowy.

– Modlitwa o pogodę ducha – powiedziała mu pewnego wieczoru Ingrid. Siedziała przy komputerze w jednej z jego koszul, odwrócona do niego plecami.

– Co takiego?

Podszedł do niej i położył dłonie na jej pięknych ramionach. Drukarka drgnęła. Ingrid sięgnęła po kartkę i podała mu ją.

– Trzymaj to na biurku.

Oczywiście, powinien był znać tę modlitwę. Przeczytał ją i choć brzmiała dziwnie, niemal od razu zmieniła jego życie.

Boże, daj mi pogodę ducha, abym godził się z tym, czego nie mogę zmienić, odwagę, abym zmieniał to, co mogę zmienić, i mądrość, abym odróżniał jedno od drugiego.

Choć Simon nie uważał się za wierzącego, ta modlitwa, krótka i prosta, bardzo do niego przemawiała. A co więcej, przemawiała także w odniesieniu do

Ingrid. Nie mógł zmienić stanu żony. Leżała w szpitalu, pogrążona w śpiączce, i mimo że cierpiał z tego powodu nieustająco i dotkliwie, byłby głupi, gdyby sądził, że ma na to jakikolwiek wpływ.

Nie miał.

Więc musiał się z tym pogodzić. Dać sobie spokój. I próbować wpłynąć na to, na co mógł wpłynąć.

Jak na odnalezienie córki.

Po powrocie do samochodu wybrał numer Eleny Ramirez.

– Coś nowego? – zapytał.

– Ty mów pierwszy.

– To Paige znalazła Aarona, nie odwrotnie. Zawsze sądziłem, że poznali się w okolicach Lanford College. Ale to ona go odszukała.

– Więc już się znali?

– Na to wygląda.

– Pewnie z internetu. Z jakiejś strony randkowej czy czegoś takiego.

– Po co moja córka miałaby wchodzić na strony randkowe?

– A po co wchodzią wszyscy inni?

– Właśnie zaczynała studia, była pochłonięta nauką i nowymi znajomościami. I to wcale nie moja opinia, ojca patrzącego przez rodzicielskie okulary.

– Rodzicielskie okulary?

– No, wiesz. Subiektywnie. Jak to ojciec.

– Aha.

– Tak widziała Paige jej współlokatorka, nie ja. Rozmawiałaś z tym facetem z salonu tatuażu?

– Nazywa się Damien Gorse. Simon, posłuchaj. Czy jest coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć?

– Tak, coś dziwnego w związku z dzieciństwem Aarona. Czy z jego pochodzeniem.

– Mów.

Simon zrelacjonował jej, czego dowiedział się od Enid o rzekomej matce Aarona, Włoszce. Kiedy skończył, po drugiej stronie zapadła cisza. A potem usłyszał stukanie w klawiaturę.

– Elena?

– Próbuję znaleźć w sieci zdjęcia Aarona i jego ojca.

– Po co?

Długie milczenie.

– Nic nie wychodzi. O, widzę jakiegoś gościa w gospodzie. To Wiley.

– Do czego zmierzasz?

– To zabrzmiało dziwnie – zaczęła.

– Bo?

– Widziałeś Aarona i Wileya na własne oczy.

– No tak.

– I według ciebie to ojciec i syn? W sensie biologicznym?

– Nie – rzucił Simon bez namysłu. – To znaczy... posłuchaj, nie mam pewności. Coś jest nie tak? A w ogóle dlaczego pytasz?

– To nie musi być nic ważnego.

– Ale?

– Henry Thorpe był adoptowany – odparła Elena. – Damien Gorse także. Simona przebiegł zimny dreszcz.

– To tylko domysły – rzucił jednak.

– Wiem.

– Paige nie była adoptowana.

– Wiem.

– Elena?

– Tak?

– Co powiedział ci Damien Gorse?

– Nic, Simon. Gorse nie żyje. On też został zamordowany.

Rozdział 20

Ash zawsze starał się być jak najlepiej przygotowany.

Oboje mieli w samochodzie czyste ciuchy. Przebrali się więc podczas jazdy i za supermarketem Whole Foods w pobliżu granicy stanu Nowy Jork wyrzucili stare ubrania do pojemnika organizacji charytatywnej. W Rite Aid po naciągnięciu bejsbolówki aż na oczy Dee Dee kupiła dziesięć artykułów, choć tak naprawdę chodziło tylko o dwa: farbę do włosów i nożyczki.

Nie poszedł z nią.

Wszędzie były kamery przemysłowe. Niech szukają pojedynczego mężczyzny albo kobiety. Trzeba ich zmylić. Zmieniać miejsce pobytu.

Dee Dee uważała, że może przefarbować włosy na miejscu, w toalecie. Ale on uznał, że to za duże ryzyko.

Jechać dalej. Nie zostawiać żadnego tropu.

Przebyli kolejne piętnaście kilometrów i znaleźli stację benzynową starego typu (gorszy monitoring, pomyślał Ash). Dee Dee poszła w czapce do łazienki. Nowymi nożyczkami obcięła długi jasny warkocz, ostrzygła się tuż przy skórze i spuściła włosy w muszli. Króciutkie kosmyki przefarbowała na jasny kasztan, nic zbyt charakterystycznego, i z powrotem włożyła bejsbolówkę.

Ash jej nakazał: zawsze chodź z opuszczoną głową. Kamery przemysłowe filmują z góry. Zawsze. Noś czapkę z daszkiem i patrz w ziemię. Czasami, zależnie od miejsca i pory roku, dobrze jest włożyć okulary przeciwsłoneczne. Jednak jeśli nie ma słońca, niepotrzebnie przyciągają uwagę.

– To przesada – skwitowała Dee Dee.

– Być może.

Ale się nie sprzeciwiała. A gdyby rzeczywiście uznała te środki ostrożności za niepotrzebne, protestowałaby.

Kiedy znowu znaleźli się na drodze, zdjęła czapkę i przeczesła palcami włosy.

– Jak wyglądam?

Zaryzykował spojrzenie i poczuł, że serce mu się ściska.

Dee Dee przyciągnęła kolana do piersi i zasnęła obok niego. Ash wciąż na nią zerkał. Na czerwonym świetle wziął z tylnego siedzenia koszulę i wetknął dziewczynie pod głowę opartą o drzwi samochodu, żeby było jej wygodnie i nie zrobiła sobie krzywdy.

Obudziła się trzy godziny później i powiedziała:

– Muszę się wysikać.

Zatrzymał się na następnym parkingu. Włożyli bejsbolówki. Ash kupił na drogę skrzydełka kurczaka i frytki. Kiedy wrócili na autostradę, Dee Dee zapytała:

– Dokąd jedziemy?

– Nie wiemy, co mają na ciebie gliny.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Ash.

– Wiesz dokąd – odparł.

Nie odezwała się.

– Wiem, że to niedaleko granicy z Vermontem – powiedział. – Ale nie znam dokładnej lokalizacji. Będziesz musiała mnie pokierować.

– Nie wpuszczą cię. Nikt z zewnątrz nie ma tam wstępu.

– Jasne.

– A już zwłaszcza faceci.

Ash przewrócił oczami.

– Jezu, to nienormalne.

– Takie w Niebiosach Prawdy panują zasady. Żadnych mężczyzn z zewnątrz.

– Nie muszę tam wjeżdżać, Dee Dee. Tylko cię podrzucę.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

– Uważasz, że coś mi grozi.

– Bingo.

– Ale to nie ty o tym decydujesz – odrzekła. – Ani ja.

– Naprawdę? – rzucił Ash. – Wszystko w rękach Boga?

Uśmiechnęła się do niego. Było jak dawniej, nawet jeśli teraz miała ten dziwny kolor włosów i nową fryzurę. Beztrosko. Gdy zobaczył ten jej uśmiech,

mocniej zabiło mu serce.

- Chodzi nie tylko o Boga. Ale też o Prawdę.
- A kto ją głosi?
- Dla tych, którzy nie potrafią zrozumieć, Prawdą może być Bóg.
- I on do ciebie przemawia?
- Poprzez swoje wcielenia na ziemi.

Ash przejrzał już cały ten kult.

- Czyli Caspera Vartage'a?
- Został wybrany przez Boga.
- To skazaniec.
- Diabeł nie chce, żeby Prawdą triumfowała. Bo w jej blasku ginie.
- A co z pobytem Vartage'a w pace?
- To wtedy poznał Prawdę. W karczerze. Po tym, jak był bity i torturowany.

Jeśli media i osoby z zewnątrz mówią o nim źle, to dlatego, że chcą go uciszyć.

Ash pokręcił głową. Beznadzieja.

Przerzucił stacje radiowe. Rozległy się dźwięki *Hey, St. Peter Flash and the Pan*, klasyka lat siedemdziesiątych. Ash musiał się uśmiechnąć. W tej piosence facet przychodzi pod bramy nieba i prosi świętego Piotra, żeby go wpuścił, bo skoro mieszkał w Nowym Jorku, odsiedział już swoje w piekle.

- Macie tam, na tym swoim terenie, jakąś muzykę? – zapytał.
- Nazywamy go Niebiosami Prawdy.
- Dee Dee...
- Tak, mamy muzykę. Wielu naszych członków to utalentowani muzycy.

Piszą piosenki.

- Ale muzyki z zewnątrz nie ma?
- To nie pomogłoby w szerzeniu Prawdy, Ash.
- Jedna z zasad Vartage'a?
- Proszę, nie nazywaj go jego dawnym nazwiskiem.
- Dawnym?
- Tak. To zabronione.
- Dawne nazwisko – powtórzył. – Tak jak ty jesteś teraz Holly?
- Właśnie.
- Czy to on nadał ci to imię?
- Zrobiła to Rada Prawdy.
- Czyli kto?

– Prawda, Ochotnik i Gość.

– Trzy osoby?

– Tak.

– Wszyscy to mężczyźni?

– No.

– Jak Trójca Święta.

Odwróciła się ku niemu.

– Wcale nie.

Nie ma sensu się w to wdawać, pomyślał.

– Założę się, że Prawda to Casper Vartage?

– A żebyś wiedział.

– A pozostali dwaj?

– To jego potomkowie. Urodzili się i wychowali w Niebie.

– Czyli jego synowie, tak?

– No, nie, ale dla ciebie tak.

– Dla mnie?

– Nie zrozumiałbyś, Ash.

– Kolejny tekst typowy dla sekty. – Podniósł rękę, zanim zdążyła go upomnieć. – A co się stanie, jeśli zakwestionuje się tę waszą Prawdę?

– Prawda to prawda. Z definicji. Wszystko inne jest kłamstwem.

– A niech mnie. Więc cokolwiek powie wasz przywódca, to ewangelia?

– Czy lew może nie być lwem? On jest Prawdą. Więc jak to, co mówi, może nie być prawdziwe?

Ash pokręcił głową, gdy wjeżdżali do Vermontu. Wciąż zerkał na dziewczynę.

– Dee Dee?

Zamknęła oczy.

– Naprawdę chcesz, żebym mówił do ciebie Holly?

– Nie – odpowiedziała. – Niech ci będzie. Zresztą poza Niebiosami Prawdy nie jestem Holly, no nie?

– Hm.

– Dee Dee może robić to, czego Holly nie wolno.

– Niezły wytrych.

– No nie?

Ash starał się powściągnąć uśmiech.

– Chyba bardziej lubię Dee Dee.

– Zdaje się, że tak. Ale Holly jest bardziej kompletna. Czuje się szczęśliwa i zna Prawdę.

– Dee Dee... – Przerwał z westchnieniem i zapytał: – Czy mam cię nazywać Holly?

– Następny zjazd.

Opuścili autostradę.

– No co, Ash?

– Mogę powiedzieć wprost?

– Tak.

– Jak możesz wierzyć w te bzdury?

Spojrzał na nią. Podciągnęła nogi na fotel i siedziała teraz po turecku.

– Kocham cię, Ash.

– Ja też cię kocham.

– Wygooglowałeś coś? O Jaśniejącej Prawdzie?

O tak. Ich przywódca, Casper Vartage, urodził się w 1945 roku w tajemniczych okolicznościach. Jego matka twierdziła, że któregoś dnia obudziła się, będąc w siódmym miesiącu ciąży – w tej samej chwili jej mąż zginął na plaży w Normandii podczas inwazji. Oczywiście, nie ma na to żadnego dowodu. Ale taka jest legenda. Jako młody człowiek Casper był uważany w Nebrasce za „uzdrowiciela zbóż” i farmerzy zwracali się do niego o pomoc podczas susz i innych klęsk żywiołowych. Znowu brak dowodów. Vartage buntował się przeciwko swojej mocy: Prawda była tak potężna, że próbował wyzwolić się spod jej władzy, więc około 1970 roku wylądował w więzieniu za oszustwo. Na to – na oszustwo – są dowody, i to całe mnóstwo.

Po utracie oka w więziennej bójkę, podczas pobytu w karcerze znanym jako Piekło, został nawiedzony przez anioła. Trudno powiedzieć, czy Vartage to zmyślił, czy po prostu miał urojenia. Tak czy owak, anioł, który go nawiedził, w sprytnym języku kultu jest nazywany Gościem. Ten Gość objawił mu Prawdę i opowiedział o symbolu, który miał znaleźć pod kamieniem na pustyni w Arizonie, kiedy już wyjdzie na wolność.

Te bzdury się mnożyły, tworząc typową kretyńską mitologię, i teraz Jaśniejąca Prawda miała swój ośrodek, gdzie uczniowie, głównie kobiety, byli poddawani praniu mózgu, bici, odurzani prochami albo gwałceni.

– Nie spodziewam się, że ujrysz Prawdę – odezwała się Dee Dee.

– Po prostu nie rozumiem, jak możesz nie widzieć, że ten kult to jedna wielka ściema.

Zwróciła się w jego stronę całym ciałem.

– Pamiętasz panią Kensington?

Pani Kensington, ich wspólna zastępcza matka, dwa razy w tygodniu zabierała swoich podopiecznych do kościoła: we wtorki po południu na czytanie Biblii, a w niedziele przed południem na mszę. Zawsze. Nie opuściła żadnego z nich, ani czytania, ani mszy.

– Musisz pamiętać.

– Była dla nas dobra – przyznał.

– Zgadza się. Chodzisz jeszcze do kościoła, Ash?

– Rzadko – odparł.

– Lubieś to. Kiedy byliśmy dziećmi.

– Było tam tak cicho. Lubię ciszę.

– A pamiętasz te opowieści, których słuchaliśmy?

– Pewnie.

– Pani Kensington w nie wierzyła.

– Wiem.

– Więc przypomnij mi: ile lat miał Noe, gdy zbudował arkę?

– Dee Dee...

– Jeśli dobrze pamiętam, z pięćset. Naprawdę sądzisz, że wziął na nią po parze wszystkich stworzeń? Samych owadów są miliony gatunków. Myślisz, że zdołał je wcisnąć na arkę? W takie rzeczy wierzyłeś razem z panią Kensington, a w Prawdę już nie?

– To nie to samo.

– Jasne. Siedzieliśmy w kościele, pani Kensington miała łzy w oczach i kiwała głową, kiedy opowiadano nam o zbawieniu. Pamiętasz te historie?

Ash ściągnął brwi.

– Jeśli pamięć mnie nie myli – ciągnęła Dee Dee – zamężnej dziewczicy urodził się zesłany z nieba chłopczyk, który był własnym ojcem. Potem zginął w męczarniach, do których doprowadził jego tata... czyli on sam. Och, ale później, po śmierci, wrócił na ziemię jak zombie i jeśli teraz zjesz jego ciało w postaci opłatka, napijesz się jego krwi w postaci wina i obiecasz, że będziesz całował go po tyłku, on wyciągnie z ciebie całe zło...

– Dee Dee...

– Poczekaj, dochodzę do najlepszej części. A skąd się wzięło na świecie to całe zło... pamiętasz, Ash?

Pamiętał, ale milczał.

– Nie? Och, to ci się spodoba. Zło istnieje, bo laska o kurzym mózdzku, która wzięła się z męskiego żebra, dała się namówić mówiącemu gadowi do zjedzenia trującego owocu. – Klasnęła i ze śmiechem opadła na oparcie fotela. – Mam wspomnieć o reszcie? Rozstępujących się morzach, prorokach wchodzących po zwierzętach do nieba, Abrahamie, który stręczył faraonowi swoją żonę? O tych „świętych” ludziach, którzy jeszcze teraz mieszkają w Rzymie, wśród pedalskich obrazów, i noszą kostiumy, na widok których drag queen oblałaby się rumieńcem?

Prowadził bez słowa.

– Ash?

– Co?

– To może brzmi, jakbym wyśmiewała te wierzenia albo samą panią Kensington – zaczęła.

– No.

– Ale to nie tak. Chodzi mi o to, że zanim odrzucisz czyjeś przekonania, bo uznałeś je za głupie, powinieneś przyjrzeć się lepiej historiom, które „normalni” ludzie – pokazała palcami cudzysłów – uważają za wiarygodne. Wszystkie religie są dla nas bzdurne... oprócz własnej.

Nie chciał tego przyznać, ale miała rację. A jednak coś w tonie jej głosu...

– Jaśniejąca Prawda to więcej niż religia. To żywa, oddychająca jedność. Prawda istniała zawsze. I zawsze będzie istnieć. Bóg większej części ludzi żyje w przeszłości... tysiące lat temu, zamknięty w starych księgach. Dlaczego? Czyżby myśleli, że ich opuścił? A mój jest z nami, tu i teraz. W realnym świecie. A kiedy umrze, pałeczkę przejmie jego potomstwo. Bo Prawda żyje wiecznie. Bo w Prawdzie, gdybyś zdobył się na obiektywizm, Ash, gdybyś od dzieciństwa nie przechodził prania mózgu, jest większy sens niż w mówiących węzach czy bogach słońiach. Nie widzisz tego?

Wciąż milczał.

– Ash?

– No co?

– Odezwij się.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Może dlatego, że słyszysz Prawdę.

– O nie, na pewno nie.

– Przy najbliższym skrzyżowaniu skręć w prawo – poleciała. – To już niedaleko.

Droga się zwęziła, po obu stronach rósł las.

– Nie musisz wracać – rzucił Ash.

Dee Dee odwróciła głowę i spojrzała za okno.

– Mam trochę oszczędności – ciągnął. – Moglibyśmy gdzieś wyjechać. Tylko ty i ja. Kupić jakiś dom. Ze mną byłabyś Holly.

Nie odpowiedziała.

– Dee Dee?

– Tak?

– Słuchasz mnie?

– No.

– Nie musisz tam wracać.

– Ciii... Jesteśmy już blisko.

Rozdział 21

Simon zatelefonował pod numer podany na stronie internetowej z biogramem profesora van de Beeka. Po dwóch sygnałach zgłosiła się poczta głosowa. Nagrał wiadomość, w której poprosił wykładowcę o kontakt w sprawie córki, Paige Greene. Potem, na wszelki wypadek, wysłał do niego jeszcze e-mail o podobnej treści.

Następnie zadzwonił do Sama i do Anyi, ale w obu przypadkach od razu został przełączony na pocztę głosową, co go nie zdziwiło. Młódzież nie rozmawia przez telefon, tylko esemesuje. Powinien był wiedzieć. Wysłał więc im obojgu takiego samego esemesa:

Jak się masz? Chcesz pogadać?

Sam natychmiast odpowiedział:

W porządku. Nie, nie ma potrzeby.

Ponownie zero zaskoczenia.

Ruszył w drogę powrotną do Nowego Jorku. On i Ingrid mieli wspólny strumień, chmurę czy jak to się nazywa, więc wszystkie ich zdjęcia i dokumenty znajdowały się w jednym miejscu. Tak samo muzyka. Ponieważ korzystali ze wspólnych usług, polecił Siri zgrać najnowszą playlistę Ingrid, włączył ją i zaczął słuchać.

Pierwsza piosenka sprawiła, że się uśmiechnął: *The Girl from Ipanema*, wersja z 1964 roku w wykonaniu Astrud Gilberto.

Fantastyczna.

Simon pokręcił głową, wciąż pełen podziwu dla kobiety, która jakimś cudem, choć miała taki wybór, chciała jego. Jego. Na jakiegokolwiek przeszkody natykał się w życiu, jakiegokolwiek zakręty musiał pokonywać, na jakichkolwiek rozwidleniach stawał, ten właśnie fakt – że został przez nią wybrany – zawsze pomagał mu zachować równowagę, przepajał go wdzięcznością i prowadził do domu.

Zadzwoił telefon. Na ekranie nawigacji samochodowej pojawił się znajomy kontakt.

Yvonne.

Czym prędzej odebrał.

– Nie chodzi o Ingrid – uprzedziła od razu. – U niej żadnych zmian.

– Więc co się stało?

– Nic złego.

– Okej.

– Dziś trzeci wtorek miesiąca – przypomniała mu.

Zapomniał o Sadie Lowenstein.

– To nic wielkiego – rzuciła Yvonne. – Mogę zadzwonić w twoim imieniu do Sadie i przełożyć wasze spotkanie albo cię zastąpić...

– Nie, pojedę do niej.

– Simon...

– Nie, naprawdę. Zresztą mam po drodze.

– Jesteś pewny?

– Tak. Gdyby stan Ingrid się zmienił...

– Zadzwonię. Albo zrobi to Robert. Wkrótce mnie tu zmieni.

– A co z dziećmi?

– Anya jest u waszej sąsiadki. Sam cały czas pozostaje w kontakcie, pisze esemesy i tak dalej. Od dwóch tygodni spotyka się z jakąś dziewczyną. Wiedziałeś o tym?

Znowu ukłucie w sercu, tym razem lżejsze.

– Nie.

– Ta dziewczyna chciała przyjechać z Amherst i być z nim, co od razu poprawiło mu humor, ale powiedział jej, że to niekonieczne.

– Wkrótce wrócę.

– Tęsknią za tobą, ale cię nie potrzebują, jeśli wiesz, co mam na myśli. Rozumieją, że masz się czym zająć.

• • •

Sadie Lowenstein mieszkała na zamkniętym osiedlu z cegły w Yonkers, w Nowym Jorku, na północ od Bronxu. Okolica była zwyczajna, przeważnie zasiedlona przez klasę robotniczą. Sadie spędziła tu pięćdziesiąt siedem ze swoich osiemdziesięciu trzech lat życia. Stać ją było na coś lepszego. Jako jej doradca finansowy Simon wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Mogła choćby kupić sobie mieszkanie na Florydzie i spędzać tam najgorsze zimowe miesiące, ale nie chciała. To jej nie interesowało. Dwa razy w roku jeździła do Vegas. O tak. A poza tym lubiła swój stary dom.

Sadie wciąż paliła papierosy i miał ochrypy głos. Nosiła staroświeckie podomki, czyli luźne sukienki. Siadali w kuchni przy okrągłym stole z formiki, gdzie kiedyś siedziała z mężem Frankiem i synami bliźniakami: Barrym i Gregiem. Wszyscy trzej ją opuścili. Barry zmarł w 1992 roku na AIDS. Frank w 2004 przegrał walkę z rakiem. Greg, jedyny jeszcze żyjący, przeniósł się do Phoenix i rzadko przyjeżdżał ją odwiedzić.

Na podłodze leżało nieco lepkie linoleum. Zegar elektroniczny nad zlewem pokazywał czas w czerwonej kostce do gry: była to pamiątka z dawnej wyprawy do Vegas, jeszcze z Frankiem, przed co najmniej dwudziestoma laty.

– Usiądź – powiedziała Sadie. – Zaparzę ci tej herbaty, którą tak lubisz.

Miała na myśli zwyczajny torebkowy napar z rumianku z cytryną i miodem. Simon nie pijał herbaty. Dla niego była za słaba, marna namiastka kawy, i chociaż chciałby, żeby stała się czymś więcej, w końcu zawsze smakowała jak brązowa woda.

Jednak z dziesięć lat wcześniej – może więcej, już nie pamiętał – Sadie poczęstowała go tą herbatką z tego konkretnego sklepu. Zapytała, czy mu smakuje, a on odpowiedział: „Bardzo”, więc teraz, za każdym razem, gdy przyjeżdżał, napar czekał już na stole.

– Uważaj, bo gorąca.

Na lodówce barwy kości słoniowej, a może po prostu żółtej, wisiał zwyczajny kalendarz miesięczny ze zdjęciami gór i rzek. Takie kalendarze były kiedyś rozdawane przez banki. I może wciąż tak było. W każdym razie Sadie gdzieś je zdobywała.

Simon patrzył na niego: na prosty, tradycyjny kalendarz z miejscem na notatki.

Robił to podczas każdej wizyty. Spoglądał na trzydzieści albo trzydzieści jeden kwadratów (tak, pedanci, dwadzieścia osiem albo dwadzieścia dziewięć w przypadku lutego). Większość z nich była pusta. Białe pola i już. Szóstego dnia miesiąca widniało nagryzmołone niebieskim długopisem: *Dentysta, 2.00 po południu*. Odbiór śmieci w każdy poniedziałek był zaznaczony kółkiem. We wtorek pojawiło się jedno słowo, napisane czerwonym markerem, dużymi literami:

SIMON!

Tak, jego imię. Z wykrzyknikiem. A wykrzykniki nie były w stylu Sadie Lowenstein.

I o to chodziło.

Pierwszy raz zobaczył tę notatkę na lodówce – swoje imię na czerwono, z wykrzyknikiem – przed ośmioma laty, kiedy rozważał zakończenie tych wizyt, bo naprawdę, na tym etapie, przy prawie niezmiennych inwestycjach starszej pani i jej stałych wydatkach, nie było powodu, żeby przyjeżdżał co miesiąc. Wszystko dałoby się załatwić przez telefon, ewentualnie mógł ją odwiedzać jakiś młodszy kolega Simona albo on sam, ale rzadziej, raz na kwartał.

Wtedy jednak spojrział na lodówkę i zobaczył w kalendarzu swoje imię.

Opowiedział o tym Ingrid. I Yvonne. Sadie nie miała w pobliżu nikogo z rodziny. Jej znajomi albo się wyprowadzili, albo pomarli. Dlatego jego wizyty były dla niej ważne, to siedzenie przy starym kuchennym stole, przy którym kiedyś zasiadała z rodziną, gdy Simon przy herbatce przeglądał jej portfel.

Więc dla niego też stały się ważne.

Nigdy nie opuścił spotkania z Sadie. Ani razu.

Ingrid byłaby niezadowolona, gdyby zrobił to tego dnia. Więc przyjechał.

Miał dostęp do portfela Sadie w laptopie. Przejrzał akcje będące w jej posiadaniu, ale naprawdę to wszystko było całkiem niepotrzebne.

– Simon, pamiętasz nasz dawny sklep?

Sadie i Frank byli właścicielami sklepiku z artykułami biurowymi w mieście, takiego, w którym sprzedaje się długopisy i papier, wykonuje odbitki zdjęć i wizytówki.

– Pewnie.

– Przejeżdżałeś ostatnio obok niego?

– Nie. Jest tam teraz sklep odzieżowy, prawda?

– Był. Te wszystkie obcisłe ubrania dla młodzieży. Nazywałam go Sluts R Us³, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Wiem, że to nieładnie z mojej strony. Ale powinienes mnie zobaczyć, jak wyglądałam za młodu. Byłam niezłą laską, Simon.

– Wciąż jesteś.

Z lekceważeniem machnęła ręką.

– Skończ z tą szarmancją. Kiedyś umiałam eksponować swoje kształty, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć. Ojciec dostawał szału, gdy widział, co na siebie wkładałam. – Uśmiechnęła się tęsknie. – Wpadłam Frankowi w oko, mówię ci. Biedny chłopak. Zobaczył mnie na plaży Rockaway w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym... i przepadł.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Odpowiedział tym samym.

– W każdym razie – spoważniała, gdy tamto wspomnienie zniknęło – ten sklep z odzieżą dla prostytutek został zamknięty. Jest tam teraz restauracja. Zgadnij, z jaką kuchnią?

– No, z jaką?

Zaciągnęła się dymem z papierosa i zrobiła minę, jakby na jej linoleum narobił pies.

– Asian fusion – wyrzuciła z siebie.

– Ojej.

– Co to, do licha, znaczy? Czy fusion to jakiś kraj?

– Chyba nie.

– Asian fusion. I do tego nazywa się Meszuge.

– Tak? Nie sądzę, żeby to była nazwa.

– W każdym razie jakoś tak. Starają się zrobić z nas członków wspólnoty! – Pokręciła głową. – Asian fusion. To już przesada, Simon. – Westchnęła i zaczęła przekładać w palcach papierosa. – Więc co się stało?

– Słucham?

– U ciebie. Co jest nie tak?

– Nic.

– Masz mnie za *meszuge*?

– Mówisz do mnie w języku fusion?

– Bardzo śmieszne. Zorientowałam się w chwili, gdy wszedłeś. Co ci leży na sercu?

– To długa historia.

Odchyliła się do tyłu, spojrzała w lewo, spojrzała w prawo, a potem znowu na niego.

– Myślisz, że jestem bardzo zajęta?

Niemal jej powiedział. Sadie patrzyła na niego mądrym wzrokiem, ze współczuciem, i chętnie by go wysłuchała, nawet z radością, jeśli można tak to nazwać, a potem udzieliła rady, a przynajmniej wsparcia moralnego.

Ale się powstrzymał.

Nie chodziło o to, że nie chciał mówić o swoich sprawach prywatnych. Chodziło o zasadę. Był jej doradcą finansowym. Mógł podzielić się z nią konwencjonalnymi informacjami o rodzinie. Ale nie czymś takim. Nie chciał rzutować swoich problemów na klientów.

– Martwisz się o jedno z dzieci – domyśliła się.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Kiedy traci się dziecko... – zaczęła. Urwała i wzruszyła ramionami. – Wykształca się w tobie szósty zmysł. Poza tym co innego mogłoby być powodem? Dobra, które to dziecko?

To już przyszło mu łatwiej.

– Najstarsze.

– Paige. Nie chcę być wścibska...

– Nie jesteś.

– Mogę ci coś poradzić, Simon?

– Oczywiście.

– To twoja specjalność, prawda? Udzielanie rad. Przyjeżdżasz tutaj i radzisz mi w sprawach finansowych. Bo znasz się na pieniądzach. A ja znam się na... tak czy owak, zawsze wiedziałam, że Barry był homoseksualistą. To było dziwne. Identyczni bracia bliźniacy. Wychowani w tym samym domu. Barry siadywał tu, gdzie ty siedzisz teraz. To było jego miejsce. Greg siadał obok niego. Ale odkąd pamiętam, różnili się od siebie. Wszyscy się wściekają, gdy mówię, że Barry od pierwszego dnia był... jak to powiedzieć... bardziej wyrazisty. To nie znaczy, że ktoś jest gejem, mówią mi. Ale ja wiem swoje. Moi synowie byli tacy sami... i zupełnie inni. Gdybyś znał ich obu, już gdy byli mali, i miał powiedzieć, który z nich jest gejem... no, zarzuć mi, że ulegam stereotypom... tobyś się

domyślił. Barry interesował się modą i teatrem. Greg – bejsbolem i samochodami. Jakbym wychowywała modelowe typy.

Próbowała się uśmiechnąć. Simon splótł dłonie i położył je na stole. Już część z tego słyszał, ale Sadie nieczęsto poruszała ten temat.

I wtedy zaczęło do niego docierać.

Bliźnięta, genetyka.

Historia Barry'ego i Grega fascynowała go od początku, od chwili, gdy ją usłyszał, bo zawsze się zastanawiał, jak identyczne bliźniaki, o takim samym kodzie genetycznym, wychowane w tym samym domu, mogły mieć zupełnie inne preferencje seksualne.

– Kiedy Barry zachorował – ciągnęła Sadie – nie widzieliśmy, co się dzieje z Gregiem. Nie zwracaliśmy na niego uwagi. Musieliśmy się zająć pilniejszą sprawą. A tymczasem Greg patrzył, jak jego brat bliźniak odchodzi. Nie ma sensu wdawać się w szczegóły. Faktem jest, że po chorobie Barry'ego Greg nigdy nie doszedł do siebie. Był tak przerażony, że po prostu... uciekł. Wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Greg był jedynym spadkobiercą matki, więc Simon utrzymywał z nim kontakt. Chłopak trzykrotnie się rozwodził i obecnie był zaręczony z dwudziestoosmioletnią tancerką, którą poznał w Reno.

– Straciłam go. Bo nie poświęciłam mu dość uwagi. Ale też dlatego, że...

Urwała.

– Dlaczego?

– Dlatego że nie mogłam uratować Barry'ego. I to była główna przyczyna, Simon. Mimo wszystkich problemów, mimo obaw Grega, że może i on jest gejem, mimo całej reszty, gdybym tylko zdołała ocalić Barry'ego, z Gregiem byłoby w porządku. – Przechyliła głowę. – Możesz jeszcze uratować Paige?

– Nie wiem.

– Ale jest szansa?

– Tak, chyba tak.

Genetyka. Paige studiowała genetykę.

– To ją uratuj, Simon.

Rozdział 22

Po drodze nie było żadnych znaków prowadzących do Niebios Prawdy, co nie powinno dziwić.

– Przy tej starej skrzynce pocztowej skręć w lewo – powiedziała Dee Dee.

„Stara” było łagodnym określeniem. Skrzynka pocztowa wyglądała, jakby za prezydentury Cartera przechodzący obok młodzi ludzie w trudnym wieku codziennie walili w nią kijami bejsbolowymi.

Dee Dee spojrzała na niego.

– No co?

– Czytałem o czymś jeszcze – zaczął Ash.

– O czym?

– Musicie uprawiać z nimi seks?

– Czyli z kim?

– Wiesz, kogo mam na myśli. Tę waszą prawdę, gościa czy jak tam nazywają się u was przywódcy.

Nie odpowiedziała.

– Czytałem, że was do tego zmuszają.

Odezwała się łagodnym tonem:

– Prawda do niczego nie zmusza.

– Czyli tak.

– Księga Rodzaju, dziewiętnaście, trzydzieści dwa – rzuciła.

– Co?

– Pamiętasz biblijną historię Lota?

– Serio?

– Pamiętasz czy nie?

To wyglądało mu na unik, ale odpowiedział:

– Mniej więcej.

– W rozdziale dziewiętnastym Księgi Rodzaju Bóg pozwala, żeby Lot, jego żona i dwie córki uszli przed zniszczeniem Sodomy i Gomory.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Ale żona Lota się odwraca, kiedy nie powinna.

– Właśnie. I wtedy Bóg zamienia ją w słup soli. Co już naprawdę jest popieprzone. Ale nie o to chodzi. Chodzi o córki Lota.

– Co z nimi?

– Gdy docierają do Soaru, skarżą się, że nie ma tam żadnych mężczyzn. I wymyślają plan. Pamiętasz jaki?

– Nie.

– Starsza siostra mówi do młodszej... cytuję z Księgi Rodzaju... *Chodź więc, upoimy ojca naszego winem i położymy się z nim, a tak będziemy miały potomstwo z ojca naszego*⁴.

Ash się nie odzywał.

– I tak zrobiły. No, kazirodztwo. I to, proszę, w Księdze Rodzaju. Dwie córki upijają ojca, uprawiają z nim seks i zachodzą w ciążę.

– Myślałem, że wasza Prawda nie ma nic wspólnego ze Starym ani z Nowym Testamentem.

– Bo nie ma.

– Więc dlaczego wykorzystujesz Lota jako wymówkę?

– Nie potrzebuję wymówki, Ash. Ani twojego pozwolenia. Potrzebuję tylko Prawdy.

Wciąż patrzył prosto przez przednią szybę.

– To brzmi jak: „Tak, spałam z nimi”.

– Lubisz seks, Ash?

– Pewnie.

– Więc gdybyś należał do grupy, w której musisz go uprawiać z wieloma kobietami, byłoby to dla ciebie jakimś problemem?

Nie odpowiedział.

Gdy wjechali w las, spod kół samochodu zaczął unosić się pył. Na drzewach wisiały tabliczki ostrzegające WJAZD WZBRONIONY! – całe mnóstwo, różnych kolorów, rozmiarów, nawet treści. Gdy zbliżyli się do bramy, Dee Dee opuściła szybę i wykonała dłonią skomplikowany gest, jak trener trzeciej bazy dający znak biegaczowi, żeby ukradł drugą.

Samochód powoli zatrzymał się przed bramą. Dziewczyna otworzyła drzwi. Kiedy Ash zrobił to samo, zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ramieniu i kręcąc głową.

– Zostań tutaj. Przez cały czas trzymaj ręce na kierownicy. Nie zdejmuj ich, choćby nie wiem co, nawet żeby podrapać się po nosie.

Z małej wartowni wyszli dwaj mężczyźni w szarych uniformach, które przypominały Ashowi kostiumy ze sztuki o wojnie secesyjnej. Obaj byli uzbrojeni w karabiny AR-15. Obaj mieli wielkie brody i patrzyli na niego niechętnie. Ash usiłował wyglądać niewinnie, jakby nie stanowił żadnego zagrożenia. Miał w zasięgu ręki dwa pistolety i pewnie strzelał lepiej niż ci pozerzy razem wzięci, ale nawet najlepszy snajper nie ma szans wobec dwóch AR-15.

Tego właśnie ludzie nie rozumieli.

Nie chodzi o talent ani umiejętności. Możesz być LeBronem Jamesem, ale jeśli masz sflaczałą piłkę, nie będziesz dryblował tak jak zawodnik z napompowaną.

Dee Dee podeszła do strażników i znowu wykonała jakiś gest, trochę jakby się przeżegnała, ale rysując trójkąt. Tamci odpowiedzieli tym samym.

A, rytuał, domyślił się Ash. Jak w każdej religii.

Dziewczyna rozmawiała ze strażnikami przez jakieś dwie minuty. Ci dwaj nie odrywali od Asha wzroku, co wymagało sporej samodyscypliny, jeśli wziąć pod uwagę urodę Dee Dee. Ash by nie wytrzymał i spojrzał na nią.

Może dlatego życie religijne nigdy do niego nie przemawiało.

Prawda. Co za kit.

Dee Dee wróciła.

– Zaparkuj po prawej.

– Dlaczego nie mogę po prostu zawrócić i odjechać?

– A co? Już nie chcesz mnie stąd zabrać?

Kiedy to usłyszał, serce podeszło mu do gardła, ale jej uśmiech w stylu „Tylko żartowałam” sprawił, że znowu się uspokoiło. Starał się nie okazać zawodu.

– Wróciłaś – powiedział. – Jesteś bezpieczna. Już nie jestem ci potrzebny.

– Poczekaj tylko, dobra? Muszę ustalić coś z radą.

– Co?

– Proszę cię, Ash. Poczekaj i już.

Jeden ze strażników podał jej złożone ciuchy. Szare. Jak ich. Wciągnęła je na ubranie, które miała na sobie. Drugi wręczył jej coś na głowę, co wyglądało jak te rzeczy noszone przez zakonnice. Również w szarym kolorze. Włożyła to i zawiązała jak czepek pod brodą.

Zawsze chodziła z podniesioną głową i ściągniętymi do tyłu ramionami, wcielenie pewności siebie. Teraz się pochyliła, opuściła wzrok i przybrała poddańczą postawę. Ta przemiana go przeraziła. I wkurzyła.

Dee Dee została tam, powiedział sobie. Tu jest Holly.

Patrzył, jak dziewczyna wchodzi za bramę. Lekko przechylił się w prawo, żeby śledzić ją wzrokiem, gdy podążała ścieżką. Wokół kręciły się inne kobiety, wszystkie w takich samych mysich uniformach. I żadnych mężczyzn. Może byli gdzie indziej.

Dwaj strażnicy zauważyli, że patrzy za Dee Dee, na ogrodzony teren. Nie podobało im się to. Stanęli więc przed jego samochodem, żeby zasłonić mu widok. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie uruchomić wozu, nie wcisnąć gazu i nie rozjechać drani. Zamiast tego postanowił zgasić silnik i wysiąść. To też wyraźnie nie przypadło im do gustu, ale zdaje się, że w ogóle nie darzyli go sympatią.

Przede wszystkim, gdy wysiadł z auta, uderzyła go panująca wokół cisza. Głucha, wręcz przenikliwa, ale w pozytywnym sensie. Zwykle zewsząd dochodziły jakieś dźwięki, nawet w najgłębszej części lasu, tu jednak nie było słyhać zupełnie nic. Ash przez chwilę się nie ruszał, nie chciał zakłócić tego stanu nawet przez zatrzaśnięcie drzwi samochodu. Stojąc, zamknął oczy i napawał się tą ciszą. Na chwilę mu uległ. A przynajmniej tak mu się wydawało. Urokowi tego miejsca. Mógłby całkowicie skapitulować wobec tej ciszy, tego spokoju. Nietrudno byłoby wyrzec się kontroli, konieczności główkowania, kombinowania. I tylko być.

Poddanie.

Tak, to było właściwe słowo. Gdyby tak pozwolić, żeby ktoś inny odwaliał ciężką umysłową robotę. A samemu robić swoje i żyć chwilą. Poddać się tej ciszy. Słyszeć bicie swojego serca w piersi.

Ale to nie było prawdziwe życie.

To był urlop, przerwa, kokon. Matrix, wirtualna rzeczywistość czy coś w tym rodzaju. Ale może, gdy dorastało się w podobnych warunkach jak on – albo Dee

Dee – takie kojące złudzenie wydaje się czymś lepszym od twardej rzeczywistości.

Lecz nie na dłuższą metę.

Wyjął papierosa.

– Tu nie wolno palić – odezwał się jeden ze strażników.

Ash zapalił.

– Powiedziałem...

– Ciii... Bo zakłócasz ciszę.

Jeden ze strażników zrobił krok do przodu, ale drugi wyciągnął rękę, żeby go zatrzymać. Ash, oparty o samochód, głęboko zaciągnął się dymem i demonstracyjnie go wydmuchnął. Pierwszy strażnik nie był zadowolony. Ash usłyszał trzaski walkie-talkie. Drugi strażnik pochylił się i szepnął coś do krótkofalówki.

Ash się skrzywił. Kto jeszcze używa czegoś takiego? Nie mają komórek?

Chwilę później drugi strażnik powiedział coś na ucho pierwszemu. Tamten krzywo się uśmiechnął.

– Hej, twardzielu! – zawołał.

Ash wypuścił z nosa kolejny obłok dymu.

– Masz iść do sanktuarium.

Ruszył w ich stronę.

– Na terenie Niebios Prawdy nie wolno palić.

Zamierzał zaprotestować, ale co by to dało? Rzucił więc peta na drogę i przydeptał. Drugi strażnik otworzył pilotem bramę. Ash potoczył wzrokiem po najbliższej okolicy – ogrodzenie, kamery monitoringu, pilot. Niezły sprzęt.

Skierował się ku wejściu, ale pierwszy strażnik zatrzymał go karabinem.

– Masz przy sobie broń, twardzielu?

– Mam.

– To mi ją oddaj.

– Nie mogę zatrzymać gnata?

Obaj strażnicy wycelowali w niego AR-15.

– Kabura po mojej prawej – rzucił Ash.

Pierwszy strażnik wyciągnął rękę, pomacał, ale niczego nie znalazł.

Ash westchnął.

– To twoja prawa, nie moja.

Pierwszy strażnik przesunął dłoń i wyjął spod jego pachy trzydziestkęósemkę.

– Ładna – zauważył.

– Włóż do schowka w tablicy rozdzielczej w moim wozie – polecił Ash.

– Że co?

– Nie wezmę jej do środka, ale zamierzam z nią odjechać. Wsadź ją do samochodu. Drzwi są otwarte.

Pierwszy strażnik się zjeżył, ale drugi kiwnięciem głowy dał mu znak, żeby posłuchał. Tamten wypełnił więc polecenie, a potem mocno, ostentacyjnie, zatrzasnął drzwi wozu.

– Masz jeszcze jakąś inną broń? – zapytał.

– Nie.

Drugi strażnik jednak go przeszukał. Potem pierwszy dał Ashowi znak ruchem głowy, że może wejść za bramę. Obaj stanęli po obu jego stronach: pierwszy z prawej, drugi z lewej.

Ash nie przejął się tym zbyt. Uznał, że Dee Dee pogadała z Prawdą, Ochotnikiem czy kimś innym i teraz chcą się z nim zobaczyć. Dziewczyna nie wyrażała się jasno, ale wszystko wskazywało na to, że zlecenia opłaca ktoś z Niebios Prawdy. Woląla jednak nie mówić o pieniądzach ani nie zdradzać żadnych nazwisk.

Komuś stąd zależało, żeby załatwić tych gości.

Ruszyli w górę po stoku wzgórza. Ash nie bardzo wiedział, co spodziewa się zobaczyć za bramą, ale na określenie tego miejsca nasuwało mu się słowo... „zwyczajny”. Między drzewami dostrzegł pomalowany na szaro budynek, w tym samym odcieniu co uniformy, może kilkupiętrowy. Stanowił prostopadłościenną funkcjonalną bryłę, równie charakterystyczną jak przydrożny sieciowy motel. Albo baraki wojskowe. A może – o tak! – jak więzienie.

Wszędzie ta szarość – nigdzie żadnych żywszych kolorów, wzorów, ciepła.

Pewnie o to właśnie chodziło. Żeby nic nie przyciągało uwagi, nie rozpraszało.

Wszędzie tu rządziła przyroda i oczywiście miało to swój urok. Panowały spokój, cisza, poczucie izolacji. Jeśli człowiek miał kłopoty, jeśli nie odnajdywał się w normalnym społeczeństwie, jeśli rozpaczliwie usiłował uciec przed współczesnością, zgiełkiem i ciągłą stymulacją, czy można by znaleźć lepszą

miejscówkę? Zresztą właśnie na tym korzystają sekty. Znajdź pozbawionych złudzeń wyrzutków. Podsuń im łatwe odpowiedzi. Odizoluj ich od świata. Uzależnij od siebie. Wprowadź kontrolę. Dopuść tylko jeden głos, taki, którego nie można kwestionować ani w niego wątpić.

Ulec czemuś takiemu.

Kilka trzypiętrowych szarych budynków otaczało podwórko, przez które poprowadzili go mężczyźni. Wszystkie okna i drzwi wychodziły na tę stronę, z pokoi nie było więc widać drzew. Na podwórku rosła trawa i stały drewniane ławki, także pomalowane na szaro. Wszystkie, jak okna, były zwrócone w stronę wielkiego pomnika na piedestale ze słowem *Prawda* wyrytym na wszystkich czterech bokach. Pomnik miał cztery i pół metra wysokości. Przedstawiał Caspera Vartage'a z podniesionymi rękami, jakby się modlił i jednocześnie obejmował swoich wyznawców. To właśnie widać było z każdego okna – patrzącą ci w twarz *Prawdę*.

Na podwórku znajdowało się jeszcze więcej kobiet, wszystkie w uniformach i tym dziwnym nakryciu głowy. Żadna się nie odzywała, nie wydawała jakiegokolwiek dźwięku, nie patrzyła na obcego wśród nich.

Zaczęło go to niepokoić.

Pierwszy strażnik otworzył kluczem jakieś drzwi i dał Ashowi znak, żeby za nie wszedł. Podłoga w środku była wyłożona wypolerowanymi klepkami z twardego drewna. Na jednej ze ścian wisiały trzy portrety. Tworzyły trójkąt. Na górze widniał wizerunek Caspera Vartage'a, niżej, po obu stronach, jego dwóch synów – nawet było widać podobieństwo rodzinne. Ochotnik i Gość, domyślił się Ash. W kącie stały składane krzesła. To tyle, jeśli chodzi o wystrój. Gdyby jedna ze ścian była wyłożona lustrami, można by wziąć to pomieszczenie za salę do ćwiczeń.

Obaj strażnicy stanęli przy drzwiach.

Ash był coraz bardziej zaniepokojony.

– Co się dzieje?

Żaden nie odpowiedział. Drugi wyszedł. Ash został sam z potężnie uzbrojonym strażnikiem, który się do niego uśmiechnął.

Złe przecucie narastało.

Ash próbował przygotować się psychicznie. Przypuśćmy (jak zresztą się domyślał), że to ktoś stąd go wynajął. Może ci, których zabił, byli dawnymi wyznawcami kultu, choć nic na to nie wskazywało. Na przykład Gorse – gej

i właściciel salonu tatuażu, mieszkający w New Jersey. Gano, żonaty, z dwójką dzieci, spod Bostonu. Ale mimo wszystko. Może w młodości głosili Prawdę i teraz z jakiegoś powodu należało ich uciszyć.

Albo był inny motyw. Ale to nie miało znaczenia.

Ważne, że Ash wykonał robotę. Dostał pieniądze. Wiedział, co z nimi zrobić, gdzie je przelać, żeby nikt nie trafił na ich trop. Otrzymał całą forszę: połowę przy przyjmowaniu zlecenia, połowę po wykonaniu go.

Ale być może przestał być potrzebny. Tego jeszcze Dee Dee nie wiedziała – bo po co chciałyby, żeby poczekał? Ten, kto go wynajął, porozumiewał się z nim za jej pośrednictwem. Może więc, gdy Ash ją przywiózł, udała się do Rady Prawdy. I Prawda albo jeden z doradców orzekł: „Nie, już go nie potrzebujemy”.

Przypuśćmy, że postanowili zatrzeć wszystkie ślady.

Ash był zawodowcem. Nikogo by nie sypnął. Za to między innymi brał pieniądze.

Tylko że przywódcy sekty mogli o tym nie wiedzieć.

I w normalnych okolicznościach okazaliby więcej zaufania, ale ponieważ Ash i Dee Dee się znali (łączyła ich nawet szczególna więź), Vartage i spółka poczuli się zagrożeni.

Najprostsze rozwiązanie? Przezorny ruch ze strony Vartage'a i jego synów?

Zlikwidować Asha. Zakopać go w lesie. Pozbyć się jego samochodu.

Gdyby to on był przywódcą sekty, tak właśnie by postąpił.

Po drugiej stronie pomieszczenia otworzyły się drzwi. Strażnik opuścił wzrok i weszła kobieta, w ocenie Asha niewiele po pięćdziesiątce. Była wysoka, postawna i w przeciwieństwie do wszystkich innych, które widział na tym terenie, miała uniesioną głowę, wypiętą pierś, wyprostowane ramiona. Nosiła taki sam uniform jak pozostali, ale z czerwonymi paskami na rękawach, jak w wojsku. Na szarym tle świeciły jak neon w ciemności.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytała go.

– Po prostu podwiozłem przyjaciółkę.

Spojrzała nad jego ramieniem na strażnika. Ten, jakby to wyczuł, uniósł głowę i uśmiechnął się lekko. Ta kobieta nie była Prawdą ani nie należała do tutejszej trójcy, ale najwyraźniej przewyższała go rangą.

Strażnik stanął na baczność.

– Jak cię informowałem, matko Adiono.

– Adiona?

Zwróciła się do Asha.

– Coś ci to mówi?

Kiwnął głową.

– Adiona była rzymską boginią.

– Właśnie.

Jako dziecko uwielbiał mitologię. Usiłował przypomnieć sobie szczegóły.

– Opiekowała się dziećmi powracającymi do domu, czy coś takiego.

Występowała w parze z jeszcze inną boginią.

– Abeoną – podsunęła. – Jestem zaskoczona, że to wiesz.

– Taaa, potrafię zaskakiwać. Więc wzięłaś imię z mitu?

– Zgadza się. – Uśmiechnęła się szeroko. – A wiesz dlaczego?

– Założę się, że mnie oświecisz.

– Bo wszyscy bogowie są mityczni. Staroskandynawscy, rzymscy, greccy, indiańscy, judeochrześcijańscy, pogańscy i tak dalej. Ludzie przez całe wieki kłaniali się im i składali ofiary, naśladowali ich. A było to tylko jedno wielkie kłamstwo. Smutne, nie sądzisz? I jakie żałosne. Być przez całe życie tak oszukiwanym.

– Może – odparł Ash.

– Może?

– Jeśli się nie zna niczego innego, to o co chodzi?

– Sam w to nie wierzysz, prawda?

Nie odpowiedział.

– Bogowie to oszustwo. Istnieje tylko Prawda. Wiesz, dlaczego każda religia w końcu upada? Bo nie jest prawdziwa. A w przeciwieństwie do tamtych mitów Prawda była zawsze.

Ash miał ochotę przewrócić oczami, ale się opanował.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Ash.

– Ash i jak dalej?

– Po prostu Ash.

– Skąd znasz Holly?

Milczał.

– A Dee Dee?

Nadal się nie odzywał.

– Przyjechałeś z nią, Ash. Przywiozłeś ją.

– Ta...

– Gdzie byliście we dwoje?

– Dlaczego nie spytasz jej?

– Już spytałam. Chcę sprawdzić, czy nie kłamie.

Ash stał bez ruchu. Matka Adiona zbliżyła się do niego. Uśmiechnęła się przewrotnie i zapytała:

– Wiesz, co Dee Dee robi w tej chwili?

– Nie.

– Jest na czworakach, naga. Za sobą ma jednego mężczyznę, a przed sobą drugiego.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Chciała go sprowokować. Ale nie zamierzał dać jej tej satysfakcji.

– No i co? Co ty na to, Ash?

– A trzeci?

– Słucham?

– No wiesz. Prawda, Ochotnik i Gość. Jeśli jeden bierze ją od przodu, drugi od tyłu, to co robi trzeci?

Nie przestawała się uśmiechać.

– Zostałeś wystawiony, Ash.

– To nie byłby pierwszy raz.

– Ona obdarza swoimi wdziękami wielu mężczyzn. A ciebie nie, Ash.

Skrzywił się.

– Naprawdę powiedziałaś na to „wdzięki”?

– To cię głęboko rani, wiem. Kochasz ją.

– Co za przenikliwość. Mogę już wrócić do samochodu?

– Gdzie byliście ty i ona?

– Nie powiem ci.

Ledwie zauważalnie skinęła głową. Ale to wystarczyło. Strażnik wystąpił do przodu. W ręce trzymał pałkę. To, co się potem stało, nastąpiło błyskawicznie. Ash zorientował się, że ta pałka to oścień albo jakiś paralizator. I poczuł, że dotknęła jego pleców.

Potem wszystkie inne wrażenia stłumiła fala bólu.

Upadł na twardą podłogę i miotał się na niej jak ryba na pokładzie. Przez całe ciało przebiegł prąd. Sparaliżował pracę mózgu. Poraził zakończenia nerwowe. Spowodował skurcz mięśni.

Z ust wydobyła mu się piana.

Nie mógł się poruszać. Nie mógł nawet myśleć.

W głosie kobiety zabrzmiała panika.

– Ja nie... na ile nastawiłeś?

– Na maksa.

– Poważnie? To go zabije.

– Więc dokończmy sprawę.

Ash zobaczył przed sobą koniec pałki. Chciał się ruszyć, musiał się ruszyć, ale prąd zablokował wszystkie sygnały dochodzące z mózgu do mięśni.

Kiedy pałka dotknęła go ponownie, tym razem w pierś, poczuł, że eksploduje mu serce.

A potem zapadł w ciemność.

Rozdział 23

Bez zmian.

Simon nie mógł już tego słuchać. Siedział przy łóżku Ingrid. Trzymał ją za rękę. Spoglądał na jej twarz, patrzył, jak oddycha. Zawsze spała na plecach, właśnie tak, więc w śpiączce wyglądała jak we śnie – co nie było wcale takie oczywiste. Bo można by się spodziewać, że w śpiączce ktoś będzie wyglądać inaczej, prawda? Jasne, wokół biegły te wszystkie rurki, urządzenia medyczne wydawały różne odgłosy, a Ingrid wkładała na noc jedwabne koszulki na ramiączkach, co bardzo mu się podobało. Uwielbiał zarys jej ciała, szerokie ramiona, wydatne obojczyki.

Bez zmian.

To był czyściec, nie piekło, ani tym bardziej niebo. Niektórzy twierdzili, że właśnie tam jest najgorzej – to zawieszenie, niepewność, niekończące się mordercze czekanie. Simon rozumiał, co mają na myśli, ale godził się na ten stan. Gdyby Ingrid choć trochę się pogorszyło, straciłby i to. Zdawał sobie sprawę, że jej życie wisi na włosku. Gdyby przyszła zła wiadomość, gdyby Ingrid jeszcze coś się stało...

Bez zmian.

Więc nie myśleć za dużo.

Dobra, mów sobie, że ona śpi. Wciąż wpatrywał się w jej twarz, kości policzkowe, tak wydatne, że pracujący w pobliżu chirurdzy mogliby użyć ich jako skalpeli, usta, które delikatnie ucałował, zanim usiadł, z nadzieją, że wywoła jakąś reakcję, bo nawet gdy Ingrid spała głęboko, odpowiadała instynktownie na jego pocałunki, choćby nieznacznie.

Ale teraz nie odpowiedziała.

Przypomniał sobie, kiedy ostatni raz przyglądał jej się pogrążonej we śnie: podczas podróży poślubnej na Antigue, kilka dni po tym, jak oficjalnie się ze

sobą związali. Simon obudził się przed wschodem słońca, Ingrid leżała obok niego na plecach, tak jak teraz, jak zawsze. Naturalnie miała zamknięte oczy, oddychała regularnie, a on tylko patrzył, nie mogąc uwierzyć, że tak będzie się budził już codziennie: przy boku tej wspaniałej kobiety, swojej życiowej partnerki.

Spoglądał tak na nią z dziesięć, piętnaście sekund, gdy ona, nie otwierając oczu ani się nie poruszając, powiedziała: „Przestań, bo aż ciarki mnie przechodzą”.

Uśmiechnął się na to wspomnienie, siedząc przy niej teraz i czując w ręce jej wciąż ciepłą dłoń. Tak, ciepłą. Żywą. Z wyczuwalnym tętnem. Ingrid nie sprawiała wrażenia chorej ani umierającej. Można by pomyśleć, że śpi i niebawem się obudzi.

I przede wszystkim zapyta o Paige.

On też miał do niej kilka pytań w związku z córką.

Po wyjściu od Sadie Lowenstein zadzwonił do Eleny i powiedział jej, że Paige interesowała się genetyką i genealogią. Elena zwykle nie wykladała kart na stół, ale to wyraźnie ją zaintrygowało. Zasypała go dodatkowymi pytaniami, z których na wiele nie potrafił odpowiedzieć.

Kiedy wreszcie skończyła, poprosiła o numer Eileen Vaughan. Simon dał go jej.

– O co chodzi? – chciał wiedzieć.

– Być może to nic ważnego. Ale Damien Gorse niedługo przed śmiercią także wchodził na jedną ze stron poświęconych testom DNA.

– Co to znaczy?

– Zanim odpowiem, muszę sprawdzić jeszcze parę rzeczy. Jedziesz do szpitala?

– Tak.

Elena zapowiedziała, że spotka się tam z nim, a potem się rozłączyła.

Wyglądało na to, że z dziećmi wszystko w porządku. Anya była u Suzy Fiske i Simon uważał, że w tej chwili tak jest dla niej najlepiej. Sam zaprzyjaźnił się wcześniej z kilkoma studentami medycyny, którzy robili specjalizację – zawsze był w tym dobry, szybko zawierał znajomości – i teraz przesiadywał u nich, przygotowując się do egzaminu z fizyki. Był nie tylko inteligentny, ale też sumienny. Simon, który nie przemęczał się jako student, nie mógł się nadziwić jego pracowitości: chłopak wstawał wcześniej rano, ćwiczył przed śniadaniem,

przygotowywał się do zajęć z dużym wyprzedzeniem. Dlatego Simon, w przeciwieństwie do większości ojców, czasami się zastanawiał, czy nie powinien go zachęcać, żeby trochę zwolnił i posmakował życia. Jego syn był na to zbyt zajęty.

Rzecz jasna nie teraz. W tych okolicznościach to nawet lepiej, że chłopak miał się czym zająć.

Bez zmian.

Czyli nie myśleć za dużo – choć w tej chwili Simon starał się nie myśleć nie tylko o stanie Ingrid.

Nie uważał się za faceta obdarzonego zbyt wybujałą wyobraźnią, ale gdy usłyszał o testach DNA, zaczęła go ponosić: skierowała na mroczną, niebezpieczną drogę, otoczoną drutem kolczastym i polem minowym, na którą nie chciał zejść. Wyglądało jednak na to, że nie ma wyboru.

Wciąż dźwięczały mu w uszach słowa Eileen Vaughan: „Problemy w domu”.

Do izolatki wślizgnęła się Yvonne.

– Cześć – powiedziała.

– Czy to możliwe, że Paige nie jest moim dzieckiem?

Łup. Tak po prostu.

– Co takiego?

– Słyszałaś moje pytanie.

Simon odwrócił się do niej. Yvonne była blada i drżała.

– Czy istnieje możliwość, że nie jestem biologicznym ojcem Paige?

– O mój Boże, nie.

– Muszę znać prawdę.

– Co się, do cholery, stało, Simon?

– Czy ona spała z kimś jeszcze?

– Ingrid?

– A kogo innego mógłbym mieć na myśli?

– Nie wiem. To jakieś bzdury.

– Więc nie istnieje taka możliwość.

– Nie.

Odwrócił się z powrotem w stronę żony.

– Simon, co się dzieje?

– Nie wiesz na pewno – oznajmił.

– Simon...

– Nikt nie wie.

– Nie, oczywiście, że nie. – W jej głosie pojawiła się nuta zniecierpliwienia. –

Nie wiem też na pewno, że ty nie masz dzieci z inną kobietą.

– Bardzo kocham Ingrid.

– Jestem tego świadoma. I ona kocha cię tak samo.

– Ale nie znam całej historii, prawda?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Owszem, Yvonne, rozumiesz.

– Skąd to przypuszczenie?

– Szukając Paige, trafiłem na pewien trop.

– I co? Sądzisz, że nie jesteś jej ojcem?

Simon zwrócił się ku niej.

– Znam cię, Yvonne.

– Tak ci się wydaje?

– Owszem.

Nie odezwała się. Simon spojrzał na Ingrid.

– Kocham ją. Kocham całym sercem. Ale nie wiem o niej wszystkiego.

Wciąż milczała.

– Czego ode mnie oczekujesz? – spytała po chwili. – Ingrid jest tajemnicza. Facetów bardzo to kręci. I bądźmy szczerzy. Między innymi to właśnie ci się w niej spodobało.

Skinął głową.

– Na początku tak było rzeczywiście.

– Bardzo ją kochasz.

– Tak.

– A mimo to się zastanawiasz, czy cię nie zdradziła, i to w najbardziej bolesny sposób?

– A tak było czy nie?

– Nie.

– Ale coś w tym jest...

– To nie ma nic wspólnego z Paige...

– A z czym?

– ...ani z tym, że została ranna.

– Są więc jakieś sekrety?

– Tak, z przeszłości. – Yvonne uniosła ręce bardziej sfrustrowana niż zmieszana. – Każdy je ma.

– Ja nie. Ty też.

– Przestań.

– Z jakiej przeszłości?

– Przeszłość to przeszłość, Simon. – Traciła już cierpliwość. – I tyle. Ingrid nie urodziła się w chwili, gdy ją poznałeś... wcześniej się uczyła, podróżowała, pracowała, była w różnych związkach.

– Chodzi ci o coś innego. Coś wykraczającego poza normę.

Pokręciła głową ze zmarszczonym czołem.

– Ode mnie się tego nie dowiesz.

– Za późno, Yvonne.

– Nie, wcale nie. Musisz mi zaufać.

– Ufam ci.

– No, i dobrze. Ale to dotyczy zamierzonych czasów.

Simon nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

– Cokolwiek się tu dzieje... cokolwiek sprawiło, że Paige się zmieniła i wszystko zaczęło się walić... to musiało mieć początek dawno temu.

– Jak to?

– Nie wiem.

Yvonne podeszła bliżej łóżka.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, Simon.

– Zgoda.

– Najlepszy scenariusz: Ingrid z tego wychodzi. Odnajdujesz Paige. Nic jej nie jest. Kończy z narkotykami i jest czysta. Zamyka ten potworny rozdział.

– Hm...

– A potem postanawia ruszyć do przodu. Zacząć od nowa. Poznaje faceta. Świetnego faceta. Który stawia ją na piedestale, kocha tak, że to przekracza granice jej wyobraźni. Zakładają rodzinę i ona nie chce, aby ten wspaniały mężczyzna wiedział, że kiedyś była ćpunką albo i gorzej, mieszkała w jakiejś norze, robiąc nie wiadomo co z nie wiadomo kim, aby tylko zdobyć działkę.

– Mówisz serio?

– Tak. Paige kocha tego faceta. I bardzo się boi, że to światło w jego oczach zgaśnie. Nie rozumiesz tego?

Z ust Simona, gdy wreszcie się odezwał, wydobył się zaledwie szept:

– Mój Boże, co Ingrid przede mną ukrywa?
– Nieważne...
– Ważne, i to jak cholera.
– ...tak jak nieważna byłaby narkotykowa przeszłość Paige.
– Yvonne?
– Tak?
– Naprawdę sądzisz, że jeśli poznam ten sekret, moje uczucia do Ingrid się zmienią?

– Nie odpowiedziała.

– Bo gdyby tak miało być, nasza miłość byłaby słaba.

– Nie jest.

– Ale?

– Nie patrzyłbyś na Ingrid tak jak dawniej.

– To światło by przygasło?

– Tak.

– Mylisz się. Kochałbym ją tak samo.

Yvonne powoli kiwnęła głową.

– Wierzę.

– Więc?

– Jej przeszłość nie ma z tym nic wspólnego. – Podniosła dłoń, żeby uciszyć jego protest. – Zresztą cokolwiek byś powiedział, złożyłam obietnicę. Ode mnie się nie dowiesz. Daj sobie spokój.

Simon nie miał takiego zamiaru – musiał poznać prawdę – ale poczuł, że dłoń Ingrid zaciska się na jego rękę. Serce zabiło mu mocniej. Odwrócił się szybko w stronę żony z nadzieją, że zobaczy, jak otwiera oczy, a może nawet się uśmiecha. Jednak jej ciało drgnęło, zeszywniało, a potem doznało konwulsji. Powieki się uchyliły, ale tylko na chwilę, tak że ujrzał pod nimi białka.

Urządzenia zaczęły wariować, wydając różne dźwięki. Rozległ się alarm.

Ktoś wbiegł do pokoju. Za nim następna osoba. Jeszcze inna odsunęła Simona na bok. Do izolatki wpadali kolejni ludzie i otaczali łóżko Ingrid. Zapanował ruch. Padały gorączkowe polecenia, wypowiedane w żargonie medycznym nagłym tonem, który graniczył z paniką, gdy szósta osoba delikatnie, ale stanowczo wyprowadziła ich oboje na korytarz.

• • •

Ingrid została przewieziona na salę operacyjną.

Nikt nie mógł Simonowi powiedzieć nic konkretnego. Nastąpiły „komplikacje”, jak poinformowała go jedna z pielęgniarek, dodając sakramentalne: „Lekarz przyjdzie do pana, kiedy tylko będzie mógł”.

Miał mnóstwo pytań, ale nie chciał nikomu przeszkadzać w pracy. „Ingrid jest pod opieką – mówił sobie. – Zajmują się nią. Potem mnie zawiadomią”.

Nerwowo krążył po poczekalni. Zaczął obgryzać paznokiec palca wskazującego. Był to nawyk z młodości, z którym skończył na dobre na ostatnim roku studiów. A przynajmniej tak sądził. Chodził z kąta w kąt, ale w każdym się zatrzymywał i na sekundę albo dwie opierał się plecami o ścianę, bo najchętniej osunąłby się na podłogę i zwyczajnie na niej skulił.

Rozejrzał się za Yvonne. Miał nadzieję, że wyciągnie z niej informacje o przeszłości Ingrid, lecz szwagierka nagle zniknęła. Co się z nią stało? Unikała go czy po prostu była potrzebna w pracy, zwłaszcza że nie mogła liczyć na kolegę? Zresztą powiedziała coś takiego, że powinna wrócić do firmy, że dobrze by było ustalić dyżury, bo „to jeszcze potrwa” i nie muszą oboje być tu jednocześnie.

Simon był zirytowany i zły na Yvonne, ale doceniał, że chce dotrzymać obietnicy, którą złożyła siostrze. To było z jej strony słuszne, a nawet szlachetne. On sam był z Ingrid prawie ćwierć wieku, poznali się trzy lata przed przyjściem na świat Paige. Jak to możliwe, że coś, co wydarzyło się wcześniej, choćby nie wiadomo jak dziwne, złe czy po prostu wstydlive, miało wpływ na to, co działo się teraz?

Nie widział w tym sensu.

– Simon?

Nagle wyrosła przy nim Elena Ramirez. Zapytała o stan Ingrid. Wyjaśnił, że jego żonę właśnie zabrano na salę operacyjną, i od razu poprosił kobietę, żeby zrelacjonowała mu, czego się dowiedziała.

Przeszli w jeden z tych kątów, w których się zatrzymywał, najdalszy od wejścia i panującego wokół ruchu.

– Jeszcze nie poskładałam tego wszystkiego do kupy – wyznała Elena szeptem.

– Ale?

Zawahała się.

– Trafiłaś na jakiś ślad, prawda?

– Tak. Wciąż jednak nie wiem, jaki to ma związek z wami. I z waszą córką.

– Mów.

– Zaczniemy od Paige i tego klubu zajmującego się genealogią.

– Dobra.

– Wiemy, że Damien Gorse wchodził na stronę poświęconą badaniom genetycznym DNAYourStory. – Rozejrzała się wokół, jakby z obawy, że ktoś ich podsłuchuje. – Więc poprosiłam swojego klienta, żeby sprawdził na wyciągu, czy jego syn też opłacił wpisowe.

– I?

– Rzeczywiście, z karty na to konto ściągnięto pieniądze. Okazało się jednak, że Henry Thorpe zarejestrował się na kilku stronach poświęconych genealogii.

– Zastanawiające.

– Właśnie.

– Muszę więc sprawdzić konta kart kredytowych Paige – powiedział. – Zobaczymy, czy i ona się na nich rejestrowała.

– Dobrze.

– A Aaron? Korzystał z takiej strony?

– Tego się nie dowiemy, chyba że uzyskamy dostęp do jego karty kredytowej. Mógłbyś zwrócić się w tej sprawie do jego macochy?

– Mógłbym, ale wątpię, żeby pomogła.

– Warto spróbować – orzekła Elena. – Przypuśćmy jednak, że oni wszyscy wysłali próbki swojego DNA do tych laboratoriów i uzyskali wyniki testów. Wiesz, na czym takie badania polegają?

– Nie bardzo.

– Spluwasz do próbek, a oni analizują twoje DNA. Różne strony świadczą różne usługi. Niektóre twierdzą, że ich badanie DNA pozwala określić, jakie w przyszłości grożą ci choroby... czy możesz zapaść na alzheimera albo parkinsona. Takie rzeczy.

– I to jest wiarygodne?

– Metoda naukowa budzi wątpliwości, ale dla nas to nieistotne. Przynajmniej tak mi się wydaje. Chodzi o to, co w pakiecie oferują takie strony, jeśli wczytasz się w regulamin. Na podstawie badań DNA możesz poznać swoje pochodzenie... Przykładowo: dowiedzieć się, że w piętnastu procentach jesteś Włochem, a w dwudziestu dwóch Hiszpanem. I dzięki temu ustalić historię migracji swojej

rodziny, to, skąd twój przodek się wywodzi i gdzie się osiedlił. Niesamowite.

– Tak, to może być ciekawe, ale co ma wspólnego z naszą sprawą?

– Chyba nic.

– A te testy – podjął Simon. – Pozwalają także uzyskać informacje o rodzicach, prawda?

– Tak, i o innych krewnych. Sądzę, że właśnie z tego powodu Henry Thorpe i Damien Gorse byli nimi zainteresowani.

– Bo obaj zostali adoptowani – odpowiedział Simon.

– I nie wiedzieli nic o swoich rodzicach biologicznych. To jest kluczowe. Osoby adoptowane często korzystają z tego rodzaju usług, bo chcą odnaleźć matkę i ojca, dowiedzieć się, czy mają rodzeństwo albo w ogóle jakichś krewnych.

Simon potarł twarz.

– Aaron Corval też mógł zrobić coś takiego. Aby zdobyć informacje o swojej matce.

– Tak. Albo uzyskać dowód, że stary Corval nie jest jego ojcem.

– Sądzisz, że Aaron też był adoptowany?

– Nie wiem jeszcze, ale to możliwe. Problem polega na tym, że strony oferujące testy DNA budzą kontrowersje. Takim badaniom poddają się miliony ludzi, może nawet dziesiątki milionów. W zeszłym roku zrobiło to ponad dwanaście milionów.

Simon pokiwał głową.

– Osobiście znam wielu takich, którzy wysłali próbki.

– Ja też. Jednak każdy naturalnie obawia się wysłać swoje DNA jakiejś firmie internetowej. Dlatego te strony mają bardzo surowe zasady dotyczące bezpieczeństwa i prywatności. Sama się o tym przekonałam. Próbowalam wykorzystać wszystkie swoje kontakty. DNAYourStory nie chce udzielić żadnej informacji bez nakazu... i zapowiedzieli, że z każdym wystąpią do Sądu Najwyższego.

– A te wspólne poszlaki, które znalazłaś...

– Są co najmniej wątpliwe. Dwa poza tym niezwiązane ze sobą zabójstwa... inne metody, inne stany, inna broń... i zniknięcie kogoś z Chicago łączy tylko kilka wiadomości e-mailowych. To dla sądu za mało.

Simon usiłował przetrwać to, co powiedziała Elena.

– Więc według ciebie Aaron, twój klient i ten Gorse... wszyscy trzech... mogą być ze sobą spokrewnieni?

– Nie wiem. Niewykluczone.

– Dwóch z nich zostało zamordowanych – ciągnął. – A trzeci... twój klient... zaginął.

– Właśnie.

– To nasuwa oczywiste pytanie.

Elena pokiwała głową.

– Paige – powiedziała.

– Właśnie. Jaką rolę w twojej teorii odgrywa moja córka?

– Dużo się nad tym zastanawiałam.

– I?

– Były takie przypadki, że test DNA pomagał rozwikłać zbrodnię. Więc możliwe, że Paige... nie pytaj mnie jak... zetknęła się z jakimś przestępstwem.

– Jakim?

Elena wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Ale po co miałyby szukać Aarona Corvala?

– Nie wiemy, czy tak było. Wiemy tylko, że pojechała do Connecticut.

Simon przyznał jej rację.

– Rzeczywiście, może to Aaron Corval ją odnalazł.

– Problem w tym, że trudno rozpracować te powiązania. Mój technik, Lou, właśnie się tym zajmuje. Podejrzewa, że Henry korzystał z kodowanych komunikatorów, takich jak WhatsApp czy Viber, więc mamy ograniczone możliwości. Ale jeśli wysyłał i odbierał wiadomości za pośrednictwem tej strony genealogicznej... one mają własne systemy komunikacyjne... to taki sposób korespondencji, tylko wygląda na komunikator.

Simon spojrział na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Cóż, mnie też nic to nie mówi – przyznała Elena, machając ręką. – W każdym razie Lou szuka nazwisk. Zleciłam też swoim ludziom, żeby prześwietlili Aarona Corvala, żeby dotarli do jego świadectwa urodzenia, czegokolwiek... bo może wtedy znajdziemy jakiś punkt zaczepienia. Co przypomina mi o zasadniczej sprawie.

Elena przerwała i odetchnęła głęboko.

– Znalazłam jeszcze jedno powiązanie. – W jej głosie brzmiała jakaś dziwna nuta.

– Między nimi wszystkimi?

– Nie. Między Henrym Thorpe'em a Damienem Gorse'em.

– Jakie?

– Obaj zostali adoptowani.

– To już wiemy.

– Zostali adoptowani za pośrednictwem tej samej agencji.

Oho.

– Ta agencja nazywa się Hope Faith.

– Gdzie się znajduje?

– W Maine. W miasteczku Windham.

– Nie rozumiem. Twój klient jest z Chicago. Damien Gorse mieszkał w New Jersey. I obaj pochodzą z Maine?

– Na to wygląda.

Simon pokręcił głową ze zdumieniem.

– Więc co robimy dalej?

– Ty zostajesz z żoną – odparła. – A ja lecę do Maine.

Rozdział 24

Gdy ostatnim razem Elena lądowała na lotnisku Portland International w Maine, podróżowała z Joelem. Lecieli na ślub jego siostrzenicy i jednocześnie chrześnicy, „tematyczne” wesele odbywało się w ośrodku biwakowym o indiańskiej nazwie Camp Manu-coś-tam-coś-tam – już nie pamiętała – i bynajmniej nie cieszyła się na nie.

Przede wszystkim miała tam być też poprzednia żona Joela, Marlene, zgrabna i efektowna. Elena wiedziała, że będzie obrzucana dziwnymi spojrzeniami przez rodzinę, która nie mogła pojąć, co taki wysoki, przystojny, charyzmatyczny facet jak Joel widzi w niskiej, przysadzistej i wyraźnie pozbawionej wdzięku babie, jaką była.

Sama zresztą także tego nie rozumiała.

– Będzie fajnie – zapewniał ją Joel.

– Raczej do dupy.

– Dostaniemy własną chatę nad wodą.

– Naprawdę?

– No dobra, może nie własną – przyznał. – I nie nad wodą. A do tego z piętrowymi łózkami.

– Rany, brzmi super.

Nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach takie wesele nie mogło przypaść jej do gustu. Elena nie lubiła biwaków ani w ogóle przyrody, owadów, pajaków, nie cierpiała kajakarstwa ani żadnej innej atrakcji z wymienionych na zaproszeniu ślubnym Jacka i Nancy. Był początek czerwca. Obozy letnie w Maine udostępniały bazę wypoczynkową osobom prywatnym i organizatorom różnych imprez, żeby zarobić przed końcem roku szkolnego, kiedy na wakacje miały zjechać się dzieci.

Jednak, ku jej zaskoczeniu, weekend okazał się naprawdę przyjemny. Drużyna Eleny wygrała tak zwane barwne wojny i jej doświadczenie zawodowe okazało się bardzo przydatne podczas całodniowej walki o flagę. Wieczorami Joel zgarniał ze stołu butelkę wina i dwa kieliszki – i to wspomnienie wciąż do niej wracało, wręcz ją prześladowało. Zawijał je w dodatkowy śpiwór. Kiedy światła gasły i jak na prawdziwym obozie odtrąbiano ciszę nocną, Joel zeskakiwał z górnej pryczy, brał Elenę za rękę i prowadził na boisko piłkarskie, gdzie kochali się pod granatowym rozgwieżdżonym niebem Maine.

Dlaczego seks z nim był taki świetny?

Dlatego, że Joel potrafił dotrzeć do takiego miejsca w jej ciele i duszy, do jakiego nie docierał nikt inny? Analizowała to tysiące razy i doszła do wniosku, że dobry seks polega na zaufaniu i otwarciu się. A Elena miała do Joela całkowite zaufanie. Mogła się przed nim odsłonić. Nigdy nie było między nimi żadnego oceniania, niepewności, zwątpienia. Ona chciała sprawić przyjemność jemu, a on jej, a oboje kierowali się w tym względzie egoizmem. Nigdy żadnemu z nich nie chodziło o nic innego.

Nieczęsto tak się w życiu zdarza. Może raz albo dwa. A bywa, że nigdy.

Chociaż pełni dobrej woli przyjaciele twierdzili inaczej, Elena wiedziała, że drugi raz czegoś takiego nie przeżyje. Nie było nawet sensu próbować. Chodziła więc na randki – nie to, żeby miała dużo propozycji – i nie myślała o nowym związku. Nie była męczennicą ani ofiarą, nic w tym rodzaju. Po prostu czuła, że wraz ze śmiercią Joela umarła też jakaś jej część. I miała świadomość, że nie znajdzie nigdzie nikogo, komu mogłaby tak zaufać, żeby się przed nim otworzyć. To był fakt, może i smutny, ale jak wciąż słyszała w tej żalostnej rzeczywistości, fakty nie liczą się z niczymi uczuciami. Było cudownie, ale się skończyło – i już.

Okna jej pokoju w pobliskim Howard Johnson's wychodziły nie na jedną, ale na dwie stacje benzynowe i sieciowy sklep spożywczy. Wybrała ten hotel, a nie któryś z elegantszych – może powinna wziąć to słowo w cudzysłów? – jak Embassy Suites czy Comfort Inn, wyłącznie pod wpływem nostalgii. Pochodziła z Teksasu i kiedy była mała, rodzina przy większych okazjach wybierała się na obiad i lody do Howard Johnson's Motor Lodge, z jaskrawym pomarańczowym dachem i kopułą zwieńczoną wiatrowskazem. Elena i jej ojciec zawsze, za każdym razem, zamawiali panierowane owoce morza i teraz, gdy rozmyślała więcej niż zwykle, miała ochotę to sobie przypomnieć.

Kiedy zapytała w recepcji o restaurację, recepcjonistka spojrzała na nią, jakby Elena mówiła w suahili.

– Nie mamy restauracji.

– Howard Johnson’s bez restauracji?

– Tak. Niedaleko jest Portland Pie Company. A dwa i pół kilometra stąd przy drodze stoi Dock’s Seafood.

Elena odeszła od kontuaru i na miejscu, w pospolitym lobby, szybko sprawdziła coś w internecie. Jak mogła nie zauważyć, że z biegiem lat restauracje zniknęły z hoteli tej sieci? W 2005 roku było ich już tylko pięć, a obecnie działała zaledwie jedna, w Lake George, w stanie Nowy Jork. Sprawdziła nawet, ile czasu zajęłaby jej jazda do Lake George – prawie pięć godzin.

Za daleko. A recenzje były kiepskie.

Udała się więc do jednego z barów *à la* browar i pijąc za dużo, oglądała mecz. Myślała o dwóch najważniejszych mężczyznach w swoim życiu: ojcu i Joelu. Obu straciła przedwcześnie. Uberem wróciła do hotelu (brak pomarańczowego dachu i zniknięcie wiatrowskazu powinny jej uzmysłować, że czasy się zmieniły) i położyła się spać.

Rano włożyła granatowy żakiet i dzinsy, po czym sprawdziła, jak dostać się do Hope Faith w Windham. Pół godziny jazdy, po drodze żadnych korków. Współpracownicy załatwili jej pełnomocnictwo zarówno od rodziny Henry’ego Thorpe’a, jak i niedawno zamordowanego Damiena Gorse’a.

Możliwe, że to wszystko było na wyrost.

Agencja adopcyjna Hope Faith mieściła się w małym kompleksie biurowym za restauracją Applebee’s przy Roosevelt Trail. Właściciel, mężczyzna z szopą siwych włosów, niejaki Maish Isaacson, przywitał ją nerwowym uśmiechem i uściskiem dłoni typu martwa ryba. Miał stylowe okulary w szylkretowej oprawce i zmierzwioną brodę.

– Nie bardzo wiem, jak mogę pomóc – powiedział po raz trzeci.

Na czole zebrały mu się kropelki potu. Kiedy siadali do rozmowy, wręczyła mu pełnomocnictwa. Isaacson przeczytał je uważnie, a potem zapytał:

– Kiedy dokonano tych adopcji?

– Henry’ego Thorpe’a dwadzieścia cztery lata temu. Damiena Gorse’a ze trzydzieści.

– Więc powtarzam: nie wiem, jak mogę pomóc.

- Chciałabym zobaczyć wszystkie dokumenty dotyczące tych spraw.
- Sprzed tylu lat?
- Tak.

Isaacson złożył dłonie.

- Pani Ramirez, zdaje pani sobie sprawę, że to były zamknięte adopcje?
- Owszem.

- Więc nawet gdybym miał o nich jakieś informacje, nie wolno mi ich ujawnić.

Lizząc wymanikiowany palec, znalazł w szafie jakąś kartkę, wyjął ją i podsunął Elenie.

- Mimo że prawo jest obecnie nieco bardziej liberalne... w kwestii praw adoptowanych i tak dalej... wciąż obowiązuje nas pewien tryb postępowania.

Elena spojrzała na papier.

- Najpierw musi pani się udać do urzędu hrabstwa... skieruję panią... i wystąpić z wnioskiem do sądu. Sąd po rozpatrzeniu sprawy wyznaczy datę spotkania z sędzią...

- Nie mam na to czasu.

- Nic nie poradzę, pani Ramirez.

- Rodziny załatwiały adopcje tutaj. W tym biurze. Korzystały z państwa usług i życzą sobie, żeby udostępniono mi wszystkie dokumenty.

Opuszczając wzrok, podrapał się po głowie.

- Z całym szacunkiem, ale rodziny nie mają w tej kwestii nic do powiedzenia. Obaj adoptowani są pełnoletni, więc to oni powinni zwrócić się do sądu albo do naszej agencji. Pan Gorse niedawno stracił życie, jeśli dobrze rozumiem. Mam rację?

- Tak, został zamordowany.

- O Boże, to straszne.

- Właśnie dlatego tu jestem.

- Bardzo mi przykro z powodu tej tragedii, ale oznacza to chyba, że trzeba wstąpić na inną drogę prawną. Nie znam przypadku, żeby adoptowany zmarł...

- Padł ofiarą zabójstwa.

- ...i jedno z jego rodziców adopcyjnych... matka, jak wynika z tego pisma... chciało uzyskać informację o rodzicach biologicznych. Nie jestem pewny, czy w ogóle ma do tego jakieś podstawy. Co do Henry'ego Thorpe'a... On żyje, zgadza się?

– Zaginął w podejrzanych okolicznościach.

– Mimo to – obstawał przy swoim Isaacson – nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek... rodzic, opiekun, wszystko jedno... mógł występować w jego imieniu.

– Obaj zostali adoptowani tutaj, panie Isaacson.

– Mam tego pełną świadomość.

– Obaj mężczyźni... w dzieciństwie adoptowani za pośrednictwem pańskiej agencji... ostatnio kontaktowali się ze sobą. Tego też jest pan świadom?

Isaacson milczał.

– A teraz jeden z nich nie żyje, a drugi zaginął, jak powiedziałam, w podejrzanych okolicznościach.

– Będę musiał prosić panią o wyjście.

– Bardzo proszę. – Skrzyżowała ręce na piersi. I nie ruszyła się z miejsca. Tylko na niego patrzyła.

– Mam związane ręce – spróbował znowu. – Chętnie bym pomógł.

– Czy to pan zajmował się tymi adopcjami?

– W ciągu tylu lat przeprowadziliśmy ich wiele...

– A czy mówi panu coś nazwisko Aaron Corval? Może pamięta pan jego ojca, Wileya? Prowadzi z rodziną farmę i gospodę w Connecticut.

Milczał. Ale wiedział, o kogo chodzi.

– Czy pan Corval był waszym klientem? – pytała dalej.

– Nie mogę powiedzieć.

– On także nie żyje. To znaczy Aaron Corval.

Jeśli już był blady, to zbladł jeszcze bardziej.

– Czy został adoptowany tutaj?

– Nie mogę powiedzieć – powtórzył.

– To proszę sprawdzić w dokumentach.

– Muszę prosić, żeby pani wyszła.

– Nie mam takiego zamiaru. Pracował pan tutaj... gdy dokonano tych adopcji.

– To ja założyłem tę agencję.

– Tak, wiem. To piękna historyjka o tym, jak z powodu własnych problemów chciał pan pomagać dzieciom i znajdować dla nich kochające rodziny. Słyszałam o tym. Wiem o panu wszystko. Sprawia pan wrażenie porządnego

faceta, faceta, który ma najlepsze intencje, ale jeśli w pańskich papierach adopcyjnych coś jest nie tak...

– To niemożliwe.

– ...dowiem się o tym. Przekopię się przez wszystkie dokumenty i jeżeli trafię na choć jedną nieprawidłowość, nie zawaham się z tego skorzystać. Niech pan na mnie popatrzy, panie Isaacson.

Podniósł wzrok i spróbował spojrzeć jej w oczy.

– Coś pan wie.

– Nie, nic.

– O tak.

– Każda adopcja została przeprowadzona zgodnie z prawem. Jeśli któryś z moich pracowników dopuścił się jakiegoś nadużycia...

No, wreszcie. Elena pochyliła się do przodu.

– Gdyby tak się stało, panie Isaacson, służę panu. Jestem tu, żeby pomóc. Proszę mi pokazać akta. Pańskie akta. Nie dokumenty prawne. Wytropię to nadużycie i wszystko naprawimy.

Milczał.

– Panie Isaacson?

– Nie mogę pokazać pani akt.

– Dlaczego?

– Bo ich nie ma.

Czekała.

– Pięć lat temu wybuchł pożar. Wszystkie nasze papiery spłonęły. Nie była to żadna wielka strata. Wszelkie ważne dokumenty spoczywają w urzędzie hrabstwa, jak powiedziałem. Więc nawet gdybym chciał któryś z nich pani pokazać... czego mi nie wolno... to znajduje się on w archiwum urzędu. Tam musi się pani udać.

Popatrzyła na niego.

– Coś pan przede mną zataja, panie Isaacson.

– Nic bezprawnego tu nie zaszło.

– W porządku.

– Zawsze mieliśmy na względzie dobro dzieci. To dla mnie najważniejsze. Dobro dziecka.

– Na pewno. Ale teraz te dzieci są brane na cel i mordowane.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z nami.

– Może nie ma. – Nie przypomniała mu, że te zdarzenia łączy właśnie agencja adopcyjna Hope Faith. – Ale nie będę owijać w bawełnę. Czy w ogóle pamięta pan te sprawy?

– I tak, i nie.

– Co to ma znaczyć?

– Te przypadki wymagały nieco więcej dyskrecji.

– Jak to?

– Chodziło o niezamężne matki.

– Czy nie to było zawsze główną przyczyną oddawania dzieci do adopcji? Że matki były niezamężne?

– Owszem – potwierdził trochę za wolno. Pogładził się po brodzie. – Ale te dziewczyny pochodziły z bardzo ortodoksyjnego odłamu chrześcijaństwa.

– Odłamu?

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że także... nie lubiły mężczyzn.

– W jakim sensie?

– Nie mam pojęcia. Naprawdę. Nie poznałem nawet ich nazwisk.

– Jest pan tu szefem.

– Zgadza się.

– Więc podpisywał pan dokumenty.

– Tak. I tylko wtedy widziałem nazwiska matek. Ale żadnego nie pamiętam. Pamiętał. Jasne, że tak.

– A co z nazwiskami ojców?

– Zawsze widniały jako nieznane.

Tak szarpał za brodę, że w dłoni zostawały mu włosy.

– Wspomniał pan o jakimś pracowniku – zaczęła od nowa.

– Słucham?

– Powiedział pan: „Jeśli któryś z naszych pracowników dopuścił się nadużycia...”. – Elena starała się spojrzeć mu w oczy, ale unikał jej wzroku. – Czy ktoś prowadził te sprawy?

Poruszył głową. To mogło być kiwnięcie. Choć nie miała pewności, postanowiła uznać, że tak.

– Kto?

– Nazywa się Alison Mayflower – wyrzucił z siebie.

– Była tu zatrudniona?

– Tak. – Po namyśle dodał: – W pewnym sensie.

– I to ona, ta Alison Mayflower, zainicjowała te adopcje?

Odpowiedział cicho, z roztargnieniem:

– Alison zwróciła się do mnie w wielkiej tajemnicy. Powiedziała, że są dzieci w potrzebie. Zaoferowałem jej pomoc i przyjęła ją pod pewnymi warunkami.

– Jakimi?

– Przede wszystkim nie mogłem wnikać w szczegóły. Nie wolno mi było o nic pytać.

Elena nie naciskała, potrzebowała chwili na refleksję. Kiedy pracowała w FBI, jej zespół nakrył kilka na pozór niewinnych Kościołów i ośrodków na przeprowadzaniu nielegalnych adopcji. Czasami zapotrzebowanie na białe dzieci było tak duże, że przeważała rzeczywistość makroekonomiczna – zasada podaży i popytu – i wyznaczano za nie wyższą cenę. Kiedy indziej jedno z ewentualnych rodziców adopcyjnych miało taką przeszłość, że adopcja legalna byłaby trudna. Czyli znowu pieniądze przechodziły z rąk do rąk.

Niejednokrotnie duże pieniądze.

Elena musiała postępować z wyczuciem. Nie przyjechała tu, żeby przyskrzynić Isaacsona za sprzedaż dzieci czy cokolwiek, czym zajmował się przed dwudziestoma czy trzydziestoma laty. Potrzebowała informacji.

Jakby czytając jej w myślach, powiedział znowu:

– Naprawdę nie wiem nic, co mogłoby się pani przydać.

– A ta Alison Mayflower... Czy ona by wiedziała?

Isaacson powoli skinął głową.

– Gdzie mogę ją znaleźć?

– Nie pracuje dla mnie już od dwudziestu lat. Wyjechała.

– Dokąd?

Wzruszył ramionami.

– Nie widuję jej od dłuższego czasu. Straciłem z nią kontakt.

– „Nie widuję”?

– Słucham?

– Powiedział pan: „Nie widuję”, zamiast: „Nie widziałem”.

– Tak, rzeczywiście. – Przesunął palcami we włosach i wziął głęboki oddech.

– Chyba wróciła. Zobaczyłem ją w knajpce w Portlandzie, najwyraźniej była tam zatrudniona. To jeden z tych dziwnych wegańskich barów. Ale na mój widok... –

Urwał.

Elena go ponagliła.

– Na pana widok...?

– Zniknęła na zapleczu. Poszedłem za nią, żeby się przywitać, ale nie zdążyłem... – Wzruszył ramionami. – Zresztą to wcale nie musiała być Alison. Wyglądała inaczej... kiedyś miała długie włosy, czarne jak noc. A tamta kobieta krótkie, zupełnie białe, więc... – Zastanowił się jeszcze. – Nie, to nie była ona. Na pewno nie.

– Panie Isaacson?

Podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Gdzie jest ta knajpka?

Rozdział 25

Kiedy Ash otworzył oczy, pierwsze, co zobaczył, to piękna twarz Dee Dee.

Mógłby pomyśleć, że umarł, ma halucynacje albo coś takiego, gdyby nie to, że dziewczyna nosiła krótkie kasztanowe kosmyki zamiast długiego jasnego warkocza.

Ale czy na pewno? A jeśli po śmierci nawiedza człowieka ostatni obraz, jaki widział, nie ten ulubiony?

– Wszystko w porządku – powiedziała łagodnie, głosem, który także jakoś kojarzył mu się z niebem. – Tylko leż spokojnie.

Odzyskując świadomość, spojrzał nad jej ramieniem. Tak, wciąż był na terenie zajmowanym przez sektę. Wystrój pomieszczenia trudno by było nazwać surowym, prawie nie istniał. Gołe ściany, żadnych mebli. Mury we wszechobecnym odcieniu szarości.

Oprócz nich byli tam jeszcze inni. Kiedy siadał, Dee Dee próbowała go powstrzymać, ale daremnie. W dalszym rogu zobaczył matkę Adionę, ze wzrokiem utkwionym w podłogę i złożonymi rękami. Bliżej, po obu stronach łóżka, stali dwaj mężczyźni, których widział na portretach – Gość i Ochotnik.

Jeden z synów Caspera Vartage'a – może Gość? – odwrócił się szybko i wyszedł bez słowa. Drugi spojrzał na matkę Adionę i warknął:

– Masz szczęście.

– Przepraszam.

– Co sobie myślałaś?

– Był z zewnątrz, wtargnął tutaj – próbowała się tłumaczyć, wciąż patrząc w podłogę. – Broniałam Prawdy.

– To kłamstwo – odezwała się Dee Dee.

Mężczyzna uciszył ją gestem, wciąż patrząc surowym wzrokiem na starszą kobietę.

– To nie należy do ciebie, matko.

Ta wciąż stała z opuszczoną głową.

– Jeśli miałaś wątpliwości, powinnaś była skonsultować się z radą.

Matka Adiona ze skrucną kiwnęła głową.

– Masz rację, oczywiście.

Syn Vartage'a obrócił się na pięcie.

– Możesz wyjść.

– Zanim to zrobię... – Starsza kobieta zwróciła się do Asha: – Chcę szczerze cię przeprosić.

Podeszła do łóżka i obiema dłońmi wzięła go za rękę. Spojrzała mu w oczy i wytrzymała jego wzrok.

– Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro, że sprawiłam ci ból. Niech zawsze będzie Prawda.

Pozostali odpowiedzieli:

– Niech zawsze będzie Prawda.

Matka Adiona uścisnęła go.

Jednocześnie wcisnęła mu do ręki kawałek papieru.

Ash popatrzył na nią uważnie. Prawie niezauważalnie kiwnęła głową, zamknęła jego dłoń i wyszła.

– Jak się czujesz? – zapytała go Dee Dee.

– Dobrze.

– To ubierz się, kotku. Prawda chce cię poznać.

• • •

W Green-N-Leen Vegan Café, jak zauważyła Elena, cała oferta była wypisana kolorową kredą na czarnej tablicy. Oprócz oczywistego przymiotnika *wegański* widniały tam takie modne określenia, jak *organiczny... fair trade... bezmięsny... surowy... naturalny w 100%... eko... świeży... bezglutenowy... lokalny... zrównoważony...* Inny napis głosił: *Jarmuż, o tak!*, a z zielonej mozaiki warzywnej można było wyczytać: *Jedzcie wiśnie, a nie świnię!* Po prawej stronie wisiała korkowa tablica z ulotkami reklamującymi wszelkiego rodzaju ekologiczne targi żywności (czy można do tego celu używać papieru?), a także lekcje jogi i kuchni wegańskiej. Cały budynek powinien być przybrany lnem, z gumowymi bransoletkami wspierającymi „sprawę”.

Za ladą stała Alison Mayflower.

Wyglądała jak prosto z castingu na starszą, zdrowo wyglądającą weganę: wysoka, śniada, może trochę za szczupła, z wydatnymi kośćmi policzkowymi i – jak opisywał ją Isaacson – krótkimi włosami, tak zupełnie siwymi, że człowiek się zastanawiał, czy aby na pewno są naturalne. Zęby też miała oślepiająco białe, choć uśmiechała się niepewnie, nerwowo, z wyraźnym niepokojem. Patrząc na podchodzącą Elenę, tak mrugała, jakby nie spodziewała się niczego dobrego.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

Słoik na napiwki zachęcał: *Nie rozmieniaj się na drobne, zostaw je nam.* Elenie się to spodobało. Podała kobiecie wizytówkę ze swoim prywatnym numerem telefonu. Tamta ją wzięła i obrzuciła spojrzeniem.

– Alison Mayflower – zaczęła Elena.

Kobieta – po sześćdziesiątce, a może młodsza – znowu zamrugła i cofnęła się o krok.

– Nie znam tego nazwiska.

– Owszem, tak. Należy do pani. Ale je pani zmieniła.

– To jakaś pomyłka...

– Ma pani wybór, Alison. Albo pójdziemy w jakieś ustronne miejsce i porozmawiamy, a potem zniknę na zawsze.

– Albo?

– Albo pani życie legnie w gruzach.

Pięć minut później obie udały się do odległego kąta sali. Miejsce za ladą zajął brodaty mężczyzna z prawdziwym kokiem. Alison zwracała się do niego Raoul. Ten, wycierając kubki do kawy, zerknął na Elenę, która powstrzymała się od przewrócenia oczami.

Gdy usiadły, od razu wyjaśniła powód swojej wizyty. Nie robiła podchodów ani nie owijała w bawełnę. Od razu wyłożyła sprawę.

Morderstwa, zniknięcie, adopcje, opowiedziała wszystko od początku do końca.

Alison najpierw się wyparła:

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Ależ masz. To ty zajmowałaś się tymi adopcjami w Faith Hope. Żądałaś od Maisha Isaacsona, żeby zachował je w tajemnicy. Mogłabym przyprowadzić go tutaj, żeby potwierdził...

– Nie ma potrzeby.

– Więc pomińmy tę część, w której twierdzisz, że nie wiesz, o czym mówię. Nie obchodzi mnie, czy sprzedawaliście te dzieci, czy nie.

Nie mówiła prawdy. Obchodziło ją. Jeśli doszło do jeszcze jakichś przekrętów, po zakończeniu dochodzenia zamierzała powiadomić o tym odpowiednie organy ścigania i dopilnować, żeby Mayflower i Isaacson zostali ukarani. Na razie jednak jej priorytetem było odnalezienie Henry’ego Thorpe’a i gdyby wciągnęła w to władze, wszyscy związani z tą sprawą zasznurowaliby usta.

Tamto mogło poczekać.

– Wymienię nazwiska – ciągnęła. – Czy pamiętasz któreś z nich?

– Przeprowadziłam wiele adopcji.

Alison znowu zaczęła mrugać. Kuliła się na krześle, przyciskając brodę do piersi i splatając dłonie przed sobą. Elena, pracując w FBI, studiowała język ciała. Alison w przeszłości musiała być maltretowana, pewnie fizycznie. Przez ojca czy też opiekuna albo partnera – a może jedno i drugie. Mruganie świadczy o tym, że kobieta przygotowuje się na atak. Kulenie się jest wyrazem uległości, błaganiem o litość.

Raoul wciąż łąpał okiem na Elenę. Miał ze dwadzieścia pięć, trzydzieści lat, był za młody, żeby molestować Alison. Może znał jej historię i nie chciał, żeby znowu cierpiała. A może przeczuwał, co się święci. Nie trzeba być specjalistą w odczytywaniu niewerbalnych znaków, żeby się tego domyślić.

Elena spróbowała znowu.

– Chciałaś pomóc tym dzieciom, prawda?

Alison uniosła głowę, wciąż mrugając, ale w jej oczach pojawiło się coś podobnego do nadziei.

– Tak. Pewnie.

– Zamierzałaś je przed czymś uchronić.

– Hm...

– Przed czym? – Elena nachyliła się ku niej. – Przed czym je chroniłaś?

– Pragnęłam tylko, żeby miały porządny dom. To wszystko.

– Ale w tych adopcjach było coś wyjątkowego, zgadza się? – Elena próbowała wyrzucić na nią presję. – Starłaś się zachować je w tajemnicy. Dlatego zwróciłaś się do małej agencji z Maine. Zapłaciłaś pod stołem, ale to akurat nieważne.

– Robiłam to, żeby pomóc tym chłopcom – odparła między jednym mrugnięciem a drugim.

Elena kiwnęła głową, aby skłonić ją do mówienia, ale szczególną uwagę zwróciła na jedno słowo.

„Chłopcom”.

Alison Mayflower powiedziała, że pomagała chłopcom. Nie dzieciom, noworodkom, niemowlętom.

– To wszystko byli chłopcy? – zagadnęła Elena.

Alison milczała.

– Czy imię Paige coś ci...

– Tylko chłopcy – odparła tamta, kręcąc głową. – Nie rozumiesz? Chodziło o chłopców.

– Ale oni teraz giną.

Po policzku kobiety spłynęła pojedyncza łza.

Elena podjęła kolejną próbę.

– Będziesz siedzieć beczynn timer, pozwalając, żeby to działa się dalej?

– Mój Boże, co ja takiego zrobiłam?

– Odpowiedz na moje pytania, Alison.

– Nie mogę. Muszę iść.

Alison chciała wstać. Elena położyła dłoń na jej przedramieniu. Stanowczym gestem.

– Chcę pomóc.

Alison Mayflower zamknęła oczy.

– To zbieg okoliczności.

– Nie, wcale nie.

– Tak. Przy tak licznych adopcjach może się zdarzyć, że niektóre dzieci w życiu ucierpią, to oczywiste.

– Skąd pochodzili ci chłopcy? Kim byli ich rodzice: ojcowie, matki?

– Nie rozumiesz.

– To mi wytłumacz.

Alison wyrwała rękę z uścisku Eleny i roztarła. Wyraz jej twarzy się zmienił. Wciąż mrugała, wciąż była przestraszona, ale zrodził się w niej opór.

– Uratowałam je – stwierdziła.

– Nie. Czym się zajmowałaś, co ukrywasz przez te wszystkie lata? To się teraz mści.

– Niemożliwe.

– Pewnie sądziłaś, że wszystko zostało pogrzebane...

– Nie tylko pogrzebane. Spalone. Zniszczyłam wszelkie dowody. Już nawet nie znam tych nazwisk. – Alison z płonąącym wzrokiem pochyliła się nad stołem.

– Posłuchaj. Już nikt nie może skrzywdzić tamtych dzieci. Zadbłam o to.

– Co takiego zrobiłaś, Alison?

Siwowłosa kobieta milczała.

– Alison?

– Czy ta pani ci się narzuca, Allie?

Unosząc głowę, żeby spojrzeć na Raoula, Elena starała się powstrzymać westchnienie. Ten patrzył na nią gniewnie, z pięściami na biodrach jak Superman w wydaniu hipsterskim.

– To prywatna rozmowa – odezwała się ostro Elena. – Jeśli ty i twój męski kok moglibyście wrócić za ladę...

– Nie z panią rozmawiam. Pytałem...

I wtedy nagle Alison Mayflower rzuciła się do ucieczki.

Elenę to zaskoczyło. Przed chwilą kobieta siedziała przed nią potulnie, a teraz biegła jak wystrzelona z procy. Znalazła się w przejściu i pędziła w stronę tylnego wyjścia.

Niech to szlag.

Elena pod wieloma względami była bardzo sprawna, ale z powodu dawnego postrzału nie należała do najszybszych. Zamierzała pobiec za Alison, ale już wstając, zresztą z jękiem, widziała, że szczupła weganka jest za daleko, żeby ją dogonić.

Kiedy ruszyła za nią, na drodze stanął jej Raoul ze swoim kokiem. Nie zwolniła jednak. Mężczyzna wyciągnął ręce, żeby ją zatrzymać. W chwili gdy jej dotknął, chwyciła go za ramiona, zamachnęła się nogą i mocno uderzyła go kolanem w jądra.

Raoul osunął się na kolana, a razem z nim jego kok. Potem jak ścięte drzewo upadł na podłogę. Elena niemal zawołała: „Uwaga na przywalenie!”.

Oczywiście nie zrobiła tego. Mijając toalety z paciorkowymi zasłonami, pobiegła na zaplecze i całym ciałem pchnęła tylne drzwi. Otworzyły się na boczną uliczkę. Elena spojrzała w lewo, potem w prawo.

Po Alison Mayflower nie było śladu.

Rozdział 26

Wciąż czekając na wiadomość od lekarza, Simon w poczekalni zabrał się do załatwiania spraw, o których rozmawiał z Eleną Ramirez. Nie miał numeru macochy Aarona, Enid, więc zadzwonił do Corval Inn i przekazał wiadomość dla niej recepcjonistce, sądząc po głosie, tej, którą poznał osobiście.

To jednak prowadziło donikąd.

Następnie zamierzał sprawdzić kartę kredytową, którą Paige posługiwała się w Lanford College. Była to visa i chociaż Simon musiał ją unieważnić, kiedy córka zaczęła z niej korzystać, żeby kupować narkotyki dla siebie i Aarona, wciąż miał dostęp do wyciągów. Pobrał je i zaczął przeglądać.

Okazało się to bolesne. Pierwsze wydatki córki były niewinne, jak to studentki: miejscowe knajpki, gdzie jadała drobne posiłki, sklep Lanford College sprzedający artykuły piśmiennicze i koszulki z emblematem uczelni, drogeria z przyborami toaletowymi. Dwie transakcje w Rita's Italian Ice w Poughkeepsie i jedna, na sumę sześćdziesięciu pięciu dolarów, prawdopodobnie kupno sukienki, dokonana w Elizabeth's Boutique.

Żadnych płatności na konto DNAYourStory.

Znalazł jednak kwotę w wysokości siedemdziesięciu dziewięciu dolarów, pobraną przez Ance-Story. Wygooglował tę firmę i faktycznie była to strona, która oferowała *uzupełnienie drzewa genealogicznego poprzez testy DNA*. Właśnie czytał zamieszczone na niej informacje, gdy wezwał go kobiecy głos.

– Pan Simon Greene?

Doktor Heather Grewe wciąż miała na sobie klasyczny niebieski kitel chirurga. Klasyczny niebieski. To mu się podobało. Uważał ten kolor za poważny i jednocześnie uspokajający. Zbyt wiele pielęgniarek i pracowników medycznych nosiło wymyślne kolorowe uniformy, jaskraworóżowe, w kwiatki albo ze SpongeBobem czy z Ciasteczkowym Potworem. Zgoda, rozumiał to – jeśli

ktoś pracuje w takim miejscu od rana do wieczora, może mieć ochotę ubrać się trochę inaczej, i oczywiście noszenie czegoś wesołego w równie smutnym otoczeniu ma sens, ale jeśli to nie oddział pediatriczny, Simon wolał jednak poważne, surowe stroje i z zadowoleniem stwierdził, że lekarka jego żony ma na sobie właśnie taki.

– Pańska żona przed chwilą opuściła salę operacyjną. Jej stan się ustabilizował.

– Czy nadal jest w śpiączce?

– Obawiam się, że tak, ale bezpośrednie zagrożenie życia minęło.

Doktor Grewe zaczęła tłumaczyć mu szczegółowo kwestie medyczne, ale Simon nie mógł się skupić. Zasadniczo sytuacja przedstawiała się tak samo.

Bez zmian.

Kiedy lekarka skończyła, podziękował jej i zapytał:

– Czy mogę zobaczyć żonę?

– Tak, oczywiście.

Zaprowadziła go na salę pooperacyjną. Do tej pory nie wyobrażał sobie, że osoba w śpiączce może wyglądać na zmęczoną, ale walka o życie najwyraźniej wyczerpała Ingrid. Leżała nieruchomo, jak poprzednio, ale teraz ten bezruch sprawiał jeszcze bardziej niepokojące wrażenie. Jego żona wydawała się taka delikatna, krucha. Niemal bał się ująć jej rękę, jakby miała rozpaść się w jego dłoni.

Ale zrobił to.

Usiłował wyobrazić sobie Ingrid siedzącą prosto, zdrową, piękną, pełną energii. Przypomnieć inne chwile w tym szpitalu, lepsze czasy, żonę trzymającą w ramionach któreś z ich nowo narodzonych dzieci, lecz te obrazy szybko ulatywały mu sprzed oczu. Widział jedynie Ingrid słabą, bladą, jakby skurczoną, na granicy życia i śmierci. Patrzył na nią i myślał o tym, co Yvonne powiedziała mu o przeszłości i o związanych z nią tajemnicach.

– Mam to gdzieś – powiedział głośno do nieprzytomnej żony.

Cokolwiek kiedyś zrobiła (zakładał najgorsze: oszustwo, narkotyki, prostytutkę, nawet morderstwo), był gotów jej wybaczyć. Każdą rzecz. Bez wchodzenia w szczegóły, bez pytań.

Wstał i przytknął usta do ucha żony.

– Tylko wróć do mnie, kochanie.

Mówił prawdę. Jednak nie do końca. Nie obchodziła go przeszłość Ingrid. Ale pewne pytania wymagały odpowiedzi. O szóstej po południu porozumiał się z dyżurną pielęgniarką, sprawdził, czy mają numer jego komórki, i wyszedł z dusznego szpitala na świeże powietrze. W normalnych okolicznościach pojechałby do mieszkania metrem, ale wolał nie schodzić pod ziemię, żeby nie stracić zasięgu, w razie gdyby do niego dzwoniło. Uznał, że o tej porze jazda ze szpitala do domu na Upper West Side zajmie najwyżej piętnaście minut. Dopóki miał przy sobie telefon, to gdyby coś się zmieniło, mógłby szybko tam wrócić.

Nie chciał zostawiać Ingrid, ale musiał coś zrobić.

Zamówił ubera przez aplikację i poprosił kierowcę, żeby zatrzymał się przed dwudziestoczworgodziną drogerią Duane Reade przy Columbus Avenue w pobliżu Siedemdziesiątej Piątej. Wbiegł do środka, kupił sześciopak szczoteczek do zębów i z powrotem wskoczył do samochodu. W mieszkaniu (o rany, kiedy ostatnio był w domu!) panowała cisza. Przeszedł na palcach przez hol i zajrzał do pokoju po prawej stronie.

Sam spał na boku, w pozycji embrionalnej, z nogami przyciągniętymi do piersi. Zawsze tak sypiał. Simon nie chciał go jeszcze budzić. Skierował się do kuchni i otworzył szufladę z plastikowymi woreczkami. Wziął kilka z nich i po cichu ruszył do tak zwanej łazienki dziewczynek, którą Paige dzieliła z młodszą siostrą.

Żartowali sobie w domu, że dzieci nie zmieniają szczoteczek do zębów, nie tylko gdy dopóki włosie nie zacznie się strzępić, ale wręcz dopóki nie wyjdzie. Przed laty więc Simon zaczął co dwa miesiące kupować pakiety szczoteczek i wymieniać stare na nowe. Zamierzał zrobić to tego dnia, więc nikt by się nie zorientował, co takiego planuje, zresztą kto miałby się zorientować?

Szczoteczka Paige tkwiła na swoim miejscu od czasu ostatniej wizyty córki (o rany, ile to już czasu?)...

Delikatnie wziął ją za trzonek i umieścił w plastikowym woreczku. Miał nadzieję, że będzie na niej dostatecznie dużo materiału genetycznego, żeby przeprowadzić jego analizę. Już miał wyjść z łazienki, ale się zatrzymał.

Ufał Ingrid. Naprawdę jej ufał.

Skoro jednak uznawał, że „przezorny zawsze ubezpieczony” – taką miał dewizę życiową – włożył do następnego woreczka szczoteczkę Anyi. Przeszedł do drugiej łazienki i do kolejnego zapakował szczoteczkę Sama.

Czuł się okropnie, jak zdrajca.

Potem wstąpił do sypialni i schował torebki do plecaka, który nosił do pracy. Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Żadnych wiadomości. Było jeszcze wcześniej, ale wysłał Suzy Fiske esemesa:

Wróciłem na jakiś czas do domu. Jeśli nie śpisz, czy mogłabyś obudzić Anyę i powiedzieć jej, żeby przyszła na śniadanie?

Nie wiedział, jak długo będzie musiał czekać na odpowiedź, ale zobaczył błyskające kropki, które świadczyły o tym, że Suzy już odpisuje.

Zaraz ją obudzę. Coś się u Ingrid zmieniło?

Powiadomił sąsiadkę, że nie, nie wydarzyło się nic nowego, i podziękował jej za opiekę nad Anyą. Odpowiedziała, że nie ma sprawy, cieszy się z obecności Anyi, i choć Simon wiedział, że chce być uprzejma, uświadomił sobie, że coś w tym jest. Suzy miała dwie córki, które – jak większość sióstr w tych czasach – stale się ze sobą kłóciły. Jeśli do takiej wybuchowej mieszanki doda się trzeci składnik, jakim była Anya, chemia zmienia się na tyle, że wszystko staje się łatwiejsze.

Simon wysłał wiadomość:

Mimo to jestem Ci bardzo wdzięczny.

Wrócił do kuchni. Wszyscy jego koledzy z Nowego Jorku nagle polubili gotowanie. A przynajmniej tak twierdzili. Rozwodzili się elokwentnie o jakimś trudnym risocie, które ostatnio przyrządzili, o przepisie z cotygodniowego mailingu „New York Timesa” albo o czymś podobnym. Zastanawiał się, kiedy gotowanie stało się nowym snobizmem, który zastąpił znajomość win? Czy nie było przede wszystkim obowiązkiem? Czy gdy czytało się książki historyczne albo oglądało, do cholery, stare filmy, praca kucharza nie była w domu najgorszym zajęciem? Jaka kolejna ciężka robota stanie się wielką sztuką? Czy w następnej kolejności jego przyjaciele zaczną porównywać odkurzacze?

Umysł w stresie ma skłonność do takich dywagacji.

Rzecz w tym, że Simon umiał przyrządzić tylko jedno danie (to znaczy miał swoją specjalność), które serwował z wielkim halo w te weekendowe poranki, kiedy rodzina zbierała się razem, a on, ojciec, był w nastroju: naleśniki z wiórkami czekoladowymi.

Na czym polegał sekret ich powodzenia?

Wiórków czekoladowych nigdy za dużo.

– To raczej wiórki z naleśnikami – żartowała Ingrid.

Wiórki czekoladowe znajdowały się w górnej szafce. Ingrid zawsze dbała, żeby ich nie zabrakło, chociaż Simon nie przyrządzał swojej specjalności od długiego czasu. Ta refleksja go przygnębiła. Brakowało mu dzieci. Zapominając na chwilę, jak tragicznie stoczyła się Paige – jeśli w ogóle był w stanie zapomnieć – pomyślał, że wyjazd najstarszej córki do college’u okazał się trudniejszym doświadczeniem, niż się spodziewał. Kiedy Sam opuścił dom, było dwukrotnie ciężiej. Dzieci odchodziły. Już nie dorastały – były dorosłe. I go porzucały. Owszem, było to całkiem naturalne, prawidłowe i tak dalej, i lepiej, żeby się usamodzielniały, niż gdyby miało być inaczej. Ale mocno to przeżywał. W domu było zbyt cicho. Nie znosił tego.

Kiedy Sam kończył szkołę średnią, gospodarz jego klasy, pełen dobrych intencji, zamieścił na szkolnym portalu społecznościowym wpis. Tekst pod klasycznym zdjęciem przedstawiającym piękną plażę o zachodzie słońca, obowiązkowo z falami delikatnie bijącymi o brzeg, głosił:

Kochajcie swoich rodziców. Nie zapominajcie, że gdy my dorastamy, oni się starzeją.

Przeczytali to z Ingrid w tej właśnie kuchni. Potem żona skomentowała: „Wydrukujmy to, zwińmy w rulon i wetknijmy w jakiś nadęty tyłek”.

Boże, jak ją kochał.

Czytając ten post, siedzieli przy stole i Ingrid opierała się o jego ramię. Później zarzuciła mu ręce na szyję, nachyliła się tak, że jej oddech owiał mu ucho, i szepnęła:

– Gdy dzieci opuszczą dom, będziemy mogli więcej podróżować.

– I biegać po domu nago – dodał.

– No dobra.

– I więcej się kochać.

– Nadzieja umiera ostatnia.

Żartobliwie wydał usta.

– Czy więcej seksu by cię uszczęśliwiło? – zapytała.

– Mnie? Nie. Chodziło mi o ciebie.

– Co za poświęcenie z twojej strony.

Simon wciąż jeszcze uśmiechał się na to wspomnienie, kiedy usłyszał głos Sama:

– O rany, słynne naleśniki taty.

– Owszem.

Twarz syna się rozjaśniła.

– Czy to znaczy, że z mamą jest lepiej?

– Nie, niestety, nie.

Cholera. Tego nie przewidział – że gdy syn zobaczy go smażącego naleśniki, wyciągnie pochopne wnioski.

– To znaczy – podjął – że chciałaby, abyśmy zamiast się mazać, wrócili do normalności. – Słyszał, że jego ojcowski ton nie brzmi tak dziarsko, jak powinien.

– Ty smażący naleśniki to już nie jest nic normalnego – zauważył Simon. – To coś wyjątkowego.

Miał rację. W pewnym sensie. Bo śniadanie okazało się i normalne, i wyjątkowe. Wkrótce od sąsiadów przyszła Anya i rzuciła się na ojca, jakby był kołem ratunkowym. Simon objął ją i przytknąwszy oczy, tulił tak długo, jak tego potrzebowała.

We troje zasiedli przy okrągłym stole – mimo że prostokątny pasowałyby tam lepiej, Ingrid upierała się przy takim, bo twierdziła, że sprzyja rozmowie – i chociaż rzucało się w oczy, że dwa krzesła stoją puste, zrobiło się jakoś normalnie i jednocześnie wyjątkowo. Anya niebawem całą buzię umazała sobie czekoladą i Sam zaczął się z niej śmiać, a wtedy dziewczynka przypomniała, jak ich matka nazywała takie śniadanie „czekoladą z wiórkami naleśnikowymi”.

W pewnym momencie Sam nie wytrzymał i prawie się rozplakał, ale to też wydało się jakieś normalne i wyjątkowe. Anya zsunęła się z krzesła i uściskała starszego brata, a on nie wzbraniał się przed tym, i Simon poczuł ból w sercu na myśl, że Ingrid tego nie widzi. Zamierzał jednak zapamiętać tę scenę i gdy tylko żona odzyska przytomność, opowiedzieć jej, jak ich syn szukał pocieszenia u młodszej siostry – akurat u niej! – a ona mu je zaoferowała. To, że pewnego

dnia, kiedy on i Ingrid zestarzeją się albo umrą, ich dzieci będą miały siebie, na pewno by Ingrid ucieszyło.

Gdy Sam i Anya zmywali naczynia – rodzinna zasada: ten, kto gotuje, nie sprząta potem w kuchni – Simon wrócił do sypialni. Zamknął za sobą drzwi. Był w nich zamek, najprostszy, jakie się wstawia, żeby dzieci nie nakryły rodziców w jakiejś niefortunnej sytuacji. Obrócił więc w nim klucz i otworzył szafę Ingrid. W głębi wisiało sześć pokrowców ze strojami wizytowymi. Rozpiął czwarty, z klasyczną granatową sukienką, i wsunął rękę na jego dno.

Tam trzymali gotówkę.

Wyjął dziesięć tysięcy dolarów w banknotach i wetknął do plecaka, obok szczoteczek do zębów. Potem zajrzał do telefonu, żeby sprawdzić, czy nie przysły jakieś ważne wiadomości, i wrócił do kuchni. Anya ubrała się do szkoły. Uściskała ojca na pożegnanie i wyszła z Suzy Fiske. Simon odprowadził je do drzwi, a potem odbył kolejną z wyimaginowanych rozmów z Ingrid: tym razem zapytał ją, jaki prezent kupić Suzy, gdy będzie już po wszystkim – bon podarunkowy do tej restauracji z pierogami, kupon na jednodniowe zabiegi spa w Mandarin Oriental czy coś bardziej osobistego, jak biżuteria?

Ingrid będzie wiedziała.

Dotarło do niego, że przez cały czas tak z nią rozmawia: opowiada, czego się dowiedział, i obserwuje jej reakcję, ale wstrzymuje się od pytania, które chciał jej zadać, tego, które mieli w głowie z Eleną i które go gnębiło, odkąd wypłynęła ta cała paskudna sprawa z genealogią.

Zarzucił plecak na ramię.

– Sam? Jesteś gotowy?

Zjechali windą i złapali przejeżdżającą taksówkę. Kierowca, jak prawie każdy taksówkarz w Nowym Jorku, po cichu mówił do słuchawki w obcym języku, którego Simon nie mógł rozpoznać. Nie było w tym oczywiście nic niezwykłego, wszyscy się już do tego przyzwyczaili, ale jego uwagę zwróciły niesamowicie silne więzy rodzinne u tych ludzi. Chociaż bardzo kochał Ingrid, a nawet gawędził z nią w wyobraźni, nie wyobrażał sobie takiej sytuacji, żeby miał godzinami rozmawiać z nią czy kimkolwiek innym przez telefon. Z kim przez cały dzień gadali ci taksjarze? Jak bardzo ktoś musiał ich kochać – może nawet nie jedna osoba? – żeby tyle czasu słuchać, co mają do powiedzenia?

– Mama miała zapaść – powiedział do syna – ale już z nią lepiej.

Wy tłumaczył, co się stało. Sam przygryzł wargę i słuchał. Kiedy zajęchali przed szpital, Simon polecił synowi:

– Idź na górę i posiedź przy mamie. Ja za chwilę do ciebie dołączę.

– Dokąd idziesz?

– Mam coś do załatwienia.

Sam popatrzył na niego.

– No co?

– Pozwoliłeś, żeby mamę postrzelono.

Simon już otwierał usta, żeby powiedzieć coś na swoją obronę, ale się powstrzymał.

– Powinieneś być ją chronić.

– Wiem – odparł. – Przykro mi.

Pozostawił syna na chodniku. Przypomniał sobie tamten moment. Ujrzał Luthera mierzącego z pistoletu. I siebie, jak robi unik, tak że kula trafiła w Ingrid, a nie w niego.

Ależ z niego tchórz.

Jednak czy tak właśnie było?

Naprawdę zrobił unik? Nie był pewny. Czy rzeczywiście tak to właśnie przebiegło? Cofając się pamięcią i starając się zachować obiektywizm, uświadomił sobie, że wcale tak tego nie widział, że czas i poczucie winy wyparły prawdziwe wspomnienie i zastąpiły je wymagowanym, które miało go potem prześladować.

Czy mógł zrobić coś więcej? Zasłonić Ingrid?

Prawdopodobnie tak.

W głębi duszy zdał sobie sprawę, że to niesprawiedliwe. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Nie było czasu na reakcję. To jednak nie zmieniało stanu rzeczy. Powinien był zrobić więcej. Odepchnąć Ingrid. Zasłonić ją.

„Powinieneś być ją chronić...”

Wkroczył do Shovlin Pavilion i pojechał windą na dziesiąte piętro. Recepcjonistka zaprowadziła go korytarzem do laboratorium. Tam wyszedł mu na spotkanie technik, Randy Spratt.

– Nie wiem, dlaczego nie możemy tego załatwić normalną drogą – powiedział niechętnie, wyciągając rękę w lateksowej rękawiczce.

Simon otworzył plecak i wręczył mu trzy plastikowe torebki ze szczoteczkami do zębów. Początkowo zamierzał przynieść tylko szczoteczkę

Paige, ale po namyśle uznał, że skoro już wkracza na tę mroczną ścieżkę, przemierzy ją do końca.

– Muszę wiedzieć, czy jestem ich ojcem. – Wskazał żółtą szczoteczkę, należącą do starszej córki, i zaznaczył: – Ta jest priorytetowa.

Oczywiście nie był zadowolony z tego, co robił. Ale to nie była kwestia zaufania, powiedział sobie. Tylko spokoju ducha.

Znowu jednak zdał sobie sprawę, że próbuje się usprawiedliwić.

Nieważne.

– Mówił pan, że da się przyspieszyć sprawę – dodał.

Spratt kiwnął głową.

– Proszę mi dać trzy dni.

– O nie.

– Słucham?

Simon sięgnął do plecaka i wyjął zwitek banknotów.

– Nie rozumiem...

– To dziesięć tysięcy dolarów w gotówce. Jeśli przekaże mi pan wyniki do końca dnia, dostanie pan drugie tyle.

Rozdział 27

Prawda umierał.

Przynajmniej w ocenie Asha, który stał u nóg łóżka.

Synowie Caspera Vartage'a zajmowali miejsca po obu jego stronach: dwaj pogrążeni w rozpacz strażnicy, trzymający wartę przy ojcu w ostatnich dniach. Emanowali smutkiem. Wręcz czuło się ich ból. Ash nie znał prawdziwych imion braci – nie sądził, aby ktokolwiek je znał – i nie pamiętał, zresztą miał gdzieś, który z nich to Gość, a który Ochotnik.

Dee Dee stała obok Asha ze złożonymi dłońmi i z opuszczonym wzrokiem, jak do modlitwy. Dwaj mężczyźni przybrali takie same postawy. W kącie dwie kobiety ubrane na szaro szlochały cicho, niemal jakby ktoś im kazał stworzyć akompaniament dla tej sceny.

Tylko Prawda patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczami. Leżał na środku łóżka w białej tunice. Siwą brodę i włosy miał bardzo długie. Przypominał renesansowy wizerunek Boga, jak ze sceny stworzenia w Kaplicy Sykstyńskiej. Ash widział ją w książce ze szkolnej biblioteki. To wyobrażenie zawsze go fascynowało: Bóg dotykający Adama, jakby włączał ludzkość za pomocą przycisku.

Bóg na tamtym fresku był muskularny i silny. W przeciwieństwie do Prawdy, który już niemal się rozkładał. Jednak uśmiech wciąż miał promienny, a wzrok, kiedy popatrzył na Asha, nie z tego świata. Przez moment, może dłużej, Ash czuł jego moc. Prawda hipnotyzował go spojrzeniem. Charyzma tego starego człowieka, nawet gdy spoczywał w łóżku chory, była wręcz nadnaturalna.

Prawda podniósł dłoń i przywołał go gestem. Ash odwrócił się do Dee Dee, a ta skinęła głową na znak, żeby wykonał polecenie. Umierający mężczyzna nie poruszył głową, ale śledził jego ruchy, znowu jak postać ze starego obrazu. Wziął Asha za rękę. Uścisk miał zaskakująco mocny.

– Dziękuję ci, Ash.

Ten poczuł jego magnetyzm, przyciąganie. Nie uległby mu oczywiście, ale to nie znaczy, że nie widział, co tu się dzieje, i nie był tym poruszony. Każdy z nas ma jakiś talent. Jedni szybko biegną, drudzy są silni albo dobrzy z matmy. Oglądamy sportowców, bo budzą w nas podziw tym, co potrafią robić z piłką, krążkiem hokejowym czy czymś innym. Ten człowiek, Casper Vartage, także miał pewną zdolność. Przerazającą zdolność. Potrafił urzekać, hipnotyzować, zwłaszcza ludzi słabych, podatnych na tego rodzaju wpływ.

Ash do takich ludzi się nie zaliczał.

Był silny, a w tej chwili odczuwał tylko ciekawość i zdenerwowanie. Zwykle zachowywał anonimowość. Posługiwał się hasłami, korzystał z dyskretnych sposobów komunikacji, poprzez strony internetowe i aplikacje. Nigdy wcześniej nie spotkał się twarzą w twarz ze swoim zleceniodawcą. Nigdy.

Dee Dee to wiedziała. Ona także była świadoma zagrożeń.

Puścił rękę starego i zerknął na dziewczynę. Zapytał bezgłośnie, po co go tu sprowadziła, a ona odpowiedziała pogodnym uśmiechem, jakby mówiła, żeby zachował cierpliwość.

Płaczki wyszły i wkroczyli dwaj wartownicy, łącznie z tym draniem, który poraził go prądem. Ash znowu się zaniepokoił. Nie podobało mu się zwłaszcza zadowolenie na twarzy pierwszego z nich.

Stary próbował coś powiedzieć, ale tylko wydusił z siebie:

– Niech wiecznie trwa Jaśniejąca Prawda.

Rytuał. Ash nie znosił tępych rytuałów.

– No, dalej – zwrócił się do niego stary. – Prawda zawsze zwycięży.

Reszta obecnych w pokoju zaintonowała:

– Prawda zawsze zwycięży.

Wartownik uśmiechnął się krzywo do Asha, a potem zlustrował Dee Dee od góry do dołu i znowu na niego spojrzął, znacząco poruszając brwiami. Ash nie dał nic po sobie poznać. Spojrzął na dziewczynę. Zrozumiała.

Wreszcie to wszystko zaczęło nabierać sensu.

Jeden z braci wręczył Ashowi brelok z kluczykiem.

– Czeka na ciebie nowy samochód. Nie do wytropienia.

Ash wziął kluczyk. Pomyślał, że przy pierwszej okazji, jaka się nadarzy, zatrzyma się przy drodze i zamieni tablice rejestracyjne z podobnym wozem,

tak na wszelki wypadek. Przy przekraczaniu granicy stanu pewnie zrobi to ponownie.

– Wierzmy, że załatwisz sprawę – powiedział drugi z braci.

Ash bez słowa ruszył do drzwi. Strażnik przez cały czas patrzył na niego z tym swoim uśmieszkiem. Ash doszedł do niego i stanął przed nim. Tamten wciąż uśmiechał się krzywo, gdy Ash przeciągnął po jego gardle ostrzem ukrytego w dłoni noża.

Nie cofnął się ani o krok. Krew z przeciętej tętnicy szyjnej trysnęła mu w twarz. On jednak ani drgnął. Usłyszał gwałtowne wdechy, na które czekał.

Szybko podszedł do drugiego strażnika, który obserwował tę scenę z przerażeniem, i odebrał mu broń.

Tamten pierwszy, z przeciętą tętnicą, upadł na podłogę, bezskutecznie usiłując zatamować krwawienie. Wyglądało to tak, jakby dusił samego siebie. Wydawał przy tym pierwotne gardłowe odgłosy.

Nikt się nie poruszył. Nikt się nie odezwał. Wszyscy tylko patrzyli, jak wartownik wije się i rzuca, coraz słabiej i słabiej, aż w końcu przestał.

Bracia Vartage'owie wyglądali na zszokowanych. Podobnie jak pozostały przy życiu strażnik. Dee Dee wciąż miała na twarzy uśmiech. To go nie zdziwiło. Zaskoczył go natomiast wyraz oczu Prawdy, który patrzył na niego znacząco.

Czyżby wiedział, co Ash zrobi?

Potem kiwnął mu głową, jakby chciał powiedzieć: „Rozumiemy się”.

Dla Asha sprawa była prosta. Strażnik go zaatakował, więc musiał za to zapłacić. Uderz mnie, a ja ci oddam jeszcze mocniej. Wet za wet. W ramach środków zapobiegawczych.

Była to także informacja dla pozostałych. Jeśli ze mną zadrzecie, dostaniecie za swoje. Ash zamierzał wykonać robotę, którą mu zlecono. Wziąć zapłatę i zniknąć. Nikt na tym nie skorzysta, jeśli wejdzie mu w drogę.

Wejście mu w drogę byłoby dużym błędem.

Spojrzał na braci.

– Rozumiem, że ktoś to posprząta?

Obaj potwierdzili.

Dee Dee podała mu ręcznik, żeby wytarł krew z twarzy. Zrobił to szybko.

– Możemy iść – rzucił.

Oboje wrócili ścieżką pod bramę. Czekala tam na nich acura RDX. Ash otworzył dziewczynie drzwi samochodu. Jednocześnie spojrzął za siebie i na

szczytce wzgórza zobaczył matkę Adionę. Patrzyła na niego i nawet z tej odległości widział, że w oczach ma prośbę.

Złowróźnie pokiwała głową.

Zignorował to.

Obszedł wóz i usiadł za kółkiem. Odjechał aleją między szpalerem drzew, patrząc, jak brama Niebios Prawdy maleje w lusterku wstecznym. Skręcił w główną drogę i kiedy stanęli na pierwszych światłach ulicznych, wyjął liścik od matki Adiony, rozłożył go i przeczytał:

NIE ZABIJAJ GO. PROSZĘ.

Wszystko to było napisane dużymi literami. Poniżej widniało już normalnym tekstem:

Nie pokazuj tego nikomu, nawet jej. Nie masz pojęcia, co naprawdę się tu dzieje.

– Co to? – zapytała Dee Dee.

Podał jej kartkę.

– Matka Adiona wcisnęła mi to do ręki przed wyjściem z pokoju.

Dziewczyna przeczytała liścik.

– O co jej chodzi z tym *Nie masz pojęcia, co naprawdę się tu dzieje?* – zapytał.

– Nie wiem – odparła Dee Dee. – Ale cieszę się, że mi ufasz.

– Bardziej tobie niż jej.

– Pewnie pomogło to, że przemyślałam nóż.

– Nie zaszkodziło – przyznał. – Wiedziałaś, że zabiję faceta?

– Wet za wet. W ramach środków zapobiegawczych.

– Nie martwiłaś się, jak zareaguje wasz przywódca?

– Prawda zawsze się obroni.

– A zabicie strażnika było prawdą?

Spojrzała za okno.

– On umiera. Wiesz o tym, nie?

– Prawda umiera?

Dee Dee się uśmiechnęła.

- Prawda nie może umrzeć. Ale tak, jego obecne wcielenie.
- Czy jego śmierć ma coś wspólnego z robotą, którą mi zlecono?
- A czy to ważne?

Ash się zastanowił.

- Nie, właściwie nie.

Dziewczyna wyprostowała się i przyciągnęła kolana do piersi.

- Co może znaczyć ta wiadomość od matki Adiony? – zapytał.

Dee Dee zaczęła się bawić dłuższym kosmykiem włosów, którego nie obcięła.

- Nie wiem.

- Powiesz Prawdzie? – Usłyszał, jak to zabrzmiało. Jakby się przejęzyczył. –

To znaczy czy zamierzasz powiedzieć...

- Hm... wiem, o co ci chodzi.

- Więc? Powiesz mu?

Namyślała się przez chwilę.

- Na razie nie. Teraz musimy się skupić na robocie.

Rozdział 28

Po powrocie do szpitala Simon zobaczył ze zdziwieniem, że czeka na niego inspektor Isaac Fagbenle. Na sekundę, może dwie przepełniła go nadzieja – czyżby odnaleźli Paige? Mina policjanta nie wskazywała jednak, że ma on do przekazania dobrą wiadomość. Nadzieja zniknęła więc jeszcze szybciej, niż się pojawiła, i zastąpiło ją jej przeciwieństwo, cokolwiek to jest.

Rozpacz? Zmartwienie?

– Nie chodzi o pańską córkę – uprzedził od razu Fagbenle.

– Więc o co?

Simon spojrział nad jego ramieniem. Sam siedział przy Ingrid. Nie wydarzyło się nic nowego, więc Simon z powrotem skupił uwagę na policjancie.

– O Luthera Ritza.

Tego, który postrzelił jego żonę.

– Co z nim?

– Wyszedł.

– Jak to?

– Zwolniony za kaucją. Rocco za niego założył.

– Luther nie został zatrzymany do procesu?

– Domniemanie niewinności. Ósma poprawka. No, wie pan, to Ameryka.

– Jest na wolności? – Simonowi zabrakło tchu. – Sądzi pan, że stanowi zagrożenie dla mojej żony?

– Nie. Szpital ma dobrą ochronę.

Przechodząca obok pielęgniarka rzuciła im poirytowane spojrzenie, bo blokowali drogę. Usunęli się więc na bok.

– Rzecz w tym, że sprawa przeciwko Lutherowi nie jest wcale taka oczywista – powiedział Fagbenle.

– To znaczy?

– On twierdzi, że pan pierwszy do niego strzelił.

– Ja?

– Pan, pańska żona, jedno z was.

– Czy nie znaleźliście na jego ciele śladów prochu?

– Owszem. Ale Luther tłumaczy to na dwa sposoby. Że strzelał dla wprawy i to nie miało nic wspólnego z wami. Albo jeśli pan tego nie kupuje, że strzelił, bo pan go zaatakował.

Simon zrobił drwiącą minę.

– I kto mu uwierzy?

– Zdziwiłby się pan. Proszę posłuchać, nie znam szczegółów, ale Luther Ritz mówi, że działał w samoobronie. To sprowokuje trudne pytania.

– Jakie?

– Przede wszystkim co pan i pańska żona tam robiliście.

– Szukaliśmy córki.

– Niech będzie. Więc byliście zdenerwowani i zaniepokojeni, prawda? Poszliście do meliny narkotykowej, do której chadzała wasza córka. Nikt nie chciał wam powiedzieć, gdzie jest Paige. Więc zdenerwowaliście się i zaniepokoiście jeszcze bardziej. Byliście zdesperowani do tego stopnia, że żona wyjęła broń...

– Nie mówi pan serio.

– ...i facet oberwał. To znaczy Luther. Dlatego strzelił w samoobronie.

Simon się skrzywił.

– Luther jest w domu, dochodzi do siebie po groźnym postrzale...

– A moja żona... – Simon poczuł, że krew uderza mu do twarzy – leży w śpiączce dziesięć metrów od nas.

– Wiem. Ale widzi pan, niewątpliwie ktoś do niego strzelił.

Fagbenle zbliżył się do niego. Wtedy Simon zrozumiał. Zorientował się, co jest grane.

– Dopóki się nie dowiemy, kto do niego strzelał, wersja Luthera, że działał w samoobronie, będzie stwarzała pole do domysłów. Świadkowie, jeśli w ogóle się znajdą, nie potwierdzą pańskiej relacji z przebiegu zdarzeń. Raczej staną po stronie Luthera. – Policjant się uśmiechnął. – Nie ma pan zbyt wielu przyjaciół w melinie narkotykowej, co?

– Nie. – Kłamstwo przyszło Simonowi łatwo. To Cornelius strzelał do Luthera i ich uratował, ale Simon nigdy by go nie wydał. – Jasne, że nie.

– No właśnie. A innych podejrzanych nie ma. Tak więc obrońca będzie twierdził, że to pan strzelał do Luthera Ritza. Miał pan czas, gdy reszta uciekła. Ukrył pan broń. Jeśli nosił pan rękawiczki, to się pan ich pozbył. I tak dalej.

– Inspektorze?

– Tak?

– Aresztuje mnie pan?

– Nie.

– Więc to wszystko może poczekać, prawda?

– Chyba tak. Nie wierzę w wersję Luthera. Więc mamy jasność. Ale jedno wydaje mi się dziwne.

– Co takiego?

– Pamięta pan, jak poszliśmy do jego izolatki, żeby mógł go pan zidentyfikować?

– Tak.

– A on, powiedzmy, nie wykazał się refleksem, jeśli wie pan, co mam na myśli. Głupio się przyznał, że był na miejscu strzelaniny, zgadza się?

– Tak.

– Więc nie jest zbyt lotny.

– Fakt.

– A jednak kiedy go zapytałem, dlaczego strzelał, co odpowiedział? Pamięta pan?

Simon milczał.

– Wskazał pana i rzucił: „Dlaczego nie spyta pan jego?”.

Simon to pamiętał. Pamiętał także gniew, który go ogarnął, gdy tak patrzył na Luthera, tego śmiecia, który chciał pozbawić Ingrid życia. To, że ktoś taki miał taką możliwość, wprawiało go we wściekłość.

– Tonący brzytwy się chwyta, inspektorze.

– Czyżby?

– Pewnie.

– Nie sądzę, żeby był taki bystry, Simon. Wydaje mi się, że wie coś, czego nam nie zdradził.

Simon zastanawiał się przez chwilę.

– Co takiego?

– Niech pan mi powie – odparł Fagbenle. – Kto strzelał do Luthera, Simon? Kto was uratował?

- Nie wiem.
 - To kłamstwo.
- Simon milczał.

– W tym sęk, przyjacielu – ciągnął policjant. – Jeśli człowiek pozwoli sobie na jedno kłamstwo, choćby z najszlachetniejszych pobudek, potem utonie w kolejnych. Te kłamstwa przesłonią prawdę. Więc zapytam jeszcze raz: kto strzelił do Luthera?

Stali naprzeciwko siebie w odległości kilkunastu centymetrów i mierzyli się wzrokiem.

– Już mówiłem – odrzekł Simon przez zaciśnięte zęby. – Nie mam pojęcia. Czy coś jeszcze chce pan wiedzieć?

- Nie, chyba nie.
- To pozwoli pan, że pójde posiedzieć przy żonie.

Fagbenle klepnął go w ramię gestem, który miał być przyjacielski i jednocześnie groźny.

- Będziemy w kontakcie.

Gdy policjant oddalał się korytarzem, Simon poczuł wibracje telefonu. Nie znał numeru osoby dzwoniącej i zastanawiał się, czy nie przekierować połączenia na pocztę głosową – za dużo tego telemarketingu, nawet na komórki – ale kierunkowy był taki sam jak w Lanford College. Odszedł więc na bok i odebrał.

- Halo?
- Pan Greene?
- To ja.

– Prosił mnie pan o kontakt, więc dzwonię. Louis van de Beek. Wykładowca w Lanford College.

Niemal zapomniał, że próbował się z nim porozumieć.

- Dziękuję, że się pan odezwał.
- Nie ma sprawy.
- Chodzi o moją córkę, Paige.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Pamięta ją pan? Paige Greene.
- Tak. – Głos męczyzny wydawał się bardzo odległy. – Oczywiście.
- Wie pan, co się z nią stało?
- Słyszałem, że porzuciła studia.

- Zaginęła, panie profesorze.
- Przykro mi bardzo.
- Sądzę, że coś jej się przydarzyło na uczelni. Że cała ta sprawa miała początek w Lanford.
- Panie Greene?
- Tak?
- Jeśli dobrze pamiętam, mieszkają państwo na Manhattanie.
- Zgadza się.
- Jest pan tam teraz?
- W mieście? Tak.
- W tym semestrze mam zajęcia na Uniwersytecie Columbia. Była to uczelnia, na której studiował Simon.
- Może więc – ciągnął van de Beek – porozmawiamy o tym osobiście.
- Mogę przyjechać za dwadzieścia minut.
- Potrzebuję trochę więcej czasu. Zna pan kampus?
- Tak.
- Na schodach przed głównym budynkiem stoi duży posąg. W tym budynku mieściła się Low Memorial Library. Brązowa statua, nazwana dziwnie *Alma Mater*, przedstawiała grecką boginię Atenę.
- Tak.
- Spotkajmy się tam za godzinę.

• • •

W Green-N-Leen Vegan Café zjawiała się policja, bo kiedy Raoul ze swoim męskim kokiem, zdzielony przez Elenę kolanem, upadł na podłogę, ktoś zadzwonił pod 911. Początkowo młody człowiek, który wciąż trzymał się za jądra, chciał wniesć przeciwko niej oskarżenie.

– Ona zamierzyła się na moje klejnoty rodowe! – wrzeszczał.

Gliniarze przewrócili oczami, wiedzieli jednak, że muszą spisać zeznanie. Elena odciągnęła go na bok i oświadczyła:

– Jeśli ty wniesiesz skargę, to i ja.

– Ale pani...

– Tak, wiem, zrobiłam ci krzywdę...

Raoul wciąż przyciskał dłonie do krocza, jakby tulił rannego ptaka.

– ...jednak to ty mnie zaatakowałaś – dokończyła.

– Jak to? Skąd ta myśl?

– Raoul, nie znasz się na tym. A ja tak. Nagranie monitoringu dowiedzie, że pierwszy wyciągnąłeś rękę i naruszyłeś moją nietykalność.

– Bo pani biegła za moją znajomą!

– A ty siłą próbowałeś mnie zatrzymać, więc się broniłam. Tak to będzie wyglądało. Albo i gorzej. Spójrz na mnie, Raoul. – Elena rozłożyła ręce. – Jestem niska, przysadzista, i choć na pewno pielęgnujesz w sobie kobiecość i popierasz feministki, to film przedstawiający grubawą kobietę w średnim wieku dającą ci kolanem w jaja zrobi furorę w internecie.

Raoul wytrzeszczył oczy. Tego nie wziął pod uwagę, chociaż jego męski kok może tak.

– Chcesz się w to wdawać?

Założył ręce na piersi.

– Raoul?

– Dobra – powiedział najpotulniej, jak można sobie wyobrazić. – Nie wniosem skargi.

– Hm, ale tak się zastanawiam... Może ja wniosem?

– Słucham?

Elena zawarła z nim umowę. „Prawdziwe” nazwisko Alison Mayflower – Allie Mason – i jej obecny adres. W zamian puści w niepamięć to, co przed chwilą się zdarzyło. Alison mieszkała na farmie pod Buxton. Elena pojechała tam. Nie zastała nikogo w domu. Zastanawiała się, czy nie posiedzieć tam przez jakiś czas i nie poczekać, ale miejsce wyglądało na dawno nieodwiedzane.

Po powrocie do hotelu usiadła w pokoju, który nie mógł bardziej wyglądać na motelowy, i zaczęła obmyślać kolejne kroki. Lou z jej biura odkrył, że Allie Mason mieszka na farmie z niejaką Stephanie Mars.

Czy ta Stephanie Mars była jej przyjaciółką? Krewną? Partnerką? Czy w ogóle miało to znaczenie?

Może powinna wrócić do Buxton – to tylko pół godziny jazdy – i jeszcze raz sprawdzić, czy kogoś tam nie zastanie?

Nie było powodu sądzić, że Alison Mayflower tym razem zechce współpracować, ale czy właśnie nie dzięki zawziętości Elenie udawało się ustrzelić dużą zwierzynę? Dosłownie. I nie to, że pierwsze spotkanie nic nie dało. Dało. Te adopcje były najwyraźniej szemrane. Elena podejrzewała to już

wcześniej, ale po rozmowie z Alison Mayflower zyskała pewność. Dowiedziała się także, że tym dzieciom coś groziło: tak przynajmniej uważała Alison. I doszedł jeszcze jeden element tej zagmatwanej układanki, choć Elena nie miała pojęcia, gdzie go wstawić.

Te wszystkie adoptowane dzieci to byli chłopcy.

Ale dlaczego? Dlaczego nie dziewczynki?

Wzięła bloczek i długopis, po czym długo pisała. Damien Gorse był z nich najstarszy, Henry Thorpe – najmłodszy. Różnica wieku między nimi wynosiła dziesięć lat. Dziesięć lat. I Alison tkwiła w tym przez tak długi czas?

To oznaczało, że była mocno uwikłana. Bardzo mocno.

Zadzwoiła komórka. Lou zawiadomił, że zainstalował w jej telefonie pluskwę, która uniemożliwiała identyfikację dokonywanych przez nią połączeń czy coś takiego.

– Używają tej wtyczki w Białym Domu – poinformował. – Dlatego nigdy nikt ich nie nakryje.

Lou nie korzystał z tego zbyt często.

– Jesteś sama? – zapytał, kiedy odebrała.

– Nie dzwonisz w celach erotycznych, co?

– No nie. Otwórz laptopa, mądralo. – W jego głosie wyraźnie brzmiała ekscytacja.

– Dobra.

– Wysłałem ci link. Kliknij na niego.

– Daj mi chwilę, co? Muszę wstukać swoje hasło.

– Poważnie? Nie zapisałaś go?

– Jak się to robi?

– Nieważne. Powiedz, kiedy wejdiesz na tę stronę.

Elena znalazła wiadomość od Lou i kliknęła na link. Na ekranie ukazała się strona o nazwie Ance-Story.

– Bingo – powiedziała.

– Co? O co chodzi?

– Tylko coś sprawdzę.

Wzięła telefon i przejrzała odebrane esemesy. Simon Greene donosił, że z karty kredytowej jego córki nie pobrano wprawdzie żadnych sum na konto DNAYourStory, natomiast ściągnięta została kwota w wysokości siedemdziesięciu dziewięciu dolarów na konto...

Ance-Story.

Powiedziała o tym Lou.

– Dobra – skwitował. – Więc to jeszcze większa rewelacja, niż sądziłem.

Elena przesunęła wzrokiem po stronie, którą miała przed sobą. Nie ulegało wątpliwości – to była zdecydowanie jedna z tych oferujących ustalenie więzów pokrewieństwa. Widniały na niej zdjęcia obejmujących się ludzi z chwytliwymi hasłami: *Odkryj, kim naprawdę jesteś, czy tylko ty jesteś sobą – wytrop swoje pochodzenie etniczne*. Znajdowały się tam także inne linki, które umożliwiały potencjalnemu klientowi – jak te uradowane osoby na fotografiach – *odnalezienie nieznanых krewnych*.

Poniżej zamieszczono oferty dla użytkowników strony. Pierwszy pakiet, w cenie siedemdziesięciu dziewięciu dolarów, umożliwiał poznanie swojego pochodzenia i dotarcie do krewnych na podstawie DNA. Drugi, nazwany *zdrowotnym*, oferował to samo co pierwszy, ale za dodatkowe osiemdziesiąt dolarów dostawało się *pełny raport medyczny, który pozwoli poprawić stan zdrowia*.

Nad droższym pakietem napisano błyskającymi literami *Polecamy*. A to niespodzianka! Firma sama radziła, żebyś wydał więcej na ich produkt. Niesamowite.

– Jesteś na stronie głównej? – zapytał Lou.

– Tak.

– Kliknij na ZALOGUJ SIĘ.

– Dobra.

– Zobaczysz dwa pola. Nazwa użytkownika i hasło.

– Widzę.

– Teraz popełnisz przestępstwo. Zainstalowałem ci tę aplikację, bo wykombinowałem, w jaki sposób dostać się na konto Henry’ego Thorpe’a.

– Jak ci się to udało?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Nie.

– Wiem, że uzyskalibyśmy zgodę od jego ojca...

– Ale on nie ma żadnych uprawnień. Tak mi dzisiaj powiedziano.

– Więc to, co robimy, logując się jako Henry... hm... tym bardziej nie jest zgodne z prawem. Technicznie rzecz biorąc, można by to uznać za atak hakerski. Chcę cię tylko ostrzec.

– Lou?

– No?

– Podaj mi tę nazwę użytkownika i hasło.

Podał, a ona je wpisała. Ukazała się podstrona z nagłówkiem: *Witaj ponownie, Henry. Oto twoje pochodzenie etniczne.*

Wynikało z niej, że Henry był w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach Europejczykiem; jak wyszczególniono poniżej, w pięćdziesięciu ośmiu Brytyjczykiem, w dwudziestu Irlandczykiem, w czternastu Żydem aszkenazyjskim, w pięciu Skandynawem (reszta nie miała znaczenia).

– Zjedź na dół strony – polecił Lou.

Przewinęła coś o nazwie *Twoje chromosomy.*

– Widzisz link *Twoi krewni?*

Potwierdziła.

– Wejdź w niego.

Pojawiła się następna podstrona. Na górze można było przeczytać: *Pokrewieństwo według bliskości.* A obok: *Masz ośmiuset dziewięćdziesięciu ośmiu krewnych.*

– Ośmiuset dziewięćdziesięciu ośmiu? – zapytała Elena.

– Lepiej, żeby Henry Thorpe kupił sobie duży stół na Święto Dziękczynienia, co? To całkiem przeciętna liczba, może nawet mniejsza niż w przypadku większości ludzi. Przeważnie to dalecy kuzyni, którzy mają bardzo niewiele twojego DNA. Ale wejdź na pierwszą stronę. – Podniecenie w jego głosie rosło.

Kliknęła na odpowiedni link. Tym razem ładowanie trwało dłużej.

– Widzisz?

– Chwileczkę, korzystam z hotelowego wi-fi.

I wtedy zobaczyła. Faktycznie wszystko zaczęło układać się w całość. Na to przynajmniej wyglądało. Elementy układanki wskakiwały po kolei na miejsce.

Rodzeństwo przyrodnie Henry’ego liczyło cztery osoby.

– Jasna cholera – sapnęła.

– No.

Na pierwszym miejscu widniał Damien Gorse z Maplewood w New Jersey. Pełne imię i nazwisko. Tak po prostu. Zamordowany właściciel salonu tatuażu był bratem przyrodnim jej klienta.

Niżej, również pod nagłówkiem *Brat przyrodni*, znajdowały się tylko inicjały.

– *A.C. z północnego wschodu* – przeczytała Elena. Nie musiała długo szukać w pamięci. – Aaron Corval.

– Pewnie tak.

– Da się to jakoś potwierdzić?

– Pracuję nad tym. Na tej stronie nie można zarejestrować się całkiem anonimowo. Są dwie opcje. Albo wpisujesz pełne nazwisko, albo tylko inicjały. Ale muszą być prawdziwe. Powiedziałbym, że połowa klientów podaje pełne nazwisko, a połowa inicjały.

Następnie, również jako brat przyrodni, widniał N.B. z Tallahassee na Florydzie.

– A tego N.B. da się odnaleźć?

– Legalnie nie.

– A nielegalnie?

– Będzie trudno. Mogę wysłać mu wiadomość jako Henry Thorpe i zobaczymy, czy zdradzi swoje nazwisko.

– No to zrób tak – poleciła.

– To złamanie...

– Dojdą do nas?

– Nie obrażaj mnie.

– Więc to roboty – rzuciła Elena.

– Od razu mi staje, gdy tak naginasz prawo.

– Super. Musimy powiadomić władze. Może na podstawie tego, co mamy, uda im się zdobyć nakaz.

– Nie możemy im zdradzić, co wiemy, zapomniałaś?

– Fakt, rzeczywiście. Ale tego N.B., jeśli zdołamy ustalić jego tożsamość, trzeba ostrzec. Może być następną ofiarą.

– I nie ostatnią.

– Co masz na myśli? Nie ostatnią...?

– Z rodzeństwa.

– Skąd to przypuszczenie? – zapytała.

– Henry Thorpe korzystał z usług co najmniej trzech takich stron.

– Dlaczego?

– Wielu ludzi tak robi. Szanse odnalezienia krewnych rosną wraz z liczbą baz danych, do których się należy. Henry znalazł czterech przyrodnych braci tylko na Ance-Story. Może gdzie indziej poznał kolejnych.

– To wszystko są bracia przyrodni, prawda?

– Tak. Ze strony ojca.

Spojrzała na dół strony.

– A ten ostatni facet, czwarty brat przyrodni?

– Który?

– Kevin Gano z Bostonu. Sprawdziłeś go?

– No. I... Ta-dam! Jesteś gotowa?

– Lou...

– Gano nie żyje.

Spodziewała się tego, a jednak ją ścięło.

– Zamordowany?

– Popełnił samobójstwo. Rozmawiałem z miejscową policją. Żadnych podejrzanych okoliczności. Stracił pracę, chyba miał depresję. Poszedł do garażu i palnął sobie w łeb.

– Ale nie szukali niczego podejrzanego – stwierdziła. – Prawdopodobnie został...

Urwała. Serce jej zamarło.

– Elena?

Nie powiedziała tego na głos, ale nagle wyjaśnienie stało się oczywiste. Samobójstwo. Dwa zabójstwa.

I zniknięcie.

Henry Thorpe prawdopodobnie nie żył. Jeśli mordercy zależało, żeby nie powiązano tej sprawy z innymi – żeby policja nie zaczęła szukać czegoś, co by łączyło ofiary, powiedzmy, na jakiejś stronie genealogicznej – to musiał się postarać, żeby jedno z zabójstw wyglądało na ucieczkę.

Niech to szlag.

Czyżby szukała trupa?

– Elena?

– Tak, jestem. Musimy poszukać czegoś jeszcze.

– Czego?

– Wiemy, że Paige Greene także zarejestrowała się na Ance-Story.

– Ale z tego widać, że nie należy do rodzeństwa przyrodniego. Tu jest kompletna lista. Sami mężczyźni.

– Może jest z nimi związana w inny sposób.

– Na stronie masz wyszukiwarke. Skorzystaj z niej.

Wstukała *Paige Greene*. Nic. Wpisała więc samo nazwisko, a potem tylko inicjały, jak sugerował Lou. Znowu nic. Przejrzała listę krewnych. Byli tam kuzyn w pierwszym stopniu pokrewieństwa, także mężczyzna, i kilku w trzecim stopniu.

Żadnej Paige. Żadnych P.G.

– Więc Paige Greene nie należy do krewnych – skwitował Lou.

– To jakie jest jej miejsce w tej układance?

Rozdział 29

Dzięki aplikacji Simon dowiedział się, że metrem dojedzie na Uniwersytet Columbia w jedenaście minut, czyli znacznie szybciej niż taksówką albo samochodem. Czekał na windę, która zwiozłaby go w czeluści Washington Heights, gdy zadzwoniła jego komórka.

Numer, który pojawił się na wyświetlaczu, był zastrzeżony.

– Halo?

– Za dwie godziny będę miał wyniki testów na rodzicielstwo.

Telefonował Randy Spratt z laboratorium genetycznego.

– Świetnie – odparł Simon.

– Panie Greene, zna pan określenie „płatność przy odbiorze”.

O rany, to zdumiewające, jak łatwo ludzie ulegają korupcji.

– Będę miał gotówkę.

Spratt zakończył rozmowę. Simon odszedł na bok i zadzwonił do Yvonne.

Odebrała, mówiąc niepewnie:

– Cześć.

– Spokojnie – rzucił. – Nie dzwonię, żeby wypytywać o wielki sekret Ingrid.

Chcę cię prosić o przysługę.

– Słucham.

– Chciałbym pobrać dziewięć tysięcy dziewięćset dolarów w gotówce w oddziale naszego banku przy szpitalu.

Suma musiała być niższa od dziesięciu tysięcy. Przy wyższej wypłacie należało wypełnić CTR – formularz informujący o transakcji gotówkowej – w FinCEN. Krótko mówiąc, operacja zostałaby zgłoszona do urzędu skarbowego albo organów ścigania, a Simon wolał tego uniknąć.

– Załatwisz mi to? Proszę.

– Już się robi. – A potem pytanie: – Po co ci tyle forsy?

– Nie tylko ty i Ingrid macie tajemnice.

To było z jego strony niedojrzałe, ale cóż.

Gdy tylko przerwał połączenie, winda się otworzyła, ukazując obskurną i słabo oświetloną kabinę. Pasażerowie wchodzili do niej, dopóki nie rozległ się dzwonek. Windy w metrze, zjeżdżające do wnętrza ziemi, chyba najlepiej uzmysławiają mieszkańcom miasta, co przeżywają górnicy, choć oczywiście to tylko namiastka.

Wagon osiągnął niemal pełną ładowność, choć nie przypominał jeszcze puszek sardynek. Simon wolał stać. Trzymał się słupka. Kiedyś podczas jazdy metrem zaglądał do telefonu albo czytał gazetę, aby tylko zabić klaustrofobiczny lęk: że jest zamknięty z nieznanymi w jednym pomieszczeniu. Ostatnio jednak lubił patrzeć na twarze współpasażerów. Metro to mikrokosmos całej planety. Można tam spotykać przedstawicieli różnych narodowości, poglądów, płci, wyznań. Zobaczyć przejawy uczuć i nastawienia. Usłyszeć muzykę i głosy, śmiech i płacz. Podróżują nim ludzie zamożni, w strojach do pracy (jak często on sam), i żebracy. W metrze wszyscy są równi. Płacą tyle samo za przejazd. Mają te same prawa do tych samych miejsc.

Z jakiegoś powodu od roku czy dwóch nie unikał korzystania z podziemnej komunikacji. Metro stało się dla niego, jeśli tylko nie było robót budowlanych albo opóźnień, czymś w rodzaju schronienia.

Simon wkroczył na kampus Columbii główną bramą, od Broadway i Sto Szesnastej Ulicy. Z tego samego wejścia skorzystał po raz pierwszy jako uczeń szkoły średniej, gdy przyjechał z ojcem na zwiedzanie uniwersytetu. Jego ojciec, najwspanialszy człowiek, jakiego Simon kiedykolwiek znał, był elektrykiem zrzeszonym w związku zawodowym IBEW. Myśl, że jego syn któregoś dnia może wstąpić na uczelnię należącą do Ivy League, zdumiewała go i przerażała jednocześnie.

Przy nim Simon zawsze czuł się bezpieczny.

Ale, niestety, dwa tygodnie przed tym, jak ukończył liceum, ojciec zmarł na rozległy zawał podczas pracy w Millburn w New Jersey. Był to druzgocący cios dla całej rodziny – pod wieloma względami początek końca. Kiedy Simonowi rodziły się kolejne dzieci, niczym praktykant naśladowujący mistrza usiłował sobie przypomnieć, jak radził sobie jego tata, ale zawsze miał poczucie, że mu nie dorównuje.

Czy jego dzieci kochały go tak samo, jak on kochał ojca?

Czy tak samo go szanowały?

Czy czuły się przy nim bezpiecznie?

I przede wszystkim: czy jego ojciec dopuściłby do tego, żeby córka została ćpunką? Stałby beczynnym, gdyby strzelano do jego żony?

Takie myśli gnębiły Simona, kiedy wkraczał na kampus, w którym spędził cztery lata.

Obok niego szybko przechodzili studenci, przeważnie z opuszczonymi głowami. Mógłby poczynić typową smutną obserwację: że obecnie młodzież tylko wpatruje się w te swoje ekraniki albo w słuchawkach na uszach usiłuje odciąć się od świata, być w tłumie, lecz samemu. Tyle że jego pokolenie przecież nie było lepsze, więc o co chodzi?

Dostrzegł posąg Ateny, greckiej bogini mądrości, siedzącej na swoim tronie. Wiedział, że jeśli dobrze się przyjrzeć, można zobaczyć małą sowę ukrytą pod płaszczem przy jej lewej nodze. Według legendy pierwszy student z nowego rocznika, który dostrzegł ptaka, później wygłaszał mowę na zakończenie studiów. Atena wyciąga ręce, podobno żeby powitać gości, ale Simon czasami kojarzył to z gestem swojej babci, gdy mówiła: „Ech, co można na to poradzić?”.

Znowu zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu zobaczył, że to Elena.

– Coś nowego? – zapytał.

– No.

Nie wdawała się w wyjaśnienia, po co tak naprawdę pojechała do Maine, wspomniała jedynie, że z adopcjami jest coś nie tak. Skupiła się na tym, co z pomocą swojego technika odkryła na jednej ze stron poświęconych genealogii. Simon wszedł po schodach prowadzących do biblioteki. Usiadł na zimnym marmurze, a raczej się na niego osunął, słuchając relacji Eleny – o adopcjach, braciach przyrodnych, nagłych śmierciach.

– Ktoś ich wykańcza – skwitował w pewnym momencie.

– Na to wygląda.

Sam nie bardzo wiedział, co poczuł, gdy usłyszał, że Paige, która przecież także poddała się testowi DNA za pośrednictwem internetu, nie była spokrewniona z ofiarami. Powinien się nieco uspokoić, bo czy nie znaczyło to, że jest jej biologicznym ojcem? Przyszła mu jednak do głowy pewna myśl.

– Nie mamy pewności – rzucił.

– Co do czego, Simon?

– Czy Paige również nie należy do przyrodniego rodzeństwa.

– Jak to?

– Może nie zarejestrowała się pod prawdziwym nazwiskiem. Czytałem o takich przypadkach, że ludzie wysyłają próbki DNA kogoś innego albo podają fałszywe dane. Więc może to ona jest czwartą z rodzeństwa.

– N.B.?

– Właśnie.

– Niemożliwe, Simon.

– Dlaczego?

– Bo tam wyszczególnieni są tylko mężczyźni. Gdyby Paige wysłała próbkę własnego DNA, choćby i pod fałszywym nazwiskiem, zorientowaliby się, że jest kobietą. To był materiał genetyczny faceta. Więc N.B. to na pewno nie Paige.

– Może posłużyła się innym pseudonimem.

– Niewykluczone. Mamy jednak dostęp do strony Henry’ego Thorpe’a i listy jego krewnych. Nie ma wśród nich kobiety, która byłaby bliżej z nim spokrewniona niż w trzecim stopniu.

– Wciąż nie rozumiem. To jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Paige?

– Coś łączyło ją z Aaronem, ale nie wiem co. Może szukamy nie tam, gdzie trzeba.

– Nie rozumiem.

– A jeśli twoja córka wysłała próbkę DNA kogoś innego, a nie swoją?

– Myślałem o tym, ale po co miałyby to robić?

– Nie potrafię odpowiedzieć. Musimy odtworzyć jej kroki. Może coś odkryła. Jakieś przestępstwo albo coś innego, co nie miało sensu. Coś, co doprowadziło ją do Aarona.

Simon zastanowił się nad tym.

– Cofnijmy się i przeanalizujmy, co wiemy na pewno.

– Dobra.

– Po pierwsze, wszyscy ci mężczyźni mieli tego samego biologicznego ojca.

– Zgadza się.

– Zostali adoptowani za pośrednictwem tej samej małej agencji w Maine.

– Hm...

– I sprawy te próbowano zatuszować. W dokumentach adopcyjnych nie podano nazwiska ojca.

– Z tego, co wiemy – potwierdziła Elena.

Simon przełożył telefon z prawej ręki do lewej.

– Czytałaś o przypadkach, kiedy lekarz zajmujący się leczeniem niepłodności w końcu używa własnego nasienia, żeby zapładniać pacjentki? Była chyba taka sprawa w Indianie: pewna kobieta dowiedziała się dzięki podobnej stronie genealogicznej, że ma ośmioro rodzeństwa, wszyscy oni się spotkali i odkryli, że lekarz wykorzystywał do zapłodnienia swoją spermę, ale twierdził, że pochodzi ona z banku nasienia.

– Tak, pamiętam – odparła Elena. – Dużo jest takich historii. Jedna, słynna, wydarzyła się w Utah, druga w Kanadzie.

– Ale jesteś sceptyczna.

– Po prostu nie widzę analogii z naszą sprawą. Tamte kobiety nie chciały oddać swoich dzieci do adopcji. Bardzo ich pragnęły.

Miała rację.

– Wciąż coś nam umyka – zauważył.

– No. Czyli jednak muszę odnaleźć Alison Mayflower, bo to ona zajmowała się tymi adopcjami. Zagrozę jej więzieniem, trudno. Zamierzam także zainteresować sprawą FBI, ale nie mogę zrobić tego oficjalnie.

– Dlaczego?

– Wszystkie informacje, jakie ci przekazałam, są poufne. Gdyby wyszły na jaw, można by nam zarzucić, że zdobyliśmy je nielegalnie... działając w złej woli czy coś takiego. W każdym razie, nawet gdybym dziś powiadomiła FBI, nie zajęliby się tą sprawą od razu. Minęłyby całe dni albo i tygodnie, zanim komuś by ją przydzielili. A my nie mamy... – Przerwała. – Simon, poczekaj, ktoś do mnie dzwoni.

Potoczył wzrokiem po kampusie. Przypomniało mu się coś, co zrobiło wrażenie na jego ojcu podczas zwiedzania uczelni. Główny kampus – tu, gdzie siedział teraz Simon, naprzeciwko College Walk, którym wszedł, za South Fields – był otoczony budynkami Low Library i Butler Library.

– Dwie biblioteki, synu – zauważył, kręcąc głową. – Czy może być lepszy symbol nauki i kształcenia?

Dziwne, że akurat teraz o tym pomyślał, ale to wspomnienie pozwalało mu odsunąć od siebie przygnębiającą refleksję: nawet gdyby doszedł, o co chodzi z tymi przyrodnimi braćmi i adopcjami, jak miałyby to pomóc w odnalezieniu Paige?

Ponownie zgłosiła się Elena.

– Simon?

Po schodach obok niego przebiegł jakiś mężczyzna. Zmierzał w stronę posągu Ateny. Simon rozpoznał jego twarz ze zdjęcia na profilu internetowym: był to profesor Louis van de Beek. Nie odejmując komórki od ucha, Simon wstał, żeby za nim pójść.

– No, co tam?

– Muszę kończyć. Alison Mayflower chce się ze mną spotkać.

Rozdział 30

Ash zaparkował za domem. Samochodu nie było widać z drogi, ale Dee Dee stanęła na straży, w razie gdyby ktoś skręcił na długi podjazd. Zajrzał na tył wozu. Wszystkie torby były na miejscu. Rozsunął suwaki, wyjął całą broń i rozłożył ją na tylnym siedzeniu.

Zgadza się.

Wziął, czego potrzebował, pozostałe gnaty schował z powrotem do pokrowców i wkładając do ust dwa palce, gwizdnął cicho. Kiedy Dee Dee wróciła, podał jej pistolet FN 5.7.

– Miałaś czas, żeby się zastanowić – powiedział.

– Nad czym?

– Nad liścikiem matki Adiony. Przede wszystkim: kim ona jest?

– Służy w komnacie. Wyżej kobieta nie zajdzie.

– Sądzisz, że jest lojalna wobec sekty?

– Przestań z tą sektą – zaprotestowała Dee Dee. – Tak, jest lojalna. Oprócz niej służy u nas jeszcze tylko jedna matka, Abeona. Obie były tak czyste, że Prawda wybrał je, aby spłodzić z nimi Gościa i Ochotnika.

– Więc synowie Vartage'a są braćmi przyrodnimi?

– Tak.

– A który to syn matki Adiony?

– Ochotnik.

– Czyli Adiona jest matką Ochotnika, a Abeona – Gościa.

– No. – Skierowali się na tył domu. – Dlaczego to cię interesuje?

– Wcale mnie nie interesuje. Tylko nie chciałbym, żeby ktoś knuł coś przeciwko nam.

– Nie mówisz poważnie.

– Adonie tak zależało, aby się dowiedzieć, czym się zajmujemy, że pozwoliła tamtemu się nade mną pastwić. A potem wcisnęła mi liścik, prosząc, żebym nie wykonał zlecenia. To nie budzi twojego niepokoju?

– Ojej, budzi – przyznała.

Ash rozejrzał się.

– Dee Dee?

– No?

– Dlaczego mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego?

Uśmiechnęła się i stanęła naprzeciwko niego. Serce zabiło mu mocniej.

– Czujesz to, prawda? W jego obecności.

– Vartage ma charyzmę. Fakt.

– A Niebiosą Prawdy?

– Jest tam cicho i spokojnie – zgodził się.

– To coś więcej. Jest sielsko.

– No i co z tego?

– Pamiętasz, jaka byłam dawniej?

Pamiętał. Popieprzona. Ale nie ze swojej winy. Zbyt wielu ojców w rodzinach zastępczych, nauczycieli, pedagogów szkolnych i przewodników duchowych, zwłaszcza tych najbardziej świętoszkowatych, nie mogło utrzymać łap przy sobie.

– Jasne.

– Nie sądzisz, że zmieniłam się na lepsze, Ash?

– Tak. – Słońce świeciło mu w oczy, więc żeby je osłonić, przytknął dłoń do czoła, co przypominało salut. – Ale to nie musi być albo-albo.

– Dla mnie tak.

– Możemy uciec. – Usłyszał w swoim głosie jakiś obcy ton. Desperację. Tęsknotę. – Znajdziemy sobie jakieś ustronne miejsce. Spokojne jak twoje Niebiosą Prawdy. Ciche. Sielskie.

– Możemy – przyznała. – Ale to się nie uda.

Już miał powiedzieć coś jeszcze, ale położyła mu palec na ustach.

– W świecie rzeczywistym jest za dużo pokus, Ash. Nawet teraz, gdy jestem tu z tobą, muszę uważać, być czujna, przestrzegać dyscypliny, bo inaczej znowu by mnie przyskrzynili. I źle bym skończyła. A pragnę czegoś więcej.

– Więcej?

– Tak.

– Daje ci to ślepa wiara w tę całą bzdurną prawdę?

– Och, ja w nią wcale nie wierzę.

– Czeka, czeka. Jak to?

– Większość osób religijnych nie wierzy w dogmat, Ash. Bierzymy z niego, co chcemy, a odrzucamy to, co nam nie odpowiada. Tworzymy własną jego wersję, dobrego albo mściwego Boga, aktywnego albo wycofanego, wszystko jedno. Po prostu staramy się wziąć z tego coś dla siebie. Może wiarę, że my będziemy żyć wiecznie, podczas gdy ci, których nie lubimy, będą się smażyć w ogniu piekielnym. Może coś bardziej konkretnego: pieniądze, pracę, znajomych. Wystarczy tylko zmienić wersję.

– Jestem zdziwiony, że to słyszę – odparł Ash.

– Naprawdę?

Przytknął złożone dłonie do szyby w tylnym oknie, żeby zajrzeć do kuchni. Pusto. Światła zgaszone. A stół kuchenny nakryty białym płótnem, takim, jakim nakrywa się sprząty, gdy wyjeżdża się na dłużej.

– Kiedy Prawda wyruszył do Arizony – ciągnęła Dee Dee – i znalazł na pustyni ukryty symbol... będący podstawą naszej wiary w jedną jedyną Prawdę... wiesz, jaką przyszłość mu on przepowiedział?

Ash odwrócił się od okna.

– Kiedy obecne wcielenie Prawdy umrze i wejdzie na drugi poziom, nie zastąpią go inni – powiedziała. – Prawda zostanie zjednoczona i wzmocniona przez dwie osoby, reprezentujące całą ludzkość. Mężczyznę. I kobietę. Wyjątkową kobietę. – Uśmiechnęła się szeroko.

Ash spojrzał na nią uważnie.

– Ciebie.

Na potwierdzenie rozłożyła ręce.

– I to naprawdę symbol przepowiedział tę historię o mężczyźnie i kobiecie?

– Nie, jasne, że nie, Ash.

Zrobił minę świadcząca o tym, że nie rozumie.

– To ostatnia... – Dee Dee palcami pokazała cudysłów – interpretacja.

– A więc wiesz – stwierdził Ash.

– Co takiego?

– Że to wszystko kit.

– Nie, Ash, nie chwytasz. Jak wszyscy inni biorę z dogmatu to, czego potrzebuję. To mnie napędza. Świadomość, że nie wszystko jest dosłowne, wcale

nie osłabia mojej wiary. Tylko ją wzmacnia. Daje mi poczucie władzy.

– Inaczej mówiąc, znalazłaś sposób, żeby było po twojemu – skomentował Ash.

– To twój punkt widzenia. Masz do niego prawo. – Dziewczyna spojrzała na zegarek. – Chodźmy. Już czas.

Ruszyła po stoku wzgórza. Ash poszedł za nią.

– A te nasze zlecenia – zaczęła. – Zachęciły Prawdę do dokonania nowej... interpretacji... na twoją korzyść, tak?

Dee Dee dalej parła przed siebie.

– Nie tylko Bóg działa w tajemniczy sposób.

• • •

– Profesor van de Beek? – zapytał Simon.

– Proszę mi mówić po imieniu, Louis.

Profesor wyglądał jak na zdjęciu z biogramu w internecie – młody, chłopięcy, gładki, śniady. Miał na sobie czarny T-shirt, tak jak tam. Kiedy podali sobie ręce, umknął spojrzeniem w bok, ale przynajmniej przywołał na twarz uśmiech, taki, którym pewnie – mimowolnie z niechęcią pomyślał Simon – czarował swoje studentki. I być może jego córkę. Czy to przejaw seksistowskiego myślenia?

– Naprawdę przykro mi z powodu Paige – zaczął van de Beek.

– W jakim sensie?

– Słucham?

– Powiedział pan, że mu przykro. W związku z czym?

– Czy nie wspomniał pan przez telefon, że zaginęła?

– I dlatego jest panu przykro, Louis?

Profesor wzdrygnął się, słysząc ton jego głosu, i Simon zdał sobie sprawę, że jest zbyt agresywny.

– Przepraszam – odezwał się znacznie łagodniej. – Tylko że... moja żona została postrzelona. Matka Paige.

– Co takiego? Och, to straszne. Czy ona...?

– Zapadła w śpiączkę.

Wykładowca zbladł.

– Cześć, Louis!

Zauważyli go dwaj studenci – płci męskiej, w kwestii formalnej – którzy szli po schodach do biblioteki. Przystanęli, żeby się przywitać, ale on nie zwrócił na nich uwagi.

Drugi z nich rzucił więc:

– Louis?

Simon nie lubił, kiedy studenci mówili do wykładowców po imieniu.

Van de Beek wrócił do rzeczywistości, skądkolwiek się przeniósł pod wpływem tego, co usłyszał od Simona.

– O, cześć, Jeremy, cześć, Darryl.

Uśmiechnął się do nich, ale słabo. Speszeni studenci ruszyli dalej.

– Chciał mi pan coś powiedzieć? – ponaglił go Simon.

– Co? Nie, to pan się ze mną kontaktował.

– Owszem, ale kiedy pan oddzwonił, odniosłem wrażenie, że ma mi pan coś do powiedzenia.

Van de Beek przygryzł dolną wargę.

– Ze wszystkich wykładowców Paige pana lubiła najbardziej – dodał Simon.

– Ufała panu.

Była to w najlepszym razie informacja z trzeciej ręki, ale pewnie zgodna z prawdą i co najmniej pochlebna.

– Paige, wspaniała studentka – odparł van de Beek. – Taka, o jakich myślimy my, nauczyciele akademicy, kiedy wybieramy drogę zawodową.

Brzmiało to jak sentencja, którą już nieraz się posługiwał, ale być może mówił szczerze.

– Więc co się stało? – zapytał Simon.

– Nie wiem.

– Przysłałem wam bystrą, dociekliwą młodą kobietę. Dopiero co wyrwała się na swobodę, z dala od domu i rodziny. – Simon czuł, że coś w nim wzbiera, coś, czego nie potrafił do końca nazwać: gniew, smutek, żal, miłość rodzicielska, wszystko razem. – Liczyłem, że się nią zaopiekujecie.

– Staramy się, panie Greene.

– Nieskutecznie.

– Nie może pan tak mówić. Jeśli przyjechał pan, żeby szukać winnych...

– Nie. Przyjechałem, bo muszę ją odnaleźć. Proszę...

– Nie wiem, gdzie ona jest.

– Niech mi pan opowie, co pan w związku z nią pamięta.

Spojrzał na maluczkich, którzy przechodzili poniżej.

– Przespacerujmy się – zaproponował van de Beek. – Dziwnie tak stać tu, na schodach.

Zaczął schodzić. Simon podążył za nim.

– Jak powiedziałem, Paige była dobrą studentką – wrócił do tematu van de Beek. – Bardzo zaangażowaną. Oczywiście, wielu takich przyjeżdża. Są przepojeni entuzjazmem. Łapią wszystkie sroki za ogon. Pamięta pan swoje studenckie lata?

Simon kiwnął głową.

– Owszem.

– Gdzie pan studiował, jeśli wolno zapytać?

– Tutaj.

– Na Columbii? – Przebyli College Walk i szli w stronę Butler Library. – Czy kiedy pan tu przyjechał, wiedział pan, kim chce być?

– Nie miałem najmniejszego pojęcia. Zaczynałem od inżynierii.

– Ludzie mówią, że studia otwierają przed człowiekiem świat. To oczywiście pod wieloma względami prawda. Ale przeważnie jest wręcz odwrotnie. Zjawiasz się tu z myślą, że opuszczając to miejsce, będziesz mógł wszystko. Że będziesz miał nieograniczony wybór. Ale tak naprawdę maleje on z każdym spędzonym tutaj dniem. Na koniec studiów człowiek musi się zmierzyć z rzeczywistością.

– Co to ma wspólnego z Paige? – zapytał Simon.

Van de Beek z uśmiechem spojrział w dal.

– Szybko jej poszło. W dobrym znaczeniu. Znalazła swoje powołanie. Genetykę. Chciała zostać lekarzem. Pragnęła leczyć, jak jej matka. Zrozumiała to w ciągu kilku pierwszych tygodni. Przychodziła więc do mnie na dyżur tak często, jak się dało. Zamierzała zostać moją asystentką. Dobrze sobie radziła. I nagle coś się stało.

– Co takiego?

Szli przed siebie.

– Obowiązują nas pewne zasady, panie Greene. Musi pan to zrozumieć. Nie możemy mówić wszystkiego rodzicom naszych studentów. Jeśli któryś z nich prosi o dyskrecję, jesteśmy zobowiązani ją zachować... Zna pan paragraf dziewiąty prawa uczelnianego?

Simonowi krew zastygła w żyłach. Eileen Vaughan wspomniała o czymś takim, kiedy rozmawiał z nią w Lanford. Ona i jej koleżanka Judy Zyskind podejrzewały, że Paige padła ofiarą napaści seksualnej na jakiejś imprezie zrzeszenia studenckiego. Simon nie dopuszczał do siebie takiej możliwości: po pierwsze dlatego, że była zbyt straszna, a po drugie, ponieważ Paige się wyparła, kiedy Judy ją o to spytała. I tego się trzymał. Judy przycisnęła Paige i według tego, co mówiła Eileen, jego córka nie tylko wszystkiemu zaprzeczyła, ale też zamknęła sprawę: oznajmiła, że po prostu ma problemy w domu.

Zeszli ze ścieżki i dotarli do przeszklonego budynku zwanego Lerner Hall. Na parterze była kawiarenka. Van de Beek wyciągnął rękę w stronę drzwi, ale Simon chwycił go za łokieć.

– Czy moja córka została napadnięta na tle seksualnym?

– Tak sądzę.

– Sądzi pan?

– Paige przyszła do mnie w tajemnicy. Była roztrzęsiona. Podczas imprezy na terenie kampusu doszło do pewnego incydentu.

Simon mimowolnie zacisnął dłonie w pięści.

– Opowiedziała panu o tym?

– Zaczęła opowiadać, zgadza się.

– Jak to „zaczęła”?

– Bo zanim wdała się w szczegóły, uprzedziłem ją, że obowiązują mnie wytyczne paragrafu dziewiątego.

– Jakie wytyczne?

– Obowiązkowe zgłoszenie – wyjaśnił.

– To znaczy?

– Jeśli student czy studentka opowie mi o przypadku napaści seksualnej, to niezależnie od jego czy jej woli, muszę to zgłosić koordynatorowi.

– Nawet jeśli ofiara sobie tego nie życzy?

– Tak. To właśnie mi się nie podoba. Wiem, o co chodzi. Rozumiem powody. Jednak w takich przypadkach studenci są mniej skłonni zwierzać się nauczycielowi, bo wiedzą, że będzie on musiał poinformować o sprawie władze.

– I Paige nie chciała dalej z panem rozmawiać.

– Wybiegła z gabinetu. Chciałem za nią iść, ale uciekła. Dzwoniłem. Pisałem e-maile. Parę razy do niej wstąpiłem. Ale odcięła się ode mnie.

Simon zacisnął dłonie jeszcze mocniej.

– I nie przyszło panu do głowy, żeby zawiadomić jej rodziców?

– Zastanawiałem się nad tym, jasne. Ale w tej kwestii także obowiązują mnie przepisy. Poszedłem natomiast do koordynatora zajmującego się przestrzeganiem paragrafu dziewiątego.

– I co powiedziała?

– To mężczyzna.

Naprawdę?

– Więc co powiedział?

– Odbył rozmowę z Paige. Ale ona wszystkiego się wyparła.

– I to nadal nie skłoniło pana, żeby skontaktować się z jej rodzicami.

– Nie, panie Greene.

– A moja córka, którą prawdopodobnie zgwałcono, po prostu cierpiała w milczeniu.

– Są wytyczne. Musimy ich przestrzegać.

To było świństwo i Simon zamierzał już po wszystkim zrobić, co się da, żeby dojść sprawiedliwości, na razie jednak musiał się skupić na najważniejszym. Choć nie miał ochoty. Chciał się skulić i płakać nad córką.

– Czy od tamtego czasu Paige zaczęła się staczać?

Van de Beek się zastanowił. Jego odpowiedź Simona zaskoczyła.

– Nie, chyba nie. Wiem, jak to zabrzmie, ale gdy zobaczyłem ją następnym razem...

– To znaczy kiedy?

– Kilka dni później. Zjawiała się na zajęciach. Wyglądało na to, że czuje się lepiej. Pamiętam, że stojąc za pulpitem, spojrzałem na nią, trochę zdziwiony jej widokiem, a ona kiwnęła głową, jakby mówiła: „Nic mi nie jest, nie przejmuj się mną”. I po paru dniach znowu zaczęła przychodzić do mnie na dyżury. Nie mogę wyrazić, jak się ucieszyłem. Próbowałem zagadnąć ją o tamto, powiedziała jednak, że to nie było nic takiego, że trochę ją poniosło. Nie twierdzę, że całkiem wróciła do siebie. Widziałem, że próbuje odciąć się od tego, co się wydarzyło. Nakłaniałem ją, żeby zwróciła się o pomoc, porozmawiała z kimś. Najgorsze jest to, że dziewczyny przebywają na tym samym kampusie co domniemany napastnik.

– Gwałciciel.

– Co?

– Niech pan nie nazywa go „domniemanym napastnikiem”. Jest gwałtcielem.

– No, nie wiem.

– Zna pan jego tożsamość, prawda?

Stał w miejscu.

– Tak czy nie?

– Nie zdradziła mi jej.

– Ale zna pan nazwisko tego chłopaka?

Wykładowca odwrócił wzrok.

– Domyśliłem się, kto to był.

– Co to znaczy?

Van de Beek przesunął palcami we włosach i wziął głęboki oddech.

– W tym miejscu ta sprawa przybiera dziwny obrót, panie Greene.

Naprawdę? – pomyślał Simon.

– Nie wiem, jak to było po kolei – ciągnął wykładowca. – Nie jestem pewien, co stało się najpierw... stan Paige się pogorszył czy... – Zamilkł.

– Czy co?

– Na terenie kampusu zdarzył się kolejny... – przerwał, jakby szukał właściwego słowa – incydent.

– Incydent – powtórzył Simon.

– Tak.

– Ma pan na myśli gwałt?

Van de Beek się skrzywił.

– Paige nigdy tego tak nie nazwała. Nigdy. Tak dla ścisłości.

Simon zdawał sobie sprawę, że to nie pora na semantyczne spory.

– Zdarzyła się kolejna napaść?

– Tak.

– Dokonał jej ten sam chłopak?

Wykładowca pokręcił głową.

– Odwrotnie.

– Nie rozumiem.

– Chłopak, który prawdopodobnie napadł Paige... – podjął van de Beek, starannie dobierając słowa – tym razem to on stał się ofiarą.

Spojrzał Simonowi w oczy. Ten nawet nie mrugnął.

– Nazywa się Doug Mulzer, pochodzi z Pittsburgha. Student drugiego roku, jego przedmiotem kierunkowym była ekonomia. Został pobity kijem bejsbolowym po imprezie stowarzyszenia studentów na kampusie. Połamane nogi. Węszszy koniec kija wsadzony... – Zaczął się jąkać. – Tej informacji nie ujawniono. Rodzina nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział, ale zaczęły krążyć plotki. Chłopak wciąż dochodzi do zdrowia w Pittsburghu.

Simon poczuł zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– I sądzi pan, że Paige ma z tym coś wspólnego?

Van de Beek otworzył usta, zamknął je i otworzył ponownie. Wyraźnie nie chciał powiedzieć za dużo.

– Nie mam pewności.

– Ale?

– Ale na zajęciach następnego dnia Paige cały czas się uśmiechała. Wszyscy byli przejęci tym, co się stało. Ona natomiast patrzyła na mnie z tym dziwnym uśmiechem i po raz pierwszy odniosłem wrażenie, że ma szklisty wzrok. Jakby coś zażyła. I była na haju.

– Więc uznał pan, że jest pod wpływem narkotyków? – zapytał Simon. – Może je wzięła, żeby przytępić ból.

Wykładowca nie odpowiedział.

– Nieważne, co zażyła – rzucił Simon, wyobrażając sobie tamten akt zemsty. – Paige nie zrobiłaby czegoś takiego.

– Zgadzam się z panem. – Minął ich następny student, który zawołał:

– Cześć, Louis!

Van de Beek z roztargnieniem skinął mu głową.

– Nie byłaby do czegoś takiego zdolna. W każdym razie nie w pojedynkę.

Simon stężał.

– Ale kiedy tamtego dnia wychodziła z sali, zauważyłem, że czeka na nią jakiś facet. Nie chłopak. Nie student. Mężczyzna, z dziesięć lat od niej starszy.

Aaron, pomyślał Simon. To musiał być Aaron.

Rozdział 31

– Wszystkie informacje, jakie ci przekazałam, są poufne – powiedziała Elena.
– Gdyby wyszły na jaw, można by nam zarzucić, że zdobyliśmy je nielegalnie... działając w złej woli czy coś takiego. W każdym razie, nawet gdybym dziś powiadomiła FBI, nie zajęliby się tą sprawą od razu. Minęłyby całe dni albo i tygodnie, zanim komuś by ją przydzielili. A my nie mamy...

Usłyszała sygnał na linii. Ktoś się do niej dobijał. Z zastrzeżonego numeru. Większość ludzi uznałaby to za jakiś spam, telemarketing, ale Lou zainstalował im w telefonach coś, co blokowało takie połączenia. Jeśli do Eleny dzwoniono, to zwykle w ważnej dla niej sprawie.

A ostatnio dała przecież swoją wizytówkę Alison Mayflower.

– Simon, poczekaj, mam drugi telefon.

Przełączyła się.

– Halo?

– Eee... dzień dobry. – Cichy kobiecy głos. Nienależący do Alison Mayflower. Ta kobieta musiała być młodsza: miała ze dwadzieścia, trzydzieści lat. – Czy pani Ramirez?

– Tak, to ja. Z kim mam przyjemność?

– Och, nieważne.

– Może pani mówić głośniej?

– Przepraszam, jestem trochę zdenerwowana. Dzwonię... dzwonię w imieniu znajomej. Poznała ją pani dziś w pewnym barze.

– Słucham dalej.

– Ona chce się z panią zobaczyć... musi się z panią zobaczyć... ale bardzo się boi.

Alison Mayflower mieszkała z niejaką Stephanie Mars, przypomniała sobie Elena. Może to ona dzwoniła.

– Rozumiem – odparła najłagodniej, jak potrafiła. – Więc spotkajmy się gdzieś, gdzie będzie się czuła bezpiecznie.

– Właśnie. Alison by na tym zależało.

– Poczekaj pani chwilę?

– Dobrze.

Elena działała szybko.

– Simon?

– No, co tam?

– Muszę kończyć. Alison Mayflower chce się ze mną spotkać.

Elena przełączyła się znowu.

– Wiem, gdzie mieszkacie. Przyjadę...

– Nie! – zaprotestowała kobieta w panice. – Jest pani śledzona! Nie zauważyła pani?

Elena uspokajająco podniosła rękę, co oczywiście nie miało sensu, bo przecież jej rozmówczyni tego nie widziała.

– Dobrze, w porządku, rozumiem.

– Obserwują panią. Nas też.

Kobieta chyba trochę histeryzowała, ale w końcu zginęły co najmniej trzy osoby.

– Bez paniki – odparła Elena, zachowując spokojny, nawet zwyczajny ton. – Umówmy się. Gdzie i kiedy najbardziej by wam odpowiadało?

Ustalenie miejsca i terminu spotkania, które zadowolilyby kobietę, zajęło z dziesięć minut. Elena miała pojechać uberem do Cracker Barrel Old Country Store przy drodze numer 95 i stanąć od frontu, a Stephanie – która wreszcie zdradziła swoje imię – czekać tam na nią i błysnąć dwa razy światłami.

– Jaki masz samochód? – zapytała Elena.

– Wolalabym nie mówić. Na wszelki wypadek.

Plan przewidywał, że Elena wsiądzie do tego wozu i zostanie zawieziona na spotkanie z Alison w „sekretnym miejscu”. Tak, Stephanie tak się właśnie wyraziła: „w sekretnym miejscu”.

– Tylko niech się pani zjawi – poprosiła kobieta.

– Będę. Obiecuję.

– Jeśli zobaczymy, że ktoś panią śledzi, odwołamy spotkanie.

Uzgodniły, że Stephanie zadzwoni do niej i rozłączy się po jednym sygnale, aby zawiadomić, że jest już pod sklepem. Kiedy skończyły rozmowę, Elena

usiadła na łóżku i wygooglowała Stephanie Mars. Niewiele się jednak o niej dowiedziała. Przebrała się więc w drugi granatowy żakiet, nieco luźniejszy, pozwalający schować kaburę i pistolet. Zastanowiła się, czy nie zadzwonić jeszcze do Simona, ale zamiast tego postanowiła wysłać do niego esemesa z wiadomością, że wybiera się na spotkanie z Alison Mayflower. Jej telefon się ładował. Poinformowała Lou, że wyjeżdża w teren. Miała w komórce wysokiej jakości nadajnik, żeby firma знаła miejsce jej pobytu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Minęła godzina, zanim znowu zadzwoniono do niej z zastrzeżonego numeru. Odczekała chwilę. Jeden sygnał i połączenie zostało zakończone. Tak jak umówiła się ze Stephanie. Od jakiegoś czasu stale sprawdzała aplikacje z podwózkami. Na jednej z nich zobaczyła samochód w odległości ośmiu minut jazdy. Przyjechał po piętnastu minutach.

Cracker Barrel na południu Portlandu wyglądał jak większość tego rodzaju sklepów w stylu pseudorustykalnym. Na ganku od frontu stały bujane krzesła, wszystkie puste. Elena stanęła tam. Nie czekała długo. Jakiś samochód błysnął światłami. Sfotografowała go ukradkiem, starając się uchwycić tablicę rejestracyjną, i wysłała zdjęcie Lou.

W razie czego. Nigdy nie wiadomo.

Wóz podjechał. Elena otworzyła drzwi po stronie pasażera i zajrzała do środka. Za kierownicą siedziała atrakcyjna młoda kobieta w bejsbolówce Red Soxów.

– Stephanie?

– Proszę wsiadać. Szybko.

Elena nie była bardzo zwinna, więc zajęcie miejsca trwało chwilę. Zanim zdążyła zatrzaskać drzwi, Stephanie Mars wcisnęła pedał gazu.

– Ma pani telefon? – zapytała kobieta.

– Tak.

– To niech go pani włoży do schowka w tablicy rozdzielczej.

– Po co?

– To sprawa tylko między panią a Alison. Żadnego nagrywania, telefonów, esemesów.

– Nie wiem, czy to mi odpowiada.

Stephanie zahamowała ostro.

– Więc sprawa nieaktualna. Ma pani przy sobie broń, prawda?

Elena nie odpowiedziała.

– Ją też proszę wsadzić do schowka. Skąd mam wiedzieć, czy nie pracuje pani dla nich?

– Czyli dla kogo?

– Ojej.

– Zaginął jeden z adoptowanych chłopców. Wynajął mnie jego ojciec.

– I mamy w to uwierzyć? – Młoda kobieta z niedowierzaniem pokręciła głową. – Proszę odłożyć telefon i broń do schowka. Po spotkaniu z Alison dostanie je pani z powrotem.

Elena nie miała wyboru. Wyjęła komórkę i broń. Wrzuciła jedno i drugie do znajdującego się przed nią schowka i zamknęła go. Pomyślała, że jeśli zajdzie konieczność, zdoła szybko je wyjąć.

Przyjrzała się profilowi Stephanie Mars. Kobieta miała rudokasztanowate włosy, pewnie krótko obcięte – zakrywała je bejsbolówka – i co tu dużo mówić, była piękna. Wysokie kości policzkowe. Nieskazitelną cerą. Obie dłonie trzymała na kierownicy, na godzinie dziesiątej i drugiej, skupiając wzrok na drodze, jakby nie miała wprawy w prowadzeniu samochodu.

– Zanim zobaczy się pani z Alison, musi mi pani odpowiedzieć na kilka pytań.

– Dobra – odparła Elena.

– Kto konkretnie panią zatrudnił?

Elena już miała na końcu języka, że nie wolno jej tego zdradzić, ale klient przecież powiedział, że nie zależy mu na dyskrecji.

– Sebastian Thorpe. Adoptował chłopca o imieniu Henry.

– I Henry zaginął.

– Zgadza się.

– Jakież wskazówki, gdzie może być?

– Właśnie nad tym pracuję.

– Nie rozumiem.

– Czego pani nie rozumie?

– Ile lat ma Henry Thorpe?

– Dwadzieścia cztery.

– Co ma wspólnego z jego obecnym życiem to, że został adoptowany?

– Może nic.

– To dobry człowiek. Mam na myśli Alison. Nie skrzywdziłaby nikogo.

– Nic jej nie zrobię – zapewniła Elena. – Chcę tylko odnaleźć syna mojego klienta. O nic innego nie chodzi. Jeśli Alison popełniła przestępstwo...

– Na pewno nie.

– Wiem. Ale jeśli w tych adopcjach było coś niezgodnego z prawem, a ona nie będzie współpracować... cóż, odpowie za to. Cała wina spadnie na nią.

– To brzmi jak groźba.

– Nie chcę jej grozić. Tylko uświadomić powagę sytuacji. Daję Alison możliwość załatwienia sprawy... i uniknięcia konsekwencji prawnych.

Stephanie Mars przełożyła drżące dłonie na kierownicy.

– Sama nie wiem, co jest dla niej najlepsze.

– Nie zamierzam skrzywdzić żadnej z was.

– Obiecuję pani, że nikomu o tym nie powie?

Elena nie mogła czegoś takiego zrobić. Wszystko zależało od tego, co powie Alison Mayflower. Uznała jednak, że małe oszustwo nikomu nie zaszkodzi.

– Obiecuję.

Samochód zjechał na lewo.

– Gdzie ona jest? – zapytała Elena.

– Ciotka Sally ma chatę w lesie. – Młoda kobieta nawet się uśmiechnęła. – Tam właśnie poznałyśmy się z Alison. Przyjaźnią się z moją ciotką. Ciotka co roku urządza barbecue na otwarcie sezonu i sześć lat temu zaprosiła na niego nas obie. Alison jest wprawdzie ode mnie starsza, ale... widziała ją pani. Jest taka młodzieńcza pod wieloma względami. Stałyśmy przy grillu... robi najlepsze steki na świecie... to znaczy, Alison... zaczęłyśmy rozmawiać, no i... – Z uśmiechem wzruszyła ramionami i zerknęła na Elenę. – Tak to się zaczęło.

– Miło – odparła Elena.

– A pani kogoś ma?

Ból. Wciąż ból.

– Nie – zaprzeczyła. Po czym dodała: – Kiedyś miałam, ale zginął.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego jej to powiedziała. Może czuła podświadomą potrzebę więzi. A może uznała, że należy to z siebie wyrzucić.

– Miał na imię Joel.

– Przykro mi.

– Dziękuję.

– Już niedaleko.

Skręciły na podjazd. Na jego końcu stała chata z bali, autentyczna, a nie stylizowana jak Cracker Barrel. Elena mimo woli się uśmiechnęła.

– Pani ciotka ma dobry gust.

– O tak.

– Czy jest tutaj?

– Sally? Nie. Siedzi w Filadelfii, nie była tu od miesiący. Ja przyjeżdżam raz w tygodniu, jako dozorczyńni. Nikt nie zna tego miejsca, samochody przejeżdżają dwa kilometry dalej, więc Alison uznała, że tu będzie bezpiecznie. – Zaparkowała i spojrzała na Elenę dużymi oczami. – Ufamy pani. Proszę za mną.

Kiedy wysiadły z samochodu, Elenie przyszyły na myśl dwa słowa: „zieleń” i „cisza”. Odetchnęła prawdziwie świeżym powietrzem. Przyjemnie. Bolała ją noga. Stara rana, wierna towarzyszka. Stephanie Mars opowiedziała jej, jak poznały się tu z Alison, przy grillu. Los, przeznaczenie, czysty przypadek. Co sprawia, że spotykają się dwie bratnie dusze? Joel lubił żartować, że on i Elena poznali się w najromantyczniejszych okolicznościach, jakie tylko można sobie wyobrazić, i chociaż pobłażliwie machała ręką, być może miał rację.

Podczas nalotu na obóz ćwiczebny zwolenników supremacji białych pod Billings w Montanie Elena została postrzelona „w górną część uda”, czyli w dupę. Nie bolało tak bardzo, jak można by sądzić, przynajmniej nie od razu. Było to raczej wstydlive doświadczenie i Elena, jako jedna z nielicznych Latynosek w tej robocie, miała poczucie, że się nie wykazała i że zawiodła swoich ludzi.

To właśnie w miejscowym szpitalu, kiedy dochodziła do siebie z tyłkiem na jednym z tych nadmuchiwanym urządzeń przypominających oponę, odwiedził ją agent specjalny Joel Marcus – wpadł do jej pokoju i już został.

„Nie wiedziałem jeszcze – żartowałem często – jak później ten tyłek będzie mi się podobał, zwłaszcza zawieszony w powietrzu”.

Lekko uśmiechnęła się na to wspomnienie, gdy Stephanie pchnęła drzwi chaty i zawołała:

– Alison? Kotku?

Żadnej odpowiedzi.

Elena instynktownie sięgnęła po gnata, ale oczywiście, został w samochodzie. Stephanie Mars szybko wkroczyła do chaty. Elena weszła do środka tuż za nią. Młoda kobieta skręciła w lewo i prędko ruszyła dalej. Elena spojrzała w tamtą stronę i już miała pójść jej śladem.

Ale tamta się zatrzymała. I powoli się obróciła.

Na jej pięknej twarzy pojawił się uśmiech i w tej samej chwili Elena poczuła, że coś zimnego dotknęło z tyłu jej czaszki.

Ich oczy się spotkały. Eleny – brązowe, smutne; tamtej – zielone, dzikie.

I już wiedziała.

Słyszając pstryknięcie, zanim padł strzał, pomyślała o Joelu z nadzieją, że znowu się z nim spotka.

Rozdział 32

Ash stanął nad zwłokami Eleny.

Upadła twarzą w dół, z głową odwróconą w bok pod nienaturalnym kątem i otwartymi oczami. Z rany na potylicy płynęła krew, ale wcześniej rozłożył brezent, żeby łatwiej było posprzątać. Dee Dee położyła mu dłoń na ramieniu i je ścisnęła. Spojrzał na nią i zobaczył ten uśmiech. Mężczyzna zna różne uśmiechy swojej wielkiej miłości. Tak mówią. Kiedy kobieta jest szczęśliwa, naprawdę rozbawiona i kiedy patrzy w oczy swojemu ukochanemu.

Widował już ten uśmiech – na widok najbrutalniejszej przemocy. I go nie lubił.

– To dla ciebie jakaś różnica? – zapytała. – Zabicie kobiety, a nie mężczyzny?

Ash nie był w nastroju.

– Gdzie jej telefon?

– W schowku w tablicy rozdzielczej.

Umieścił tam urządzenie zagłuszające, na baterię, więc jeśli ktoś śledził poczynania tej kobiety – a podejrzewał, że tak jest – nie odbierał żadnych sygnałów.

– Zawrót brykę i przynieś mi go.

Dee Dee ujęła obiema dłońmi jego twarz.

– Wszystko gra, Ash?

– Tak, tylko musimy się pośpieszyć.

Cmoknęła go w policzek i wyszła z chaty. Ash zaczął zawijać ciało w brezent. Wykopali już dół, żeby nie znaleziono zwłok. Zamierzał z telefonu kobiety wysłać esemesa o treści *Wszystko w porządku* do każdego, kto mógłby jej szukać. Minie kilka dni, może nawet więcej, zanim zaczną śledztwo w sprawie zniknięcia Eleny Ramirez.

A wtedy on i Dee Dee już wykonają swoją robotę. Nie będzie żadnych tropów.

– Ale ironia losu – zauważyła Dee Dee, kiedy wyłożył jej swój plan. I chociaż to wyrażenie nie było dla niego do końca zrozumiałe (pamiętał, jak mówiono, że Alanis Morissette użyła go niewłaściwie w swojej piosence), tu wydawało się odpowiednie. Elena Ramirez została zatrudniona, żeby odnaleźć „zaginionego” Henry’ego Thorpe’a. A Thorpe nie żył od początku. I teraz ona sama zostanie uznana za „zaginioną”.

Dee Dee wróciła do chaty z telefonem i urządzeniem zagłuszającym.

– Masz.

– Dokończ zawijanie.

Zasalutowała drwiąco.

– Humor ci dopisuje.

Ash pochylił się i podniósł rękę Eleny. Przez ciało powinien jeszcze przebiegać na tyle silny impuls elektryczny, żeby dało się kciukiem odblokować komórkę. Przytknął urządzenie do opuszka palca.

Bingo.

Na wyświetlaczu ukazało się zdjęcie uśmiechniętej szeroko Eleny, obejmującej znacznie wyższego mężczyznę, który uśmiechał się równie szeroko.

Dee Dee zerknęła mu przez ramię.

– To ten jej Joel? Jak myślisz?

– Przypuszczam, że tak. – Ash słyszał całą ich rozmowę w samochodzie, bo Dee Dee miała włączony telefon. – Naprawdę masz ciotkę Sally? – zapytał.

– Skąd.

Ze zdumieniem pokręcił głową.

– Dobra jesteś.

– Pamiętasz, jak w szkole średniej wystawialiśmy *West Side Story*?

Ash budował wtedy scenografię. A ona wcieliła się w jedną z dziewczyn gangu Rekinów.

– Powinnam zagrać Marię... byłam zabójczą na przesłuchaniu... ale pan Orloff dał tę rolę Julii Ford, bo jej stary prowadził salon Lexusa.

Nie powiedziała tego z gniewem ani żalem. Tylko stwierdzała fakt. Wprawdzie Ash był w niej zakochany, ale niewątpliwie Dee Dee miała zadatki

na gwiazdę. To było widać. Chociaż występowała tylko w chórkach, widzowie nie mogli oderwać od niej wzroku.

Mogłaby zostać wielką aktorką, prawdziwą gwiazdą, ale jakie miała szanse – piękna sierota stale odpierająca ataki napalonych facetów?

– Świetnie wtedy wypadłaś, Dee Dee – odpowiedział z czułością.

Dziewczyna zawijała ciało w brezent.

– Poważnie.

– Dzięki, Ash.

Wszedł w ustawienia i znalazł ikonę prywatności. Stuknął palcem w usługi lokalizacyjne i przewinął na dół, aż do usług systemowych. Wszedł w nie i znowu przewinął, aż dotarł do ważnych lokalizacji. Kiedy chciał je sprawdzić, urządzenie zażądało odcisku kciuka. Ujął więc palec Eleny i posłużył się nim. Zmienił hasło, żeby w przyszłości obywać się bez niego.

Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak wiele informacji o sobie zdradzają. Z każdego iPhone'a można dowiedzieć się tego, czego właśnie dowiadywał się Ash: gdzie ostatnio był właściciel telefonu, w tym przypadku Elena Ramirez.

– Cholera – rzucił.

– Co?

– Była w salonie tatuażu.

– Liczyliśmy się z taką możliwością, Ash. Dlatego musieliśmy szybko działać.

Przejrzał listę lokalizacji i zobaczył kilka miejsc w Nowym Jorku. Elena Ramirez odwiedziła niedawno Columbia Medical Center w pobliżu Sto Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy. Asha ciekawiło, z jakiego powodu. Potem zauważył coś bardziej niepokojącego.

– Była też na Bronxie.

Dee Dee skończyła obwiązywać sznurem zwłoki w brezencie.

– W tym samym miejscu?

Stuknął palcem w wyświetlacz i potwierdził.

– O, to niedobrze – odparła Dee Dee.

– Nie mamy czasu.

Przewinął odwiedzane przez Elenę strony i listę otrzymanych przez nią esemesów. Ostatni, który przyszedł osiem minut wcześniej, brzmiał następująco:

Spotkałaś się już z Alison? Daj znać, gdy tylko będziesz mogła.

Dee Dee zauważyła wyraz jego twarzy.

– Co jest?

– Ktoś depcze nam po piętach.

– Kto?

Ash odwrócił telefon, żeby dziewczyna mogła zobaczyć wyświetlacz.

– Musimy coś zrobić z tym Simonem Greene'em.

Rozdział 33

Simon opadł na ławkę w metrze. Niewidzącym wzrokiem popatrzył przez okno naprzeciwko – podziemny tunel umykał w tył zamazaną smugą. Próbował poukładać w głowie to, czego się właśnie dowiedział. Nic z tego nie miało sensu. Doszły nowe, ważne kawałki puzzli, może nawet stanowiące wyjaśnienie tego, co spowodowało, że jego córka popadła w uzależnienie. Ale im więcej miał elementów, tym obraz stawał się mniej wyraźny.

Kiedy z powrotem wyszedł na ulicę, dostał esemesa od Yvonne.

Pieniądze przygotowane. Musisz tylko pokwitować odbiór. Zwróć się do Todda Raischa.

Bank znajdował się między Wendy's a ekskluzywną piekarnią. Działała tylko jedna kasa i nie było kolejki. Podał swoje nazwisko i zapytał, czy może rozmawiać z Toddem Raischem. Raisch okazał się profesjonalistą. Zabrał Simona do pokoju na tyłach.

– Czy mogą być setki? – chciał wiedzieć.

Simon potwierdził. Raisch przeliczył forszę.

– Będzie pan potrzebował torby?

Miał własną, plastikową reklamówkę, którą Ingrid zachowała po zakupach w Zabar's. Włożył tam gotówkę i schował wszystko razem do plecaka. Podziękował Raischowi i wyszedł.

Ruszając Broadwayem w stronę szpitala, zadzwonił do Randy'ego Spratta, technika z laboratorium genetycznego. Kiedy uzyskał połączenie, oznajmił:

– Mam pieniądze.

– Będę za dziesięć minut – odparł Spratt.

I rozłączył się. Simon sprawdził, czy przyszła wiadomość od Eleny Ramirez. Ale nie. Pewnie minęło za mało czasu, napisał jednak szybko:

Spotkałaś się już z Alison? Daj znać, gdy tylko będziesz mogła.

Żadnej odpowiedzi. Żadnych kropek świadczących o tym, że dostanie zwrotnego esemesa.

Idąc, Simon spoglądał na telefon, głównie po to, żeby nie myśleć o zbliżającym się spotkaniu. Zdecydował się przeprowadzić test na ojcostwo pod wpływem emocji, wręcz w panice, nie myśląc o konsekwencjach. Teraz jednak, gdy miał chwilę, zanim pozna odpowiedź, zaczął się zastanawiać, jak postąpi, jeśli dowie się najgorszego.

Jeśli nie był biologicznym ojcem Paige?

Jeśli nie był także ojcem Sama i Anyi?

Zwolnij, nakazał sobie.

Ale w gruncie rzeczy nie miał czasu, żeby zwolnić. Chwila poznania prawdy zbliżała się jak rozpędzony pociąg towarowy. Nadal nie wiedział, czego się dowie. Sam był do niego bardzo podobny, wszyscy to mówili, i chociaż on tego nie widział – jak każdy rodzic – wiedział przecież...

Co takiego wiedział?

To po prostu było niemożliwe. Ingrid nigdy by mu czegoś takiego nie zrobiła. A jednak wciąż słyszał cichy uparty głos. Przypomnił sobie statystyki, o których czytał: że dziesięć procent ojców wychowuje dzieci innego mężczyzny. Czy dwa procent? A może to jedna wielka bzdura?

Kiedy dotarł do placu za skrzydłem pediatrycznym, Randy Spratt czekał na ławce w rogu. Siedział wyprostowany, z rękami w kieszeniach płaszcza i z rozbieganym wzrokiem jak u wystraszonego szczura. Simon usiadł obok. Obaj patrzyli przed siebie.

– Ma pan pieniądze? – zapytał szeptem Spratt.

– To nie wypłata okupu.

– Ma pan czy nie?

Simon sięgnął do plecaka po plastikową torbę. Zawahał się. Nie musiał otwierać tej puszkii Pandory. Może czasami lepiej nie wiedzieć wszystkiego? Żyłby szczęśliwie, nie mając pojęcia o „tajemniczej przeszłości” Ingrid.

Właśnie – i dokąd go to doprowadziło?

Wręczył gotówkę. Przez chwilę się obawiał, że Spratt na miejscu przeliczy pieniądze, ale torba szybko zniknęła w kieszeni jego płaszcza.

– No i? – zapytał Simon.

– Ta pierwsza próbka, priorytetowa, jak pan powiedział. Żółta szczoteczka do zębów.

Zaschło mu w ustach.

– Tak?

– Przyspieszyłem sprawę, więc tylko ten wynik ma certyfikat.

Ciekawe, że facet nie powiedział mu tego, zanim dostał forszę, ale może to nie miało znaczenia.

– I?

– Jest pozytywny.

– To znaczy...?

– Wykazał pana biologiczne ojcostwo.

Simona ogarnęła ulga, wielka ulga.

– I chociaż w pozostałych przypadkach wyniki mają wstępny charakter, wszystko wskazuje na to, że jest pan ojcem całej trójki.

Bez ani jednego słowa więcej Randy Spratt wstał i odszedł. Simon pozostał na ławce, bo nie mógł ruszyć się z miejsca. Patrzył na starszą kobietę w szpitalnej piżamie, wspartą na chodziku, która posuwała się wolno ku rabacie kwiatowej. Zatrzymała się – dosłownie i metaforycznie – i pochyłona, powąchała kwiaty. Simon także się zatrzymał, siedział i przyglądał się jej. Na trawniku usiadła grupa młodych stażystów ze szpitala i jadła gyros z pobliskiego baru na kółkach. Wszyscy sprawiali wrażenie zmęczonych i szczęśliwych, jak Ingrid podczas stażu, kiedy pracowała od rana do wieczora, ale miała świadomość, że należy do tych nielicznych, którzy znaleźli swoje powołanie.

Praca lekarza – Simon to wiedział – rzeczywiście wymaga powołania.

Była to dziwna refleksja. A może wcale nie taka dziwna. Przecież niedawno się dowiedział, że Paige przejęła je po matce. W normalnych okolicznościach nie mógłby się bardziej ucieszyć. I teraz też w jakimś sensie był uradowany.

Musiał ją odnaleźć.

Znowu spojrzął na telefon, licząc, że Elena Ramirez się odezwała. Nie przysłała jednak żadnej wiadomości. Wystukał więc kolejnego esemesa:

Test DNA wykazał, że jestem ojcem Paige. Wciąż nie wiem, jak poznała Aarona, ale zdaje się, że ma to związek z nielegalnymi adopcjami. Zadzwoń po spotkaniu z Alison Mayflower.

Była pora wracać do Ingrid. Wstał, uniósł twarz ku słońcu, przymknął oczy. Potrzebował jeszcze chwili wytchnienia. Oboje z Ingrid, żeby spędzać ze sobą więcej czasu, kilka razy byli na zajęciach z jogi i instruktor stale podkreślał wagę oddychania. Głęboko zaczerpnął więc powietrza, zatrzymał je w płucach i powoli wypuścił.

Nie pomogło.

Poczuł wibracje telefonu. Elena odpisała:

Jadę na spotkanie za granicę kanadyjską, więc przez kilka dni może nie być ze mną kontaktu. Gdzie będziesz?

Za granicę kanadyjską? Nie wiedział, co ma o tym myśleć.

Odpowiedział:

Na razie w szpitalu, ale wszystko może się zmienić.

Wysłał wiadomość i czekał. Pojawiły się kropki – Elena odpisywała.

Daj mi znać, jeśli w naszej sprawie pojawi się coś nowego. Muszę być na bieżąco, nawet jeśli nie będę mogła się odezwać.

Przechodząc przez kontrolę szpitalną, odpisał Elenie, że będzie ją informował, i pojechał windą na oddział intensywnej terapii. Kusilo go, żeby zapytać, dlaczego nie będzie mogła się odezwać i skąd ta wyprawa do Kanady, ale uznał, że gdyby to było istotne, powiadomiłaby go. Kiedy drzwi windy się rozsunęły, ze zwielokrotnioną mocą wróciło do niego wspomnienie tego, czego dowiedział się od van de Beeka.

Co przydarzyło się Paige na kampusie?

Odsuń to od siebie, nakazał sobie. Odsuń, bo inaczej nie będziesz w stanie działać dalej.

U Ingrid były pielęgniarki, myły ją i przebierały, więc Sam krążył po korytarzu. Uściskał ojca szybko i mocno.

– Przepraszam cię.

– W porządku.

– Nie chciałem. No, z tym postrzeleniem mamy.

– Wszystko w porządku.

Chłopak uśmiechnął się do niego ze zmęczeniem.

– Wiesz, jak zareagowałaby mama, gdyby usłyszała, że cię obwiniam?

– No, jak?

– Zarzuciłaby mi, że jestem seksistą. I że nie obarczałbym winą jej, gdybyś ty oberwał.

Simonowi się to spodobało.

– Chyba masz rację.

– Gdzie byłeś? – zapytał Sam.

Simon pragnął chronić syna, to było całkiem naturalne, ale też nie chciał się z nim nadmiernie cackać.

– Spotkałem się z jednym z wykładowców Paige.

Sam spojrział na niego uważnie.

W jak najłagodniejszej formie opowiedział mu o napaści seksualnej, jakiej ofiarą padła jego siostra: może nie chciał się z nim cackać, nie zamierzał jednak dobijać chłopaka. Sam słuchał, nie przerywając. Starał się zachować po stoicku, ale Simon zauważył, że synowi drży dolna warga, co wiele mówiło.

– Kiedy to się stało? – zapytał Sam, gdy ojciec skończył relację.

– Nie wiem dokładnie. Pod koniec pierwszego semestru.

– Zadzwoiła do mnie któregoś wieczoru... Paige. Tak ni stąd, ni zowąd. Zwykle tylko esemesowaliśmy, nie rozmawialiśmy przez telefon.

– I co powiedziała?

– Że chciałyby pogadać.

– O czym?

– Nie wiem. – Sam przesadnie wzruszył ramionami. – Był późny piątkowy wieczór. A w Martin's urządzali imprezę. Nie słuchałem zbyt uważnie. Chciałem, żeby już skończyła. Więc taki ze mnie brat.

Simon położył mu dłoń na ramieniu.

– To nie musiało wydarzyć się właśnie wtedy, Sam.

– Tak – potwierdził chłopak bez żadnego przekonania. – Nie musiało.

Simon chciał jeszcze coś dodać, ale usłyszał odchrząknięcie. Odwrócił się i ze zdziwieniem zobaczył, że stoi za nim człowiek, który uratował Ingrid życie.

– Cornelius?

Mężczyzna nadal miał zmierzwioną brodę i chodził w podartych dżinsach.

– Jak się ma Ingrid? – zapytał.

– Trudno powiedzieć. – Simon odwrócił się w stronę syna. – Sam, to jest Cornelius, który... – Nie mógł powiedzieć, że Cornelius strzelił do Luthera, co uratowało nie tylko Ingrid, lecz także jego. – Jest właścicielem budynku na Bronxie, tego, w którym mieszkała Paige. Bardzo nam pomógł.

Sam wyciągnął rękę.

– Miło mi pana poznać.

– I wzajemnie, młody człowieku. – Cornelius przeniósł wzrok na Simona. – Mógłbym zamienić z tobą kilka słów?

– Jasne.

– I tak miałem pójść do toalety – odezwał się Sam i ruszył w głąb korytarza.

Simon odwrócił się do Corneliusa.

– Musisz pojechać ze mną – oznajmił tamten.

– Dokąd?

– Do mnie. Ma tam przyjść Rocco. Z Lutherem. Chcą ci coś powiedzieć.

Rozdział 34

Ash i Dee Dee byli przygotowani, więc działali szybko.

Przenieśli ciało Eleny na stojące przy tylnych drzwiach taczki. Ash zawiózł je do lasu, podczas gdy Dee Dee została w chacie i kończyła sprzątać.

Wykopanie dołu zajmuje trochę czasu. Wypełnienie go – już nie.

Kiedy ruszyli na południe, dziewczyna zaczęła przeglądać zawartość telefonu Eleny.

– Niewiele tu tego – powiedziała. – Ramirez była grubą rybą w VMB Investigations. To już wiedzieliśmy. Zatrudnił ją ojciec Henry’ego Thorpe’a. To też wiedzieliśmy. – Podniosła głowę. – A przy okazji... dostaliśmy zgodę.

– Na co?

– Na załatwienie Simona Greene’a. Dostaniesz za niego tyle, ile za innych.

– Wygoogluj go – polecił Ash. – Zobaczymy, czego możemy się dowiedzieć.

Dee Dee zaczęła stukać palcem w wyświetlacz. Nie trwało to długo. Ukazała się strona grupy PPG Wealth Management z sylwetką Simona Greene’a. Były tam dwa jego zdjęcia – portretowe i grupowe, z całym zespołem PPG.

Minęli granicę stanu.

– Poziom naładowania baterii: dwanaście procent – zauważyła dziewczyna.

– Mamy ładowarkę do takiego modelu telefonu?

– Sprawdź w kieszeni za moim fotelem.

Dee Dee sięgała tam, gdy komórka Eleny zawibrowała. Przyszedł nowy esemes od Simona Greene’a. Przeczytała głośno:

– **Test DNA wykazał, że jestem ojcem Paige. Wciąż nie wiem, jak poznała Aarona, ale zdaje się, że ma to związek z nielegalnymi adopcjami. Zadzwoń po spotkaniu z Alison Mayflower.**

Ash poprosił, żeby przeczytała jeszcze raz. Po czym stwierdził:

– Jeśli mu nie odpiszemy, zacznie się niepokoić o Ramirez i narobi rabanu.

– Więc może coś takiego:

Jadę na spotkanie za granicę kanadyjską, więc przez kilka dni może nie być ze mną kontaktu. Gdzie będziesz?

Ash pokiwał głową.

Gdy dodał gazu, Dee Dee spojrzała na wyświetlacz.

– Odpisuje – poinformowała.

– Chyba powinniśmy skończyć z tymi wiadomościami.

– Dlaczego?

– Możliwe, że zostawiają jakiś ślad.

Telefon zawibrował ponownie.

– **Na razie w szpitalu, ale wszystko może się zmienić** – przeczytała dziewczyna. – W szpitalu – powtórzyła. – Mam zapytać w którym?

– Nie, bo jeszcze nabierze podejrzeń. Zresztą wiemy to. Ramirez była ostatnio na górnym Manhattanie.

– Słusznie. To może...

Zaczęła stukać, a potem odczytała na głos:

– **Daj mi znać, jeśli w naszej sprawie pojawi się coś nowego. Muszę być na bieżąco, nawet jeśli nie będę mogła się odezwać.**

Ash zaaprobował odpowiedź skinieniem głowy i polecił wysłać.

– A teraz wyłącz telefon.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, aż w końcu Dee Dee zagadnęła:

– O co chodzi?

– Wiesz o co.

– Nie, nie wiem.

– Ten esemes od Simona Greene’a.

– Co z nim?

– Zakładam, że Aaron to Aaron Corval.

– Chyba tak.

– Więc kim w takim razie jest Paige?

– Jego dziewczyną, nie?

– To dlaczego jest w to zamieszany jej ojciec?

– Nie mam pojęcia. – Dee Dee odwróciła się do niego. Podciągnęła nogi na siedzenie i na nich usiadła. – Myślałam, że nie obchodzą cię żadne „dlaczego”,

Ash.

– Zwykle nie.

– Nie lubisz zabijać kobiet, co? – zauważyła. – Mężczyzn tak, ale kobiet już nie?

– Przestajesz? To nie to.

– Więc co?

– Ktoś skojarzył fakty. A to znaczy, że motyw i cała reszta zaczynają mnie obchodzić.

Dee Dee spojrzała za okno.

– Chyba mi nie ufasz – rzucił.

– Wiesz, że ci ufam. Bardziej niż komukolwiek na tym świecie.

Poczuł ściskanie w piersi.

– Więc o co chodzi?

– Jak zapisano w symbolach, Gościem i Ochotnikiem muszą być dwaj pierwsi synowie Prawdy – zaczęła. – Płeć jest, oczywiście, decydująca. Córki... których Prawda spłodził co najmniej dwadzieścia... nie mają żadnych praw do przywództwa. Krew męska stanowi najczystszy więź, bo tylko ona ma fizyczny komponent. Małżonek czy małżonka są innej krwi. Podobnie jak najbliższy przyjaciel. Więc jeśli chodzi o podstawy naukowe...

– Dee Dee?

– No?

– Daruj sobie ten żargon. Kapuję. Dwaj najstarsi synowie Vartage'a dziedziczą funkcję przywódców.

– Dziedziczą wszystko. I o to chodzi. Tak zapisano w symbolach: „Powstaną dwaj synowie”.

– Ale co to ma wspólnego z całą tą historią?

– Napisano także, że Niebiosy Prawdy i cały majątek ich przywódcy zostaną podzielone równo pomiędzy jego męskich potomków.

– Dobra, i co z tego?

– Nie sprecyzowano, że chodzi tylko o dwóch najstarszych. Łapiesz wreszcie, do czego zmierzam?

Ash zaczął łapać.

– Vartage miał więcej niż tylko tych dwóch synów.

– No.

– I ci pozostali...

– ...zostali oddani do adopcji. Zgadza się – zakończyła Dee Dee. – A właściwie sprzedani. Córki zatrzymano. Są użyteczne. Synowie jednak mogli dziedziczyć i podważyć przepowiednię. To działo się wiele lat temu... zanim ja się zjawiłam.

– Więc Vartage zwyczajnie sprzedał synów?

– Nie miał wyboru, Ash. Podtrzymujemy przepowiednię o dwóch synach... i zarabiamy kupę forsy dla Niebios.

– A niech mnie...

– Właśnie.

– I matki się na to zgadzały?

– Niektóre tak, a inne nie – odparła Dee Dee.

– Jak to funkcjonowało?

– Prawda sypiał z wieloma kobietami. Część z nich oczywiście zachodziła w ciążę. Mówiono im wtedy, że jeśli urodzą chłopca, czekają go wielkie zaszczyty. Że pojedzie do Większych Niebios w Arkansas. Tak będzie dla niego najlepiej.

– Są drugie Niebiosy w...

– Nie, Ash, nie ma.

Tylko pokręcił głową.

– I te kobiety w to wierzyły?

– Niektóre tak, inne nie. Instynkt macierzyński walczył w nich z posłuszeństwem wobec Prawdy. Zwykle posłuszeństwo wygrywało.

– A jeśli przeważał instynkt macierzyński?

– Wtedy się dowiadywały, że ich dziecko umarło podczas porodu.

Asha nieczęsto coś zdumiewało. Ale teraz tak się stało.

– Naprawdę?

– Tak. Urządzano wielki pogrzeb i tak dalej. Niektóre kobiety uważały, że same ponoszą winę za śmierć dziecka, bo gdyby zgodziły się wysłać je do Większych Niebios...

– Mój Boże...

Dee Dee pokiwała głową.

– Chłopców sprzedawano. Masz pojęcie, ile można dostać za zdrowe białe dziecko płci męskiej? Mnóstwo forsy. Alison Mayflower, która pozostała lojalna wobec Prawdy, działała jako pośrednik.

– Ile dzieciaków Prawda opchnął?

– To byli sami chłopcy.

– Załapałem. Ilu?

– Czternastu.

Trzymał ręce na kierownicy.

– I teraz Prawda umiera.

– No.

– A młodzi Vartage'owie... Gość, Ochotnik czy jak tam... mają cykora, że ci biologiczni synowie upomną się o udział w spadku.

– Przez całe lata Prawda, Ochotnik i Gość nie mieli się czego bać, podobnie jak my wszyscy. Trudno by było powiązać tych adoptowanych chłopców z Niebiosami Prawdy. Rozproszyli się po całym kraju, a Alison na wszelki wypadek zniszczyła wszystkie dowody. Prawda nie mógł odnaleźć swoich potomków, a co ważniejsze, oni nie mogli odnaleźć jego.

– I co poszło nie tak?

– Słyszałeś o tych nowych stronach genealogicznych, takich jak 23andMe albo Ance-Story?

Coś tam słyszał.

– Mnóstwo adoptowanych oddaje swoje DNA do banku danych i liczy na szczęśliwy traf – wyjaśniła Dee Dee.

– Domyślam się, że niektórzy z synów Prawdy...

– ...dowiedzieli się o sobie nawzajem. Zgadza się.

– I jakoś dotarli do Vartage'a?

– Tak.

– Czyli przykładowo dwóch synów rejestruje się na tej samej stronie. I odkrywa, że są przyrodnimi braćmi.

– Właśnie. Potem dochodzi trzeci. I czwarty. A w dodatku wszystko to zaczęło się całkiem niedawno.

– I ktoś z sekty uznał, że najlepiej rozwiązać ten problem przez... eliminację.

– Ash spojrział na nią. Dee Dee znowu się uśmiechnęła. – W zamian za pozycję przywódcy?

– Coś w tym rodzaju.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Ile warte są Niebiosy Prawdy, Dee Dee?

– Trudno oszacować – odparła. – Ale ze czterdzieści milionów dolców.

To otworzyło mu oczy.

– O rany.

– Nie chodzi tylko o pieniądze.

– No pewnie.

– Może skończysz wreszcie z tym cynizmem? Wyobraź sobie, co stałoby się z Niebiosami, gdyby roszczenia do nich zgłosiło jeszcze czternastu synów? Prawda byłby zdruzgotany.

– Daj spokój, Dee Dee.

– Co znowu?

– Przestań wreszcie. Przecież wiesz, że to wszystko nonsens. Sama się do tego przyznałaś.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie widzisz, Ash? Kocham Prawdę.

– I go wykorzystujesz, żeby osiągnąć to, czego chcesz.

– Jasne. Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Nikt nie wierzy w każde słowo świętej księgi... tylko przesiewa jej zawartość i dokonuje selekcji. Wszyscy duchowni, którzy żyją z wyznawanej przez siebie religii... niezależnie od swojego stosunku do jej nauk... wybierają z niej coś. Takie jest życie, kotku.

To była racjonalizacja, ale jednocześnie głęboka prawda.

W samochodzie zrobiło się gorąco. Ash włączył klimatyzację.

– Więc pozostało nam już tylko dwóch synów do wyeliminowania.

– Tak. Jeden na Bronxie, drugi w Tallahassee. – Po czym Dee Dee dodała: – Ale najpierw musimy pozbyć się Simona Greene’a.

Rozdział 35

Przystanęli z Corneliusiem przed tym samym oddziałem banku, w którym przed kilkoma godzinami Simon pobrał pieniądze na opłacenie wyników testu DNA. Rocco nie zamierzał podzielić się zdobytymi informacjami za darmo. Simon wrócił tam więc, żeby znowu pobrać gotówkę.

Ponieważ wypłacił już dość dużą sumę, a nie chciał zwracać na siebie uwagi, ponownie zadzwonił do Yvonne. Dostrzegł ją teraz, idącą w jego stronę.

– Jakież problemy? – zapytał.

– Nie. – Yvonne zerknęła na Corneliusa, czarnego mężczyznę z gęstą siwą brodą, w poprzecieranym T-shircie, a potem przeniosła wzrok z powrotem na Simona. – Kto to?

– Cornelius – rzucił Simon.

Yvonne zwróciła się do tamtego.

– Więc kim pan jest, Corneliusie?

– Przyjacielem – odparł.

Zmierzyła go wzrokiem od góry do dołu i zapytała:

– Po co panu te pieniądze?

– Nie są dla niego – wyjaśnił Simon. – On mi pomaga.

– Pomaga w czym?

Krótko opowiedział jej o Roccu i Lutherze. Oczywiście pominął drobny szczegół, że to Cornelius uratował jego i Ingrid. Gdy już skończył, czekał na protest ze strony szwagierki. Daremnie.

– Nie pokazuj się tam – powiedziała Yvonne. – Wypłacę forszę ze swojego konta.

Simon chciał ją zapewnić, że zwróci jej pieniądze, ponieważ jednak była siostrą Ingrid i wkurzyłaby się na takie postawienie sprawy, tylko kiwnął głową.

Kiedy weszła do banku, obaj z Corneliusem oddalili się o przecznicę, żeby nie widziano ich kręcących się przy wejściu.

– Skoro mamy chwilę, możesz mi opowiedzieć, co się wydarzyło – poprosił Cornelius.

Simon zrelacjonował mu postępy w swoim śledztwie.

– Strasznie to wszystko powikłane – zauważył Cornelius na koniec.

– No – potwierdził Simon. A potem wyrzucił z siebie: – Dlaczego nam pomogłeś?

– A dlaczego nie miałbym pomóc?

– Pytam poważnie.

– A ja poważnie odpowiadam. Nie ma w życiu wielu okazji, żeby zostać bohaterem. Więc należy korzystać, kiedy się nadarzy.

Cornelius wzruszył ramionami, aby podkreślić, że sprawa jest prosta, i Simon mu uwierzył.

– Dziękuję ci.

– Poza tym Ingrid okazała mi życzliwość.

– Kiedy się wybudzi, powiem jej, co zrobiłeś. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nie, nie mam. Zachowałeś pistolet, który ci dałem?

– Tak. Myślisz, że będzie potrzebny?

– Nigdy nie wiadomo. Raczej nie. Ale musimy być przygotowani.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie pójdziemy tam z taką forsą nieuzbrojeni.

– Jasne.

– I jeszcze jedno – dodał Cornelius.

– No?

– Wolalbym nie zostać czarnym przyjacielem, który ginie. Nie znoszę tego na filmach.

Simon zaśmiał się po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, tak mu się przynajmniej wydawało.

Zadzwoiła komórka Corneliusa, więc oddalił się o kilka kroków. Tymczasem Yvonne wyszła z banku i podała Simonowi gotówkę.

– Poprosiłam o dziewięć tysięcy sześćset pięć dolarów.

– Skąd taka kwota?

– Różni się od tej, którą ty wyplaciłeś, i w jakimś stopniu oszuka komputer. Sześćset pięć, sześć i pięć. Piąty czerwca. Znasz tę datę?

Znał. Tego dnia urodził się jego syn chrzestny, Drew, najstarszy z dzieci Yvonne.

– Pomyślałam, że to przyniesie szczęście – wyjaśniła.

Wrócił Cornelius.

– Rocco się odezwał.

– I co?

– Będzie u mnie za dwie godziny. Musi znaleźć Luthera.

Cornelius został przed szpitalem, podczas gdy Simon i Yvonne wrócili do Ingrid. Przywitani się z Samem i we troje przez ponad godzinę siedzieli przy jej łóżku, czekając, aż Rocco powiadomi Corneliusa, że już jedzie. Kiedy nastąpiła zmiana personelu medycznego, weszła nowa pielęgniarka, jedna z tych zasadniczych, i oznajmiła:

– W pokoju może przebywać naraz tylko dwóch odwiedzających. Poprosiłabym, żeby jedno z państwa przeszło do poczekalni.

Wstał Sam.

– I tak muszę się trochę pouczyć.

– Powinieneś wrócić na uczelnię – zauważył Simon. – Twoja matka by sobie tego życzyła.

– Możliwe – odparł chłopak. – Ale nie chcę. Wolę być tutaj.

Odwrócił się i wyszedł.

– Jest nadzwyczajny – skomentowała Yvonne.

– Tak – potwierdził Simon, po czym wyznał: – Rozmawiałem dziś z jednym z wykładowców Paige.

– Naprawdę?

– Według niego Paige została zgwałcona na kampusie.

Yvonne milczała. I tylko patrzyła na nieprzytomną siostrę.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

– Tak, słyszałam, Simon.

Przyjrzał jej się uważnie.

– Poczekaj... Wiedziałaś o tym?

– Jestem jej matką chrzestną. Kiedyś... mi się zwierzała.

Poczuł, że krew uderza mu do głowy.

– I zataiłaś to przede mną?

– Obiecałam jej.

– Więc gdyby Drew przyszedł do mnie z jakimś poważnym problemem i poprosił, abym nic ci nie mówił...

– To oczekiwałam, że dotrzymasz obietnicy – odparła Yvonne. – Wybrałam cię na jego ojca chrzestnego, żeby miał się do kogo zwrócić, w razie gdyby nie chciał przyjść z tym do Roberta albo do mnie.

Nie było sensu spierać się o to w takiej chwili.

– Więc co się stało? – zapytał Simon.

– Pomogłam Paige znaleźć terapeutę.

– Nie, chodzi mi o ten gwałt. Jak do niego doszło?

– To długa historia.

– Czyżby, Yvonne?

– Paige nie pamiętała szczegółów. Może ten chłopak coś jej podał, nie wiadomo. Nie zgłaszała sprawy przez długi czas, więc badanie niewiele dało. Chyba terapia jej pomagała. Usiłowała wszystko sobie przypomnieć, powoli to przepracować.

– A wniesienie oskarżenia przeciwko temu draniowi?

– Zachęcałam ją do tego. Nie była gotowa. Niewiele zostało jej w pamięci. Nie miała nawet pewności, czy udzieliła przyzwolenia, czy nie. – Yvonne uniosła rękę, żeby powstrzymać jego następne pytanie. – Była w rozsypce.

Pokręcił głową.

– Trzeba było mi powiedzieć.

– Przekonywałam do tego Paige. Naprawdę. Nawet po tym, jak odsunęła się ode mnie. Ale w pewnym momencie w ogóle przestała ze mną rozmawiać. Powiedziała, że doszła do siebie, że sprawa została załatwiona. Nie wiem, co się stało. Paige przestała odbierać telefony ode mnie, zaczęła się zadawać z tym Aaronem...

– A ty nadal o niczym nas nie informowałaś? Ona wpadała w narkomanię, a ty nie powiedziałaś ani słowa?

– Ani słowa. Tobie.

Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Powiedziałaś Ingrid?

Rozległo się pukanie do drzwi. Simon odwrócił się w ich stronę. W progu stanął Cornelius i wetknął głowę do środka.

– Chodź – rzucił. – Rocco czeka.

Rozdział 36

Ash zjechał z Cross Bronx na Major Deegan.

– Musisz liczyć się z tym, że więcej synów z tej czternastki wyśle próbki swojego DNA do internetowych firm genealogicznych – powiedział.

Dee Dee pokiwała głową. Znowu sięgnęła po telefon Eleny, żeby sprawdzić, czy przyszły jakieś wiadomości.

– I co wtedy? – spytał.

– Prawda nie dożyje końca tygodnia. Nie rozumiem tego całego prawniczego języka, ale gdy jego testament zostanie urzędowo zatwierdzony, trudniej będzie wystąpić z roszczeniami.

– Mimo wszystko – nie ustępował Ash. – Ktoś w końcu poskłada to wszystko do kupy.

– Jak?

– Kolejny syn Prawdy wstawi swoje DNA do systemu.

– No i co dalej?

– Zobaczy, że ma trzech czy czterech braci... i wszyscy nie żyją.

– Niech ci będzie. Jeden przypadkiem stracił życie podczas napadu rabunkowego. Drugi popełnił samobójstwo. Trzeci zaginął, pewnie uciekł. Czwarty... no, nie wiem, został zadźgany, być może przez szurniętego bezdomnego ćpuna. Straszliwy zbieg okoliczności. Jeśli w ogóle do nich dotrze. Co nie będzie łatwe. Konta internetowe pozostaną po ich śmierci aktywne. Najpierw więc taki nowy syn napisze do nieżyjących braci przyrodnych. Nie dostanie odpowiedzi. Na tym etapie pewnie zrezygnuje z dalszych poszukiwań, a jeżeli nawet jakimś sposobem ich odnajdzie, skojarzy fakty i skłoni organy ścigania z różnych stanów, żeby zajęły się wspólnie tymi dawnymi przestępstwami, to do czego dojdą?

Dee Dee już to wszystko przemyślała.

– No, Ash?

– Do niczego – przyznał.

– Właśnie... O, poczekaj.

– Co?

– Przyszedł esemes od Simona Greene'a. – Przeczytała głośno: – **Jadę do Corneliusa, tam gdzie się poznaliśmy. Może czegoś się dowiem. Co u Ciebie?**

– Wiesz, co to za Cornelius? – zapytał Ash.

– Nie mam pojęcia.

– Niedobrze.

– Spoko.

– I o co chodzi matce Adonie? – indagował.

– Nie wiem.

– Napisała, żebym ci nie ufał.

– Ale ufasz, Ash.

– No tak.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nią będziemy się martwić później, dobra?

Znaleźli wolne miejsce przed betonowymi barierkami w Mott Haven na Bronxie. Oboje wzięli broń. Zabrali także noże. To zabójstwo miało wyglądać na zadżganie, pomyślał Ash. Rodzaj śmierci, który w okolicy, gdzie toczyły się wojny gangów narkotykowych, pewnie nie należał do rzadkości.

Właśnie zamierzał otworzyć drzwi samochodu, kiedy odezwała się Dee Dee:

– Ash?

Powstrzymał go ton jej głosu. Spojrzał na nią. Dziewczyna wskazała brodą przed siebie. Wyjęła telefon i pokazała zdjęcie, które ściągnęła ze strony PPG Wealth Management.

– To on, no nie? – upewniła się.

Ash zerknął na wyświetlacz. Bez pudła. Do przeciwległego budynku właśnie wchodził Simon Greene.

– Kto z nim jest? – spytała.

– Mam obstawiać? Cornelius.

Dee Dee kiwnęła głową.

– To chyba nie będzie cios nożem, Ash.

– Tak...

Spojrzała na torbę z bronią na tylnym siedzeniu.

– Raczej krwawa strzelanina.

• • •

Rocco był takim olbrzymem, że człowiek, gdy go widział, za każdym razem zdumiewał się jego rozmiarami. Kiedy tak chodził po mieszkaniu Corneliusa, Simon niemal się spodziewał, że usłyszy złowróżbne mlaskanie.

Rocco, lustrując książki na półkach, zmrużył oczy.

– Przeczytałeś je wszystkie, Cornelius?

– Tak. Ty też powinienes. Czytanie wyrabia empatię.

– Co? – Rocco zdjął z regału jedną z książek i przerzucił jej strony. – Ma pan pięćdziesiąt patyków, panie Greene?

– A ty masz moją córkę? – odciął się Simon.

– Nie.

– Więc nie mam pięćdziesięciu patyków.

– Gdzie Luther? – zapytał Cornelius.

– Spokojnie, Cornelius. Niedługo się zjawi. – Rocco wyjął telefon. – Luther?

Z miniaturowego głośnika komórki doszedł głos:

– Zaraz będę, Rocco.

– Nie rozłączaj się. Nasz przyjaciel nie ma forsy.

– Mam – zaprotestował Simon. – Wprawdzie nie pięćdziesiąt tysięcy, ale jeśli tylko powiecie mi coś, co pomoże w odnalezieniu mojej córki, dostaniecie wszystko. Słowo.

– Słowo? – Rocco był potężnym mężczyzną i śmiał się donośnie. – I co, mam panu uwierzyć, bo wy, biali, dotrzymujecie słowa?

– Nie, z innego powodu – odparł Simon.

– Jakiego?

– Bo jestem ojcem.

– Ooo... – Rocco machnął ręką. – Myśli pan, że to zrobi na mnie wrażenie?

Simon nie odpowiedział.

– W tej chwili wrażenie może na mnie zrobić tylko gotówka.

Simon rzucił pieniądze na stolik.

– Prawie dziesięć tysięcy.

– Za mało.

– W tak krótkim czasie mogłem zebrać tylko tyle.

– No to cześć!

Włączył się Cornelius:

– Daj spokój, Rocco.

– Chcę więcej.

– Dostaniesz – zapewnił go Simon.

Rocco się nadał, ale gotówka na stole wyraźnie go kusila.

– Zrobimy tak: sprzedam wam pewną informację. Nie byle jaką. A potem Luther, mój chłopak... Luther, jesteś tam?

Z telefonu dobiegło potwierdzenie: „No”.

– Dobra, zostań, gdzie jesteś. Na wypadek gdyby próbowali jakichś numerów. Taka mała asekuracja. – Rocco błysnął zębami. – Kiedy skończę, powiem Lutherowi, żeby przyszedł, bo on ma jeszcze większą rewelację.

– Wobec tego słuchamy – odrzekł Cornelius.

Rocco wziął pieniądze.

– Widziano Paige.

Simonowi zabiło serce.

– Kiedy?

Rocco zaczął przeliczać banknoty.

– Dwa dni po tym, jak załatwiono jej chłopaka. Wygląda na to, że pańska córka zadekowała się na jakiś czas w tej okolicy. Potem wsiadła do szóstki.

Czyli szóstej linii metra, pomyślał Simon. Niedaleko była stacja.

– Ktoś jest tego prawie pewny – ciągnął Rocco, nie przerywając liczenia. – Nie na sto procent. Może na dziewięćdziesiąt. Ale inny mój człowiek jest przekonany, że ją widział. Nie ma żadnych wątpliwości.

– Gdzie to było? – zapytał Simon.

Rocco skończył przeliczać pieniądze i ściągnął brwi.

– Tu jest mniej niż dziesięć tysięcy.

– Jutro dam ci drugie dziesięć. Gdzie ten człowiek widział Paige?

Rocco spojrzał na Corneliusa. Ten skinął głową.

– W Port Authority.

– Na dworcu autobusowym?

– Zgadza się.

– Wiadomo, dokąd jechała?

Rocco kaszlnął, zasłaniając usta pięścią.

– Coś panu powiem, panie Greene. Odpowiem na to pytanie. A potem Luther... Luther, przygotuj się, dobra?... zdradzi panu resztę. Za pięćdziesiąt kawałków. I nie będę się targował. Wie pan dlaczego?

– Rocco, daj spokój – rzucił Cornelius.

Tamten rozłożył swoje wielkie ramiona.

– Bo gdy usłyszysz pan, co Luther ma do powiedzenia, da nam pan tę forszę, żebyśmy milczeli.

Simon spojrzał mu w oczy. Żadnemu nie drgnęła powieka. Ale Simon zrozumiał. Rocco nie żartował. Cokolwiek Luther wiedział, była to informacja o zasadniczym znaczeniu.

– Najpierw jednak odpowiem panu na pytanie. Buffalo. Pańska córka... to jest potwierdzone... wsiadła do autobusu do Buffalo.

Simon gorączkowo zaczął się zastanawiać, czy Paige знаła kogoś w Buffalo albo okolicach. Ale bez skutku. Oczywiście, mogła wysiąść wcześniej, w drodze na północ stanu Nowy Jork, ale wciąż nie przychodził mu do głowy nikt, do kogo mogłaby jechać.

– Luther?

– Tak, Rocco?

– Przyjdź na górę, dobra?

Rocco zakończył połączenie. Potem uśmiechnął się do Corneliusa.

– To byłeś ty, Cornelius, co?

Tamten nie odpowiedział.

– Ty strzelałeś do Luthera.

Cornelius tylko zmierzył go wzrokiem. Rocco się zaśmiał i podniósł ręce.

– Ej, ej, spokojnie. Nie powiem mu tego. Ale musicie coś wiedzieć. Miał swoje powody.

– Jakie powody? – zapytał Simon.

Rocco ruszył do drzwi.

– Samoobrona.

– O czym ty mówisz? Nie zamierzałem...

– Stary, nie pan.

Simon popatrzył na niego.

– Niech się pan zastanowi. Luther nie strzelał do pana. Tylko do pańskiej żony.

Uśmiechnął się i sięgnął do gałki.

Wtedy wydarzenia potoczyły się szybko.

Luther z korytarza wrzasnął:

– Rocco, uważaj!

Ten instynktownie otworzył drzwi.

I w powietrzu świsnęły kule.

Rozdział 37

Pięć minut wcześniej Ash pchnął drzwi frontowe, całe pomazane graffiti. Pierwszy wkroczył do słabo oświetlonej klatki schodowej. Dee Dee szła za nim. Nie wyjęli broni. Było na to jeszcze za wcześnie. Ale ręce na wszelki wypadek trzymali w pogotowiu.

– Po co Simon Greene miałby tu przychodzić? – zapytał szeptem Ash.

– Choćby po to, żeby odwiedzić córkę.

– Więc dlaczego nie powiadomił o tym Ramirez? I po co się zadaje z tym Corneliusiem?

Dziewczyna postawiła stopę na chwiejnym stopniu.

– Nie wiem.

– Powinniśmy się wycofać – rzucił Ash. – Przeprowadzić zwiad.

– No to się wycofuj.

– Dee Dee...

– Nie, Ash, posłuchaj mnie. Simon Greene, jak Elena Ramirez, to rak. A raka należy się pozbyć, bo się rozprzestrzeni. Wolisz ostrożność? Dobra. Wracaj do samochodu. Ja jestem na tyle uzbrojona, że poradzę sobie sama.

– Nie ma mowy – oświadczył. – Wiesz, że na to nie pozwolę.

Na jej ustach pojawił się uśmiezek.

– Znowu budzi się w tobie seksista?

– Ty też byś mnie nie zostawiła.

– Fakt.

– Wiesz, co przypomina mi to miejsce? – zapytał.

Dee Dee kiwnęła głową.

– Browar pana Marshalla. Też cuchnie piwkiem.

Był zaskoczony, że dziewczyna to pamięta. JoJo Marshall był jednym z jego ojców zastępczych, jej – nie. Zmuszał go do obsługiwania sprzętu w browarze.

Dee Dee wpadła do niego kilka razy i najwyraźniej nie zapomniała tamtego smrodu.

Ruszyła po schodach. Ash przeskoczył kilka stopni, żeby ją wyprzedzić, ale stanęła mu na drodze i spojrzała na niego ostro, więc zatrzymał się stopień niżej. Na razie nikt ich nie minął. Z oddali dochodziły dźwięki zbyt głośno nastawionego telewizora.

Poza tym panowała cisza.

Ash zerknął w głąb korytarza na pierwszym piętrze, podczas gdy Dee Dee szła dalej na górę.

Nikogo. Dobrze.

Kiedy dotarli na drugie piętro, zerknęła na niego przez ramię. Kiwnął głową. Każde z nich wyjęło broń, FN 5.7 z dwudziestokomorowym magazynkiem. I każde opuściło uzbrojoną rękę do boku; była szansa, że gdyby ktoś w tej chwili otworzył drzwi, to przy tym kiepskim oświetleniu nie zauważyłby, że trzymają w rękach pistolety.

Skierowali się pod B. Ash zapukał w ciężkie, metalowe drzwi.

Byli gotowi.

Brak odpowiedzi.

Zapukał ponownie. Nadal nic.

– Ktoś musi być w środku – szepnęła Dee Dee. – Przecież widzieliśmy, jak Greene wchodzi do budynku.

Ash przyjrzał się masywnym drzwiom, które niewątpliwie miały zapobiegać włamaniom, ale zostały źle zamontowane. Były ze stali, ale osadzono je na drewnianej framudze.

A nie było takiego drewna, które wytrzymałoby to, co działo się w takich miejscach.

Podniósł pistolet i dał Dee Dee znak, żeby się przygotowała. Kopnął w drzwi, tam gdzie we framugę wchodził bolec.

Drewno ustąpiło, jakby to były suche gałązki.

Drzwi się otworzyły. Ash i Dee Dee wpadli do środka.

Nikogo.

Pod dwiema przeciwległymi ścianami leżały materace. Na podłodze były ślady krwi. Ash szybko objął to wszystko spojrzeniem i pomyślał, że coś tu jest nie tak. Jeszcze raz zlustrował podłogę. Pochylił się.

– Co? – zapytała szeptem Dee Dee.

- Żółta taśma.
- Jak to?
- Miejsce zbrodni.
- Bez sensu.

Usłyszeli, że coś dzieje się na korytarzu.

Dee Dee zareagowała błyskawicznie. Rzuciła broń na materac, wyszła z mieszkania i zamknęła za sobą stalowe drzwi, a przynajmniej to, co z nich zostało. Z sąsiedniego mieszkania wyłonił się mężczyzna. Miał na uszach słuchawki z tak głośno nastawioną muzyką, że Dee Dee słyszała ją z odległości pięciu metrów.

Był już przy schodach, zaraz miał po nich zejść, i jeszcze jej nie zobaczył. Dziewczyna znieruchomiała, licząc, że facet się nie odwróci.

Ale zrobił to.

Na jej widok ściągnął słuchawki.

Dee Dee uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Dzień dobry. – W jej ustach to proste przywitanie zabrzmiało niemal jak propozycja. – Szukam Corneliusa.

- Nie to piętro.
- Tak?
- Cornelius mieszka na pierwszym piętrze. Pod B.
- Głupia jestem.
- No.

Wyglądało na to, że chce do niej podejść. Niedobrze. Wsunęła rękę do tylnej kieszeni spodni i ujęła nóż.

Pomyślała, że będzie musiała poderżnąć mu gardło. Szybko i po cichu.

Pomachała do niego.

– Dzięki za pomoc. Miłego dnia!

Facet wyraźnie zamierzał się do niej zbliżyć, ale jakby pod wpływem pierwotnego instynktu uznał, że będzie lepiej, jeśli sobie pójdzie.

– No – odparł. – Tobie też.

Patrzyli na siebie jeszcze przez moment, a potem mężczyzna się odwrócił i szybko ruszył w dół po schodach. Dee Dee chwilę nasłuchiwała, aby się upewnić, czy nie zatrzymał się piętro niżej i nie uprzedził Corneliusa. Jednak wszystko wskazywało na to, że zszedł na parter i pchnął drzwi frontowe.

Kiedy zniknął, Ash wyszedł z mieszkania i podał Dee Dee jej pistolet. Słyszał całą rozmowę. Razem cicho zeszli po schodach na pierwsze piętro i skierowali się pod B. Ash przytknął ucho do drzwi.

Głosy. Kilka głosów.

Dał dziewczynie znak. Oboje unieśli broń. Plan był prosty. Wpaść do środka, strzelając. I zabić wszystkich.

Wycelowwał pistolet w zamek – nie było potrzeby bawić się w subtelności – gdy nagle...

Gałka się obróciła.

I z korytarza za nimi dobiegł krzyk mężczyzny:

– Rocco, uważaj!

• • •

– Rocco, uważaj!

Simon usłyszał pierwsze strzały w momencie, kiedy olbrzym otworzył drzwi.

Podobno czas płynie wolniej w chwilach wielkiego niebezpieczeństwa, prawie tak jak w *Matrixie*, kiedy Neo widział nadlatujące pociski i uchylał się przed nimi. To, oczywiście, złudzenie. Czas płynie zawsze tak samo. Simon czytał jednak, że to odczucie jest wywołane przez nasz mechanizm zapamiętywania. Im intensywniejsze przeżycie – chociażby wtedy, gdy człowiek się boi – tym dłużej wydaje się trwać.

To zjawisko tłumaczy także, dlaczego mamy wrażenie, że z wiekiem czas mija coraz szybciej. Kiedy jesteś dzieckiem, wszystkie doświadczenia są nowe, a wspomnienia świeże i intensywne – więc znowu czas jakby zwalniał bieg. Gdy się starzejesz, zwłaszcza jeśli funkcjonujesz według rutyny, w pamięci zostaje bardzo niewiele przeżyć i stąd poczucie, że czas przyśpiesza. Dlatego właśnie kiedy dziecko wspomina lato, wydaje mu się ono niezwykle długie. Dla dorosłego to zaledwie mrugnięcie oka.

Gdy więc do Simona wśród strzałów dobiegł czyjś krzyk – Luthera – wydało mu się, że czas utknął w melasie.

Rocco otworzył drzwi.

Simon stał ze dwa metry za nim, więc potężne ramiona mężczyzny zasłaniały mu widok. Niczego nie zobaczył.

Usłyszał jednak huk wystrzałów.

Ciałem olbrzyma wstrząsnęło. Rocco zaczął się miotać i rzucać jak w jakimś makabrycznym tańcu. Jego stopy wykonywały dziwne ruchy.

W powietrzu przeleciały następne pociski.

Kiedy wielki mężczyzna wreszcie padł na plecy, budynek zadrżał. Rocco miał otwarte oczy i patrzył niewidzącym wzrokiem w sufit. Krew zalała mu pierś.

Simon ujrzał drzwi.

A w nich dwoje ludzi.

Mężczyzna, około trzydziestki, odwrócił się w lewą stronę, strzelając w głąb korytarza, pewnie do Luthera, który tymczasem umilkł. Kobieta z krótkimi rudymi włosami, może z kilka lat młodsza od tamtego, opuściła broń i strzeliła jeszcze dwa razy w głowę Rocca.

Potem wzięła na cel Corneliusa.

– Nie! – zawołał Simon.

Cornelius nie stał beczynnym, zareagował natychmiast, kobieta była jednak za blisko.

Nie mogła chybić.

Simon rzucił się na nią. Wrzasnął przy tym, żeby odwrócić jej uwagę i zyskać dla Corneliusa choćby ułamek sekundy.

Kiedy napastniczka pociągała za spust, znalazł się przy drzwiach i pchnął je z całej siły. Krawędzią uderzyły ją w przedramię, tak że straciła cel.

Nie było czasu na chwilę wahania.

Łądując na podłodze, Simon sięgnął za drzwi, żeby złapać kobietę za nadgarstek. Dotknął go – a może to było przedramię – i chciał objąć palcami. Już prawie ją trzymał, trzymał mocno, gdy ktoś, pewnie jej towarzysz, natarł na drzwi z drugiej strony.

I Simon dostał nimi w twarz, tak że poleciał do tyłu.

Upadł na martwego olbrzyma.

Kobieta wkroczyła do pokoju i ponownie wymierzyła broń w Corneliusa, który biegnąc w stronę okna i schodów przeciwpożarowych, usiłował dobyć z kieszeni pistolet.

Ale nie zdążył.

Nie miał szans.

Simon nie wiedział, czy to czas zwolnił, czy jego umysł pracował szybciej. W każdym razie błyskawicznie zrozumiał.

Zrozumiał, że nie ma takiej możliwości, aby obaj przeżyli.

Po prostu nie ma.

Co nie pozostawiało mu wyboru.

Ze swojego miejsca kopnął w drzwi, żeby uderzyły kobietę. Ona jakby od niechcienia zablokowała jej stopę. Można by odnieść wrażenie, że był to niewielki wysiłek z jego strony, słaba próba powstrzymania agresorki.

Ale dzięki temu zyskał czas.

Nie tyle, żeby powstrzymać rzeź.

Ale żeby rzucić się w stronę Corneliusa.

Ten ruch zaskoczył kobietę. Spodziewała się, że Simon ruszy na nią. On tymczasem skoczył w przeciwnym kierunku. To nie mogło go uratować. Wręcz przeciwnie. Znalazł się na linii ognia.

Między kobietą a Corneliusem.

Strzeliła mimo to.

Poczuł przeszywający ból, gdy kula trafiła go w dolną część pleców po lewej stronie.

To go jednak nie zatrzymało.

Potem dostał w prawe ramię.

Rzucił się na przyjaciela, obejmując go w pasie.

I pchnął ku oknu.

Czas zwolnił także dla Corneliusa, który nie walczył z naturalnym instynktem. Uległ sile grawitacji i wykorzystując czas, gdy leciał do tyłu, wyjął broń.

Obaj mężczyźni wpadli na okno, które pod wpływem uderzenia się rozbiło.

Cornelius trzymał w dłoni pistolet. Sięgnął nad ramieniem Simona i strzelił, gdy zaczęli upadać.

W całym tym hałasie Simon usłyszał, jak mężczyzna jęknął, a kobieta zawołała:

– Ash!

Cornelius i Simon, objęci, wylądowali na metalowym podeście schodów przeciwpożarowych: Cornelius plecami, a on, zwalniając uścisk, przodem, amortyzowany przez tamtego.

Broń wypadła Corneliusowi z ręki. Simon patrzył, jak pistolet szybuje w stronę twardego asfaltu na dole.

Kobieta wykrzyknęła znowu, z bólem:

– Ash! Nie!

Simonowi zaczęły opadać powieki. W ustach poczuł miedziany smak i zorientował się, że to krew. Udało mu się stoczyć z Corneliusa. Próbował się odezwać, powiedzieć mu, aby uciekał, że ta ruda kobieta nie została trafiona i zaraz ich załatwi.

Ale nie mógł wydobyć głosu.

Spojrzał na Corneliusa. Ten pokręcił głową.

Nie chciał go opuścić.

To wszystko – od chwili, gdy Rocco przekręcił gałkę u drzwi – trwało niespełna pięć sekund.

Z głębi mieszkania doszedł pierwotny krzyk kobiety, z samych trzewi.

A później, nawet będąc w tym stanie, nawet czując, że opuszcza go życie, Simon zdał sobie sprawę, że młoda kobieta idzie w ich stronę.

„Uciekaj”, próbował powiedzieć Corneliusowi.

Ale nie mógł.

Widział, że rudowłosa kobieta zbliża się do okna. Z pistoletem w dłoni.

Znowu nie miał wyboru.

Przywołując resztki sił – a może wykorzystując element zaskoczenia? – zepchnął Corneliusa ze schodów przeciwpożarowych.

Tamten zaczął się po nich staczać, koziółkując, jakby wykonywał fikołki.

To może być bolesne, pomyślał Simon. Może skończyć się złamaniem kilku kości.

Ale raczej go nie zabije.

Simonowi nie pozostało wiele życia. Wiedział o tym. Słyszał zbliżający się dźwięk syren, ale miał świadomość, że samochody nie zdążą na czas. Opadł na plecy i popatrzył w zielone oczy młodej kobiety. Miał nikłą nadzieję, że zobaczy w nich odrobinę litości, może wahanie, ale nie – gdy tylko odpowiedziała na jego spojrzenie, ta nadzieja zgasła.

Kobieta zamierzała go zabić. I wyraźnie się tym delectowała.

Wychyliła się przez okno. Wymierzyła pistolet w jego głowę.

I nagle zniknęła.

Ktoś w mieszkaniu wypchnął ją przez okno. Simon usłyszał krzyk, a potem, gdy upadła na asfalt, odrażające plaśnięcie.

Spojrzał w górę i zobaczył inną kobietę – starszą, w dziwnym szarym uniformie z czerwonymi paskami na rękawach. Popatrzyła na niego z troską,

pośpiesznie wyszła na podest i próbowała mu pomóc, zatamować krwawienie.

– Już po wszystkim – powiedziała do niego.

Chciał zapytać, kim jest, czy zna Paige, dowiedzieć się czegokolwiek, ale miał w ustach za dużo krwi. Czuł, że traci siły i staje się coraz bardziej bezwładny, że oczy umykają mu pod powieki. Zapadając w ciemność, wciąż słyszał wycie syren.

– Nasze dzieci będą już bezpieczne.

A potem wszystko zniknęło.

Rozdział 38

Minął miesiąc.

Obrażenia Simona wymagały trzech operacji, osiemnastodniowego pobytu w szpitalu, tym samym, do którego trafiła Ingrid, kilku kroplówek z morfiną i dwóch – co najmniej – tygodni fizykoterapii. Było to bolesne i nie obyło się bez uszczerbku na zdrowiu: już do końca życia miał utykać – jakby na pamiątkę Eleny Ramirez – a nawet chodzić o lasce, ale to przynajmniej nie stanowiło zagrożenia dla życia.

Cornelius wyszedł z tego wszystkiego ze skręconą kostką i siniakami. Rocco i Luther zginęli podczas strzelaniny. Podobnie jak wynajęty płatny zabójca, niejaki Ashley „Ash” Davis. Jego towarzyszką, młoda członkini sekty, Diane „Dee Dee” Lahoy, spadła na głowę, wskutek czego rozbiła sobie czaszkę. Nie odzyskała przytomności i wiele wskazywało, że już nigdy jej nie odzyska.

Inspektor Isaac Fagbenle próbował wyłożyć mu całą tę historię, choć różnym organom władzy poskładanie faktów w logiczną całość zajęło trochę czasu. Chodziło o jakąś sektę – Niebiosą Prawdy – potajemne adopcje i zbrodnie na zlecenie.

Szczegóły były jednak niejasne.

Żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, Casper Vartage, przywódca Niebios Prawdy, zmarł – z powodów naturalnych. Jego dwaj synowie mówili, że są niewinni, i wynajęli do obrony najlepszych adwokatów. Ci twierdzili – choć zastrzegali się, że brak im pewności – że to Casper Vartage podjął jakieś działania, ale nie żyje, a ich klienci nic o tym nie wiedzą.

– Ale my ich dopadniemy – zapowiedział Fagbenle Simonowi.

On jednak nie był tego taki pewny. Dwójka zabójców, którzy mogliby zeznawać przeciwko synom Vartage’a, była poza zasięgiem organów sprawiedliwości. Policja pokładała nadzieje w kobiecie, która ocalała Simona

i przedstawiała się jako matka Adiona. Niestety, tak długo należała do sekty, że nie dało się ustalić jej tożsamości. I nie można było jej zatrzymać. Nie popełniła żadnego przestępstwa poza tym, że broniąc Simona, doprowadziła do upadku tamtej dziewczyny.

Na jaw wyszły oczywiście i inne fakty. Według policji, kiedy Elena Ramirez dowiedziała się o nielegalnych adopcjach, Ash i Dee Dee ją zabili. Na nagraniach z kamer przemysłowych wokół Cracker Barrel Old Country Store widać, jak wsiada do samochodu prowadzonego przez Dee Dee Lahoy. Przypuszczano, że dziewczyna zawiozła ją do jakiejś pustej chaty i tam zamordowała, ale ciała wciąż nie odnaleziono. Kiedy zabójcy dobrali się do jej telefonu i przeczytali odebrane przez nią esemesy od Simona, zrozumieli, że jego też muszą uciszyć. Na tym nie koniec – bracia przyrodni Vartage'ów, między innymi Aaron Corval, znaleźli się nawzajem i przysięgli sobie, że zachowają swoje kontakty w tajemnicy, dopóki nie dojdą, kto jest ich ojcem. Jeden z nich, Henry Thorpe, odkrył, że jego matka też należała kiedyś do sekty, że potem wystąpiła przeciwko Vartage'om i w ten sposób ich ostrzegła.

Simon nie dowiedział się jednak niczego nowego o Paige.

Piątej nocy w szpitalu, kiedy tak go bolało, że niecierpliwie uderzał w przycisk pompy z morfiną, zobaczył w półśnie matkę Adionę, która siedziała przy jego łóżku.

– Mordowali wszystkich synów – powiedziała do niego.

Wiedział o tym, choć motywy wciąż wydawały mu się niejasne. Może członkowie sekty chcieli ukryć przestępstwa związane ze sprzedażą dzieci. Albo te zabójstwa były częścią dziwnego rytuału czy też przepowiedni. Nikt nie mógł stwierdzić tego na pewno.

– Wierzę w Prawdę, panie Greene. To trzyma mnie przy życiu. Służę mu przez całe życie. Kiedy urodziłam syna, powiedział mi, że chłopiec będzie jednym z naszych przyszłych przywódców. I na kogoś takiego go wychowywałam. Potem urodziłam drugiego i gdy się dowiedziałam, że nie będzie mógł z nami zostać, nie sprzeciwiłam się, choć to oznaczało, że nigdy więcej go nie zobaczę.

Simon patrzył na nią wzrokiem przyćmionym środkami przeciwbólowymi.

– Ale w zeszłym roku weszłam na jedną ze stron poświęconych genealogii, chciałam sprawdzić, jak potoczyły się losy mojego syna. Nie miałam złych

intencji. Pragnęłam tylko... wiedzieć. – Uśmiechnęła się. – I wie pan, co odkryłam?

Pokręcił głową.

– Że mój syn nazywa się Nathan Brannon. Wychowali go Hugh i Maria Brannonowie, nauczyciele z Tallahassee na Florydzie. Z wyróżnieniem ukończył studia na uniwersytecie stanowym. Ożenił się ze swoją dziewczyną ze szkoły i ma trzech synów... dziesięciolatka i sześciolatnie bliźniaki. Został nauczycielem i wszystko wskazuje na to, że jest porządnym człowiekiem.

Simon próbował usiąść, ale był zbyt osłabiony.

– Chciał się ze mną spotkać... mój syn. Ale odmówiłam. Wyobraża pan sobie, jakie to było dla mnie trudne, panie Greene.

Pokręcił głową i wydusił tylko:

– Nie, nie wyobrażam sobie.

– Wystarczała mi jednak świadomość, że mój syn jest szczęśliwy. Prawdzie przecież też o to chodziło.

Simon przysunął rękę ku jej dłoni. Starsza kobieta ją ujęła. Siedzieli tak przez chwilę, w ciemności, przy wtórze stłumionych odgłosów szpitalnych.

– Ale później odkryłam, że chcą zabić mojego chłopca. – Wreszcie opuściła wzrok i spojrzała Simonowi w oczy. – Przez całe życie w imię wiary naginałam się do czegoś. Ale jeśli człowiek nagnie się za bardzo, to pęknie. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– Trzeba ich było powstrzymać. Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Ale nie miałam innego wyjścia.

– Dziękuję pani – powiedział Simon.

– Muszę wracać.

– Dokąd?

– Do Niebios Prawdy. To wciąż mój dom.

Matka Adiona wstała i ruszyła do drzwi.

– Proszę... – Simon przełknął ślinę. – Moja córka... Była związana z jednym z tych mężczyzn.

– Słyszałam.

– Zaginęła.

– Wiem.

– Niech mi pani pomoże – ciągnął Simon. – Jest pani rodzicem. Rozumie pani.

– Tak. – Matka Adiona otworzyła drzwi. – Ale nic więcej mi nie wiadomo.

I zniknęła.

Tydzień później Simon poprosił Fagbenle'a, żeby dał mu do przejrzenia akta sprawy. Policjant, może przejęty współczuciem, spełnił jego prośbę.

Stan Ingrid się poprawiał, więc pojawiło się światło w tunelu. Wbrew temu, co można zobaczyć w telewizji, człowiek nie wychodzi ze śpiączki tak po prostu. To powolny proces: na krok do przodu przypadają dwa kroki w tył. Ingrid odzyskała przytomność i dwa razy rozmawiała z nim krótko. W obu przypadkach mówiła całkiem do rzeczy, co budziło nadzieję. Ale od tego czasu minął tydzień. I nie było dalszej poprawy.

Od dnia, w którym został ranny, Simon nie przestawał prowadzić swojego śledztwa, bo najważniejsze dla niego pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi.

Gdzie jest Paige?

Upływały dni, tygodnie.

•••

Miesiąc po postrzeleniu, kiedy wreszcie poczuł się jako tako, Simon pojechał do Port Authority i wsiadł do autobusu jadącego do Buffalo. Przez siedem godzin wyglądał przez okno, licząc wbrew nadziei, że zobaczy coś, co podsunie mu jakąś myśl.

Ale bez skutku.

Po przybyciu do celu przez dwie godziny krążył wokół dworca autobusowego. Był pewny, że jeśli obejdzie to miejsce kilka razy, znajdzie jakiś trop.

Ale nie.

Obolały – cała ta podróż była chyba ponad jego siły – Simon ponownie wsiadł do autobusu, wcisnął się na swoje miejsce i ruszył w siedmiogodzinną drogę powrotną.

Znowu patrzył przez okno.

I znowu nic.

Dochodziła druga nad ranem, gdy autobus wreszcie dotarł do Port Authority. Simon linią A pojechał do szpitala. Ingrid została przeniesiona z oddziału intensywnej terapii do izolatki, choć nadal była nieprzytomna. Do pokoju wstawiono łóżko polowe, żeby mógł spać przy żonie. W niektóre noce czuł, że

Sam i Anya potrzebują go w domu. Jednak w pozostałe – jak ta – jechał na Washington Heights, całował Ingrid w czoło i kładł się spać obok niej.

Tej nocy, kiedy przyjechał, w pokoju ktoś był.

Przy zgaszonych światłach widział tylko sylwetkę osoby siedzącej przy łóżku jego żony.

Zastygł w progu. Mimowolnie otworzył szeroko oczy. Przytknął dłoń do ust i wydobył się z nich stłumiony okrzyk. Ugięły się pod nim kolana.

Wtedy Paige się odwróciła i spytała:

– Tata?

I Simon wybuchł płaczem.

Rozdział 39

Paige pomogła ojcu dojsć do krzesła i usiąść.

– Nie mogę zostać – powiedziała. – Ale to już miesiąc.

Simon wciąż dochodził do siebie.

– Miesiąc?

– Od kiedy nic nie biorę.

Rzeczywiście. Widział to. Serce mu się ścisnęło. Jego córeczka była blada, wymizerowana i przybita, ale wzrok miała czysty, sprawiała wrażenie całkiem przytomnej i... Znowu do oczu napłynęły mu łzy, tym razem radości, ale zapanował nad nimi.

– Jeszcze nie wyszłam na prostą – uprzedziła go. – I może nigdy nie wyjdę. Ale czuję się lepiej.

– Więc przez cały ten czas...

– O niczym nie wiedziałam. Nie wolno nam korzystać z urządzeń elektronicznych. Kontaktować się z rodziną, przyjaciółmi, nikim ze świata zewnętrznego. Takie są zasady. Nic przez cały miesiąc. To była dla mnie jedyna szansa, tato. Jedna jedyna.

Simon był oszołomiony.

– Muszę wracać do ośrodka. Chyba rozumiesz. Nie jestem jeszcze gotowa na dłuższy pobyt w realnym świecie. Poprosiłam o dwudziestoczwierogodzinną przepustkę i dostałam ją tylko ze względu na okoliczności. Wracam. Chociaż jestem tu krótko, już czuję potrzebę...

– Wrócisz – zapewnił ją Simon. – Odwiozę cię.

Paige odwróciła się w stronę matki.

– To przeze mnie.

– Nie – zaprzeczył. – Nie myśl tak.

Zbliżył się do niej. Wciąż wydawała się taka krucha, strasznie krucha, i zaczął się obawiać, że jeśli będzie się obwiniać, jeśli weźmie na siebie odpowiedzialność, znowu zechce pogрузić się w zapomnieniu.

– To nie twoja wina – zapewnił ją. – Nikt niczego ci nie zarzuca, a już na pewno nie twoja matka ani ja. Rozumiesz?

Kiwnęła głową, ale zbyt niepewnie.

– Paige?

– Tak, tato?

– Opowiesz mi, co się stało?

– Kiedy wróciłam do mieszkania i zobaczyłam, że Aaron nie żyje... postanowiłam się ukryć. Myślałam... że policja uzna mnie za sprawczynię. To, co go spotkało, było okropne, ale gdzieś w głębi duszy... sama nie wiem... poczułam ulgę, że już go nie ma. Że wreszcie się od niego uwolniłam. Rozumiesz, co mam na myśli.

Skinął głową.

– Potem pojechałam do ośrodka.

– Skąd wiedziałaś o tym miejscu? – zapytał.

Zamrugła i odwróciła wzrok.

– Paige?

– Już tam byłam – odparła.

– Kiedy?

– Pamiętasz, jak zobaczyłeś mnie w Central Parku?

– Pewnie.

– Więc byłam tam wcześniej.

– Chwileczkę, to znaczy kiedy?

– Tuż przedtem. Żeby z tego wyjść. I dobrze mi szło. Tak myślałam. Ale Aaron mnie znalazł. Którejś nocy zakradł się do mojego pokoju. I kiedy spałam, wstrzyknął mi działkę. Następnego dnia uciekłam... razem z nim.

Simonowi kręciło się w głowie.

– Poczekaj, byłaś na odwyku tuż przed tym, jak zobaczyłem cię w parku?

– Tak.

– Nie rozumiem. Jak tam trafiłaś?

Paige spojrzała w kierunku łóżka.

Simon nie mógł w to uwierzyć.

– Twoja matka?

– Zabrała mnie tam.

On także popatrzył na Ingrid, jakby mogła się za chwilę obudzić i wszystko wyjaśnić.

– Przyszłam do niej – wyznała Paige. – Była moją ostatnią nadzieją. Znała to miejsce. Była tam przed wieloma laty. Mają inne podejście, powiedziała mi. Więc spróbowałam. I zaczęło działać. Albo nie. Łatwo zwalić winę na kogoś, ale może...

Simon przyjmował kolejne ciosy, starając się skupić na tym, co najważniejsze.

Jego córka wróciła. Wróciła i była czysta.

Następne pytanie zadał najłagodniej, jak się dało.

– Dlaczego mama nie powiedziała mi, że ci pomaga?

– Bo ją o to prosiłam. Taka była umowa.

– A dlaczego nie chciałaś, abym wiedział?

Paige odwróciła się do niego. Spojrzał w zmęczone oczy córki i zaczął się zastanawiać, ile minęło czasu, od kiedy na nią patrzył, naprawdę patrzył, tak jak teraz.

– Twoja twarz... – zaczęła.

– Jak to?

– Kiedy wcześniej nawaliłam, kiedy cię zawiodłam, ten wyraz rozczarowania... – Urwała i pokręciła głową, jakby chciała otrząsnąć się z czegoś. – Gdybym znowu nie stanęła na wysokości zadania i zobaczyła twoją minę, chyba bym się zabiła.

Simon ponownie podniósł rękę do ust.

– Och, kochanie...

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Proszę... Bardzo żałuję, jeśli kiedykolwiek tak się przeze mnie poczułaś.

Paige zaczęła nerwowo drapać się po ramionach. Simon dostrzegł ślady po ukłuciach, choć już nikłe.

– Tato?

– Tak?

– Muszę już wracać.

– Odwiozę cię.

• • •

Po drodze wstąpili do domu. Paige obudziła dwójkę rodzeństwa. Simon iPhone'em sfilmował wzruszającą scenę, gdy troje jego dzieci spotkało się na krótko. Chciał pokazać to Ingrid. Nie miało znaczenia, czy coś z tego do niej dotrze. Zamierzał odtwarzać to nagranie dla niej i dla siebie wiele razy.

Jazda na północ trwała długo. Ale to mu nie przeszkadzało. Przez pierwsze godziny Paige spała.

Targały nim emocje. Na widok Paige – czystej Paige! – ogarnęła go radość i ulga. To przede wszystkim. Starał się więc skupić na tych uczuciach, ignorując inne – lęk, co będzie dalej, smutek, że Paige tak się bała jego reakcji, niepokój, dlaczego Ingrid ukrywała przed nim tak ważną informację.

Jak mogła?

Jak mogła mu nie powiedzieć, że zawiozła Paige na odwyk? Dlaczego milczała nawet po tym, jak zobaczył córkę w parku i starł się z Aaronem? Czym innym było dotrzymanie danej dziecku obietnicy. To rozumiał. A czym innym lojalność wobec partnera.

Przecież zawsze wszystko sobie mówili.

A przynajmniej tak sądził.

Simon właśnie usiłował sobie przypomnieć, co takiego powiedział Rocco o Lutherze strzelającym do Ingrid, gdy Paige się obudziła i wyciągnęła rękę po butelkę wody.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Dobrze. To tak daleko, tato. Mogłam pojechać autobusem.

– Po moim trupie. – Uśmiechnął się do niej ze znużeniem.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

– Nie możesz odwiedzać mnie w ośrodku – zapowiedziała. – Przez następny miesiąc na pewno nie. Żadnych gości.

– W porządku.

– Wypuścili mnie, bo się o ciebie martwiłam. Nie chciałam, żebyś się niepokoił.

– Dziękuję.

Następny odcinek drogi pokonali w milczeniu.

– Jak to było? – zapytał znowu.

– Co takiego?

– Kiedy pierwszy miesiąc w ośrodku dobiegł końca, pozwolili ci skontaktować się z nami?

– Tak.

– Przeczytałaś, co się stało?

Paige kiwnęła głową.

– Moja terapeutka w klinice oglądała wiadomości. Powiedziała mi o wszystkim.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem.

– Wiedziała tyle czasu i ukrywała to przed tobą?

– Tak. To moja jedyna szansa, tato. Całkowita izolacja. Zrozum, proszę.

– Rozumiem. – Simon zmienił pas. – Wiesz, że zaprzyjaźniłem się z twoim dawnym gospodarzem, Corneliusem?

Paige odwróciła się do niego.

– Uratował życie twojej matce – dodał.

– Jak to?

Opowiedział jej o wizycie na Bronxie: jak poszli do jej mieszkania, poznali Corneliusa i udali się do piwnicy, gdzie urzędował Rocco.

– Cornelius zawsze był dla mnie dobry – skomentowała.

– Powiedział nam, że dwa dni przed śmiercią Aarona wybiegłaś z mieszkania z zakrwawioną twarzą.

Paige obróciła głowę w drugą stronę i spojrzała za okno.

– Czy Aaron znęcał się nad tobą?

– To zdarzyło się tylko raz.

– Bardzo cię pobił?

– Tak.

– Dlatego uciekłaś. A później, jak twierdzi policja, zabił go ten płatny zabójca.

Paige odpowiedziała zdawkowo:

– Chyba tak.

Ale zorientował się po tonie jej głosu, że kłamie.

Czuł, że w policyjnej teorii dotyczącej zabójstwa Aarona Corvala coś nie gra. Z jednej strony, była jak najbardziej sensowna, prosta, logiczna. Do pewnego stopnia. Sekta mordowała chłopców, którzy nielegalnie zostali oddani do adopcji. Aaron był jednym z nich, więc stał się celem. Ash i Dee Dee wrócili na miejsce zbrodni, bo chcieli zabić Simona.

Skąd jednak wiedzieli, że go tam zastaną?

Przeanalizował wszystkie informacje. Wcześniej miał okazję przejrzeć rejestry płatności za użytkowanie dróg i stwierdził, że samochód, którym jechali Ash i Dee Dee, nie przejeżdżał w pobliżu szpitala. Nie mogli go więc śledzić.

Jego uwagę natomiast zwróciło coś innego.

Świadek Enrique Boaz, jeden z lokatorów budynku, zeznał, że tuż przed strzelaniną w mieszkaniu Corneliusa widział Dee Dee na drugim piętrze.

Dlaczego? Po co poszła piętro wyżej?

Według policji był to nieistotny szczegół: w każdej sprawie są takie niejasności. Simona to jednak nurtowało. Więc tam wrócił. Z Corneliusiem przy boku wypytał Boaza i trafił na możliwy trop:

Dee Dee stała przed mieszkaniem Aarona i Paige.

Znowu: dlaczego? Skoro zabiła z Ashem Aarona, po co miałyby wracać na miejsce zbrodni? I do tego, jak słusznie zauważył Cornelius, gdy gliniarze wreszcie się wynieśli, wyłamywać drzwi, żeby dostać się do środka?

To wszystko nie trzymało się kupy.

Chyba że dziewczyna i Ash wcześniej tam nie byli.

– Paige?

– Tak?

– Co zrobiłaś, gdy Aaron cię pobił?

– Uciekłam.

– Dokąd?

– Poszłam... poszłam dać sobie w żyłę.

Zapytał od niechcienia:

– Nie zadzwoniłaś do mamy?

Milczenie.

– Paige?

– Proszę, zostawmy to.

– Zadzwoniłaś do mamy czy nie?

– Tak.

– I jak zareagowała?

– Ja... – Zacisnęła powieki. – Powiedziałam jej, co zrobiłam. Że musiałam uciec.

– I co jeszcze, Paige?

– Tato... Błagam... Nie wracajmy do tego.

– Najpierw oboje musimy poznać prawdę. I wiesz co? Ta prawda zostanie między nami. Na zawsze. Aaron był draniem. Zabicie go... stanowiło akt samoobrony, nie morderstwo. On zabijał cię codziennie. Truł. A kiedy usiłowałaś się uwolnić, dopadł cię i zatrzał znowu. Tak czy nie?

Jego córka pokiwała głową.

– Więc co się stało?

– Aaron pobił mnie tamtego dnia. Pięciami.

Simon poczuł, że znowu ogarnia go gniew.

– Nie byłem w stanie już dłużej wytrzymać. Wiedziałaś, że mogę z tego wyjść... wyzwolić się... gdyby tylko on...

– ...zniknął – dokończył Simon.

– Pamiętasz, co widziałeś w parku? Jak wyglądałam?

Skinął głową.

– Musiałam się od niego uwolnić.

Simon czekał. Paige patrzyła prosto przed siebie przez przednią szybę.

– Więc tak, tato, zabiłam go. Zabiłam go, urządziłam krwawą jatkę. A potem się ukryłam.

Simon, prowadząc samochód, ścisnął kierownicę tak mocno, że lada chwila mogła odpaść od deski rozdzielczej.

– Tato?

– Jesteś moją córką. Zawsze będę cię chronił. Zawsze. I jestem z ciebie dumny. Chcesz postąpić właściwie.

Przysunęła się do niego. Simon objął ją jedną ręką.

– Ale nie zabiłaś Aarona.

Poczuł, że zeszywniała pod jego ramieniem.

– Pobił cię dwa dni przed śmiercią.

– Tato, proszę, daj już spokój.

Simon niczego bardziej nie pragnął.

– Zadzwońska do matki. Tak jak powiedziałaś. Poprosiłaś ją o pomoc.

Paige przytuliła się do niego mocniej. Czuł, jak córka drży. Nie chciał wywierać na nią presji, ale musieli przez to przebrnąć.

– Mama powiedziała, żebyś nie wracała na noc do domu, prawda?

– Tato, błagam... – jęknęła.

– Twoja matka i ja mieliśmy taki sam stosunek do całej tej sprawy. Przyjechalibyśmy i zabralibyśmy cię do ośrodka odwykowego... ale Aaron by cię

odnalazł. Łączyła was jakaś perwersyjna więź, której nie potrafię zrozumieć. Był jak pasożyt, którego należy zabić.

– I tak właśnie zrobiłam – nie ustępowała Paige. Starła się powiedzieć to pewnie, zuchwale, ale wyszło nieprzekonująco.

– Nie, kochanie, nie. Dlatego Luther strzelał do mamy. Zobaczył ją tamtej nocy. I zanim zginął, to właśnie chciał mi powiedzieć. Widział, jak wychodziła z waszego mieszkania, a może nawet był świadkiem samego zabójstwa, nie wiem. Kiedy więc kilka dni później zobaczył ją w pobliżu Rocca, być może uznał, że i jego chce zabić. Aaron pracował dla Rocca, prawda? Dlatego od razu Luther wyjął broń. I najpierw strzelił do mamy, nie do mnie. A potem obstawał, że działał w samoobronie.

Fagbenle miał rację od początku.

– *Brzytwa Ockhama. Wie pan, co to jest?*

– Nie jestem w nastroju, inspektorze.

– To zasada, która mówi...

– Orientuję się...

– ...że najprostsze wyjaśnienie zwykle jest prawdziwe.

– Czyli jakie, inspektorze?

– Że to pan zabił Aarona Corvala. Albo zrobiła to pańska żona. Rozumiałbym was. Ten człowiek był potworem. Powoli truł Paige, zabijając ją na waszych oczach.

Fagbenle zauważył nawet, że Ingrid mogła pojechać na Bronx podczas przerwy w pracy. Na nagraniu monitoringu widać, że wychodzi ze szpitala. I wiedziała, kiedy działać. Upewniła się, że Aaron będzie sam.

– Paige?

– Nie wiedziałam, że mama zamierza go zabić.

Odsunęła się od niego i usiadła wyprostowana.

– Wróciłam do mieszkania wcześniej i zobaczyłam... Mama miała na sobie strój szpitalny. Cały zakrwawiony. Chyba później się go pozbyła. Ale na jej widok wpadłam w panikę. I uciekłam.

– Gdzie?

– Do piwnicy. Takiej jak Rocca. Miałam jeszcze dwie działki. Ukrywałam się przez wiele godzin, nie wiem jak długo. A kiedy oprzytomniałam, wreszcie dotarła do mnie prawda.

– Jaka prawda?

– Że mama popełniła morderstwo. Zastanów się przez chwilę. Podobno trzeba sięgnąć dna, żeby wyjść na prostą. Gdy sobie uświadamiasz, że twoja matka zabiła kogoś przez ciebie, to już jest samo dno.

Przez moment milczeli.

Potem Simon zapytał:

– Dlaczego mama nie zadzwoniła do ośrodka, żeby sprawdzić, czy tam nie pojechałaś?

– Może zadzwoniła. Ale mnie tam jeszcze nie było. Pozbierałam się dopiero po kilku dniach.

A później Ingrid była już w śpiączce.

– Tato?

– Co, kochanie?

– Możemy już z tym skończyć?

Zastanowił się nad tym.

– Chyba tak.

– I to już na zawsze pozostanie między nami?

– Na zawsze.

– Chodzi także o mamę.

– Jak to?

– Nie mów jej, że wiesz. Dobrze? I o wszystkim zapomnij.

Rozdział 40

W następnych tygodniach, gdy Ingrid powoli odzyskiwała zdrowie i sprawy się układały, Simon rozważał prośbę córki.

Czy to, co powiedzieli sobie w samochodzie, powinno zostać między nimi? Czy nie byłoby lepiej, gdyby powiedział żonie, że wie, co zrobiła?

Może jednak należało żyć z tym sekretem?

Wszystko wskazywało na to, że odpowiedź brzmi „tak”.

Simon patrzył, jak żona powoli wraca do niego i do rodziny.

W końcu na tyle się wzmocniła, że została wypisana ze szpitala.

Tygodnie przeszły w miesiące.

Dobre miesiące.

Paige także dochodziła do siebie. W końcu pracownicy ośrodka pozwolili jej jechać do domu.

Sam z początkiem nowego semestru wrócił do Amherst. Anya dobrze radziła sobie w szkole. Simon znowu normalnie pracował. Niebawem Ingrid również będzie mogła zająć się swoimi pacjentami.

Życie wracało do normalności.

I było to dobre życie. Naprawdę dobre. A w takiej sytuacji może lepiej nie budzić licha.

W ich życiu znowu zapanowały radość i śmiech. Były cudowne spacerunki po Central Parku. Kolacje z przyjaciółmi i wieczory w teatrze. Miłość, światło, rodzinne zajęcia.

Ingrid i Simon serdecznie przyjęli Paige. Udzielili jej tyle wsparcia, ile mogli, cały czas niepokoił się jednak, że demon, którego przejęła od Aarona, wprawdzie osłabiony albo uspijony, wciąż w niej żyje, gotów się obudzić.

Bo demony nie umierają.

Podobnie jak tajemnice.

I na tym polegał problem. Żyli sobie z całym tym dobrem. Ale także z sekretem.

Pewnego wieczoru, gdy Ingrid i Simon szli przez Central Park, zatrzymali się na Strawberry Fields. Simon zwykle unikał tego miejsca. To tu widział Paige zarzynającą piosenkę Beatlesów. Którą? Już nie pamiętał. Poprawka. Nie chciał pamiętać.

Ingrid jednak miała ochotę usiąść na ławce. Z przyzwyczajenia przeczytał napis:

Dla Jersey, poczciwego psa, który z radością usiadłby tu z Wami.

Ingrid wzięła go za rękę, popatrzyła w dal i powiedziała:

– Ty wiesz.

– Tak.

– Rozumiesz, dlaczego tak postąpiłam.

Kiwnął głową.

– Rozumiem.

– Ona tonęła. I za każdym razem, gdy wypływała na powierzchnię, on wciągał ją w głębinę.

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

Uścisnął jej dłoń i przytrzymał.

– Zaplanowałaś to?

– Gdy tylko do mnie zadzwoniła.

– I upozorowałaś krwawą zemstę...

– ...aby policja uznała, że to porachunki gangów narkotykowych – dokończyła.

Spojrzał w bok, a potem znowu na nią.

– Dlaczego nie zwróciłaś się do mnie o pomoc?

– Z trzech powodów – odparła.

– Jakich?

– Po pierwsze, moim obowiązkiem jest cię chronić. Bo cię Kocham.

– I wzajemnie.

– Po drugie, gdyby mnie złapano, ktoś musiałby opiekować się dziećmi.

Simon musiał się na to uśmiechnąć.

– Jesteś praktyczna.

– Owszem.

– A po trzecie?

– Bałam się, że zechcesz mnie od tego odwieść.

Nie odpowiedział. Czy rzeczywiście zgodziłby się na zabicie Aarona Corvala?

Nie wiedział.

– Ryzykowne przedsięwzięcie – zauważył.

– Właśnie – potwierdziła.

Popatrzył na żonę i znowu doznał tego uczucia.

– Kocham naszą rodzinę – odezwała się Ingrid.

– Ja też.

Oparła głowę na jego ramieniu, jak tyle razy wcześniej.

W życiu jest niewiele chwil prawdziwego szczęścia. Przeważnie nie zdajesz sobie sprawy, że je przeżywasz, dopóki nie przeminą. W tym momencie tak jednak nie było. Siedząc z ukochaną kobietą, Simon wiedział.

I ona wiedziała.

Że to jest szczęście.

I że nie będzie trwać wiecznie.

Epilog

Policja stanowa odnalazła ciało Eleny Ramirez prawie rok po jej zamordowaniu.

Pogrzeb miał się odbyć w Chicago. Simon z Corneliusem postanowili się na niego wybrać. Woleli jechać samochodem niż lecieć samolotem. Trasę zaplanował Cornelius: wynajdywał dziwne muzea i przydrożne atrakcje, żeby mogli robić przystanki.

Elenę złożono na wieczny spoczynek obok niejakiego Joela Marcusa.

Nocowali w hotelu pod Chicago. Następnego ranka w drodze powrotnej Simon zapytał:

– Możemy zatrzymać się w Pittsburghu?

– Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu – odparł Cornelius. Zauważył wyraz jego twarzy, więc zagadnął: – A co?

– Muszę tam kogoś odwiedzić.

Kiedy Simon zapukał do drzwi, niepewnie otworzył je młody mężczyzna.

– Doug Mulzer?

– Tak.

Młody mężczyzna nie był fizycznie ani emocjonalnie w stanie wrócić do Lanford College po tym, co go spotkało. Simona to nie wzruszyło. A może jednak. Może już dość tego wymierzania sprawiedliwości na własną rękę.

– Nazywam się Simon Greene. Jestem ojcem Paige.

...

Kiedy wrócili do Nowego Jorku, Simon odwiózł Corneliusa do domu i pojechał do biura PPG Wealth Management. Było już późno, ale Yvonne jeszcze nie wyszła. Wziął ją na bok i oznajmił:

– Chyba znam sekret Ingrid.

• • •

Tego wieczoru, kiedy wkroczył do budynku, w którym mieszkali, Suzy Fiske przytrzymała mu drzwi windy. Uśmiechnęła się na powitanie i cmoknęła go w policzek.

– Cześć – powiedziała. – Widzę, że Sam przyjechał z Amherst.

– Tak, wrócił na ferie.

– Więc macie w domu całą trójkę.

– Tak.

– Musi być cudownie.

Simon odpowiedział uśmiechem.

– Jest.

– Słyszałam, że Paige zapisała się na Uniwersytet Nowojorski.

– Tak. Ale będzie mieszkała z nami.

– Cieszę się ze względu na was.

– Dziękuję, Suzy. Wiem, że dziękowaliśmy ci już setki razy...

– Podarowaliście nam kartę upominkową RedFarm. To wielki gest z waszej strony. Jedliśmy tam już ze cztery razy.

Winda zatrzymała się na piętrze Simona. Wsiadł z niej i kluczem otworzył sobie drzwi do mieszkania. Z głośnika Bluetootha w kuchni płynęło *Zombie* w wersji Bad Wolves. Ingrid podśpiewywała refren: „Co tam ci chodzi po głowie, po głowie, zombie...”.

Simon oparł się o framugę. Żona odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

– Jak wyjazd?

– Dobrze.

– Twój syn jest w domu.

– Słyszałem. Co tam przygotowujesz?

– Swoją specjalność, słynnego tuńczyka po azjatycku. Twoje ulubione danie.

– Kocham cię – rzekł.

– A ja ciebie.

– Gdzie Paige?

– W swoim pokoju. Za pięć minut kolacja, dobra?

– Dobra.

Ruszył korytarzem i zapukał do drzwi pokoju córki.

– Proszę – usłyszał.

Paige wciąż była blada, wymizerowana i przybita, nawet po tym całym czasie, i Simon się zastanawiał, czy to się kiedyś zmieni. Zdarzały jej się złe noce, koszmarne sny, poty i napady płaczu. Toczyła walkę i nie było wiadomo, czy kiedykolwiek wyjdzie z niej zwycięsko – znał szanse – ale istniała nadzieja. Wciąż intrygował go wpływ, jaki wywierał na nią Aaron, ta dziwna pokrętna więź, która ich łączyła. Może znowu wszystko było całkiem proste. Jak mówił Fagbenle.

Jesteś w stanie zabić, żeby chronić swoje dziecko.

Jesteś w stanie zabić, żeby ratować je przed narkomanią.

– Wciąż nie rozumiem, jak to się stało, że poznałaś Aarona – zaczął. – Tego nie mogę rozgryźć. Elena Ramirez widziała wyniki analizy DNA, której poddał się Henry Thorpe. Wyszczególniono w nich wszystkich jego braci przyrodnich, w tym Aarona. Ty też wysłałaś do badania próbkę materiału genetycznego, prawda, Paige?

– Tak.

– Nigdy nie mogłem pojąć... co łączyło cię z Aaronem. Jak mogłaś związać się z kimś tak okropnym?

Paige właśnie wyjmowała z szuflady bluzę. Zatrzymała się i czekała.

– Wiesz, co mnie uderzyło w waszym mieszkaniu na Bronxie? – ciągnął. – Były tam dwa pojedyncze materace... pod przeciwległymi ścianami. – Rozłożył ręce. – Jaka para młodych ludzi nie śpi w jednym łóżku?

– Tato...

– Daj mi skończyć, dobrze? Dziś w Pittsburghu widziałem się z Dougiem Mulzerem. Musimy kiedyś o tej sprawie porozmawiać, o tym, co on ci zrobił, chyba że omawiasz to podczas sesji terapeutycznych.

– Omawiam.

– W porządku, ale wiesz, że został napadnięty. I strasznie pobity.

– To było złe – odparła.

– Może tak, może nie. Nie o to mi chodzi. Doug powiedział mi jednak, że napadł go mężczyzna w kominiarce. To był Aaron, mam rację?

– Tak. Nie powinnam była mu mówić, co zrobił mi Doug.

– Dlaczego powiedziałaś?

Paige milczała.

– Nie mogłem tego zrozumieć. Ale Mulzer powtórzył mi, co Aaron krzyczał, gdy go bił.

Paige do oczu napłynęły łzy. Simonowi też.

– „Nikt nie będzie krzywdził mojej siostry!”

Paige się skuliła.

– Zrobiłaś sobie test DNA i dowiedziałaś się, że Aaron jest twoim bratem przyrodnim, ale nie ze strony ojca. – Simon cały się trząsał. – Mieliście tę samą matkę.

Paige dopiero po chwili zdołała podnieść głowę i na niego spojrzeć.

– Tak.

– Zapytałem o to twoją ciotkę, Yvonne. Wielki sekret mamy? Nie pracowała jako modelka, gdy była nastolatką. Wstąpiła do sekty. Zaszła z przywódcą w ciążę. Ale jej powiedzieli... powiedzieli, że dziecko urodziło się martwe. Pomyślała, że je zabili... celowo. Chciała popełnić samobójstwo. Jej rodzice, twoi dziadkowie, zabrali ją stamtąd i oddali na terapię. Do ośrodka leczenia uzależnień. Tego samego, do którego potem zawiozła ciebie.

Jego córka przecięła pokój i usiadła na łóżku. Simon zajął miejsce obok niej.

– Był strasznie zaburzony – odezwała się Paige. – Ojciec znęcał się nad nim od dzieciństwa.

– Mówisz o Aaronie?

Kiwnęła głową.

– A pamiętasz, co się ze mną działo? Na uczelni napadł mnie Doug Mulzer, a potem zrobiłam sobie test DNA i miałam wrażenie, że całe moje życie to jedno wielkie kłamstwo. Byłam przerażona, zagubiona, dezorientowana. A tu jeszcze się okazało, że mam brata przyrodniego. Rozmawialiśmy godzinami. Opowiedziałam mu o tamtym ataku. I on wziął sprawę w swoje ręce. To było okropne, ale jednocześnie poczułam się... sama nie wiem... może... chroniona. Potem Aaron odstąpił mi działkę i było jak... Spodobało mi się. O, bardzo mi się spodobało. Pozwalało od wszystkiego uciec. Aaron dbał, żebym miała co brać, i... – Urwała, ocierając oczy. – Mam wrażenie, że wiedział, co robi.

– Jak to?

– Chyba upajał się tym, że ma siostrę. I nie chciał jej stracić. Musiał się więc postarać, żebym go nie zostawiła... poza tym może jednocześnie chciał się

zemścić na swojej biologicznej matce. Odrzuciła go... dlaczego więc nie zniszczyć drugiego jej dziecka, tego, które zatrzymała?

– Nigdy nie rozmawiałaś o tym z mamą?

– Rozmawiałam. – Głęboko zaczerpnęła powietrza. – Przyjechałam do domu i zapytałam ją, czy kiedykolwiek wcześniej miała dziecko. Błagałam, żeby powiedziała mi prawdę. W końcu się złamała. Opowiedziała mi o sekcie. Mówiła, że zaszła w ciążę z okropnym człowiekiem, ale noworodek zmarł.

Z tego, czego właśnie dowiedział się od Yvonne, wynikało, że Ingrid wciąż trwała w tym przekonaniu.

– Pomyślałam, że mnie okłamuje. Ale widzisz... przestało mnie to obchodzić. Byłam już wtedy uzależniona. Interesowała mnie tylko następna działka. Więc ukradłam biżuterię mamy... i wróciłam do brata.

Ta chora, wynaturzona więź była przypieczętowana krwią.

– Powiedziałaś, że upadłaś na samo dno – podjął Simon, czując wielki ciężar na piersi, który prawie nie pozwalał mu oddychać – skoro doprowadziłaś matkę do tego, że kogoś zabiła...

Paige mocno zacisnęła powieki, jakby chciała, żeby to wszystko zniknęło.

– ...ale ona nie zabiła „kogoś”... – ciągnął.

Oboje wiedzieli, co będzie dalej. Paige nie otwierała oczu, przygotowywała się na cios.

– ...tylko własnego syna.

– Nie możemy jej o tym powiedzieć, tato.

Simon pokręcił głową na wspomnienie tego, jak oboje z Ingrid niedawno siedzieli na ławce w Central Parku.

– Koniec z sekretami, Paige.

– Tato...

– Twoja matka powiedziała mi, że zabiła Aarona.

Paige odwróciła się do niego powoli i Simon pomyślał, że nigdy nie miała tak czystego wzroku.

– Ten sekret to co innego. To by ją załamało.

Usłyszeli, jak Ingrid za drzwiami woła wesołym, śpiewnym głosem:

– Kolacja gotowa! Wszyscy myją ręce!

– Nie możemy jej powiedzieć, tato.

– To i tak może kiedyś wyjść na jaw. Może już wie.

– Nie, nie wie – odparła Paige. – W agencji adopcyjnej nie ma żadnych dokumentów. Tylko ty i ja znamy prawdę.

Poszli do kuchni. W piątkę zajęli miejsca przy stole – Simon, Ingrid, Paige, Sam i Anya. Sam zaczął opowiadać o nowym, mało rozgarniętym partnerze, którego miał na zajęciach laboratoryjnych z psychologii. To było zabawne. Ingrid tak się śmiała, oczy jej błyszczały. Pochwyciła wzrok Simona i odpowiedziała tym spojrzeniem, spojrzeniem mówiącym: „Jacy jesteśmy szczęśliwi, hej, pamiętasz tamten moment w parku? To właśnie jedna z takich chwil. Może nawet szczęśliwsza, bo są z nami dzieci. Musimy to sobie uświadomić i cieszyć się”.

Simon popatrzył na Paige po drugiej stronie stołu. Ona odwzajemniła mu się tym samym.

Tajemnica była z nimi.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli zachowa milczenie, nie pozbędą się jej już nigdy.

Zaczął się zastanawiać, co byłoby gorsze – życie w cieniu tego sekretu czy zdradzenie ukochanej kobiecie, że zamordowała własnego syna.

Odpowiedź wydawała się jasna. Następnego dnia to mogło się zmienić. Ale tego wieczoru wiedział, jak postąpić.

Może nie zasłonił Ingrid, gdy strzelał do niej Luther. Ale teraz by to zrobił – nawet jeśli byłoby to bardzo bolesne. Słuchał pięknego śmiechu żony, wiedząc, że zapłaciłby każdą cenę, aby słyszeć go nadal.

Więc przyrzekł sobie. Nigdy więcej tajemnic.

Oprócz tej jednej.

Podziękowania

Autor (który co jakiś czas lubi mówić o sobie w trzeciej osobie) chciałby podziękować następującym osobom, niekoniecznie w tej kolejności: Benowi Sevierowi, Lindzie Fairstein, Davidowi Eaglemanowi, Rickowi Friedmanowi, Diane Discepolo, Selinie Walker, Anne Armstrong-Coben i oczywiście chłopakom z BMV Group: Pieterowi van der Heide, Danielowi Madonii i Johnowi Byrenowi – za pomoc w zrozumieniu, czym zajmował się Simon.

Autor (to wciąż ja) pragnie także wyrazić wdzięczność: Manny’emu Andrewsowi, Mariquicie Blumberg, Louisowi van de Beekowi, Heather Grewe, Maishowi Isaacsonowi, Robertowi i Yvonne Previdim, Randy’emu Sprattowi, Eileen Vaughan i Judy Zyskind. Wszyscy oni (albo ich bliscy) wpłacili hojne datki na cele dobroczynne w zamian za umieszczenie ich nazwisk w powieści. Gdyby ktoś z was chciał w przyszłości zrobić to samo, proszę odwiedzić stronę HarlanCoben.com albo wysłać e-mail pod adres giving@harlancoben.com.

Przypisy

- ¹ Daddy Warbucks – postać z komiksów; bardzo bogaty biznesmen po pięćdziesiątce, opiekujący się osieroconą dziewczynką, dobry, mądry i odważny.
- ² Richie Rich – komiksowy multimiliarder; rozpuszczony dzieciak z zamiłowaniem do przygód.
- ³ *Sluts R Us* (ang.) – ździiry to my.
- ⁴ Rdz 19, 32; Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia.